

RYSZARD ÓWIRLEJ
TRZYNASTY
DZIEŃ
TYGODNIA

Replika

Copyright © Ryszard Ówirlej, Cerekwica 2007

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki

Dariusz Jasiczak

Skład

Agnieszka Bryś

Wydanie I

ISBN 978-83-60383-38-4

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 0618944151

replika@replika.eu

www.replika.eu

ROZDZIAŁ I

Sobota 12 grudnia 1981

Godz. 23.10

Marceli Kruszona wracał do domu, trzymając się ściany własnego bloku. Miał poważne trudności ze złapaniem równowagi. Było zimno i cały chodnik był zasypany śniegiem. Oczywiście o tej porze żaden dozorca przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby na dwór, żeby odgarnąć śnieg czy choćby posypać chodnik piaskiem. Noc była do spania, a nie do roboty. Marcel też chciał spać, ale nie bardzo mógł dojść do domu. Co chwila ślizgał się niebezpiecznie i tylko szczęśliwy traf sprawił, że dotąd ani razu nie wyrznął na ziemię. A miał już ku temu kilkadziesiąt okazji. W końcu musiał pokonać dystans prawie stu metrów. Szedł bowiem z pierwszej klatki swojego bloku na osiedlu Kosmonautów do klatki ostatniej, w której mieszkał. Do końca tej trudnej drogi zostało mu jeszcze przejście między dwoma klatkami schodowymi, a jemu wydawało się, że to niemal wyprawa na poznańską Cytadelę. Było ciężko, bo prócz śliskiego chodnika marsz utrudniały mu wewnętrzne zachwiania równowagi. Nogi nie słuchały zupełnie poleceń płynących z głowy, bo gdzieś na trasie między ośrodkiem decyzyjnym mózgu a ośrodkiem ruchu zalegały poważne ilości wypitego bimbrowa.

Przez cały wieczór czterdziestotrzyletni Marceli pił ze swoim kolegą i sąsiadem Marasem Pawlakiem. Obaj znali się od lat. Pracowali na jednym wydziale poznańskich Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego.

Dziś przed południem koledzy spotkali się w mieszkaniu Marasa.

Od kilku dni czekali na ten jedyny w swoim rodzaju wieczór. Jakiś miesiąc temu w swoim warsztacie w Zetenteku, w niewielkim aluminiowym

5
wym cylindrze osadzili spiralnie zwiniętą miedzianą rurkę. Zbudowany w ten sposób kociołek został szczelnie zaspawany. Dzięki temu powstała zgrabna i niezawodna chłodnica do skraplania oparów alkoholowych.

Dziś tę chłodnicę podłączyli plastikową przezroczystą rurką do kranu w kuchni Pawlaka, natomiast druga rurka połączyła chłodnicę z ruskim szybkowarem kupionym na gemeli na Łazarzu. Przez prawie trzy tygodnie w trzydziestolitrowej butli ustawionej koło kuchennego kaloryfera bulgotał zacier, przyrządzony według najlepszej, wielokrotnie sprawdzonej w polskich domach receptury Grunwald 1410, czyli jeden kilogram cukru na cztery litry wody z dodatkiem 10 deko drożdży.

I wreszcie nadszedł czas na sprawdzenie, czy sprzęt sprawuje się należycie. Po południu do szybkowaru nalali pierwszą porcję zacieru. Po kilkunastu minutach z niewielkiego kranika zaczął płynąć aromatyczny drożdżowy spirytus. Oczywiście podczas przerabiania całej butli zacieru nie mogło się obejść bez degustacji. W sumie obaj koledzy przez kilka godzin wyprodukowali osiem butelek spirytusu. Trzy z nich zostały wypite na

próbę. Umówili się, że jutro z pozostałego alkoholu zrobią cukrową przepalankę. No i te trzy butelki były przyczyną problemów Marcela. Był już bardzo blisko swojego wejścia, gdy nagle zauważył, że tuż przy chodniku stoi zaparkowana milicyjna nyska. Niewiele zastanawiając się, skoczył szybko w stronę otwartych najbliższych drzwi sąsiedniego wejścia i schował wewnątrz ciemnego korytarzyka. Oparty o ścianę partrył z uwagą na samochód. Przestraszył się nie na żarty, bo dobrze wiedział, czym może skończyć się takie nocne spotkanie szkiele z utytłanym facetem. Milicjanci mogli go bez zbędnych ceregieli zawieźć do izby wytrzeźwień, a noc spędzona na wytrzeźwiająłce nie należała do najprzyjemniejszych. Marceli wiedział o tym dobrze, bo kilka lat temu trafił do izby w dzień wypłaty, prosto z piwiarni na Wildzie. Rano wyszedł stamtąd poturbowany, bez zegarka i z pustym portfelem. Dlatego za nic nie zamierzał dziś powtarzać dawnych błędów.

Po chwili do nyski podeszło dwóch ludzi. Jeden w mundurze milicyjnym, a drugi po cywilnemu. Ten cywil miał w ręce torbę, taką zwyczajną torbę do zawieszenia na ramię. Wsiedli, samochód zakaszlał parę razy i po chwili silnik zaskoczył.

6

Marcel wyszedł na zewnątrz i spojrzał w ślad za odjeżdżającym milicyjnym autem.

– Co te szkiele tu łążą po nocy – zastanawiał się – i u kogo mogli być? Przecież tu w klatce normalna wiara mieszka.

Ruszył przed siebie znacznie już pewniejszym krokiem, bo spotkanie z milicyjnym wozem spowodowało, że ze strachu trochę przetrzeźwiał. Otworzył drzwi i znalazł się w niewielkim korytarzyku prowadzącym na schody czteropiętrowego bloku. Mieszkał na trzecim, miał więc do pokonania jeszcze trochę drogi. Zaklął w myślach, gdy spróbował zapalić światło. Ale bezskutecznie. Klatka była kompletnie ciemna, bo już dawno zniknęły z lamp na piętrach wszystkie żarówki. Wiadomo, towar deficytowy, którego nie było w sklepach, a tu był, przynajmniej od czasu do czasu, na wyciągnięcie ręki. Na drugim piętrze ze zdziwieniem zobaczył, że drzwi od mieszkania Walkowiaków są uchylone, a przez szparę sący się na schody strumień światła.

– Pewnie Miras Walkowiak mo tytę i zapomniał zamknąć drzwi – domyślił się. – Trzeba mu powiedzieć, bo jakieś penerstwo okradnie mu chatę na śpiku.

Przycisnął pstryczek dzwonka elektrycznego, ale nie było żadnego dźwięku. Dzwonek nie działał. Przyłożył więc pięść do drzwi i energicznie zapukał. W domu cisza. Niewiele zastanawiając się, nacisnął klamkę. Wiedział, że Marysia Walkowiakowa miała jechać na wieś, do swoich rodziców po zaopatrzenie, pomyślał więc, że Miras wykorzystał wolny wieczór, musiał się nachlać i spał w najlepsze.

Wszedł na korytarzyk prowadzący w głąb mieszkania i coś go zaniepokoiło. Wyglądało tu tak, jakby przeleciała tędy gwałtowna burza. Kurtki i płaszcze pozrzucone z wieszaka leżały pomięte na podłodze. Obok nich walały się poprzewracane buty, a wszystko to pokrywała warstwa gazet z rozprutej paczki z makulaturą, która leżała na niewielkim stoliku obok lustra. Walkowiak, podobnie jak większość swoich sąsiadów, zbierał makulaturę. Za oddanie do skupu niepotrzebnych papierów można było dostać nieosiągalny w normalnej sprzedaży papier toaletowy, więc opłacało się zbierać.

– No to żeś nawywijał chłopie, aleś gemelę tu urządził – powiedział do siebie Marcel i ruszył do środka mieszkania.

7

W dużym pokoju panował podobny, niemiłosierny bałagan. Z tym, że o ile przez korytarz przeszła wichura, o tyle śmiało można było powiedzieć, że tu swoje żniwo pozostawiła trąba powietrzna. Przewrócony stół i krzesła, rozpruty materac tapczanu, książki postrącane z półek i papiery powyrzucane z szuflad. Wszystko wyglądało tak, jakby właściciel mieszkania kompletnie oszalał.

– Miras, gdzieś jest, kurwa?! – zawołał Marcel, stojąc na środku pokoju. Nie było żadnej odpowiedzi. Zajrzał więc do drugiego pokoju, ale tam również nie było nikogo, pokój za to podobnie jak ten pierwszy wyrócony był do góry nogami.

Pozostała jeszcze kuchnia i łazienka. Sąsiad Walkowiak był w kuchni. Światło było tam zgaszone, a jego postać i fragment stołu oświetlała tylko jasna smuga wpadająca tu z korytarza. Siedział przy białym stole z głową opartą na blacie. Przed nim stała do połowy wypita butelka wódki wyborowej i jedna pusta szklanka.

Marcel podszedł do stołu i chciał klepnąć kolegę w plecy, by go obudzić. Już podniósł rękę, ale nie opuścił jej. Zamarł w bezruchu. Po chwili cofnął się do drzwi i szybko zapalił światło. To, co zobaczył, wprawiło go w prawdziwe osłupienie. W jednej ręce, leżącej na stole w kałuży krwi, Walkowiak zaciskał czarny pistolet, ruską TT-kę. Kula przeszła mu lewą skroń. Widać było wyraźnie niewielką dziurkę wlotową. Natomiast prawej strony głowy nie było wcale. Jej rozpryskane resztki poprzyklejały się do ściany na prawo od siedzącego, tworząc tam wzór, którego nie powstydziliby się żaden z uznanych malarzy abstrakcjonistów.

Godz. 23.30

W milicyjnej nysce siedziało pięciu ludzi. Wszyscy, z wyjątkiem jednego cywila, ubrani byli w polowe mundury moro. Dwaj podoficerowie, prócz zwyczajnej podczas akcji broni krótkiej, mieli także automaty kałasznikowa. Kierowca z papierosem w zębach spokojnie prowadził auto po osiedlowych uliczkach. Oficer siedzący przy nim liczył kolejne numery klatek schodowych bloku przy ulicy Pasterskiej. Szukali numeru 15 i wszystko wskazywało na to, że będzie to ostatnia klatka tego bloku.

8

– Kto to ma być, panie kapitanie? – zapytał siedzącego obok siebie oficera kierowca, kapral Grzechu Kowal.

Kapitan spojrzał na rozłożoną na kolanach czarną milicyjną raportówkę, przyświecając sobie sygnałową płaską latarką. W celuloidowej owijce miał schowaną kartkę z wypisaną na maszynie listą pięciu nazwisk.

– Markowski Kazimierz, syn Władysława, pracownik Cegielskiego, działacz Zarządu Regionu. Podobno bardzo radykalny. Napisali tu jeszcze, że trzeba szczególnie uważać podczas zatrzymania, bo może być niebezpieczny.

– Oo, jest ta piętnacha – powiedział kierowca i zatrzymał samochód naprzeciw drzwi do klatki schodowej.

Kapitan Ludwik Karpiński zamknął swoją torbę i odwrócił się do siedzącego za nim cywila.

– No co, towarzyszu kapitanie, jesteście na miejscu, więc przejmujcie

komendę, tak jak było przykazane – powiedział z uśmiechem. – Panowie – tu zwrócił się do pozostałych milicjantów – kapitan Jaszcz z SB jest szefem akcji. Proszę całkowicie podporządkować się jego poleceniom.

Żaden z milicjantów siedzących w nysce nie miał co do faktu przejęcia dowództwa żadnych uwag. W ogóle nie mieli żadnych uwag do akcji, którą za chwilę zaczynali. Kierowcy, kapralowi Grzechowi Kowalowi było dokładnie wszystko jedno. Od ponad roku był na etacie kierowcy w Komendzie Wojewódzkiej i tak naprawdę interesowała go tylko własna pensja i samochody, które były od zawsze jego pasją. Jechał więc tam, gdzie trzeba i nie zadawał zbędnych pytań. Przyzwyczaiał się już, że z rozkazami przełożonych się nie dyskutuje. Szczególnie od pewnego czasu, gdy czuło się, że coś wisi w powietrzu. Dziś Grzechu wiedział, że to coś właśnie się zaczyna.

Na tylnych siedzeniach siedziało jeszcze dwóch milicjantów. Równie obojętny na wszystko czterdziestoletni sierżant sztabowy Wiktor Dąbrowa, który dziś przed wyjściem z domu pożegnał się z żoną i powiedział jej, że nie wie, kiedy wróci. I po raz pierwszy od wielu lat naprawdę nie miał pojęcia, kiedy zakończy się ta robota. Niby wszystko do ostatniej chwili trzymane było w tajemnicy, ale Dąbrowa dobrze wiedział, że się zaczęło i że to właśnie dziś dojdzie do ostatecznej rozprawy z tymi ekstre-

9

mistami z „Solidarności”. Natomiast najmłodszy z grupy, szczupły rudzielec z twarzą upstrzoną piegami, świeżo upieczony podporucznik Mirosław Brodziak był przerażony tym, co za chwilę miało się wydarzyć. Poszedł do pracy w milicji kryminalnej, a dziś w nocy miał zostać esbekiem.

Godz. 23.30

W międzymiastowej centrali telefonicznej, budynku poznańskiej po-

czty głównej przy Alejach Karola Marcinkowskiego, dyżur pełniły zaledwie cztery kobiety. O tej porze nie miały zbyt wiele pracy. Zamówionych rozmów międzymiastowych było niewiele. Dopiero koło godziny 23 kilku rozmówców zadzwoniło z pretensjami, że ich połączenie z Wybrzeżem nagle się urwało. Szybko okazało się, że w żaden sposób nie można się dozwonić do Trójmiasta i Elbląga. Wyglądało to tak, jakby tamtejsze centrale zostały całkowicie wyłączone. Pani Maria Kowalska, która w telefonach przepracowała już prawie 20 lat przestraszyła się nie na żarty. Przypomniała sobie od razu, że podobnie wyglądała sytuacja, kiedy w sierpniu ubiegłego roku na Wybrzeżu były strajki. Wtedy władze odcięły połączenie, żeby informacje od strajkujących i ich rodzin nie rozchodziły się po kraju.

– Ta dzisiejsza cisza jest podobna do tamtej z sierpnia – powiedziała Maria do swojej koleżanki, pani Janiny.

– Może tam znowu strajk się jakiś zaczyna? W Gdańsku jest przecież zjazd Komisji Krajowej „Solidarności”, to pewnie te gnoje chcą ich znowu odciąć od świata. Trzeba będzie jutro posłuchać, co mówi o tym Wolna Europa.

– Ja to już rano będę wiedzieć – pochwaliła się Maria. – Mój stary jak się kładzie do łóżka to włącza sobie radio na Wolną Europę, a jak przychodzę po nocce do chaty, to mi mówi, co ciekawego było. Bez tej Wolnej Europy to by my nic nie wiedzieli, co się dzieje, bo te cholery z Radiokomitetu to nic prawdy nie powiedzą. Jak kłamali dawniej, tak i teraz same kłamstwa.

– Święta prawda – potwierdziła Janina. – Jakby „Solidarność” do-

10 stała dostęp do radia i telewizji, wszystko wyglądałoby inaczej. A tak to te czerwone robią se co ino chcą, a Wolną Europę to jeszcze zagłuszają.

Mają takie specjalne radiostacje, co nadają szum, żeby się ludzie nie mogli niczego prawdziwego dowiedzieć.

Rozmowę obu kobiet przerwało gwałtowne łomotanie do metalowych drzwi.

– A co za cholera tam się tłucze po nocy? – zdenerwowała się pani Maria. Wstała ze swojego krzesła i poszła sprawdzić, gotowa opieprzyć natręta. O tej porze nikt nie powinien wchodzić do centrali, no chyba że stałoby się coś wyjątkowego. Przekręciła klucz w zamku i metalowe drzwi jęknęły. Jakież było jej zdziwienie, gdy na progu zobaczyła trzech żołnierzy w hełmach z wycelowanymi w jej kierunku karabinami. Mężczyźni odepchnęli ją z drogi i wpadli do środka. Rzucili się do konsol centrali i zaczęli wyrwać wtyczki, przerywając połączenia. Za nimi do sali wkroczył jakiś wojskowy kapitan, a wraz z nim dyrektor Jakubowski.

– Pani Mario spokojnie, niech się pani nic nie boi – dyrektor próbował uspokoić kobietę.

Tymczasem ona dostrzegła, że mężczyzna sam jest mocno wystraszony.

– Spokojnie, drogie panie, nic się nie stało, wszystko jest pod kontrolą – powtarzał dyrektor łamiącym się głosem.

– Proszę mi wskazać aparaturę głównego zasilania centrali – zażądał kapitan, zwracając się do dyrektora.

– Tam za tą szklaną szybą – wyjaśnił dyrektor, podając mu jednocześnie niewielki klucz z przymocowaną sznurkiem listewką informacyjną.

Oficer podszedł z kluczem do szafki, włożył go do zamka, otworzył szklane drzwi i chwycił czarną wajchę.

– Co pan robi, czy pan zwariował? Wyłączy pan wszystkie telefony w mieście! – krzyknęła zdenerwowana całym zajściem Kowalska.

– I o to właśnie chodzi – powiedział kapitan i przesunął dźwignię w dół. Lampki, błyszczące dotąd na pulpitych centralek telefonicznych, zamrugwały po raz ostatni i zgasły.

11

Godz. 23.40

Oszołomiony Marcel wybiegł z mieszkania i zatrzymał się naprzeciwko, przed drzwiami Kazia Markowskiego. Tym razem nie tracił czasu na dzwonienie. Od razu zaczął łomotać pięściami. Minęło zaledwie kilka sekund, a drzwi otworzyły się i w szparze między framugą a krawędzią

skrzydła pojawiła się zaspana głowa.

– Niech cię drzwi ścisną – powiedział rozbudzony sąsiad, przecierając oczy. – Co straszysz ludzi po nocach, już myślałem, że szkieły przylazły.

– Nie przylazły, ale zaraz tu będą. Chodź zobacz, co się stało.

– Gdzie mam łązić po nocy? – zdziwił się Markowski.

– Tu, do Mirasa, on jest no, ten nieżywy, znaczy się zabity leży w swojej chacie.

– Co ty pierdolisz, mosz tytę czy jak? Jak Miras nieżywy? Ja godzinę temu z nim gadałem.

– To już przestań kłapać dziobem i chodź zobacz. – Marcel pociągnął go za rękę.

Obaj mężczyźni poszli do mieszkania naprzeciwko. Markowskiemu wystarczyło jedno spojrzenie, by upewnić się, że sąsiad miał całkowitą rację. Popatrzył na niego i szybko podjął decyzję.

– Słuchaj, Marcel, on jest zimny na amen. Trzeba zawiadomić milicję. Ja zadzwonię z domu, a ty wyleć na dwór i rozejrzyj się, czy gdzieś jakiś patrol nie łązi tu po blokach.

– Tu przed chwilą stała na naszym chodniku nyska milicyjna – odpowiedział Marcel. – Dwóch szkiełów wyłaziło z naszej klatki, moga gdzieś się tu pałętać. Polecę zobaczyć.

Gdy Kruszona wybiegł z mieszkania, Markowski szybko poszedł do swojego telefonu. Aparat miał zainstalowany w przedpokoju wyłożonym drewnianą sosnową boazerią. Telefon założono mu dość niespodziewanie, jakiś miesiąc temu, mimo że wniosek złożył zaledwie przed dwoma laty. Inni mieszkańcy jego bloku czekali już na to szczęście po dziesięć lat i więcej, dlatego wszystkim wydawało się, że w tym błyskawicznym, pozytywnym rozpatrzeniu wniosku jest coś podejrzanego. Sam Markowski

12

uważał, że założono mu aparat, by można go było bez przeszkód podsłuchiwać. W związku z tym prawie z niego nie korzystał, zwłaszcza w ostatnim tygodniu, gdy atmosfera wzajemnego porozumienia między rządem a „Solidarnością” zgęstniała do tego stopnia, że można było ją kroić nożem. Podniósł słuchawkę i już chciał wykręcić numer alarmowy, ale słuchawka była głucha. Uderzył parę razy w widełki, jednak połączenia nadal nie było.

Godz. 23.40

Milicjanci wyszli z samochodu. Na dworze było bardzo zimno i na dymiar złego cały czas padał śnieg. Kapral Kowal zamknął wszystkie drzwi i pięciu mężczyzn ruszyło w stronę wejścia do klatki. Zaledwie w kilku oknach czteropiętrowego szarego bloku paliły się światła. Większość mieszkańców dawno poszła spać. Ludzie zasypiali, nie wiedząc, że dzieje się coś strasznego, że do niektórych drzwi zapuka za chwilę historia ubrana w milicyjne mundury. O tym, że stało się coś strasznego, wiedział za to już Marcel, który pokonując po kilka schodów naraz, wypadł z drzwi wprost na kapitana Karpińskiego. Mało brakowało, a obaj mężczyźni upadliby na ziemię. Jednak czujny jak zwykle, wielki jak dąb Grzechu Kowal chwycił obu w ostatniej niemal sekundzie. Kapitan podniósł z ziemi swoją uszankę ze srebrnym orzełkiem, otarł ją rękawem i założył na głowę. Pozostali milicjanci błyskawicznie otoczyli Kruszone, którego Kowal w dalszym ciągu trzymał za kołnierz kurtki.

– Co jest, kurwa, obywatelu? – huknął na niego Kowal. – Napadacie na milicjanta na służbie? Chyba was pojebało czy jak?

– Panowie – wyjąkał przestraszony całym zajściem nieszczęśnik.

– Przecież ja do was pędzę, względem tego zgłoszenia.

– Jakiego zgłoszenia? Coś wam się pomieszało, obywatelu, zdaje się, że za dużo wypiliście – stwierdził Karpiński, pociągając znacząco nosem.

– Ja skąd, broń Boże – zaczął się tłumaczyć Marcel – ja tylko trochę, zanim go znalazłem. A do was to nie ja dzwoniłem, tylko sąsiad z drugiego, Markowski. Że niby ja znalazłem tego sąsiada...

13

– Spokojnie – włączył się do rozmowy esbek Jaszcz. – Powieździeliście, że niejaki Markowski nas wzywał?

– No pewnie – ucieszył się Marcel, widząc, że wreszcie ktoś zrozu-

miał, o co mu chodzi. – No dzwonił do was, żebyście przyjechali względem Mirasa Walkowiaka, co tam na górze z odstrzeloną łepetyną leży. A Markowski tam jest i pilnuje, żeby się co jeszcze gorszego nie porobiło. – Na górę idziemy – zarządził kapitan Karpiński. – Prowadź pan – rzekł i wskazał ręką na zupełnie już trzeźwego Kruszone. Ten ruszył szybko przodem, a milicjanci pośpieszyli za nim do bloku.

Ubrana w różowy szlafrok Stanisława Markowska stała w przedpokoju i ze zdziwieniem przyglądała się synowi, który bezskutecznie próbował się dokądś dodzwonić. Przed chwilą obudziły ją jakieś hałasy na korytarzu. Wydawało się jej, że ktoś pukał do drzwi. Zobaczyła, że syna nie ma w łóżku, szybko wstała i poszła sprawdzić, co się dzieje. Od dłuższego czasu bała się, że wydarzyć się może coś strasznego. Nieraz powtarzała synowi, że niepotrzebnie tak bardzo angażuje się w tę całą „Solidarność”. Była przekonana, że bezpieka prędzej czy później przyjdzie po niego. A ostatnio wszyscy mówili już, że to prawie pewne, że musi dojść do konfrontacji. Radio i telewizja ciągle trąbiły o niepokojach, eskalacji żądań, przygotowaniach do strajków i zamieszaniu, jakie wprowadzają ekstremiści z „Solidarności”, podsycając konflikty. No i ona wiedziała, że władza musi z tym skończyć, a ofiarami będą tacy ludzie jak jej syn. Wstała więc zdenerwowana, ale odetchnęła z ulgą widząc go na korytarzu jak próbuje się dokądś dodzwonić.

– Kaziu, gdzie ty dzwonisz po nocy, bój się Boga, północ prawie.

Markowski spojrzał na nią i uśmiechnął się uspokajająco. Chciał coś powiedzieć, ale wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

– To tylko Marcel Kruszona – powiedział do matki. Odłożył słuchawkę na widełki i poszedł otworzyć. Na progu zamiast Marcela stało dwóch milicjantów w zimowych mundurach moro i jakiś facet po cywilnemu.

I ten cywil, spojrzawszy na stojącego przy drzwiach mężczyznę, zapytał:
14

– Pan się nazywa Markowski Kazimierz?

– Tak.

– To się pan ubieraj, bo jesteś aresztowany.

– Ale o co chodzi? – nie dawał za wygraną Markowski. – Za co i jakim prawem mnie chcecie aresztować?

– Prawem stanu wojennego – odpowiedział oficer SB.

Kapitan Karpiński wszedł do mieszkania, które wskazał mu prowadzący milicjantów Kruszona. Wziął ze sobą tylko młodego podporucznika, a pozostałych dwóch ludzi zostawił Jaszczowi. Był przekonany, że jeśli doszło tu do jakiejś kryminalnej sprawy, to jego obowiązkiem jest dokładne zbadanie okoliczności. A ten esbek da sobie radę bez jego pomocy – myślał kapitan. Wcale się nie palił do tej roboty z wsadzaniem opozycji do pudła i teraz słysząc o czymś, co mogło być morderstwem, wyczuł swoją szansę. Podczas wieczornej odprawy na komendzie nie zdobył się na to, by powiedzieć, co myśli o pakowaniu „Solidarności” za kraty. Nie podobało mu się to, ale wiedział też, że nie po to służył w milicji, by kwestionować rozkazy przełożonych. Na co dzień łapał więc kryminalistów, a gdy było trzeba, wsadzał, tak jak dziś, opozycję.

Gdy weszli do kuchni, kapitan od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Coś mu nie pasowało od samego początku, gdy tylko wszedł do przedpokoju tego mieszkania. Ten bałagan wyglądał tak, jakby ktoś tu czegoś szukał w pośpiechu. Na pierwszy rzut oka widać, że nie było tu jakiegoś metodycznego działania. Karpiński od razu, gdy tylko zobaczył zwłoki, stworzył sobie szybką roboczą koncepcję.

Ktoś szuka czegoś w mieszkaniu, czegoś cennego, co należy do nieboszczyka. Znajduje to i ucieka. Wraca właściciel i widzi, że coś zginęło i zrozpaczony strzela sobie w łeb.

– No dobra. Na początek to musi wystarczyć, żeby przekonać kogoś ważnego, że warto rozpocząć śledztwo. Bo dzisiejszej nocy nie będzie to łatwe. – Kapitan spojrzał na podporucznika i rzekł: – Słuchaj, ja

15

skoczę teraz zobaczyć, co dzieje się u tego aresztowanego, wrócę z nimi na komendę i spróbuję zorganizować jakąś ekipę techniczną, a ty tu zostań i popilnujesz wszystkiego. Jak dobrze pójdzie, to w ciągu godziny

powinienem tu być z powrotem.

– Tak jest, obywatelu kapitanie – odpowiedział podporucznik Brodziak.

– Aha i jeszcze jedno, staraj się niczego nie dotykać niepotrzebnie. Znajdź sobie jakieś miejsce i siadaj na dupie, żebyś nie pozacierał śladów.

– Dalej, kurde, panie szanowny, z tym ubieraniem, nie musisz pan tak się opatulać, bo nie jedziemy na białe niedźwiedzie – zażartował kapitan Jaszcz, popędzając Markowskiego. Jego matka trzęsącymi się rękami pakowała do niewielkiej walizki zmiany bielizny, mydło, ręczniki i trochę papierosów.

– Mogę wziąć jeszcze jakieś książki? – zapytał aresztowany.

– Dość, nie jedziesz pan na wczasy do Sopotu, tylko do pudła. Można się pożegnać i lecimy.

Markowski podszedł do matki, a ta objęła go mocno i zaczęła głośno płakać. Dwaj podoficerowie z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię w tym niewielkim mieszkaniu wyglądali jak statyści z kiepskiej sztuki. Milicjanci byli zakłopotani tą sytuacją. Starali się nie patrzeć na pożegnanie, bo było im zwyczajnie głupio. Żaden z nich dotąd nie uczestniczył w aresztowaniu człowieka, który nie byłby pospolitym bandziorem. Czuli się nieswojo w tym mieszkaniu, które niewiele różniło się od ich własnych. W tym momencie do pokoju wszedł kapitan Karpiński. Podszedł do Jaszcz i szepnął mu coś na ucho. Jaszcz skinął głową, a potem powiedział:

– Nu, tawariszczi, pajechali.

– Staraj się niczego nie dotykać – pomyślał podporucznik Brodziak. – To co ja, do cholery, mam tu robić, nie dotykając niczego.

16

Popatrzył na drzwi od kuchni, za którymi siedział facet z odstrzeloną głową i zrobiło mu się nieswojo. Świadomość, że musi spędzić kilkadziesiąt minut w pustym mieszkaniu sam na sam z nieboszczykiem, nie była dla niego zbyt miła. No, ale taka to służba – przekonywał sam siebie. Chciał być milicjantem, to ma teraz. Parę tygodni temu skończył szkołę oficerską w Szczytnie, wcześniej odrabiał wojsko, służąc dwa lata w ZOMO. I jako młody milicjant w ciągu tych dwóch lat nieraz musiał odbębniać jakieś idiotyczne służby przy zabezpieczaniu terenu czy miejsca akcji. Gdy został oficerem, myślał, że takie bezsensowne sytuacje ma już za sobą, a teraz okazało się, że znów jest chłopakiem do pilnowania. Myśląc nad swoim ciężkim losem, postanowił przynajmniej możliwie najwygodniej spędzić ten czas. Podszedł do przewróconego fotela, postawił go na nogi i obrócił w stronę telewizora. Włączył odbiornik i usiadł. Po kilkadziesiąciu sekundach stary Neptun nagrzał się i rozbliżyła lampa kineskopowa. Jeszcze chwilę trwało, zanim z szarości wyłonił się dość wyraźny czarno-biały obraz. Puszczali jakiś film. Podporucznik rozsiadł się wygodnie i pomyślał, że w sumie jest to lepsze niż jeżdżenie po Poznaniu i wyłapywanie opozycjonistów. Na ekranie właśnie jakiś młody człowiek zabierał się do całowania całkiem ładnej dziewczyny, gdy wtem projekcja filmu została przerwana. Zamiast kolejnej sceny pojawił się spiker i powiedział:

– I to już wszystko w naszym programie, dobranoc państwu.

Brodziak odruchowo spojrział na zegarek. Była dokładnie północ. Zaczynał się 13 grudnia.

Niedziela 13 grudnia 1981

Godz. 00.35

– A pan porucznik szanowny, to długo już w milicji robi? – zapytał łysiejący, krępy mężczyzna w cywilnym ubraniu, gryząc jednocześnie kanapkę.

Siedział za jednym z trzech biurków, które niemal całkowicie wypełniały niewielki pokój w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. W kącie mieściła się jeszcze, z ledwością, przystawiona do ściany dwu-

17

drzwiowa szafa z jasnego drewna. Ubrany w mundur polowy porucznik siedział z nogami wyłożonymi na blacie drugiego biurka. Ściana po jego prawej ręce ozdobiona była pionowo zawieszoną cepeliowską słomianką, na której prócz kalendarza na rok 1981 z krajobrazami polskimi wisiał

niebieski poruczyk Lecha Poznań.

– Boja, mnie się zdaje – ciągnął dalej cywil, nie czekając na odpowiedź młodego oficera – że w organach to prawie całe życie robię. Już niejedno się widziało, ale żeby taka akcja jak dzisiaj, to pierwszy raz.

– No trochę już tu jestem – odpowiedział wyrwany z drzemki porucznik Alfred Marcinkowski. – A pan do nas na dłużej czy tylko na tę noc? – zapytał Fred z czystej grzeczności, bo tak naprawdę ten łysol wcale go nie interesował.

– A diabli wiedzą, ja już dawno złożyłem podanie o przeniesienie do zwyczajnej milicji. Ale wie pan, jak to w bezpieczeństwie. Bo to się człowiek normalnie dogada z kimś? Raz mówią tak, a zaraz na odwrót. Jeden drugiemu nic nie życzy. A teraz to już w ogóle gemela taka, że nikt nic nie wie. To i się zdziwiłem, jak mi powiedzieli, że dziś na noc mam się na dyżur do was zgłosić. Mój szef mnie wezwał wczoraj i powiada, słuchaj, Teoś, boja Teofil jestem z imienia, więc w związku z zaistniałą sytuacją i dopomożeniem kolegom oddelegujemy cię do wydziału kryminalnego na dyżury, a później się zobaczy co i jak.

– No to ma pan szczęście – Marcinkowski uśmiechnął się – bo nie wygląda na to, żebyśmy dziś mieli jakąś ekstra robotę. Raczej widzi mi się, że tę noc przesiedzimy w biurze.

Marcinkowski wstał z za biurka i podszedł do okna. Miał prawie 180 centymetrów wzrostu, niebieskie oczy, jasne włosy starannie zaczesane z przedziałkiem po lewej stronie. Gładko ogoloną twarz przyozdabiał niewielki wąsik.

Na parapecie stało radio tranzystorowe Jowita. Przekręcił gałkę wystającą z prawej strony. Zapaliło się światełko, które podświetliło skalę. Ale żadna muzyka nie popłynęła z głośnika. Sprawdził dostrojenie i okazało się, że czerwona strzałka tak jak zwykle ustawiona była na częstotliwości programu III, ale program milczał. Fred szybko przejechał całą skalę, jednak wszędzie było głucho.

18

— Co jest, do cholery? – zaklął pod nosem. – Musiało się popsuć akurat jak mam dyżur nocny.

— Włącz pan na długie, teraz będą dawać „Muzykę nocą” i bynajmniej nie te bigbity – zaproponował pan Teoś, rozpakowując jednocześnie kolejną sznytkę.

Zniecierpliwiony bezowocnymi poszukiwaniami na UKF-ie porucznik zmienił falę. Ale tam, gdzie zwykle był pierwszy program, też była cisza.

– Na długich też cicho, wygląda tak, jakby wszystkie polskie stacje zamilkły. Pewnie jakaś awaria na Piątko wie na wieży się zdarzyła. – Zirytowany wybrał pierwszą lepszą stację zagraniczną, na której coś śpiewało.

– Ja tam za szkiebrami nie przepadam – powiedział Teofil, głośno ciamkając, bo usta miał pełne jedzenia. Z radia płynęła jakaś smutna, melancholijna niemiecka piosenka. – Ja jestem Olkiewicz na nazwisko, ale babcia była bamberka, Hoffman z domu, znaczy się, że też trochę tej niemieckiej krwi mam w sobie, ale ich i tak nie lubię, nawet jak śpiewają. Zraz mi się te heili heilo wspomina.

– To niech se pan Rusków nastawi, bo mnie się już nie chce grzebać w tym radiu – powiedział Fred, siadając z powrotem za biurkiem.

– Ruskich też nie lubię, najbardziej. Co ja za to mogę, że sąsiadów mamy do dupy? Ale po francusku to i owszem... Taka Edith Piaf albo Charles Aznavour. Jak oni zaśpiewają, to aż się miło robi. Bo francuski język taki raczej pasujący jest do ładnych melodii, choć za cholerę nie wiadomo, o czym oni śpiewają. Ale i polskie piosenki, bynajmniej niektóre, bo nie te ryczące z gitarami młodzieżowymi, to i owszem posłuchać też można. Mojej żonie to ten Krawczyk odpowiada albo Maryla Rodowicz, a ja wolę znowu Urszulę Sipińską, bo nasza z Poznania jest dziewczucha, tylko, że ostatnio mało ją coś słyszać. A z innych to wolę Grechutę. Jak on śpiewa, panie, te swoje piosenki, to aż się chce słyszeć. Bo ten Młynarski to niby też takie ma ładne melodie, ale śpiewać to on nie umi, bo głos ma taki jakiś matowy, a więcej nawet gada jak śpiewa, to do dupy z takim śpiewaniem. Ale jak śpiewał, że jesteśmy na czasach w tych góralskich lasach, to mu wyszło niczego sobie. Bo jak byłem w Ustroniu, tym górskim, a nie morskim, w domu wczasowym, takim w stylu górskim, na

skos zbudowanym, znaczy się spadzistym, ale nowoczesnym z żelbetonu,
19

co ich tam kilka podobnych na jednej górze pobudowali, to tam była sala dancinowa i zespół jeden miejscowy śpiewał, ale nie góralski, tylko ele-gancko pod garniturami. I jak oni grali o tych góralskich lasach, to cała sala śpiewała z nimi. Ubawiliśmy się tam z moją kobitą, że aż strach, a wó-deczki było tyle, że nie dało się wyjść o własnych siłach do pokoju na kwaterę. Stara mnie na plecach ciągnęła z takim jednym sierżantem z Bu-ska Zdroju, co też na wywczasu przyjechał i razem my pili...

W tym momencie drzwi do pokoju otworzyły się szeroko i stanął w nich czerwony od mrozu kapitan Karpiński.

– No panowie – huknął od progu – taśćtać dupska do góry, bo robo-ta się prosi.

Godz. 00.50

Na parkingu przed wejściem do starego ZOO stały cztery ciężarówki milicyjne. Wysypywali się z nich zomowcy w hełmach, z tarczami i długimi pałami zatkniętymi za paski. Prószył lekko śnieg, zawiewał zimny wiatr. Cały czas podjeżdżały też nyski milicyjne. Na wprost budynku Zarządu Regionu „Solidarności”, kilkadziesiąt metrów od wejścia do ogrodu zoologicznego podjechał transporter opancerzony SKOT. Lufa karabinu maszynowego na wieżyczce wozu obróciła się w stronę drzwi prowadzących do wnętrza budynku. Dwa inne transportery zamykały wy-lot ulicy, zajmując miejsce na środku ronda Kaponiera.

W jednym z kilku stojących przy chodniku GAZ-ów siedział pod-pułkownik Eugeniusz Żyto i palił klubowego. W środku samochodu było ciepło, bo kierowca, zanim wyszedł, zostawił włączony silnik i rozkręcił na cały regulator dmuchawę z ciepłym powietrzem. Dlatego pułkowniko-wi wcale nie chciało się wychodzić na zewnątrz. Zresztą nie musiał. Ak-cja, którą obserwował przez przednią szybę swojego wozu, rozwijała się niezależnie od niego. Dowodzili nią oficerowie, którzy znali się na tej ro-bocie, a on siedział tu i starał się nie włączyć nikomu w drogę. Dziś wieczorem na naradzie dla wyższych oficerów MO dowiedział się, że ma uczest-niczyć w zajęciu siedziby regionu „Solidarności”. Nauczony wieloletnim
20

doświadczeniem nie pytał, jakie konkretne zadania ma wykonywać. Wie-dział, że jak zacznie się zbytnio interesować, to mu coś znajda, ale jeśli się nie wychyli, to będzie miał spokój. No i rzeczywiście, nie pomylił się. Ak-cja szła swoim torem, a on spokojnie mógł grzać się w aucie. Zresztą wia-domo było, że facet, który jest szefem wydziału kryminalnego w KW, nie ma żadnego doświadczenia w takich sytuacjach, dlatego też dowódcy ak-cji byli zadowoleni, że nie pęta im się pod nogami jakiś wysoki stopniem nadgorliwiec.

Kilkudziesięciu zomowców uformowało szyk uderzeniowy. Po chwili truchtem ruszyli w kierunku wejścia do budynku. Byli ostrożni, ale nie spodziewali się specjalnego oporu. W środku mogło być najwyżej kilku-nastu wystraszonych działaczy związkowych. W zaledwie pięciu oknach paliły się światła. Wtem rozległy się gwizdki sygnałowe i zomowcy ru-szyli. Milicjanci błyskawicznie sforsowali drzwi i wtargnęli do wnętrza. Na ulicy przed budynkiem został tylko pluton zabezpieczający, kilku ofi-cerów i SKOT z karabinem wymierzonym w okna.

Drzwi od łazika otwarto i nagle do nagrzanego wnętrza wdarło się lo-dowate powietrze. Pułkownik spojrzał z niechęcią na intruza, który ośmielił się zakłócić mu spokój. Był to kapitan Karpiński, który bez słowa ładował się na przednie siedzenie. Szybko zamknął za sobą metalowe drzwiczki i odwrócił się do swojego szefa, który siedział rozwalony na tylnym siedzeniu.

– No co tam ciekawego na mieście? – zapytał Żyto, nim kapitan zdążył się oficjalnie zameldować.

– Ciekawie to jest tutaj, obywatelu pułkowniku – odpowiedział Karpiński, wskazując ruchem głowy na budynek Zarządu Regionu „So-lidarności”.

– Ee tam. – Pułkownik machnął ręką. – Raz dwa i będzie po wszystkim. Byleby tylko nie znalazł się jakiś wariat, który będzie chciał stawić opór.

Pierwsi milicjanci z grupy szturmowej zaczęli wychodzić z budynku. Dowódca składał właśnie meldunek koordynatorowi całej akcji, jakimś pułkownikowi w mundurze wojskowym. Zomowcy wyprowadzali z budynku cywilów skutych kajdankami i ładowali ich do milicyjnych nysek.

21

Cały sztab akcji, wszyscy stojący dotąd na ulicy oficerowie ruszyli w stronę budynku, ale Żyto ani myślał wychodzić z ciepłego samochodu.

– No to mów, z czym tu przychodzisz, bo chyba nie wpadłeś się tylko ugrzać.

– Właśnie, obywatelu pułkowniku, mamy chyba morderstwo, to znaczy się jest trup w tym domu, gdzie byliśmy po jednego działacza, na osiedlu Kosmonautów. Facet ma odstrzelone pół głowy i trzyma w ręce spluwę. Więc jakby samobójstwo.

– Jakby? – zainteresował się pułkownik.

– Panie pułkowniku, czuję, że coś jest nie tak.

Godz. 01.05

Chorąży sztabowy Witold Szewczyk ze zdziwieniem patrzył na opasłe sylwetki czołgów T-72, które stały przed bramą wjazdową do Zakładów Cegielskiego. Tu na ulicy w środku miasta wyglądały, jakby zostały żywcem wyjęte z jakiegoś wojennego zdjęcia albo raczej jak potwory nie z tej Ziemi – pomyślał Szewczyk. Prócz tych dwóch brunatnozielonych olbrzymów na ulicy Dzierżyńskiego, przy której wznosił się płot fabryczny, stało kilkadziesiąt samochodów wojskowych i milicyjnych. Nyska, w której jechał Szewczyk, wracała ze Swierczewa. Parę minut temu asystował w kolejnym zatrzymaniu groźnego ekstremisty z „Solidarności”. Niepozorny, około sześćdziesięcioletni mężczyzna z sumiastymi włosami był pracownikiem naukowym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Wystraszony całą tą niecodzienną sytuacją siedział skulony w kącie przedziału dla aresztantów. Szewczyk, patrząc na niego, zastanawiał się, jak taki człowiek może stanowić poważne zagrożenie dla ustroju socjalistycznego. Jednak pewnie obawiano się go i dlatego trafił na listę zatrzymanych. Wieźli go teraz do aresztu na Chłapowskiego. Tam mieli go zabić i jechać po następnego ekstremistę.

Chorąży do końca miał nadzieję, że nie będzie musiał uczestniczyć bezpośrednio w aresztowaniach, ale niestety nie udało mu się wymigać.

Liczył też po cichu, że będzie mógł zostać w komendzie. Był przecież

22

technikiem milicyjnym, specjalistą od robienia zdjęć i ściągania odcisków palców, a w takiej żandarmskiej robocie jego umiejętności zdawały się psu na budę. Spojrzał na swoje nogi w spodniach moro i na ciężkie żołnierskie saperki. Mundur miał na sobie po raz pierwszy od czasów, gdy kilka lat temu był w milicyjnej szkole podoficerskiej w Pile. Zapomniał już zupełnie, jak się chodzi w takich ciuchach. Na co dzień, do pracy, ubierał się po cywilnemu. Dziś jednak musiał wystąpić w milicyjnym mundurze i nie dość, że głupio czuł się w roli łapsa, to jeszcze na dodatek miał wrażenie, że jest idiotycznie przebrany. Gdy usłyszał głos dyżurnego wywołujący jego wóz, a później przez głośnik przemówił Marcinkowski, odczuł prawdziwą ulgę.

– 0-138 macie tam u siebie tego łyngola Szewczyka? – zapytał porucznik.

Szewczyk rzeczywiście był wysoki i mierzył trochę ponad metr dziewięćdziesiąt. Był przy tym bardzo szczupły, dlatego koledzy mówili o nim łyngol. Było w tym określeniu sporo sympatii, bo Szewczyk był człowiekiem, o którym mówi się, że muchy by nie skrzywdził, słowem – prawie dwa metry bieżące poczciwości.

– Jest, panie poruczniku – odpowiedział kierowca, kapral Władek Golon.

– A w jakim fyrtilu jesteście? – pytał dalej Marcinkowski.

– Prawie minęliśmy Ceglorza i zaraz będzie Chłapowskiego.

– To, Władek, słuchaj, daj mi go tu na Kochanowskiego jak możesz najszybciej. Witas, szykuj klonkry, jest robota dla ciebie.

– Skoczmy tylko na Chłapowskiego odstawić jednego delikwenta, a zaraz potem możemy podjechać na Wojewódzką – wyjaśnił kapral.

W tej chwili, chyba po raz pierwszy w życiu, Szewczyk poczuł

wdzięczność do jakiegoś nieznanego sobie przestępcy, bo sformułowanie „robota dla niego” mogło oznaczać tylko jedno. Gdzieś na mieście dziś w nocy ktoś złamał prawo. – Ciekawe tylko kto? – pomyślał chorąży Witold Szewczyk, patrząc przez okno furgonetki na szpaler kilkudziesięciu milicjantów z tarczami i pałkami.

23

Godz. 01.30

– Kurwa, Wiechu, jak zaraz czegoś nie zrobisz, to nas tu szlag jasny trafi. Uruchomisz wreszcie to pierdolone pudło, czy mamy cię popchnąć? Brudny od smarów Wiechu, czyli kapral podchorąży Wiesław Szczygieł, wyjrzał z wjazdu kierowcy mechanika transportera opancerzonego SKOT i spojrzał ze skwaszoną miną na swojego kolegę i dowódcę, Jurka Wróbla. Sierżant podchorąży Wróbel stał przed wozem bojowym i trząsał się z zimna. Od prawie dwóch godzin męczyli się z uruchomieniem silnika i wszystkie ich dotychczasowe starania spełzły na niczym. Pancerne pudło ani drgnęło i nikt z trzyosobowej załogi, bo w środku walczył jeszcze z oporem wojskowej materii kapral podchorąży Edward Kwinta, nie był w stanie powiedzieć, co spowodowało, że ich wóz odmówił współpracy. Przed północą cała Wyższa Oficerska Szkoła Wojsk Pancernych w Poznaniu została postawiona w stan najwyższej gotowości bojowej. Podchorążowie byli przekonani, że mają do czynienia ze zwyczajnym alarmem i że znów wygonią ich na krótką przejażdżkę po pobliskim Gołęczynie. Tymczasem na odprawie okazało się, że ogłoszony alarm był zupełnie inny niż wszystkie dotychczasowe. Po raz pierwszy mieli swoje czołgi i SKOTY wyprowadzić na ulice miasta. Dowódca szkoły mówił coś o wyższej konieczności, walce z ekstrema i jakichś jeszcze pierdołach propagandowych. Zaznaczył jednak, że to, co mają robić, to tylko pokaz siły i gotowości, więc na pewno nie będą musieli z nikim walczyć. Zresztą wozy, którymi ruszają do miasta, nie będą wyposażone w amunicję ostrą, bo nie ma obawy, by doszło do jakichś starć z ludźmi. Wiedział, co powinien powiedzieć, bo podchorążowie mogliby mieć wątpliwości co do celowości wykonania drażliwych poleceń. Wielu z nich było z Poznania i trudno sobie wyobrazić, żeby ci chłopcy chcieli strzelać do poznaniaków.

– Dlatego – mówił dalej dowódca – przejedziemy tylko w kolumnie do miasta i ustawimy nasze wozy w kilku newralgicznych miejscach. Rano powinniśmy wrócić do miejsca zakwaterowania.

Krótko po odprawie kolumna pancerna wyjechała z terenu szkoły.

Wyjechały wszystkie wozy poza jednym. SKOT-a, którego dowódcą był Jurek Wróbel, nie udało się uruchomić.

24

Przysłany przez dowódcę akcji porucznik Kozłowski sprawdził, co się dzieje i polecił załodze zająć się naprawą, a gdyby ta się powiodła – nakazał Wróblowi ruszyć za kolumną do centrum miasta i zająć stanowisko na placu przed pomnikiem Mickiewicza i krzyżach, przy ulicy Czerwonej Armii. Pokazał mu na mapie, jaką trasą mają jechać i polecił meldować przez radio, jeśli uda im się ruszyć.

– Juras, daję temu pieprzonemu gratowi jeszcze jedną szansę, a jak nie to pierdołę tę całą zabawę w wojnę – powiedział Wiechu i zniknął we włązie.

Wróbel sięgnął do wewnętrznej kieszeni kombinezonu i wyciągnął popularnego. Zapalił i wciągnął głęboko do płuc solidną porcję śmierdzącego dymu. Wypuścił biały kłęb i splunął na śnieg pod nogami. Nie znosił popularnych, ale palił je, bo nie miał innego wyjścia. Od kilku miesięcy były to jedyne przydziałowe papierosy, jakie dostawali w szkole. O klubowych czy caro mogli tylko pomarzyć. Te lepsze papierosy zniknęły bezpowrotnie z kantyny i nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek zaczną fasować porządny tytoń. Podchorążowie palili więc to samo najtańsze paskudztwo co chłopaki z zasadniczej służby, ale i tak cieszyli się, że mają co palić, bo w mieście papierosy były od dawna towarem deficytowym.

– Trzymaj tę pierdoloną wajchę – krzyczał Wiechu z wnętrza wozu na Kwintę. Potem rozległ się trzask i nagle ogromny silnik zaskoczył. Potężny ryk rozdarł ciszę pustego placu manewrowego. Podchorąży Wróbel błyskawicznie wspiał się po przednim pancerniu, otworzył włąz wieży

i wsunął się na miejsce dowódcy. Zrobił to bardzo szybko, by uniknąć zderzenia z brzegiem włazu. Wielu młodych dowódców popełniało błąd i chcąc szybko ruszyć w chwili alarmu, wydawało rozkaz wyjazdu, siedząc jeszcze w otwartej wieżyczce. To jednak kończyło się niemal zawsze zderzeniem głowy z twardym pancierzem kłapy włazu. Byli i tacy, którzy pamiętkę po takim zderzeniu nosili do końca życia w postaci sztucznych górnych jedynek.

Doświadczony podchorąży zamknął za sobą właz, wpiął wtyczkę swojego helmfonu do gniazdka systemu wewnętrznej łączności i dopiero wtedy odezwał się do załogi.

25

– No i co tam, Wiechu, jedziemy na wojnę? – zapytał, przyciskając do krtani czujnik laryngofonu.

– A nich to chuj jasny strzeli, tę wojnę i wszystkich popaprańców razem wziętych – rozległ się w słuchawkach głos mechanika. – Prowadź, wodzu, tylko ostrożnie, żebyśmy nikomu nie zrobili krzywdy.

– Przede wszystkim nie zrobimy krzywdy sobie – powiedział dowódca.

Godz. 01.35

Stefan Tomczak nie mógł spać. Od ponad godziny chodził po swoim mieszkaniu w bloku przy ulicy Nad Wierzbakiem i palił papierosa za papierosem. Przebudził go jakaś godzinę temu potężny ryk czołgowych silników. Zdenerwowany, klnąc na czym świat stoi, wstał z łóżka i złorzeczając pancerniakom, poszedł do kuchni. Postawił czajnik na piecu gazowym i podpalił. Właściwie powinien być przyzwyczajony do hałasu silników czołgowych. Przez wiele lat pracował w szkole wojsk pancernych. Jednak od kilku lat był już wojskowym emerytem i jego kontakt z wojskiem ograniczał się tylko do jubileuszowych spotkań w klubie emeryta na terenie szkoły. Organizowali je dla weteranów raz w roku podchorążowie z okazji dnia Ludowego Wojska Polskiego. Nie bardzo lubił te oficjalne nasiadówki, bo wtedy widział wyraźnie, że jego czas już minął, a jego miejsce zajęli młodszy. Dlatego irytował go dźwięk czołgowych silników, bo i on przypominał mu bezpowrotnie stracone, najlepsze lata życia spędzone za koszarowym murem. A te dzisiejsze porykiwania czołgów, gwałtownie przerywające jego sen, mówiły mu wyraźnie jeszcze coś – że jest już stary, bo po takim przebudzeniu za nic w świecie nie uda mu się na powrót usnąć.

Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy, by upewnić się, że to nie jest jakieś zwykłe nocne grzanie silników. Uchylił okno w kuchni. Tubalne porykiwania czołgów stały się jeszcze wyraźniejsze. Wreszcie rozległ się metaliczny łoskot gąsienic.

– Ruszają na Golęcín – pomyślał Tomczak. – Ino co to za pomysł,

26

by chłopaków ciorać w taką zimną noc – zdziwił się stary żołnierz. Słyszał wyraźnie, że z miejsca rusza przynajmniej kilkanaście maszyn, więc był przekonany, że to jakieś poważniejsze ćwiczenia. A może jada ładować się na bocznice i będą jechać na poligon? – zastanawiał się dalej, zapalając kolejnego klubowego. Tuż koło szkoły był tor kolejowy i rampa załadunkowa, z której pancerniaczy co roku wyjeżdżali na większe ćwiczenia. Tylko idiota mógłby zarządzić ćwiczenia na dziesięć dni przed świętami. Nie, to tylko zwykły alarm – przekonywał sam siebie Tomczak. – I całe szczęście, bo jak by się ładowali, to silniki ryczałyby do rana, a tak pojedą w cholere i wrócą dopiero przed południem. Czajnik zaczął gwizdać. Mężczyzna ściągnął szybko rozgrzany gwizdek i chwycił czarną rączkę przez lniany ręcznik. Nalał wrzátku do szklanki z wczorajszymi fusami. Herbata w sklepach była prawie nieosiągalna, więc jak większość praktycznych poznaniaków z jednej porcji parzył dwie szklanki. Spojrzał na cukiernicę, ale cukru nie było w niej od kilku dni. Swoją grudniową kartkę na cukier oddał jakiś czas temu synowi, bo uznał, że wnuki bardziej od niego potrzebują czegoś słodkiego, a on może sobie bez tego poradzić. Przeklął w myślach swoją głupotę. Herbata Ulung bez cukru była obrzydliwa.

Zabrał ostrożnie szklankę i poszedł do stolika pod oknem. Usiadł przy stole i spojrzał przez szybę. Kilkadziesiąt metrów od jego bloku w ciem-

ności majaczyły bryły dachów domów jednorodzinnych, otoczonych koronami bezlistnych starych drzew. Za tymi drzewami jakiś kilometr na prawo była szkoła pancerna. Czołgowe dudnienie ucichło. Teraz nocną ci- szę przerywały tylko od czasu do czasu dźwięki wydawane przez nieliczne o tej porze na ulicy auta osobowe. Tomczak wypił parę łyków lurowa- tej herbaty, zgasił papierosa i już chciał iść do sypialni, gdy wtem usłyszał głośno i wyraźnie trzask wystrzału pistoletowego. Dźwięk, który doleciał do jego uszu, poniósł się ponad dachami domów w mroźnym zimowym powietrzu.

– Co jest, do cholery? – zdziwił się. Nie mógł się pomylić. To na pewno był strzał pistoletowy. Stary praktyk wiedział doskonale, że tak na mrozie grzmi ruska TT-tka. Ktoś strzelał tu na podwórzu albo nawet w bloku – myślał gorączkowo stary żołnierz.

27

Przez chwilę stał jeszcze koło okna, nasłuchując czujnie, ale gdy nic się więcej nie wydarzyło, postanowił zacząć działać. Szybko poszedł do sypialni. Zapalił światło i pośpiesznie zaczął wciągać na pidżamę zielony wojskowy dres, który dotąd leżał złożony w przepisową kostkę na krze- śle przy łóżku. Wciągnął jeszcze grube wełniane skarpety, założył laczki i z szafki nocnej wydobyl sygnałową latarkę. Tak wyekwipowany wy- szedł na klatkę schodową. Latarkę zabrał ze sobą, bo wiedział, że nie ma co liczyć na oświetlenie schodów. Żarówki zniknęły kilka miesięcy temu, a dozorczyńni nawet nie próbowała wkręcać nowych, bo i tak by je zaraz wykręciła jakaś niewidzialna ręka.

Ze swojego trzeciego piętra ostrożnie schodził na dół, świecąc sobie pod nogi. Na klatce śmierdziało zgniłymi ziemniakami i kocimi szczynami.

– Pewnie znowu ktoś nie zamknął drzwi do piwnicy – pomyślał rozdrażniony Tomczak. Zaraz jednak zapomniał o tym, gdy stanął na pierw- szym piętrze. Tu piwniczny smród zmieszany był jeszcze z jakimś zapa- chem. Znał go doskonale. Tak śmierdział proch strzelniczy. Ktoś strzelał w którymś z tych mieszkań. Nie było czasu na zastanawianie się. Najszybciej jak mógł pobiegł do swojego mieszkania. W przedpokoju był telefon. Podniósł czarną ebonitową słuchawkę. Już chciał wykręcić alarmowy nu- mer milicji, gdy zorientował się, że aparat jest głuchy. Dmuchał parę razy w mikrofon. Nic. Głucha cisza. Przez uchylone drzwi z klatki scho- dowej doszły do niego odgłosy jakichś szybkich kroków w ciężkich bu- tach. Zostawił telefon i pobiegł do okna w dużym pokoju. Otworzył i spoj- rzał w dół. Tuż przy krawężniku na ulicy stała zaparkowana milicyjna nyska. Zobaczył, że do samochodu podchodzą dwaj mężczyźni. Jeden był w mundurze milicyjnym, a drugi po cywilnemu.

– Co jest? – zdziwił się. – Jakim sposobem te szkieły tak szybko tu przyleciały?

Pomyślał, że na nic się nie przyda, stercząc przy oknie. Szybko założył kurtkę, szalik i czapkę i znowu ruszył na klatkę, na pierwsze piętro. Chciał powiedzieć milicjantom, że słyszał strzał i wskazać miejsce. Ale na pierw- szym panował zupełny spokój. Po milicjantach nie było śladu.

– Pewnie nie wiedzą, gdzie strzelali – domyślił się Tomczak i popę- dził na ulicę. Wybiegł przed dom i śliskim chodnikiem, ostrożnie, by nie

28
stracić równowagi, klapiąc laczkami, podreptał na ulicę. Ale milicyjnej nyski już nie było. Rozejrzał się zdumiony. Ulica była zupełnie pusta, tyl- ko jedna latarnia rozświetlała nieco mrok, a w jej bladożółtym świetle wi- rowały drobiny śniegu.

— No i co, do kurwy nędzy, mam teraz zrobić? – pomyślał emeryto- wany podoficer Stefan Tomczak, któremu zabrakło nagle pomysłu na dal- sze działanie. Zabrakło mu też rozkazu.

Godz. 01.40

– Co się, do diabła, wygłupiasz. To ściągnij jakikolwiek samochód z miasta. Przecież nie pójdziemy pieszo przez cały Poznań – denerwował się Marcinkowski, siedząc na stole przed oficerem dyżurnym Komendy Wojewódzkiej.

Porucznik Zdzisław Nowak, który tej nocy pełnił dyżur, bezradnie rozłożył ręce.

– Czy ty naprawdę nie widzisz, co tu się dzisiaj dzieje? Można ochu-

jeć od tego całego burdelu. Wszystkie samochody są w rozjazdach i nikt, zupełnie nikt nie ma pojęcia, kiedy to wszystko się skończy. A wiesz co jest najlepsze? To, że nikt tak naprawdę nad tym nie panuje. Co chwilę zgłaszają się radiowozy i żaden z nich nie jest tam, gdzie być powinien. Cała nadzieja w tym, że ci, co w nich siedzą, wiedzą przynajmniej co mają robić. Albo przynajmniej tak im się wydaje.

– No to jak, do cholery, mam się zająć tą sprawą. Ściągnąłem już na miejsce technika, jakiś młody szczon jest tam na miejscu, a my nie możemy nawet pojechać sprawdzić, co tam się stało.

Nowak przyłożył obie dłonie do oczu, potarł powieki, potrząsnął głową i uśmiechnął się do Freda.

– Słuchaj, mam taki pomysł. Mogę spróbować wezwać tu Grzecha Kowala, bo to ta ekipa natrafiła na zwłoki, a ten młody, co tam waruje, to jest też od nich. Grzechu z tobą pojedzie, musiałbyś tylko przekonać tego z безпеکی, co tam dowodzi, że masz rozkazy i one wiążą się z tą sprawą.

– No to jest już jakiś pomysł – pochwalił kolegę Marcinkowski. –

29

Wołaj Kowala, niech przyjeżdżają tu do komendy i powiedz im, że muszą wrócić tam na Kosmonautów po młodego. – Mówiąc to, porucznik mrugnął porozumiewawczo do dyżurnego. Ten zadowolony ze znalezienia najlepszego rozwiązania nachylił się nad mikrofonem. Zawahał się jednak, spojrzął na Marcinkowskiego i powiedział:

– Ale załatw to jeszcze jak tu przyjadą z tym Jaszczem z SB, bo on formalnie jest szefem w tym zespole.

– Spokojna głowa – jak się tu pojawia, wyślę go do pułkownika Żyto z reklamacją. Mam pozwolenie od Karpińskiego.

Alfred Marcinkowski wyszedł z pokoju operacyjnego. Na korytarzu komendy panował niezwykle o tej porze ruch. Na krzesłach pod ścianą siedziało kilkunastu ludzi przywiezionych tu z całego Poznania. Gdzieś z głębi korytarza dochodził płacz jakiejś kobiety. Milicjanci w kilku pokojach spisywali personalia i prowadzili wstępne przesłuchania zatrzymanych. Stukały maszyny do pisania, za którymi siedzieli protokolanci. Z niektórych pomieszczeń dochodziły podniesione głosy. Co chwilę zomowcy doprowadzali kolejnych aresztantów. Między mundurami milicyjnymi niezwykle wrazenie robiły te zielone, wojskowe, których dziś było tu dość sporo. O ile jednak wśród milicjantów kręcących się po budynku przeważali szeregowcy i podoficerowie, o tyle żołnierze to byli sami oficerowie. Do takiej akcji, jak aresztowanie solidarnościowych działaczy, nie można było przecież wykorzystywać chłopaków z zasadniczej służby, bo to był niepewny element. Natomiast na milicjantów odbywających służbę w ZOMO można było liczyć.

Marcinkowski jak mógł najszybciej przemknął przez zatłoczony korytarz i pobiegł na pierwsze piętro do swojego pokoju. Zdażył jeszcze dostrzec, że Olkiewicz z SB wyszedł na korytarz i drobnymi kroczkami zmierzał w stronę ubikacji. Zauważył, że mężczyzna niósł pod pachą skórzaną torbę.

– Pewnie ma w niej papier toaletowy – pomyślał i zaśmiał się w duchu Marcinkowski. W ubikacjach na komendzie od dawna nie było papieru i każdy, kto szedł za potrzebą, musiał mieć swój, a jak nie papier to chociaż gazetę. Najgorsza była „Trybuna Ludu”, bo drukowano ją na najlepszym, czyli zdecydowanie za twardym papierze, kiepskie były też

30

Głos Wielkopolski” i „Gazeta Poznańska”. Zdecydowanie największym powodzeniem w toaletowym rankingu cieszył się „Express Poznański”, na papierze z najpodlejszego gatunku, który łatwo było zmiąć przed użyciem.

Oficer otworzył drzwi i wszedł do swojego pokoju.

Na biurku po prawej stronie od wejścia swój sprzęt fotograficzny rozkładał właśnie chorąży Szewczyk. Spojrzął na wchodzącego i uśmiechnął się.

– Jak dobrze pójdzie to niedługo będziemy mieli samochód i możemy ruszać – powiedział porucznik i zamknął za sobą drzwi.

Olkiewicz wszedł do toalety i zapalił światło. Jaskrawy blask jarze-

niówki odbitej od białych, nieco brudnych kafelków oślepił go lekko. Mężczyzna przymrużywszy oczy rozejrzał się po wnętrzu. Nie było w nim nic szczególnego. Po prawej stronie dwie białe umywalki, a nad nimi popękane lustro. Po lewej przytwierdzony do ściany poźółkły pisuar, a nieco dalej odrapana kabina ustępowa. Ruszył w jej kierunku. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi na haczyki usiadł na opuszczonej drewnianej desce klozetowej. Brązową, noszącą ślady wielu lat używania torbę postawił na kolanach. Odpiął klamrę, odchylił klapę i z wnętrza wydobył owiniętą w gazetę butelkę żytniej z kłosem. Odwinął papier i uważnie przyjrzał się zawartości. Była prawie pełna. Olkiewicz uśmiechnął się, odkręcił aluminiową nakrętkę i pociągnął solidny łyk.

— W tej robocie jak się człowiek nie napije, to nijak się nie da wysiedzieć — pomyślał Olkiewicz i zamknął butelkę. Owinał ją starannie „Trybuną Ludu” i schował na samym dnie swojej torby. — No dobra — zamruczał pod nosem. — Trzeba się brać za te pierdoły i pokazać tym kryminalnym, jak prawdziwy fachura pracuje.

Dla niepoznaki jeszcze spuścił wodę i poszedł do pokoju 114.

31

Inny fachowiec dwa pokoje dalej leżał ułożony wygodnie na niewielkiej kozetce. Kapitan Karpiński zwinął grubą, ocieplaną kurtkę pod głowę i teraz próbował zasnąć. Na wszelki wypadek jednak nie zamykał drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym na co dzień urzędował. W razie gdyby ktoś natrętny próbował go szukać i przypałałaby się tutaj, mógł natychmiast wstać, udając, że jest w pełni gotowy do podjęcia odpowiedzialnych zadań.

Kapitan, zasypiając, rozmyślał o tym, że ma dziś dużo szczęścia. Po pierwsze, ten trup to był prawdziwy uśmiech losu. Dzięki swojej operatywności potrafił nudną, paskudną robotę przy aresztowaniach zamienić na ciepłe zacisze własnego biura. Po drugie, uważał, że zorganizował wszystko najlepiej jak można było. Miał zgodę szefa na rozpoczęcie akcji, więc z góry był kryty. Jego podwładni spuszczeni byli ze smyczy i wiedzieli dobrze, co mają robić. Efekt był taki, że pułkownik najprawdopodobniej nie będzie go szukał do rana, przekonany, że jest na miejscu zdarzenia, a jego ludzie nie będą nic od niego chcieli aż do powrotu na komendę, a to zajmie im na pewno parę ładnych godzin. Na wszelki wypadek kazał Marcinkowskiemu zameldować się u niego w gabinecie natychmiast po powrocie. Porucznik poinformuje go więc rano o ustaleniach, a on będzie mógł o wszystkim zameldować pułkownikowi. Najważniejsze jednak było to, że nie musiał zupełnie nic robić, a robota i tak będzie wykonana.

Smuga światła z reflektorów podjeżdżającego pod komendę radiowozu prześlizgnęła się po suficie i spłynęła po ścianie. Kapitan przymknął oczy.

— Jak te gnoje będą tak jeździć tam na dworze, to pewnie się nie wyspię — pomyślał i po chwili spał już snem sprawiedliwego.

Godz. 01.50

Rozrusznik małego fiata zarzęził, kaszlnął i ucichł. Ponowne szarpnięcie za rączkę dźwigni łączącej ciągnem kabinę z mechanizmem urucha-

32

miałym silnik nie dało rezultatu. Słyszać było tylko przez kilka sekund cichy jazgot rozrusznikowych szczotek i później nastąpiła zupełna cisza. Dodatkowo na desce rozdzielczej zgasły wszystkie kontrolki.

— Pierdolony grat! — zaklął głośno właściciel malucha Roman Mrowiński. Kilka minut temu jego samochód odmówił mu posłuszeństwa.

Wracał właśnie od rodziców mieszkających w Kiekrzu. Zasiadzał się do późna w nocy i teraz marzył tylko o tym, by znaleźć się w swoim mieszkaniu na Jeźycach. To marzenie jednak stawało się coraz bardziej nierealne. Wszystko za sprawą kapryśnego auta. Od dłuższego czasu coś działo się z prądnicą i Mrowiński wiedział, że urządzenie nadaje się już tylko na złom. Jednak wymiana prądnicy na nową graniczyła niemal z cudem. Zapasowe części do malucha były praktycznie nieosiągalne. Znajomy mechanik obiecał mu co prawda, że zdobędzie nową prądnicę, ale nie wiadomo było kiedy. Mrowiński liczył więc, że pojeździ jeszcze trochę na starej. Ale, niestety, przeliczył się. Mróz panujący od kilku dni w Pozna-

niu dopełnił dzieła zniszczenia i auto stanęło na dobre w chwili, kiedy przejeżdżał przez ulicę Wojska Polskiego. Zostawił po lewej szkołę wojsk pancernych, której wejście ozdabiał stary czołg T-34, i już chciał skręcić w Niestachowską, gdy maluch zgasł. Udało mu się jeszcze zjechać na chodnik z wyłączonym już silnikiem.

Mężczyzna ubrany w gruby barani kożuch wyszedł z małego samochodu na zewnątrz i z rozmachem trzasnął drzwiami. Nie zamknęły się, więc pchnął je jeszcze raz i tym razem zamek chwycił. Odszedł dwa kroki od samochodu i spojrzął w głąb ciemnej ulicy. Była jak wymarła. Jakieś trzysta metrów dalej paliła się jedna latarnia. Pozostałe były ciemne. Na jezdniach i chodnikach żadnego ruchu.

Wyciągnął z kieszeni paczkę klubowych, wydobyl z niej papierosa i włożył go do ust. Dopiero piątą zapałką udało mu się przypalić. Poczul jak duszący dym wypełnia płuca.

W tym momencie gdzieś w głębi ulicy, na wysokości Wierzbaka pojawiła się milicyjna nyska. Mrowiński zidentyfikował auto, gdy przejechało pod jedyną świecą latarnią. Ucieszył się nawet, bo pomyślał, że milicjanci będą mogli mu jakoś pomóc. Wóz błyskawicznie się zbliżał, więc ruszył na skraj chodnika, by pomachać na patrol. Obejrzał się w lewo

33

i wtedy dostrzegł coś dziwnego. Środkiem ulicy z przeciwnej strony toczył się potężny transporter opancerzony. Kolos jechał dość szybko i po kilku sekundach rozpędzony miał już mężczyzną. Ten zaklął w myślach, bo wszystko wskazywało na to, że SKOT zasłoni go i milicjanci w nysce nie zauważą jego machania. Rzeczywiście nie zauważyli. Co dziwniejsze, chyba nie zauważyli też transportera, bo nagle milicyjny pojazd na wysokości zjazdu w Niestachowską przeciął pas ruchu i zaczął skręcać w lewo, wprost pod rozpędzony wojskowy wóz. Jego kierowca widać w ostatniej chwili dostrzegł zawalidrogę, bo SKOT zaczął hamować.

Przez sekundę wydawało się, że nyska zdąży przejechać, jednak hamujący transporter wpadł w poślizg i w pełnym pędzie uderzył w bok auta. Siła uderzenia była tak wielka, że busik odbił się od płyty pancernej i przewrócił na bok. Ślizgając się po oblodzonej drodze, przesunął się jeszcze kilka metrów i znieruchomiał, ale tylko na sekundę. SKOT, powstrzymany zderzeniem, niewiele stracił ze swojego impetu. Nadal w pełnym pędzie po raz drugi staranował wrak. Potem zapadła kompletna cisza. – Kurwa! – powiedział do siebie patrzący na tę scenę, stojący na krawężniku właściciel zepsutego malucha, Roman Mrowiński. – Ale mam farta, chyba zaraz przyjedzie tu pomoc drogowa.

ROZDZIAŁ II

Godz. 02.40

Podporucznik Brodziak nie od razu zorientował się, gdzie jest. Przebudził się, potarł zaspane oczy i rozejrzał się wokół. Rozpruty materac z tapczanu i porozrzucane przedmioty, cały ten bałagan wokół, sprawiały wrażenie dekoracji z jakiegoś kiepskiego filmu. Potrząsnął głową uświadomiwszy sobie, co robi w tym obcym mieszkaniu. Przypomniało mu się też, że tuż obok, za ścianą siedzi facet z odstrzeloną głową, i po plecach przebiegły mu ciarki. Zerwał się z fotela i spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia w nocy. Pomyślał, że trochę zbyt długo trwa to oczekiwanie. Ekipa dochodzeniowo-śledcza powinna już tu dawno być. Ale z drugiej strony dzisiejsza noc jest szczególna. Ta akcja, w której uczestniczył od północy, to znaczy miał uczestniczyć, bo w końcu trafił do mieszkania z trupem, no więc ta akcja angażowała dziś niemal całą poznańską milicję. Do tego jeszcze wojsko, które miało im pomagać.

Brodziak nie bardzo wiedział, jak ma ta pomoc wyglądać, i niezbyt mu się to wszystko podobało. Zastanawiał się nawet, o co w tym wszystkim chodzi. Nie miał pełnego rozeznania, bo i nikt z dowództwa nie zamierzał dzielić się tą wiedzą z rozpoczynającym swoją karierę podporucznikiem. Zdążył tylko dowiedzieć się od innych milicjantów, że ta akcja to pewnie generalna rozprawa z solidarnościową ekstremą.

Zastanawiał się, czy podobne akcje prowadzone są też w innych miastach. No ale skoro koordynuje to wszystko wojsko, to najprawdopodobniej jest to coś w rodzaju stanu wyjątkowego – myślał porucznik. Dziwił się tylko, że wśród milicjantów, uczestniczących dziś wieczorem w od-

prawie zorganizowanej w Komendzie Wojewódzkiej, było tak wielu oficerów, którzy z satysfakcją, a nawet z radością komentowali wystąpienie komendanta. Zapowiedział on, że miarka się przebrała i czas zaprowadzić wreszcie porządek. Brodziak nie podzielał ich entuzjazmu. Cały czas liczył po cichu na to, że władza w końcu dogada się ze związkowcami i ci ograniczą swoje żądania. Solidarnościowcy musieli przecież zdawać sobie sprawę, że w Polsce Ludowej nie da się zmienić ustroju opartego na przyjaźni polsko-radzieckiej, gdy w całym kraju stacjonowały ruskie wojska.

Rozmyślenia przerwał mu warkot samochodu dochodzący z podwórka.

Podszedł do okna. Otworzył jedno skrzydło i wyjrzał na dół. Mroźny powiew uderzył go w twarz. Przy chodniku, tuż na wprost wejścia do domu stanęła milicyjna nyska. Z samochodu zaczęli wychodzić milicjanci. Zamknął więc okno i już miał zaciągnąć zasłony, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na oknach bloku naprzeciwko. W większości okien było ciemno, ale w jednym, tym dokładnie na wprost mieszkania, w którym był w tej chwili, paliło się światło. Zauważył, że coś się tam nawet poruszyło tuż koło okna.

– Jeśli ci lokatorzy z drugiej strony nie śpią teraz, to może nie spali wtedy, gdy coś się tu działo – pomyślał Brodziak. – Warto by z nimi pogadać. Trzeba zameldować dowódcy o tym, że tam ktoś łązi w środku.

Ruszył w kierunku drzwi, by otworzyć je wchodzącym. Gdy mijał kuchnię, zatrzymał się nagle. Spojrzał do środka i coś go zaintrygowało. Szybko zapalił światło i wszedł do pomieszczenia. Uważnie przyjrzał się siedzącemu za stołem mężczyźnie i nawet zdziwił się, że wcześniej tego nie zauważył. Przedtem patrzył na to i nic nie dostrzegł, mimo że było to zupełnie oczywiste. Nieboszczyk miał dziurę w lewej skroni.

– Ciekawe czy był mańkutom – powiedział do siebie podporucznik Brodziak.

Godz. 02.45

– No dobra, mówcie, obywatelu, spokojnie i po kolei, kto tam strzelał i skąd w ogóle wiecie, że ktoś strzelał, jak mówicie, że nic nie widzieliście, że ktoś strzelał.

36

Zdenerwowany i zasapany po dość długim i szybkim marszu Stefan Tomczak jeszcze niżej nachylił się do okienka w ogromnej szybie, za którą siedział dyżurny milicjant. Pół godziny temu, gdy stał bezradnie na ulicy, doszedł do przekonania, że może jedynie pójść w stronę komendy milicji- Na Kochanowskiego, gdzie znajdował się dzielnicowy komisariat, nie było daleko. Liczył też, że może po drodze uda mu się trafić na jakiś patrol i zawiadomić o całym zajściu. Wrócił więc do swojego mieszkania, włożył buty i ruszył na milicję. Niestety, jak na złość, milicjanci akurat tej nocy zajmowali się czymś zupełnie innym niż patrolowanie ulicy Nad Wierzbakiem. Nie napotkawszy po drodze żywego ducha minął zupełnie ciemny park Sołacki, przeszedł pod wiaduktem kolejowym i kilkadziesiąt metrów za nim skręcił w lewo, w Jeżycką. Stąd do ulicy Kochanowskiego było zaledwie parę kroków.

– Bo ja, panie, jestem żołnierzem zawodowym w stanie spoczynku i potrafię odróżnić strzał od pierdnięcia.

Łysiejący sierżant dopiero teraz z wyraźnym zainteresowaniem spojrzał na mężczyznę. Zawsze na nocnych dyżurach pojawiali się jacyś wariaci, którzy informowali milicję o najbardziej nieprawdopodobnych wydarzeniach, z lądowaniem Marsjan włącznie, ale ten na wariata nie wyglądał.

– A o której to było i gdzie dokładnie ten strzał było słychać? – zapytał dyżurny.

– Łe panie, ja już mówiłem, że u mnie w chacie – denerwował się coraz bardziej cywil.

– No to jak, nie wiecie, kto u was w domu strzelał?

– Jak w chacie, to znaczy się w bloku moim to było. Wstałem, bo nie mogłem spać przez te czołgi, co grzały silniki w szkole. No i jak byłem w kuchni, tom usłyszał strzał. I zaraz wybiegłem na korytarz, na klatkę schodową znaczy się, i tam poczułem zapach prochu. Więc widzi mi się, że strzelał ktoś w którymś z mieszkań.

– To trzeba było zapukać do tych mieszkań – zauważył milicjant.

– A co ja, do cholery, jestem z milicji? Zresztą tam wasi byli już na

klatce, jak było ten strzał słyhać. Łazili tam i zaraz pojechali, to nawet myślałem, że ich ktoś tam wezwał.

Milicjant spojrział ze zdziwieniem na Tomczaka, a później na leżącą

37

przed nim księgę raportów. Dobrze jednak wiedział, że w tym rejonie nie było wcześniej żadnego zgłoszenia i nikt nie wysyłał tam radiowozu.

Dlatego wydało mu się nieprawdopodobne to, co mówi ten człowiek.

– Mówicie, obywatelu, że była tam milicja dziś w nocy?

– No chyba mówię wyraźnie – irytował się emeryt. – Jak usłyszałem ten strzał, to za chwilę widziałem wasz wóz i milicjantów. Było też słyhać kroki na schodach, to myślałem, że łażą tam i błądzą, no i chciałem im pomóc. Ale jak wyszedłem, to ani ich, ani radiowozu już nie było.

Dyżurny podrapał się w głowę i zmarszczył brwi. Widać było, że analizuje tę całą skomplikowaną sytuację. Cisza trwała dość długo i Tomczak obserwując skupioną twarz, zastanawiał się, czy przypadkiem przegrzane zwoje mózgowe milicjanta nie przepalały się za chwilę. Tymczasem ten uśmiechnął się szeroko, spojrział na mężczyznę i powiedział:

– Słuchajcie, obywatelu. Koniecznym jest, abyście porozmawiali z kimś, kto może w tej sprawie podjąć jakieś decyzje. Dlatego musicie poczekać na oficera, którego z wami pogada. Wejdźcie więc do środka i poczekajcie na korytarzu, a ja już zrobię co trzeba i zawiadomię odpowiednie czynniki o zajściu, w którym braliście udział.

– No dobra. – Tomczak odetchnął z ulgą. – To gdzie mam czekać?

– Przejdźcie za drzwi i siadajcie na korytarzu. Aha, jeszcze dowódzik osobisty poproszę, gdyż muszę zgłoszenie od was do książki raportowej wpisać.

Wojskowy emeryt sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach i wydobyl z niej brązowy skórzany portfel. Zielony, sfatygowany dowód osobisty w twardej kartonowej okładce położył na blacie okienka i poszedł, gdzie mu kazano.

Godz. 02.50

Rozpruta jak ogromna puszką sardynek milicyjna nyska leżała na boku tuż przy krawężniku. Na jezdni walały się okruchy szkła, plastiku z roztrzaskanych reflektorów i jakieś metalowe elementy, które trudno byłoby dopasować do rozbitego wraka. Koło samochodu kręciło się kilkunastu

38

żołnierzy. Przed chwilą na miejsce dojechała na sygnale karetka pogotowia. Nie można jej było wcześniej wezwać, bo normalne telefony nie działały. Dopiero linią woj skową udało się żołnierzom połączyć z pogotowiem. Zaraz po wypadku, gdy podchorążowie wyszli ze SKOTA, dowódca wysłał Kwintę na biuro przepustek do szkoły oficerskiej. Stamtąd podchorąży połączyli się ze szpitalem.

Udało mu się to jednak dopiero po kilkadziesiąt minutach. Wcześniej oficer dyżurny wysłał na miejsce wypadku kilku chłopaków z zasadniczej służby dla zabezpieczenia terenu i oczywiście do pomocy. W końcu karetka przyjechała z pobliskiego szpitala Raszei. Żadnemu z wojskowych nic się nie stało, za to pasażerowie nyski mieli się znacznie gorzej. Podchorąży Jurek Wróbel, gdy tylko wyszedł ze swojego wozu, natychmiast pobiegł do przewróconego samochodu. Nie wiadomo skąd, pojawił się przy nim jakiś cywil. Obaj weszli do auta przez wybitą przednią szybę. Pasażerowi, który siedział na przednim siedzeniu obok kierowcy, nie można było już pomóc. To prawa burta przyjęła na siebie cały impet uderzenia transportera opancerzonego. Milicjant leżał w nienaturalnej pozycji, poskręcany z dziwnie wygiętymi rękoma, przygniatając kierowcę. Żołnierz i cywil przez kilkanaście minut wyjmowali ciało. W końcu udało im się je wydobyć i dotrzeć do kierowcy. Ten żył jeszcze, choć był nieprzytomny. Najostrożniej jak potrafili, z pomocajeszcze kilku żołnierzy, którzy tymczasem nadbiegli na miejsce, wyciągnęli rannego milicjanta. Ułożyli go na zwiniętej plandecie, którą wozili na wszelki wypadek w swoim transporterze. Starannie przykryli go wszystkim, co było pod ręką, kocem z milicyjnego auta i kurtkami żołnierzy. W końcu nadjechała karetka. Lekarz przyjrzał się rannemu. Zbadał go pośpiesznie i kazał sanitariuszom załadować na nosze. Gdy ranny zniknął wewnątrz kremowej warszawy combi, szpakowaty wysoki doktor w okularach i w narzuconej na fartuch kurtce

podszedł do podchorążego Wróbla.

– Dopiero co zaczęliście wojnę i już macie pierwsze straty? Niech was wszystkich chuj jasny strzeli, pierdoleni obrońcy ojczyzny – zaklął, odwrócił się na pięcie i poszedł szybko do swojego auta.

Żołnierz chciał coś odpowiedzieć, wytłumaczyć, że oni tego nie chcieli, że to przypadek, że jaka znowu wojna... Ale lekarza już nie było.

39

Świadkowie tej sceny, młodzi żołnierze zbici w grupkę na chodniku, patrzyli na podchorążego Wróbla, czekając na rozkazy. A on nie miał pojęcia, co ma im powiedzieć.

Godz. 03.40

– Helena, Helcia, no powiedz, do kurwy nędzy, czemu ty już poszłaś leżeć, jak goście jeszcze mają ochotę na pogaduchy? Co jest z ciebie za gospodyni, że od stołu idziesz precz?

Pięćdziesięcioparoletni mężczyzna w białym podkoszulku i czarnych spodniach z wielokrotnie złamanym kantem siedział na brzegu tapczanu, pochylając się nad śpiącą kobietą. Potrząsnął ją za ramię, ale ona najwyraźniej nie miała najmniejszej ochoty na kontynuowanie zabawy.

– Spierdalaj, Zdzisław, ciągnij stąd dalej – odpowiedziała bełkotliwie Helena. Złapała jeszcze za brzeg kołdry i wciągnęła ją sobie na głowę.

– A pies ci mordę lizał, jeszcze się będziesz prosić – powiedział Zdzisław, wstając z tapczanu. Musiał przy tym oprzeć się dwiema rękami o jego brzeg, bo miał poważne trudności z uchwyceniem równowagi. Wreszcie udało mu się stanąć prosto. Spojrzał na śpiącą i z rezygnacją machnął ręką.

– No to śpij, szantrapo, jak się na kulturalnym spędzaniu czasu nie wyznajesz. Wuchta gorzoły na stole, towarzystwo kulturalnie konwersuje, a tyś sprawiła se śrubę najpierwsza. No ładnie, nie ma co...

Powoli, trzymając się ściany, wyszedł z sypialni i poszedł do dużego pokoju. Tam za stołem siedział, opierając się na rękach, jeszcze jeden biesiadnik. Wszystko wskazywało na to, że i on ma już dość. Gospodarz podszedł do niego i usiadł na krześle obok. Szturchnął drzemiącego łokciem i ten natychmiast się wyprostował.

– Karol, słuchaj, Helena jest niestety zmęczona i nie może już nam towarzyszyć, bo leży jak klofta. Nic za nią nie mogę.

– A to glapa – powiedział Karol i znów oparł ciężką głowę na złożonych w pięści dłoniach.

Zdzisław spojrział na swojego szwagra i z rezygnacją pokiwał głową.

– Co to jest za wiara do picia... Ani mi nie mów – powiedział ra-

40

czej sam do siebie niż do zasypiającego Karola. Sięgnął po stojącą na stole, dopiero co otwartą butelkę stołowej i nalał sobie do kieliszka. Już chciał go podnieść do ust, gdy wtem usłyszał pukanie do drzwi. – Już idę!

___ krzyknął i zerwał się z krzesła. Był przekonany, że to wraca Wiechu, kolega który pół godziny temu wyszedł z imprezy. – Widzisz, Karol, Wiechu to jest ktoś. Ledwo co wyszedł, a już jest na powrót – mówił gospodarz, idąc w stronę wejścia.

Chwycił za klamkę, przekręcił ebonitową gałkę zamka patentowego Yeti i szarpnął pewny, że zaraz ujrzy swojego kolegę.

– Co jest, kurza melodia, szkieły? – zdziwił się, widząc stojących w progu dwóch mężczyzn w połowych milicyjnych mundurach.

– Milicja Obywatelska – powiedział piegowaty podporucznik Brodziak. – Można na chwilę?

– A o co się rozchodzi, że grzecznie spytam, znaczy się w jakiej kwestii ma być to można?

– W kwestii zapytania – wyjaśnił uprzejmie stojący za plecami Brodziaka ogromny kapral Kowal. Nie czekał dłużej na zaproszenie i minawszy oficera i gospodarza, bezceremonialnie wszedł do środka. Brodziak wykorzystał okazję i ruszył za nim.

W pokoju gościnnym panował zwyczajny poimprezowy bałagan. Na stole zastawionym półmiskami z galartem i sałatkami warzywnymi, kieliszkami i literatkami z niedopita oranżadą walały się resztki jedzenia. Miernie zaplanowana i ułożona kilka godzin wcześniej przez gospodynię kilkupiętrowa konstrukcja z kanapek z serem i szynką konserwową, załatwioną od znajomej z PSS-ów spod lady, leżała do góry nogami na dy-

wanie. A na obrusie przytulony do talerza po bigosie spał wuja Karol. Grzechu Kowal nie zwrócił najmniejszej uwagi na bałagan. Odsunął sobie krzesło i zasiadł do stołu. Brodziak zrobił dokładnie to samo. Po chwili do pokoju wtoczył się właściciel mieszkania.

— Panowie, moja stara ma urodziny, znaczy się świętujemy— wyjaśnił Zdzisław. — A to jest szwagier, wuja Karol — wskazał ręką na śpiącego, który jak dotąd nie zarejestrował przybycia nowych gości. — Może być po kielonku? — zapytał, podchodząc do stołu.

— Siadaj pan, bo my tu w sprawie służbowej, a nie na gorzołę — od-
41

powiedział wielki kapral, przytrzymując jednocześnie chwiejącego się mężczyznę. Szybko ocenił, że w takiej pozycji pijany facet może upaść w każdej chwili. Wstał więc, złapał go za ramiona i z łatwością, jak piórko uniósł nieco do góry, a następnie posadził na najbliższym krześle. Posadzony, nawet się nie zdziwił. Rozsiadł się wygodnie i zaczął sobie nakładać na brudny talerzyk grzybki w occie.

— A co wy tak dzisiaj, panowie, w naszym fyrtku rozrabiacie? — zapytał, zanim milicjanci zaczęli zadawać swoje pytania.

— My rozrabiamy? — zdziwił się Brodziak.

— No jak, przecież my tu widzieli z okna, jak tam po drugiej stronie robiliście gemelę u tego Walkowiaka.

Milicjanci spojrzeli po sobie, nic nie mówiąc. Wreszcie odezwał się Kowal.

— Co pan widział, niech pan sobie przypomni.

— No jak co widziałem? Byli my ze szwagrem, tym tuoto zalegającym na obrusie, na ćmiku na balkonie, bo stara nam w środku nie pozwala, gdyż chorowitą osobą jest, na astmę choruje i dym jej podobno szkodzi. To jak my palili, to się patrzymy, a tam po drugiej stronie jakieś szkieły łożą i grzebią po szafkach, a Walkowiak siedzi na tapczanie jakby szczotkę połknął. Nawet my się dziwili, że do niego coś macie, bo on spokojny chłop, tyle że w tej „Solidarności” niepotrzebnie się angażuje. Ale co ja wam będę gadał, jak to wyście u niego rozpierduchę robili.

— O której godzinie to było mniej więcej, panie Balcerzak.

— A diabli wiedzą, ale tak mi się widzi, że jeszcze wcześniej, bo w telewizji dawali ostatni dziennik. Bo my jeszcze telewizor mieli włączony.

— No i co dalej? Co pan jeszcze widział?

— Dalej to ja widziałem flaszkę, szwagra z małżonką i moja stara, a no i jeszcze Wiecha Kuloka z jego Mela, znaczy się wszystkich przy stole co siedzieli, bo jak my już zobaczyli, że tam się coś dzieje, tośmy do chaty weszli na powrót. No i ten Karol — tu gospodarz klepnął śpiącego na stole w goły kark — powiedział, że jak szczuny wałą petardą zaraz przy bloku, to się po całej dzielnicy niesie, dlatego on woli swój stary dom na Podolanach, bo tam cisza i spokój... i takich wywijasów jak tu na blokach to tam nie ma.

42

I ktoś wystrzelił petardę? — zainteresował się nagle Brodziak.

— No przecie mówię, jak pierdyknęło, to aż w uszach zadzwoniło.

Ale na szczęście tylko raz wystrzeliło i już cisza była — zakończył opowieść Zdzisław i jednym haustem wypił wódkę ze stojącego przed nim kieliszka.

— A to glapa — powiedział wuja Karol przebudziwszy się na moment, uniósł głowę, rozejrzał się niewidzącym wzrokiem i zaraz opadł z powrotem na swój talerz.

Godz. 04.00

Major Służby Bezpieczeństwa Stanisław Bielecki pił dzisiaj już czwartą kawę. Nie mógł sobie pozwolić na sen, dlatego starał się podtrzymać swoją aktywność kofeiną. Kawa pomagała tylko na chwilę i zaraz po wypiciu całej szklanki senność natychmiast wracała. Zazwyczaj podczas nocnych przesłuchań do kawy dolewał sobie trochę wódki, ale dzisiejszej nocy bał się pić alkohol. Ta noc była bowiem inna od pozostałych, których setki już spędził na służbie. Podczas zwykłych nocnych przesłuchań na komendzie było niemal pusto. Mógł więc sobie pozwolić na wypicie butelki i nikt nie mógł mieć o to do niego pretensji. Chyba że przesłuchiwanie, ale tych miał akurat głęboko w nosie. Dzisiaj natomiast w każdej chwili

mógł spodziewać się wezwania do któregoś ze swoich szefów, z informacją o wynikach przesłuchania. Dziś w nocy wszyscy najważniejsi ludzie z kierownictwa „służby” tak jak on dyżurowali w komendzie. W końcu mieli mnóstwo roboty z zatrzymaną solidarnościową ekstremą. Każdego z działaczy przywiezionych na komendę trzeba było przesłuchać i określić, czy swoją postawą stwarza zagrożenie dla społecznego porządku socjalistycznej ojczyzny. Tym, którzy nie byli jeszcze moralnie zepsuci i do szpiku kości przesiąknięci zachodnią zgnilizną oraz wrogą ideologią, trzeba było dać szansę powrotu na łono społeczeństwa. Wystarczyło, że podpiszą deklarację lojalności wobec władz państwowych. Bielecki uważał, że jest to doskonały pomysł z tymi deklaracjami. Podpisujący mógł wrócić spokojnie do domu, unikał więzienia, a służba bezpieczeństwa

43

dotychczasowych kłopotów. Jego bezpośredni przełożony, pułkownik, mówił nawet, że jest to genialne posunięcie władz, to taka amnestia dla ekstremy świadcząca o tym, że władza ludowa nie ma złych intencji i leży jej na sercu tylko dobro obywateli. Dlatego major dziwił się, że nikt z dotychczas przesłuchanych przez niego działaczy nie zgodził się podpisać deklaracji. Przekonywał, wyjaśniał, nawet prosił – i nic. Ci kretyni – denerwował: się oficer – nie wiedzieć czemu trwali przy swoim i opluwali wyciągniętą do nich dłoń. Woleli iść do więzienia, dać się internować i za nic nie chcieli słyszeć o pójściu na współpracę.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego odrzucają tę szansę. Początkowo myślał, że trafił na samych zagorzałych ekstremistów, a jego kolegom w sąsiednich pokojach idzie znacznie lepiej. Okazało się jednak, że inni śledczy mieli podobne wyniki jak on. Dotąd zaledwie dwie osoby podpisały lojalności. Ale były to pionki w solidarnościowej strukturze i najprawdopodobniej i tak rano by ich wypuszczono.

Z informacji krążących po jego wydziale wynikało, że prawdziwy sukces odnieśli koledzy z Piły, bo tam lojalność zadeklarował sam szef pilskiej „Solidarności”. Jednak już po godzinie okazało się, że to nie żaden sukces, bo ten facet był oficerem SB oddelegowanym do struktur związkowych.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i milicjant wprowadził kolejnego zatrzymanego. Szeregowy podszedł do biurka, za którym siedział oficer i położył na blacie opasłą teczkę z danymi zatrzymanego.

Gdy wyszedł, w pokoju został niski, brodaty mężczyzna w okularach. Oficer przyjrzał mu się uważnie, kierując w jego stronę snop światła z lampki stojącej na biurku. Działacz mógł mieć nieco ponad 40 lat. Ubrany był w niebieskie dżinsy i czarny wełniany sweter.

– Siadajcie, obywatelu – powiedział Bielecki, wskazując na stojący przed biurkiem taboret.

Na tego delikwenta major czekał od dłuższego czasu. Facet w Zarządzie Regionu zajmował się sprawami finansowymi. Podczas akcji w siedzibie „Solidarności” na Zwierzynieckiej milicjanci otworzyli kasę pancerną. Znaleźli tam trochę dokumentów i jakieś niewielkie pieniądze. Tymczasem do SB dotarła informacja, że kilka dni temu wielkopolski związek dostał w nielegalny sposób z zagranicy dość poważną kwotę w dewizach.

44

Dotąd udało się ustalić, że te pieniądze miały być przeznaczone na działalność związkową, w razie gdyby związek musiał zacząć działać w podziemiu. Teraz trzeba było się tylko dowiedzieć, ile tego było i kto to przechowuje. Sprawa była trudna i niezwykle delikatna, dlatego powierzono ją właśnie Bieleckiemu. Powszechnie wiadomo było w firmie, że on potrafi wyciągnąć zeznania nawet z nieboszczyka.

— No i co, panie Różycki, była „Solidarność”, były nadzieje, były szanse na porozumienie, a teraz macie gówno, nie wolne związki – zaczął drwiącym tonem major.

Przesłuchiwany Różycki spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę i zaczął płakać.

Godz. 04.35

Choraży Olkiewicz siedział przy kuchennym stole na wprost mężczyzny z odstrzeloną głową. Pozostali członkowie ekipy śledczej kręcili się po mieszkaniu i nie zaglądali do kuchni, bo tu wszystkie ślady zostały już zabezpieczone. Teofil przekonał sam siebie, że nie ma co im się pętać pod

nogami, bo na takiej robocie to on się nie zna. Ale tak naprawdę siedział w kuchni, bo nie dawała mu spokoju stojąca na stole niedopita butelka wódki. Było mu jej zwyczajnie szkoda.

– Na jaką cholere tyle dobra ma się zmarnować – zastanawiał się esbek. – Za chwilę wszyscy stąd wyjdą, przyjadą tu rano z zakładu pogrzebowego jakieś łachudry, zobaczą flaszkę i jak nic wypiją. I w jakieś świńskie ryje pójdzie markowa gorzola. A jak nie wypiją? – analizował sytuację chorąży. – Jak nie wypiją, to ta otwarta żytnia zwietrzeje, procenty uciekną w cholere i na zmarnowanie pójdzie. Nie, nie wolno zostawić tego tak sobie.

Podjął decyzję. Szybko wstał z krzesła, podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Nikogo nie było w pobliżu. Złapał więc butelkę, przyłożył do ust i błyskawicznie opróżnił ją trzema sporymi łykami. Potem podszedł do zlewu i do środka wlał wodę z kranu, uważając, by spływający po ściankach płyn nie zmył srebrnych od proszku odcisków palców. Nie minęło

45

nawet 30 sekund a ponownie napełniona butelka stała na stole przed zastrzelonym mężczyzną.

– No dobra, zbieramy się stąd – powiedział porucznik Marcinkowski gdzieś w głębi mieszkania.

Właśnie technik chorąży Szewczyk zameldował mu, że skończył swoją robotę. Zrobił zdjęcia i pozbierał wszelkie możliwe odciski palców. Porucznik przetrząsnął wszystkie kąty w tym domu, ale nie natrafił na nic interesującego. Interesująca za to okazała się relacja, którą przyniósł przed chwilą ten młody podporucznik. Dowiedział się, że przed północą w mieszkaniu byli milicjanci. Ten sąsiad z przeciwka potwierdził to, co zobaczył sąsiad, który znalazł zwłoki. Marcinkowski był u niego w mieszkaniu, gdy Szewczyk zajmował się robieniem zdjęć. Obudził go, zadał mu kilka pytań, ale widząc, że ten jest mocno wstawiony, zostawił na jutro wezwanie do komendy. Jednak z tego, co zdołał się dowiedzieć najważniejsze było to, że ten Kruszona widział na dole przed klatką milicyjną nyskę. Teraz okazało się, że milicjantów w mieszkaniu widział też sąsiad z okna drugiego bloku. Przytomny podporucznik kazał mu się stawić jutro na przesłuchanie w celu uszczegółowienia zeznań. Podobne wezwanie wypisał też jego szwagrowi, który dziś nie mógł powiedzieć ani słowa.

– Ciekawe, co to za milicja tu była i czego szukali. Jeśli oni zrobili tę rozpierduchę, to na pewno byli z SB, bo zwykła milicja nie robi takiej gemeli. Trzeba będzie wszystko szybko wyjaśnić, a z tym nie powinno być kłopotu – myślał Marcinkowski. Wszystkie wyjazdy milicyjnych samochodów były ewidencjonowane. Wystarczyło tylko sprawdzić książki wyjazdów na komendach. Najważniejsze było jednak pytanie, kto i dla czego zabił tego Walkowiaka. Gdy tylko Fred wszedł do mieszkania, podporucznik, który tu warował, pozostawiony przez Karpińskiego, zameldował mu, że zauważył pistolet w lewej ręce denata. Doświadczonemu milicjantowi wystarczyła zaledwie chwila, by przekonać się, że facet był praworęczny. Marcinkowski przejechał opuszkami palców po skórze na palcach denata. Na środkowym od prawej ręki skóra była lekko zgrubiała. To w tym miejscu piszący zazwyczaj opierają długopis. Znaczyło to, że pisał prawą ręką. Potwierdził to zresztą jego sąsiad, który wiedział,

46

że Walkowiak podpisywał się normalnie. Wszystko więc wskazywało na że pistolet do jego lewej skroni przyłożył ktoś inny, kto pewnie w pośpiechu chciał upozorować samobójstwo. Zrobił to jednak bardzo nieporadnie i głupio.

— Zaraz będę gotowy, tylko jeszcze spakuję te klonkry do kisty – rzekł i uśmiechnął się do Marcinkowskiego Szewczyk, wkładając do metalowej walizki aparat fotograficzny.

Sierżant Dąbrowa razem z Brodziakiem przeszukiwali jeszcze drugi pokój. Słychać było zza ściany ich głosy.

Fred spojrział w tamtym kierunku i zawołał, żeby już kończyli. Obaj zaraz wyszli z pokoju i stanęli na korytarzu.

– No i co, znaleźliście coś ciekawego? – tylko dla porządku zapytał porucznik.

– Nic tam nie było, taka sama gemela jak tu, panie poruczniku – zameldował sierżant.

– Tu jest coś dziwnego, to było za tapczanem pod oknem, ledwo wystawało, ale wyciągnąłem – powiedział podporucznik Brodziak. Trzymał w ręce podłużny, zielony pasek papieru.

– Co to za gówno? – spytał Marcinkowski z lekceważeniem, bo wcześniej nie przyszło mu na myśl, by zaglądać za tapczan.

– Nie wiem, ale wygląda jak banderola od pieniędzy – odparł Brodziak. – Tylko że tam jest napisane po niemiecku, i jakby od niemieckich pieniędzy to jest ta banderola czy jak tam.

Porucznik podszedł szybko i wziął do ręki papier. Na zielonej banderoli odczytał napis: Deutsche Bundesbank, a obok 10.000 DM.

– To chyba rzeczywiście jest taśma, którą owija się niemieckie pieniądze – powiedział Marcinkowski, patrząc na młodego podporucznika. Masz rację, banderola, w której było dziesięć tysięcy marek.

– Ja pierdolę – zaklął Grzechu Kowal. – Skąd ta łachudra mogła mieć tyle pieniędzy?

Porucznik nie odpowiedział. Spojrzał jeszcze raz na banderolę, a potem rozkazał:

– Zostajemy tu i jeszcze raz przetrzасamy całą chatę do góry nogami. Olkiewicz, gdy usłyszał rozmowę o astronomicznych pieniądzach, wy-

47
szedł pośpiesznie z kuchni i stanął w drzwiach do pokoju, przysłuchując się uważnie. Potem podrapał się w głowę i niby od niechcienia rzucił:

– To ja rozejrzę się w takim razie w tej kuchni jeszcze trochę. Może tam co jeszcze ciekawego jest schowane.

Godz. 04.40

– Ile mówicie, pięćdziesiąt tysięcy marek? Kurwa, przecież to jest niewyobrażalny majątek – nie mógł uwierzyć własnym uszom major Bielecki. – I wyście te pieniądze, ot tak, przekazali jakimś ludziom, bez żadnych pokwitowań. Ukryli to w szafach czy tapczanach?

– Taka była decyzja władz Regionu. Dostałem tylko informację, do kogo mają trafić pieniądze – mówił zatrzymany Różycki. – No i musiałem je im przekazać.

– Jak wyglądało to przekazanie? – pytał dalej major.

– Normalnie. Inżynier Tadeusz Pawlak zabrał pieniądze dwa dni temu, znaczy się w czwartek, zapakowane do torby i pojechał do nich. Miał dać dwóm osobom po dziesięć tysięcy i jednej trzydzieści.

– I jak, tyle pieniędzy niósł w zwykłej torbie? – zdziwił się przesłuchujący.

– No nie w zwykłej, takiej czerwonej foliowej z napisem Marlboro. Zresztą dużo tego nie było, bo to tylko pięć paczek po dziesięć tysięcy w każdej. W stumarkówkach to tylko po sto banknotów, to będzie jak grubszy zeszyt. Znaczący niewiele tego było, więc zawiązałem to jeszcze w gazetę i do środka włożyłem sweter i jakieś inne ciuchy...

– Ja pierdzielę, pięćdziesiąt tysięcy marek w siatce foliowej... – Esbek zaśmiał się. – A kto go wiózł, kto był kierowcą?

– Nie było kierowcy, on jechał tramwajem. To dla niepoznaki – tłumaczył Różycki – żeby się esbecja nie skapnęła.

Major wstał z fotela i podszedł do okna. Spojrzał w dół ulicy, na której parkowało kilkanaście milicyjnych aut. Stał tak przez chwilę odwrócony plecami do działacza i wreszcie po kilkudziesięciu sekundach ciszy odezwał się.

48

– Powiem panu, panie Różycki, że postąpił pan bardzo rozsądnie. Po co marnować życie na siedzenie w więzieniu. Wasza reakcyjna rewolucja się nie udała. Dziś w nocy wszyscy działacze „Solidarności” zostaną internowani. To tylko kwestia czasu, kiedy zrozumieją swój błąd. Zrozumieją, że to, co robili, było działaniem na szkodę Polski Ludowej. A jak nie rozumieją, to chuj z nimi.

Podszedł bliżej aresztowanego i usiadł na blacie biurka. Wydobył z kieszeni marynarki paczkę carmenów i poczęstował papierosem Różyckiego. Zapalili.

– No przecież wy, ludzie inteligentni, musicie rozumieć, że nie ma

najmniejszej szansy na to, by zmienić nasze geopolityczne położenie. Leży w strefie wpływów Związku Radzieckiego i nic na to nie możemy poradzić. Albo będziemy z nimi, albo oni nas rozpierdolą w kilka dni. A te wasze Niemcy czy Ameryka gówno mogą zrobić. Nie kiwnęliby palcem, tak jak w '56 na Węgrzech i w '68 w Czechosłowacji. Myślę, że ma pan rację, zgadzając się na współpracę, bo wasza „Solidarność” skończyła się raz na zawsze. Na szczęście pan zrozumiał to w odpowiednim momencie i jeszcze dziś pójdzie do domu. Tylko jeszcze jedno: zanim podpiszemy deklarację lojalności, poproszę o adresy tych ludzi, którzy dostali pieniądze.

Różycki, który przez cały czas siedział na taborecie ze wzrokiem spuszczone w dół, teraz spojrzął z uwagą na oficera.

— Jeden nazywa się Mirosław Walkowiak i mieszka na osiedlu Kosmonautów na Pasterskiej, drugi to Sławomir Pietrasik i on mieszka niedaleko stąd, bo Nad Wierzbakiem. Oni dostali po dziesięć tysięcy. A ostatni, ten co ma w domu trzydzieści tysięcy, to Mazurkiewicz Roman ze Świerczewa. Żaden z nich nie był jakimś ważnym działaczem, to zwyczajni szeregowcy, ale za to na pewno ideowcy.

Godz. 04.50

Joannę Mazurkiewicz zbudziło gwałtowne łomotanie do drzwi. Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na budzik stojący na szafce nocnej. Docho-

dziła piąta. Kobieta popatrzyła na prawą stronę szerokiego łóżka, ale miejsce obok niej było puste, a poduszki i kołdra nie miały na sobie najmniejszego śladu używania. Tej nocy nikt nie spał obok. Mąż jeszcze wczoraj po południu wyszedł z domu i pognął gdzieś do miasta, jak mówił, w sprawach związkowych. Ostatnio zdarzało się coraz częściej, że te solidarnościowe sprawy wymagały jego coraz większego zaangażowania. Znikał więc na całe dni, przygotowując jakieś akcje. Drukował plakaty, odezwy i ulotki, a dodatkowo zajmował się jeszcze ich kolportażem. Był inżynierem i pracował w drukarni, dlatego mógł bez przeszkód zajmować się solidarnościową poligrafia. W tej pracy pomagało mu kilku zecerów z jego firmy. Bibułę drukowali oczywiście na maszynach w swoim zakładzie, tyle że w tajemnicy przed dyrekcją. Kilka dni temu powiedział żonie, że szykuje się coś naprawdę ważnego. Mówił, że władze dążą do konfrontacji, a obowiązkiem związkowców jest przeciwstawienie się temu. Z informacji, jakie dochodziły do działaczy „Solidarności”, wynikało, że rząd zamierza wprowadzić stan wyjątkowy, ale nikt nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi. Dlatego on i ludzie, z którymi pracuje, muszą się przygotować — tłumaczył żonie.

Joanna poderwała się z łóżka, nałożyła szlafrok i szybko zeszła schodami na dół, by otworzyć drzwi. Głośnie pukanie powtórzyło się. Weszła w niewielki korytarzyk i wcisnęła włącznik światła oświetlającego ganek. Spojrzała przez wizjer. Na zewnątrz stał jej mąż. Szybko przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Zimne, ostre powietrze wtargnęło gwałtownie do rozgrzanego wnętrza. Mężczyzna niemal wbiegł do środka, mało nie potracając żony. Ona wyjrzała na zewnątrz, jakby chciała sprawdzić czy ktoś jeszcze nie stoi na schodach. Nikogo nie było. Ulica Janka Krasickiego, przy której stał ich szeregowiec, była ciemna i pusta. W świetle lampki nad wejściem do domu, jedynym świetle palącym się na całej ulicy, wioły płatki śniegu. Zamknęła drzwi i zgasila zewnętrzną lampę.

— Chodź szybko do kuchni — powiedział Roman i poszedł w głąb domu, po drodze ściągając czapkę i kurtkę.

Kobieta bez słowa ruszyła za nim.

— Słuchaj — zaczął, gdy oboje znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu wyłożonym drewnianą boazerią. — Rozpoczęło się. Wszędzie jest

50
milicja i wojsko, aresztują całą „Solidarność”. Muszę uciekać, gdzieś się ukryć, bo za chwilę mogą być tu po mnie.

— Ale powiedz, co się zaczęło, co się dzieje? — nie mogła zrozumieć kobieta.

— To chyba coś jak stan wyjątkowy, ale aresztują wszystkich, rozumiesz, wszystkich działaczy, więc zaraz mogą być tu po mnie... Na ulicach widziałem czołgi, samochody pancerne... Nie widziałem z bliska, no

i nie wiem czy to tylko polskie, czy Ruski też zaczęli coś razem z naszymi.

– Jezus Maria – zaszlochała Joanna Mazurkiewicz i opadła na narożnikową ławę w kącie kuchni.

Mąż, który cały czas stał oparty o ścianę tuż koło lodówki, spojrział na nią i zdecydował.

– Siedź tu i się nie ruszaj. Patrz na ulicę, czy ktoś nie podjeżdża, a ja spakuję parę rzeczy. Muszę się śpieszyć, bo milicja jeździ po całym mieście i biorą wszystkich. Bałem się, że tutaj już są, czekają na mnie, ale na szczęście zdążyłem.

– Roman, Boże, co teraz będzie? – szlochała zupełnie zagubiona kobieta. – Co ja mam robić?

– Kochana, to jest jak wojna, musimy to przeżyć. Oni zaczynają wojnę z nami, z narodem własnym. Nie mam pojęcia, jaka będzie odpowiedź związku, ale jedno jest pewne – łatwo im to nie pójdzie. Tobie nic nie robią, ale mnie mogą zamknąć i diabli wiedzą, co jeszcze. Ukryję się na parę dni, a później dam ci jakoś znać, co i jak...

– Posłuchaj – powiedziała Joanna zdecydowanym głosem, jakby wreszcie przebudziła się z odrętwienia spowodowanego strachem. – Zostań tu w kuchni, zjedz coś, napij się, a ja ci spakuję wszystko, najlepiej chyba do tego wojskowego plecaka. Za dziesięć minut będziesz mógł zabrać wszystko i możesz uciekać. Tylko – zawahała się na chwilę – tylko, dokąd ty pójdziesz?

– Nic się nie martw, już wszystko obmyśliłem. Teraz polecę do Stefana, a później on jakoś mi pomoże coś znaleźć.

– No, ale on... – spojrzała na niego niepewnie – przecież on jest milicjantem...

|- Spokojna głowa, kobieto, nie martw się o Stefka. Jest szkiełem, 51

ale na pewno nie świnią. Rozmawiałem z nim dzisiaj w nocy. Ostrzegł mnie przed aresztowaniami, a później dał mi klucze od swojego mieszkania i kazał tam czekać, aż będzie wiadomo, co i jak. Jutro przyjedzie do ciebie i powie, co postanowiliśmy. Mówił mi, że znajdzie jakieś miejsce, w którym będę mógł spokojnie przeczekać najgorsze...

Godz. 05.15

Ponowne przeszukanie mieszkania nie przyniosło żadnych rezultatów. Członkowie ekipy dochodzeniowo-śledczej zajmowali miejsca w nysce kaprała Kowala. Marcinkowski, który rozsiadł się wygodnie na podwójnym siedzeniu tuż za kierowcą, obserwował jak esbek Olkiewicz nieporadnie łąduje się do środka. Wreszcie, przytrzymany pod łokieć przez młodego podporucznika, wgramolił się do samochodu i opadł na siedzenie tuż za Fredem. Wraz z nim do auta wtargnął smród przetrawionego alkoholu. Kowal, który już siedział na miejscu kierowcy, zakręcił rozrusznikiem, ale silnik nie zaskoczył.

– Co jest, Grzechu? – zapytał sierżant Dąbrowa, który usadowił się obok niego, na przedzie. – Twój krążownik szos odmawia posłuszeństwa?

– Spokojnie, zaraz odpali, jest w końcu mróz, to ma prawo trochę pogrymasić, nie? – Kierowca zaśmiał się i ponowił próbę. Rzeczywiście, wysłużony silnik po chwili zaskoczył.

– Raz byliśmy na akcji w nocy – zaczął Olkiewicz z tylnego siedzenia, zapalając jednocześnie ekstra mocnego. Wypaloną zapałkę wyrzucił przez odsuwane okienko i zamknął szybkę. – No więc jak raz byliśmy w nocy na akcji – powtórzył niezrażony tym, że nikt nie zwrócił wcześniej uwagi na początek jego pasjonującej opowieści – to też było zimno jak dzisiaj. To jakieś pięć lat temu było, może sześć. Mieliśmy przymknąć jednego takiego faceta z konsulatu amerykańskiego, bo były podejrzenia, że ma kontakty szpiegowskie z jakimiś naszymi KOR-owcami, czy tam cholera wie, z kim jeszcze.

– Jak to – zdziwił się Grzechu Kowal – mieliście zatrzymać faceta 52

konsulatu? Oni przecież mają immunitet, bo to dyplomaci, co nie, poruczniku? Wolno takich tak sobie zaobrączkować?

___ No niby racja – potwierdził Marcinkowski, wyrwany z zamyślenia.

..___ He, he, he – zarechotał Olkiewicz, zadowolony, że wywołał odpo-

wiednie zainteresowanie. – Mieliśmy go zatrzymać tylko przez pomyłkę. Przetrzeć mu skórę i sprawdzić auto, a później przeprosić, ma się rozumieć. No i siedzieliśmy we trzech w samochodzie, też była taka pogoda jak dzisiaj, czekaliśmy pod jego domem, co go wynajmował na Sołaczcu. I on miał jechać tego dnia z jakimiś papierami, do których chcieliśmy zajrzeć. Miał jechać na lotnisko na Ławicę i fruować do USA. Więc mieliśmy go grzeecznie przejąć, czyli robota dla dziecka. No i czekamy na niego już ze dwie godziny i patrzymy, a on wreszcie wyłazi z walizką i idzie do swojego auta, nowego forda, czy jakiegoś takiego mercedesa. Zapala sobie silnik i rusza wolniutko. No to nasz kierowca, Zenek Karolczak, odpala naszą wołgę, a tu nic. Kręci znowu i nic. No to my biegiem wylatujemy ze środka, znaczy sieja i Geniu Franczak, i dalej brać to bydle na zapych. A wiecie panowie, jaka to kobyła ta stara wołga. No to pchamy go, idzie nam jak po grudzie, bo tam na ulicy bruk i ślisko od śniegu jak cholera. Mało żeśmy się nie poprzewracali, a wołga dalej nie chce palić. Jego światła już gdzieś znikły na końcu ulicy, a nas szlag trafia. Wszystko chuj jasny strzelił, myślimy se tam na tym mrozie. I nagle patrzymy, a tu podjeżdża do nas ten mercedes, ten, co nim jechał ten facet. Zatrzymuje się przy nas, otwiera okno i pyta nas z uśmiechem, czy nam nie pomóc. No to my mówimy, że i owszem. To on wyłazi, pcha z nami i ta pierdolona wołga wreszcie zapala.

– No i co zrobiliście w końcu – nie wytrzymał sierżant Dąbrowa – puściliście go chyba?

– Jak to co? – zdziwił się Olkiewicz. – Zapakowaliśmy go ładnie w kajdanki, ale dopiero jak wołga zapaliła – zaśmiał się esbek. – Rozkaz był, nie? To jak mieliśmy go puścić, jak ten kutas sam nam w ręce wlaź. To się nazywa mieć farta.

– A swoją drogą to niezły kretyn z tego Amerykańca, żeby w nocy zatrzymać furę i pomagać jakimś obszczymurkom w pchaniu auta – zdziwił się kapral Kowal.

– Inna kultura – podsumował chorąży Olkiewicz.

53

Jechali przez wyludnione, zupełnie puste ulice miasta w stronę centrum. Na jezdniach nie było prawie w ogóle ruchu. Minęli dotąd zaledwie kilka samochodów milicyjnych i wojskowych. Cywilnych aut nie było. W niedzielę nad ranem normalni ludzie spali w swoich domach. A ci, którzy już się przebudzili, nie mieli jeszcze pojęcia, że zaczął się stan wojenny. Porucznik Marcinkowski zastanawiał się, o co może chodzić w tym dziwnym morderstwie. Wszystko tu było jakieś niedorobione. Wyglądało tak, jakby zorganizował to ktoś, kto chciał zatrzeć ślady, ale zrobił to w sposób wyjątkowo nieporadny i głupi – analizował oficer. Strzał oddany w lewą skroń, skoro wystarczyło tylko pomyśleć i można to było zrobić bardziej fachowo. Stąd wniosek, że zrobił to ktoś, kto raczej rzadko zajmował się takimi sprawami. Najpierw wystrzelił z bliska, a później wpadł na pomysł, żeby zastrzelonemu włożyć do ręki pistolet. No i jeszcze przeszukanie. Mordercy szukali tej forszy. To znaczy, że właściciel mieszkania nie zdradził im, gdzie ona jest. Pewnie za to też poniósł karę albo został zastrzelony dla zatarcia śladów. Ale dlaczego, skoro zabrano pieniądze, zostawiono na miejscu banderolę po markach. To jak wyraźna informacja dla milicji o motywach zabójstwa. No i pozostaje jeszcze najważniejsze pytanie. Skąd taki facet miał tyle pieniędzy? Dziesięć tysięcy marek to jak na nasze polskie warunki kwota niewyobrażalna. No i do tego dochodzi jeszcze ten pasztet z milicjantami w środku mieszkania tuż przed śmiercią delikwenta. Coś tu chyba zaczyna śmierdzieć, i to całkiem nieźle.

– Gdzie, kurwa, mamy jeszcze jechać, przecież całą noc już jeździmy – warczał do radiotelefonu sierżant Dąbrowa.

Podniesione głosy wyrwały porucznika Marcinkowskiego z zamyślenia. Przejeżdżali właśnie koło stoków cytadeli i zaraz mieli skręcić w Garbary. Jeszcze pięć minut i byłiby na komendzie.

– Co tam chcą od nas, Wiktor? – zapytał Fred.

Dąbrowa, który siedział obok kierowcy, odwrócił się do oficera i podał mu mikrofon.

– Niech pan sam z nimi pogada, bo oni chyba chcą nas zapierdolić robotą – pieklił się sierżant.

– No, co tam macie takiego pilnego? – rzucił do aparatu porucznik.

– Fred, nie wkurzaj się, ale nie mam naprawdę nikogo, a wy macie

54

. 2Ur. zaczął przeproszającym tonem oficer dyżurny, by zaraz przejść do konkretów. – Nad Wierzbakiem, nad ranem, jakiś dziadek słyszał strzał. Przyszedł zameldować o tym na komendę dzielnicową. Musicie tam jechać sprawdzić to. Ale to pewnie nic ciekawego. Facet czeka na Kochanowskiego w dzielnicowej. Weźcie go ze sobą i rozejrzyjcie się. Mam nadzieję, że to tylko jakieś zwidy starej pierdoły.

– No dobra, rozejrzemy się. – Porucznik oddał mikrofon sierżantowi Dąbrowie i wolną ręką klepnął w ramię kierowcę kaprala Kowala.

– Słyszałeś, Grzechu, zapierdzielamy do pracy.

– A żeby ich wszystkich szlag jasny trafił. Już myślałem o ciepłej pierzynie – zdenerwował się Kowal.

– Co jest, kurwa! – Z tylnego siedzenia odezwał się wyrwany nagle ze snu chorąży Olkiewicz.

– Nic, panie Teoś, jest robota – odpowiedział mu siedzący najbliżej niego młody podporucznik Brodziak.

– Jezus Maria, całe szczęście, bo mi się śniło, że kogoś zabili – powiedział wystraszony Teofil i po chwili znowu zasnął.

Godz. 05.30

– Pięćdziesiąt tysięcy marek w foliowej tytce, ja pierdołę, przecież to sajacyś idioci. I tacy debile, uważasz, chcieli z nami wygrać? – Siedzący za ogromnym dębowym biurkiem pułkownik Wiesław Iwański z SB, niezbyt wysoki, szczupły blondyn po pięćdziesiątce, nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Słyszysz, Karol – zwrócił się do rozwalonego w głębokim fotelu ustawionym pod ścianą, tuż przy wielkim zielonym fikusie, podpułkownika Trójniaka – Stasiu mówi, uważasz, że tyle bejmów przynosili w foliówce jak pyry.

– No i co się dziwić, że tak łatwo rozpierdoliliśmy tę całą „Solidarność” – zaśmiał się Trójniak, wychylając głowę zza rozłożystej zielonej gałęzi. – Organizację mieli do dupy, to i nie było szansy, żeby mogli zrobić coś konkretnego. Mordy pełne frazesów, a dupa goła. I takie jełopy chciały obalić socjalizm ha, ha, ha – zarechotał podpułkownik, trzymając

55

się za wielki brzuch. – Iz kim myśmy się, kurwa, mieli dogadywać jak Polak z Polakiem? Z tą hołotą?

Obaj wysocy oficerowie Służby Bezpieczeństwa dyżurowali dzisiejszej nocy w Komendzie Wojewódzkiej. Przez ostatnich kilkanaście godzin mieli pełne ręce roboty, bo koordynowali całą akcję zatrzymania członków „Solidarności” w Poznaniu. Teraz kończyli już pracowitą noc i tylko przypadek sprawił, że major Bielecki zastał swoich szefów na miejscu. Siedzieli w gabinecie, bo postanowili jeszcze przed wyjściem do domu wypić sobie po szklaneczce, na dobry sen, jak powiedział parę minut temu pułkownik Iwański, rozlewając do dwóch literatek porcję wódki bałtyckiej. Ledwie zdążyli wypić, gdy do drzwi zapukał major Bielecki.

– No właśnie, obywatelu pułkowniku, myślę, że teraz trzeba by zrobić szybką akcję, bo te pieniądze mogą jeszcze wpaść w czyjeś brudne łapy. Na razie sprawdziłem i okazuje się, że żadnego z tych facetów, którzy mieli przechowywać pieniądze, nie ma na liście do internowania. To znaczy, że nie byli ważnymi działaczami. Tak zresztą zeznał ten księgowy, co go maglowałem przed chwilą. Nie ma więc obawy, że któryś z nich mógł zostać zatrzymany. Ale myślę, że trzeba się śpieszyć, bo jak się dowiedzą, że jest stan wyjątkowy, mogą spanikować i zacząć robić jakieś głupstwa. I dlatego uważam, że trzeba by się do nich przejechać od razu.

– Macie całkowitą rację, majorze Bielecki – zwrócił się do stojącego na środku pokoju oficera podpułkownik Trójniak. Był on fizycznym przeciwieństwem swojego szefa. Wielki, ważący ponad 120 kilo grubas z ogromnym brzuchem i sumiastymi wąsami przypominającymi wiecheć słomy – wyglądał jak ogromny mors. Mężczyzna z wysiłkiem uniósł się z fotela i podszedł do biurka, za którym siedział pułkownik. Bez pytania wziął z blatu paczkę giewontów z filtrem, wyciągnął papierosa i zapalił. – Ja sobie myślę – ciągnął dalej podpułkownik, patrząc na Iwańskiego – że tu trzeba działać szybko, tak jak mówi major, bo jak ci idioci się przestraszą, to mogą te pieniądze zapakować znowu do jakichś siatek

i próbować je gdzieś przenieść. A jak nie daj Boże ktoś takiego delikwenta napadnie, to będzie problem, pieniądze znikną i wtedy szukaj wiatru w polu.

— No właśnie, Stasiu — wszedł mu w słowo pułkownik, patrząc na
56

Bieleckiego — dlatego daję ci, uważasz, całkowicie wolną rękę. Organizuj szybko akcję i bierz, kogo tam chcesz do pomocy, byleby te pieniądze iak najszybciej, uważasz, znalazły się tu, na tym biurku. — Iwański mówiąc to, dla podkreślenia wagi swych słów, kilka razy uderzył małą dłonią w dębowy blat biurka.

— Aha, jeszcze jedno majorze — Trójniak zatrzymał w miejscu Bieleckiego, który już chciał się odmeldować. — Ta sprawa musi mieć najwyższy priorytet, więc nie musicie się o nic martwić, prawda, towarzyszu pułkowniku?

— Właśnie, właśnie, najwyższy i najtajniejszy, uważasz, więc byle kto nie musi wiedzieć, czym się zajmujecie, a i w środkach nie musicie przebierać. Więc jak któremuś tam przypierdolisz, to nie zastanawiaj się, Stasiu, nad konsekwencjami, nie? Bo żadnych konsekwencji, uważasz, nie będzie.

— Gdzie drzewa się rąbie, tam lecą trociny — dodał Trójniak, uśmiechając się szeroko.

Godz. 06.00

Jadwiga Nowak w niedzielę wstawała zawsze o szóstej rano. Miała siedemdziesiąt dwa lata i od sześciu lat była już na emeryturze. Wcześniej pracowała w „Modenie” na Jackowskiego. Była więc przyzwyczajona do wczesnego wstawania, bo do swojego zakładu chodziła codziennie na siódmą rano. Przez lata tak się przyzwyczaiła do tej wczesnej pory, że i teraz często w ciągu tygodnia budziła się bardzo wcześnie, mimo że nie nastawiała sobie budzika. Co innego niedziela. W niedzielę wstawała tak rano, bo o siódmej zaczynała się poranna msza w kościele Św. Floriana tuż obok Rynku Jeżyckiego. Od siebie, z bloku Nad Wierzbakiem, do kościoła miała zaledwie pięć minut spokojnego spacerku. Lubiła te wczesne, poranne niedzielne wyprawy, bo przypominały jej czasy, kiedy tą właśnie drogą codziennie chodziła do pracy w „Modenie”. Praca nie była co prawda najprzyjemniejsza, bo ciężka i monotonna robota na szwalni nie mogła być zajęciem przynoszącym radość. Był to jednak czas, który Nowakowa Wspominała z przyjemnością, bo była wtedy trochę młodsza niż teraz.

57

No i sama msza w tym starym kościółku z czerwonej cegły też była nie lada wydarzeniem. Spotykała tam wiele dawnych koleżanek z zakładu i niemal wszystkie zaprzyjaźnione sąsiadki. Można więc było, idąc nieco wcześniej, zająć dobre miejsce, by poobserwować, co się ciekawego wydarzyło w ciągu ostatniego tygodnia. Bo niedzielna msza była jak rewia mody i jednocześnie towarzyskie spotkanie. Przede wszystkim uważna obserwatorka mogła dostrzec, czy któraś z kobiet przyszła w nowym ubraniu, sama czy z mężem, a może nie daj Boże z kimś obcym. Ta obserwacja była pasjonującym zajęciem, prawie tak interesującym, jak kazania tego młodego wikarego Maćkowiaka. Chłopak był przystojny i zawsze uśmiechnięty, a przy tym mówił niezwykle ciekawie i interesująco, nie to co stary proboszcz Kudelski, który potrafił swoim gadaniem usnąć nawet tę starą Kaczmarkową spod piątki, największą plotkarę na ulicy. Młody ksiądz podobał się wszystkim parafiankom i nic dziwnego, że gdy spowiadał, ustawiały się do niego całe ogonki grzeszniczek. Poza tym był wyrozumiały i nie dawał zbyt dużych pokut. Kilka zdrowasiek i Ojczy Nasz, ot tak, aby tylko lekko napomnieć. Ksiądz Kudelski za to zadawał całe różańce i do tego wypytywał jeszcze o różne sprawy — a po co, dlaczego i kto z kim. Wikary zaś tylko delikatnie napominał. I dlatego parafianki tak go lubiły. Bo co tu dużo gadać, ludzki ksiądz z niego, życiowy. Jadwiga postawiła czajnik na kuchence gazowej i podpaliła gaz elektryczną zapalarką. Odwiesiła ją na specjalnym haczyku tuż nad piecem, który naszykował i wwiertcił w ścianę jej Froncek. Teraz jej stary jeszcze smacznie spał w pokoju za ścianą, a po niewielkim mieszkaniu niosło się donośne chrapanie. Jadwiga, kobieta słusznych rozmiarów i solidnej budowy, dziwiła się nieraz, skąd w tak niepozornym chłopie brało się takie donośne chrapanie. Szczególnie głośno chrapał, gdy sobie wcześniej po-

chłał. Wczorajszego wieczora trochę tylko popili z sąsiadem Karolczakiem. Obalili zaledwie po pół literka na głowę i grzecznie poszli spać. Wiedziała więc, że nie ma co próbować go budzić do kościoła, bo na kacu nie będzie mu się chciało ruszyć dupy. Pójdzie dopiero na mszę na trzy-nastą, a po kościele skoczy na parę kufli do piwiarni, dla podleczenia kaca, jak powiadał w takich sytuacjach.

– Tak w ogóle to ten mój Froncek to dobry chłop jest – chwaliła się
58

nieraz sąsiadkom. – Co tam, że od czasu do czasu mordę zamoczy, w końcu dziad jest, to i ma prawo. Zresztą za swoje pije, a nie za kradzione, Alejak nie pije, to ino myśli, jak by jej życie ułatwić. Ten elektryczny zapalacz na prąd to jego pomysł. Znalazł gdzieś jakieś stare części na gemeli i zrobił z tego takie pstrykatko, co iskrę dawało. Prawie takie jak to, które widziała na jakimś filmie NRD-owskim. No i dzięki temu zapalek tyle nie szło w domu, zwłaszcza że ostatnio było o nie coraz trudniej. Posmarowała sobie sznytkę chleba margaryną Palma i położyła na kanapkę plasterek kaszanki. W tym czasie zagotowała się woda, więc zalała w szklance w zielone kwiatki świeżą torebkę herbaty ekspresowej Madras. Poczekala chwilę, aż płyn nabierze ciemnosłomkowego koloru, a potem wyłowiła torebkę łyżeczką i odstawiła na spodeczek do ponownego zaparzenia. Usiadła na taborecie przy białym stoliku, nakrytym ceratowym obrusem w czerwoną kratkę. Za oknem panował jeszcze mrok. Tuż nad stołem na zielonej, pomalowanej olejnicą ścianie wisiała biała lniana makatka z wyszytymi dwoma krasnoludkami i napisem „Smacznego”. Powyżej na drewnianej półeczce, obok gipsowej latarni morskiej przywiezionej z wczasów w Kołobrzegu, stało oprawione wdrewnianą ramkę zdjęcie wnuka, dwudziestoletniego Adama w mundurze wojskowym. Jadwiga spojrzała na uśmiechniętą twarz młodego chłopaka.

– Ciekawe, jak mu tam idzie w tym woju? – pomyślała z troską.

Dwa lata kończą mu się w marcu, więc już niedługo będzie siedział przy tym stole i zajadał swoje ulubione żeloznioki z kiszoną kapustą.

Chrapanie ucichło. Rozległo się za to donośne chrząknięcie, a zaraz potem Froncek zaczął kaszleć.

Godz. 06.05

– Właśnie tu, na tym piętrze poczułem zapach prochu.

Stefan Tomczak zatrzymał się na podeście pierwszego piętra. Po schodach wchodzili prowadzeni przez niego dwaj milicjanci, kapral Kowal i podporucznik Brodziak. Pozostali członkowie ekipy siedzieli w samochodzie zaparkowanym na ulicy. Porucznik Marcinkowski wyznaczył tyl-
59

ko dwóch milicjantów do zbadania sprawy, bo nie sądził, by tak naprawdę było w tym całym zamieszaniu coś poważnego. Był przekonany, że ten emeryt, który narobił tyle hałasu, coś sobie zwyczajnie ubzdurał. No ale nie było rady, sygnał o strzale w nocy trzeba było sprawdzić.

– To było gdzieś tak koło wpół do drugiej. Obudziły mnie silniki czołgów od strony szkoły wojskowej, co było je słychać. A jak ucichło wszystko i wozy odjechały, to wtedy usłyszałem strzał.

Brodziak próbował przyjrzeć się twarzy emeryta, ale było mu trochę niezręcznie zaświecić człowiekowi latarką prosto w oczy, jak jakiemuś zatrzymanemu oprychowi. Skierował więc strumień światła na ścianę obok Tomczaka.

– Czemu tu, kurwa, jest tak ciemno? – zaklął głośno Kowal, który o mało nie przewrócił się na schody, pokonując ostatnie stopnie przed pierwszym piętrem.

– Panie, ile ja się tego nazgłaszałem do ADM-u. Ale oni mówią, że mają mały przydział żarówek na wszystkie swoje bloki i że jak lokatorzy sami nie pilnują, to oni mają to w dupie i nie będą cały czas wkładać nowych dla złodziei w prezencie. Ten kierownik ADM, on się nazywa Kaczmarkiewicz, czy jakoś tak...

– Jak pan myśli, z którego mieszkania mógł dojść ten dźwięk, to znaczy chciałem powiedzieć ten wystrzał? – przerwał mu Brodziak.

Tomczak milczał przez chwilę. Wreszcie zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi po lewej stronie.

– Mnie się widzi, że bardziej to będzie tu, u Pietrasika, niż u Nowaków.

Kapral Kowal wszedł na podest piętra i spojrzął na emeryta.

— Po lewej czy po prawej? — zapytał wyraźnie zniecierpliwiony.

Tomczak machnął lewą ręką.

— No to nie ma co stać i gadać, tylko trzeba sprawdzić — powiedział, podszedł i energicznie zapukał. Nie było żadnej reakcji. Zapukał znowu, jeszcze głośniejsze. Znowu nic.

W tym momencie za plecami trzech mężczyzn rozległ się dźwięk przekręcanej klamki. Odwrócili się wszyscy jak na komendę. Drzwi z tyłu otworzyły się i w progu stanęła Jadwiga Nowak w różowym szlafroku w kwiatki i z papilotami na głowie.

60

— Co jest tu, do chole... — Przerwała momentalnie, gdy zobaczyła przed sobą mundury.

— Spokojnie, pani Jadziu. — Tomczak precyzyjnie się między dwoma milicjantami i stanął przed zdziwioną kobietą. — Panowie tylko coś muszą sprawdzić.

— Aha — powiedziała kobieta, nie rozumiejąc niczego z tej dziwnej sytuacji. W tym momencie z za jej pleców wynurzył się niepozorny, chudy mężczyzna w czarnych gaciach i białym podkoszulku.

— Panowie, macie co zapalić? — zapytał stojących na korytarzu mężczyzn. Ci zignorowali go zupełnie, a żona spojrziała na niego gniewnym okiem. Podrapał się więc po rozczochranej czuprynie i bez słowa wrócił do mieszkania.

Kowal odwrócił się i jeszcze raz zapukał w drzwi. Gdy i tym razem nie było żadnego odzewu z wnętrza mieszkania, szarpnął za klamkę. Drzwi ustąpiły.

Milicjant natychmiast wszedł do środka, wyciągając jednocześnie pistolet z kabury. Za nim, również z bronią gotową do strzału, ruszył podporucznik, odpychając na bok Tomczaka. Błyskawicznie przeszli korytarz i po chwili znaleźli się w dużym pokoju. Brodziak wcisnął włącznik światła. Okrągła lampa z rafii dawała rozproszone pomarańczowe światło, które łagodnie wypełniło całe wnętrze, rozpruty tapczan, książki powyrzucone z półek na podłogę, pootwierane szuflady i sterty walających się ubrań. Gospodarz mieszkania, z opuszczoną głową, siedział na fotelu przed wyłączonym telewizorem. Biały podkoszulek, w który był ubrany, po lewej stronie na wysokości piersi miał z daleka widoczny ciemny ślad, jakby mężczyzna oblał się winem. Sławomir Pietrasik wyglądał tak, jakby zdrzemnął się na chwilę. Ale kto by tam zasypiał w takim bałaganie.

ROZDZIAŁ III

Niedziela 13 grudnia 1981

Godz. 07.15

Pociąg pośpieszny z Katowic wtaczał się wolno na peron czwarty. O tej porze szary budynek dworca głównego w Poznaniu wyglądał smutno i pośpiesznie. Prostokątna bryła odcinała się swoimi krawędziami od ołowianego nieba, które zaczynał rozświetlać pierwszy błysk świtu wynurzającego się z szarych konturów dostojnych budynków uniwersytetu. Po lewej stronie ostro wrzynała się w szarość wieża Międzynarodowych Targów Poznańskich. Zwykle oświetlona żółto-białymi lampkami, zainstalowanymi na jej przypominającym rakiety czubku, dziś nie wiedzieć czemu była zupełnie ciemna. Nie paliło się nawet czerwone światło pozycyjne, które powinno informować samoloty, podchodzące do lądowania na ławickim lotnisku, o znajdującym się na trasie ich lotu szpiczastym niebezpieczeństwie. Na peronie stało zaledwie kilka osób. Pociąg, który jechał ze Śląska, kończył bieg w Poznaniu, dlatego nie czekali na niego podróżni. W normalnej sytuacji na przyjeżdżających czekali by znajomi i krewni, jednak większość tych, którzy chcieli odebrać swoich bliskich z tego pociągu, odeszła już dawno. Pośpieszny miał bowiem planowo wjechać na dworzec główny w Poznaniu o 22.30 poprzedniego dnia. Jednak wczoraj w nocy utknął na stacji w Ostrowie Wielkopolskim. Dopiero trzy godziny temu ostrowski zawiadowca dał sygnał do odjazdu.

Pasażerowie pociągu z wdzięcznością przyjęli informację, że pociąg wreszcie rusza. Po wielu godzinach spędzonych w zimnych przedziałach wszyscy odetchnęli z ulgą, licząc, że podczas jazdy ogrzewanie zostanie uruchomione. Jednak do samego Poznania nie udało się uruchomić syste-

mu grzewczego. Opatuleni we wszystko co było pod ręką, pasażerowie nie mieli już nawet sił na robienie awantur konduktorom. Zresztą ci nie chcąc narażać się niepotrzebnie, zaraz po tym jak pociąg wyruszył z Ostrowa, zamknęli się w służbowym przedziale i odgradzili od wścibskich i nienawistnych spojrzeń podróźnych zielonymi zasłonami z nadrukowanymi znaczkami PKP. Dopiero gdy pociąg wjeżdżał na dworzec, Erwin Breguła, kierownik pociągu, podniósł się z siedzenia i spojrzął przez szybę. Był zły. Nie miał najmniejszego zamiaru jechać dziś do Poznania. Wraz z kolegą stanowili drużynę konduktorską pociągu, ale tylko od Kątowic do Kępna. Tam mieli wysiąść i przekazać obowiązki nowej drużynie. Tymczasem w Kępnie na dworcu okazało się, że nie ma dla nich zmiany. Faceci, którzy mieli ich zastąpić, nie pojawili się. Miejscowy zawiadowca bezradnie rozkładał ręce. Mówił, że nie ma pojęcia, co się stało, bo ci, którzy mieli ich zastąpić, to ludzie sumienni i obowiązkowi i nigdy jeszcze czegoś takiego nie zrobili. Jedyna rada, jakiej w tej sytuacji mógł im udzielić, to żeby wsiedli do pociągu i zabezpieczyli obsługę do stacji końcowej, czyli do Poznania. Breguła był zbyt doświadczonego konduktorem, na kolei przepracował już bowiem dwadzieścia dwa lata, by nie wiedzieć, że nie można pozwolić na jazdę pociągu bez obsługi. Klnąc na czym świat stoi, chcąc nie chcąc, wrócił do służbowego.

Hamulce zapiszczały przeraźliwie i cały skład stanął na dworcu. Mężczyzna poderwał się na równe nogi i przywarł do okna.

– Ciul – zaklął cicho, patrząc na grupę kilkudziesięciu milicjantów w zimowych mundurach moro, wchodzących na peron. Kawałek dalej, w miejscu przejścia z peronu na plac przed dworcem, przy rozgrzanym do czerwoności koksownika stało, grzejąc dłonie, kilkunastu młodych żołnierzy. Za nimi na parkingu dworcowym parkowały wojskowe ciężarówki i milicyjne nyski. Między nimi uwijali się mundurowi. Słowem, dworzec przypominał obóz wojskowy.

– Ulfik, Ulfik! – Nachylił się nad śpiącym na sąsiednich siedzeniach konduktorem i szarpnął go za ramię. – Bier się, chopie. Patrz sam – rzekł i wskazał ruchem głowy na peron.

Kolega podniósł się i przecierając zaspiane oczy popatrzył na zewnątrz.

– Pierona, a co to za woj oki?

– Nie wojoki, ślepyś? To przeca milicja. Juzech ci godoł w Ostrowie, że coś się szykuje, jak my tam tyła stali, ale teroski widza, że nie jest dobrze, chopie. Dej pozór, oni majom ze sobom giwery.

Kierownik Breguła dostrzegł zbliżającego się do ich wagonu zawiadowcę. Otworzył, nie bez trudu, przymarznięte okno i wyjrzał na zewnątrz. W twarz buchnęła mu fala przenikliwego chłodu.

– Panie, co tu, do cholery, się dzieje? – zapytał kolejarza w czerwonej czapce.

– Jak to co? – zdziwił się kolejarz. – Nie widzisz pan? Wojna, kurwa, wojna!

Godz. 07.30

Kapitan Karpiński zbudził się nagle. Wydawało mu się, że ktoś nad nim stoi. Rozejrzał się wokół, ale w pokoju nikogo nie było. Przez okno leniwie sączyła się blednąca szarość budzącego się zimowego dnia. Oficer usiadł na leżance i popatrzył na swój ręczny zegarek marki Poljot o siedemnastu kamieniach.

– Ciekawe, co to są właściwie te kamienie w zegarku? – zastanawiał się przez chwilę. – Tyle już lat noszę ten zegarek, a dopiero teraz przyszło mi do głowy, że nie mam pojęcia, co to za gówniane kamienie Ruscy ładują do tych zegarków i do czego one służą. Muszę przy okazji zapytać jakiegoś zegarmistrza.

Ten zegarek kupił sobie osiem lat temu. Był wtedy z przyjacielską wizytą w Związku Radzieckim, w Leningradzie. Do Ojczyzny Światowego Proletariatu pojechał wraz z grupą dwudziestu wyróżniających się milicjantów z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu. Zaprosili ich kole-dzy milicjanci z tamtejszej komendy, by Polacy mogli przypatrzeć się, jak pracują najlepsi milicjanci na świecie. Pojechali więc „Pociągiem Przyjaźni” w przekonaniu, że nauczą się czegoś ciekawego. No i nauka

zaczęła się już w pociągu. Szkolenie rozpoczął major Leontiew, przedstawiciel strony radzieckiej, który przyjechał do Poznania po polską delegację. Przez całe dwa dni podróży pili bez przerwy, trenując przed spo-

64

tkaniem z zawodowcami. Kiedy więc dojechali do Leningradu, Karpiński marzył już tylko o tym, by porządnie się wyspać. Radzieccy towarzysze od razu zajęli się nimi troskliwie. Całą grupę zawieźli do hotelu, pozwolili im wejść do pokoi, umyć się i przebrać, a zaraz potem zaprosili na bankiet. Wódka poląła się strumieniami. Żaden z członków polskiej ekipy nie trzeźwiał ani przez chwilę przez kolejnych kilka dni, a radzieccy opiekunowie dzielnie im towarzyszyli. Wykłady, spotkania i szkolenie były dla Karpińskiego tylko mglistym wspomnieniem. Pamiętał za to hektolitry wódki, które lały się praktycznie od rana do późnej nocy.

W końcu w pewnym momencie, gdy poczuł się nieco mniej pijany, powiedział swojemu nowo poznanemu koledze, przesympatycznemu kapitanowi Alioszy Aleksiejewowi, że musi koniecznie kupić podarki dla rodziny, bez których nie miał po co wracać do Poznania. Radziecki przyjaciel stanął na wysokości zadania. Wezwał radiowóz i razem pojechali do jakiegoś „Uniwiermagu”. Tam w ciągu paru minut kupił wszystko, co chciał kupić, czyli dla siebie piękny pozłacany zegarek marki Poliot, dla żony pierścionek z małym brylantem, a dla syna karabin-pepeszę, wyglądająca niemal jak prawdziwy automat. I co najważniejsze – kupił wszystko bez żadnych kolejek i łapówek dla sprzedawców. Aliosza okazał się nieoceniony. Zaprowadził bowiem Polaka bezpośrednio do kierownika sklepu. Gdy w jego gabinecie pili wódkę stoliczną, jedna z zaufanych sprzedawczyń poszła do magazynu po zamówiony towar. Po jakimś kwadransie była z powrotem, akurat gdy do szklanek rozlewali ostatnią porcję wódki.

Do dziś kapitan zastanawiał się, jak udało mu się przeżyć ten tydzień w zaprzyjaźnionym kraju.

Przeciągnął się, siedząc na leżance, aż strzeliły mu kości w krzyżu. Zbliżała się już ósma rano, a Marcinkowskiego jeszcze nie było w komendzie. Jeśli by się pojawił, powinien zaraz się zameldować. Podeszedł do biurka, usiadł w obrotowym głębokim fotelu i spojrzał na ścianę po lewej stronie. Wisiał tam kalendarz z kartkami do wrywania, wydany przez RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Ostatnia niewyrwana kartka nosiła wczorajszą datę. Sięgnął po nią i zerwał dwunasty dzień grudnia. Pojawiła się czerwona trzynastka.

65

– Kurde – zaklął pod nosem kapitan – trzynasty, to nic dobrego nie wróży. Pechowy dzień może być dzisiaj. Ale datę wybrali na tę wojnę. Przypomniawszy sobie, że przez to całe zamieszanie od dawna nie miał ani jednego dnia wolnego. Przyszedł do pracy na dyżur we wtorek pierwszego grudnia i miał pracować do niedzieli szóstego. Później planował urlop. Tymczasem już od następnego poniedziałku musiał się stawić w trybie pilnym do pracy, a urlop mu cofnięto. Od tej chwili codziennie był na komendzie, a przez ostatnich kilka nocy nawet spał w swoim biurze.

– Trochę przedłużył mi się ten tydzień pracy, z siedmiu na trzynaście dni. No i dzisiaj mam trzynasty dzień wydłużonego tygodnia. Ciekawe, jak mi za to zapłacą? Chyba jak za nadgodziny? – zastanawiał się oficer. Wyrzucił sobotnią pomiętą kartkę do kosza ustawionego pod biurkiem i chwycił słuchawkę wewnętrznego telefonu. – Mówi Karpiński – przedstawił się, gdy po drugiej stronie zameldował się dyżurny. – Czy porucznik Marcinkowski jeszcze się nie pojawił? Jak tylko wróci, niech natychmiast wali do mnie na górę.

Na dole pod główne drzwi komendy podjeżdżał właśnie jakiś samochód. Karpiński podeszedł do okna i wyjrzał na dół. Z niebieskiej nyski wyszło trzech milicjantów i pięciu cywilów. Cała piątka miała na rękach kajdanki.

Godz. 07.45

Porucznik Marcinkowski siedział w fotelu, do którego dostawiona była drewniana, sosnowa ława przykryta szklanym blatem. Z drugiej strony stolika stał jeszcze jeden fotel, który zajmował zastrzelony właściciel mieszkania. Gdy prawie dwie godziny temu podporucznik Brodziak za-

meldował mu, że ten Pietrasik siedzi w fotelu z przestrzelonym sercem, Fred nawet nie miał siły się zdenerwować. Zareagował tak, jak powinien w takiej sytuacji zareagować doświadczony milicjant. Kazał całej ekipie pójść na górę i zacząć rutynowe działania. Teraz członkowie jego zespołu kończyli już oględziny miejsca zdarzenia i nie pozostawało im nic innego jak zakończyć całą akcję. Przez cały czas, od chwili, gdy wszedł do tego

66

mieszkania, miał wrażenie, że obie dzisiejsze sprawy to robota tych samych ludzi. Obydwa zdarzenia pasowały do siebie niczym dwie połówki tego samego jabłka. I tam, i tu mieszkania zostały gruntownie przetrząśnięte. Choć w tym pierwszym mieszkaniu, na Pasterskiej, panował bez porównania większy bałagan niż tu, w mieszkaniu Nad Wierzbakiem. Napastnicy szukali czegoś konkretnego. Być może pieniędzy. Wskazywała na to banderola od zachodnich marek. Obaj właściciele mieszkań zostali zastrzeleni we własnych domach. Jednego zabito strzałem w głowę, a drugiemu strzelono w serce. Tylko po co był ten cały cyrk z przyłożeniem pistoletu do skroni pierwszego zabitego – zastanawiał się milicjant. No i jeszcze jedno, w obu wypadkach na miejscu zbrodni byli milicjanci. Radiowóz i ludzi w mundurach i tam, i tu widzieli sąsiedzi. Coś w tym wszystkim poważnie śmierdziało – myślał Marcinkowski. Teraz trzeba jak najszybciej przyjrzeć się obu zabitym, to znaczy prześwietlić te osoby, ich znajomości, kontakty, miejsca pracy...

– Nic ciekawego, obywatelu poruczniku, nie znaleźliśmy. Jeśli coś tu było, to na pewno zostało już sprzątnięte – wyrwał go z zamyślenia głos młodego, który właśnie przystawiał sobie do stołu niewielką pułę obitą skajem.

Fred spojrział na niego i lekko się uśmiechnął. Rudzielec był, tak jak on sam, niemiłosiernie zmęczony i też pewnie marzył już o tym, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

– Słuchaj – powiedział porucznik. – Ty w tym roku kończyłeś Szczytno?

Rudy spojrział uważniej na dowódcę i przejechał po swojej czuprynie rozcapierzoną dłonią.

– Jak pan porucznik kończył, to ja akurat zaczynałem. Minęliśmy się nawet kilka razy na korytarzu.

– No właśnie, wiedziałem, że cię skądś znam.

– Jeśli chodzi o znajomość, to znamy się trochę dłużej, poruczniku. Jeszcze sprzed milicji.

– Tak? – zainteresował się Fred. – A skąd dokładnie?

– Pan chodził do Marcinka?

Tak – odpowiedział zdziwiony.

67

– No i właśnie do Marcinka chodziła moja siora, Elka. Byliście w jednej klasie. No i kilka razy był pan nawet u nas w chacie.

– Też, to ty jesteś ten szczon Miras, ja pierdzielę – zaśmiał się Marcinkowski. – Ten wywijas, o którego ciągle martwiła się Ela. No i wyszedłeś na ludzi. A ona bała się, że nigdy w życiu nie skończysz średniej szkoły. Brodziak wyciągnął z kieszeni paczkę radomskich i podsunął ją porucznikowi. Zapalili. Fred chciał zapytać, co słyhać u siostry młodego, ładnej, sympatycznej dziewczyny, z którą nawet umawiał się kilka razy na randki, a później po skończeniu szkoły stracił ją zupełnie z oczu. Nie zdążył. Nagle od strony korytarza rozległ się ogromny huk. Drzwi do mieszkania otworzyły się z trzaskiem. Obaj oficerowie zerwali się z miejsc. Nie zdążyli jednak wybiec z pomieszczenia, w którym byli. Do pokoju z krzykiem wpadli dwaj mężczyźni. Jeden niski i szczupły, drugi wyższy od niego o nieco ponad dwie głowy i otyły. Odbezpieczone pistolety wycelowali w stronę zaskoczonych milicjantów. Nagle w mieszkaniu zapadła kompletna cisza.

– Kurwa, to szkieły – powiedział niższy z dwójki uzbrojonych napastników, opuszczając jednocześnie broń.

– A wy, co tu robicie, do diabła? – nie wytrzymał gruby.

– A chuj to kogo obchodzi – odpowiedział podporucznik, który ruszył w kierunku intruzów z zaciśniętymi pięściami, jakby nie dostrzegł, że ci dwaj mają nad nimi przewagę w postaci gotowych do użycia pistoletów. Marcinkowski, który już otrząsnął się z osłupienia, chwycił za rękę

młodsze kolegę.

– Daj spokój, Miras – przywołał go do porządku. – Ci dwaj panowie to nasi szanowni koledzy ze Służby Bezpieczeństwa.

– Znaczą się ubole? – zdziwił się podporucznik.

– Tylko nie ubole, młodzieńcze! – warknął niższy.

– Nie ubole, ja pierdole, tylko jebana esbecja – zarechotał wtaczający się chwiejnym krokiem do pokoju chorąży Olkiewicz – czyli wiecznie czujny organ stojący... na straży władzy ludowej, ma się rozumieć. Przecisnął się obok esbeków i podszedł do fotela, na którym siedział zabity mężczyzna.

– Jeśli przyjechaliście pogadać sobie z tym panem – tu teatralnym, zdecydowanie przesadnym gestem wskazał nieboszczyka – to żeście się

68

trochę spóźnili. Zimny na ament. Czyli daliście dupy na obszarze operacyjnym – dodał i zaśmiał się znowu Teofil.

Dopiero teraz obaj przybysze dostrzegli zwłoki.

– Kurwa – zaklął niski. – Patrz, Władziu – zwrócił się do wielkiego kolegi – ktoś nam sprzątnął faceta. Kto to zrobił? – zapytał rzeczowo, patrząc na Marcinkowskiego.

– A skąd mogę wiedzieć. Czy myślicie, że jestem jasnowidzem? – odpowiedział porucznik i usiadł z powrotem na fotelu.

– A ty, Teoś, co tu robisz? – zapytał gruby, nazwany przed chwilą przez mniejszego Władziem.

– Jak to co, Władziu? – Chorąży uśmiechnął się szeroko, przysiadając na oparciu fotela z trupem. Martwą dłoń strząsnął z odraza z podłokietnika i usadowiony wygodnie dokończył myśl: – Służę radą i pomocą kolegom z kryminalnego wydziału.

Esbecy jak na komendę schowali swoje pistolety do kabur ukrytych pod marynarkami. Gruby podszedł do rozprutego tapczanu i usiadł ostrożnie na brzegu. Niższy oparł się na okiennym parapecie, bo dla niego zabrakło już miejsc siedzących w tym niewielkim pokoiku.

– Ty tu dowodzisz? – zapytał Marcinkowskiego.

– Tak mi się wydaje – odparł porucznik.

– Znaleźliście tu coś... – przerwał na chwilę, jakby szukał odpowiedniego słowa – coś interesującego?

– Oprócz trupa nic godnego uwagi.

– Wygląda na to, Władziu – esbek spojrzął z drwiącym uśmiechem na swojego kolegę – że będziemy musieli tu jeszcze trochę poszperać, bo chłopcy nie potrafią sobie palcem do dupy trafić.

– Słuchaj, Winetu! – zdenerwował się Brodziak stojący pod ścianą, tuż przy wejściu do kuchni. – Może i palcem nie potrafię, ale na pewno umiem trafić w taki głupi pysk, więc liczę się ze słowami, łachudro.

Kowal i Dąbrowa, którzy dotąd stali spokojnie na niewielkim korytarzu, teraz bez słowa, na wszelki wypadek wsunęli się do pokoju i stanęli przy drzwiach. Dla chorążego Szewczyka zabrakło już miejsca, zaglądał więc do środka zaciekawiony ponad ramionami swoich postawnych kolegów.

– Bez nerwów, Miras – uspokoił narwanego podporucznika Mar-

69

cinowski. – Niech się Flip i Flap pobawią w detektywów, a my możemy już spadać do domu. Lecimy, chłopaki, panowie wybaczą – powiedział i ruszył w stronę wyjścia.

– Szukajcie a znajdziecie – powiedział Olkiewicz, wstając z oparcia fotela. – Tylko jeśli chcecie znaleźć bejmy niemieckie, to ktoś był już przed wami.

– Zaraz, zaraz, mówisz coś o pieniądzach? – Niższy esbek, wyraźnie poruszony, podszedł szybko do Teosia.

– Mówię, że jeśli były tu jakieś bejmy, to się stleniły. Gdzie są, to pewnie szybko dacie rade se ustalić, bo jak wiem, że potraficie trafić palcem tam, gdzie trzeba.

Godz. 07.50

Okno celi nr 247 aresztu śledczego przy Młyńskiej wychodziło wprost na ulicę. Do środka pomieszczenia sączyła się odrobina dziennego, bladego światła. Było jeszcze niezbyt ostre, takie typowo zimowe, zabarwione szarością miejskich ulic i nisko zawieszonych ciemnych chmur. Dodatko-

wo tę zszarzałą poświatę ograniczała mlecznobiała, szklana blenda z wtopioną wewnątrz siatką zbrojeniową, przykrywająca otwór okienny. Ten paskudny wynalazek socjalistycznego więziennictwa był zmorem dla całych rzesz pensjonariuszy zakładów karnych. On nie utrudniał życia, on je uprzykrzał. Więźniowie, mimo że mogli bez problemów podejść do okna w swojej celi, dzięki blendzie nie mieli szansy zobaczyć nic, co dzieje się na zewnątrz. Do ich uszu dochodził więc dźwięk ulicy, ale szklane, matowe paskudztwo zasłaniało niemal cały widok. Niemal cały, bo konstruktor blendy wpadł na pewien pomysł. Zainstalował ją przy oknie w taki sposób, że swą dolną krawędzią przylegała niemal do kraty, jednak im wyżej tym bardziej od tej kraty się odsuwała. W ten sposób u samej góry, blenda odchodziła od okna na odległość kilkunastu centymetrów. Dzięki temu więzień stojący przy otwartym oknie słyszał wyraźnie wszystkie odgłosy ulicy i patrząc do góry, mógł dojrzeć kawałek nieba. Pomysł na takie zakrycie okna był iście szatański. Więźniowie czuli w nie-

70

mal namacalny sposób, że tuż za mlecznobiałą zasłoną jest wolny świat, słyszeli jego odgłosy, zgiełek ulicy, nawoływania przechodniów, lecz nie mogli w żaden sposób nic dojrzeć. Namiastką tego świata było niebo z chmurami, a niekiedy z przelatującymi ptakami. Gdyby któryś z czterech mężczyzn siedzących w tej celi przyjrzał się szklanej blendzie, zobaczyłby, że nie jest ona całkiem szczelna. Ktoś, kto siedział tu wcześniej, wytłukł odrobinę szkła w lewym dolnym rogu. Zrobił to tak sprytnie, że z dystansu nie można było tego dostrzec. Jeśli jednak stanęło się przy samym oknie, można było się przekonać, że w narożniku brakuje mniej więcej pół centymetra szkła. Wystarczyło przyłożyć oko do otworu, by dostrzec kawałek muru otaczającego areszt i spory fragment ulicy Młyńskiej. Jednak ci, którzy teraz siedzieli w celi, nie mieli zamiaru podziwiać widoków. Oni jeszcze nie zdążyli zatęsknić do wolności. Wszyscy trafili tu tej nocy, dowiezieni w kajdankach wprost z pokoju przesłuchań w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Mimo że żaden z nich nie spał w nocy, nie myśleli w tej chwili o śnie. Byli zbyt podekscytowani tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin. Parę minut po siódmej do celi przyniesiono śniadanie. Każdy z zatrzymanych dostał po ćwiartce bochenka chleba, które wcześniej strażnik ponakrawał mniej więcej do połowy grubości, w taki sposób, aby więźniowie mogli odłamać sobie kromki. Ułatwiał w ten sposób życie roznoszącym chleb, bo tak przygotowane porcje nie rozlatywały się na drobne kawałki i nikt z więźniów nie mógł mieć pretensji, że dostał mniej skibek od innego. Na każdą ćwiartkę przypadała jedna niewielka kostka margaryny. Nie było jednak noży do jej rozsmarowania, dlatego do rozprowadzenia tłuszczu na powierzchni skibek użyli najtwardszych końcówek swoich porcji. Smarowanie chleba przy użyciu piętki chlebowej nie było prostym zadaniem, jednak więzienni nowicjusze poradzili sobie z tym bez większych kłopotów. Gorzej było z picciem. Dostali czarną kawę zbożową, bez cukru, w aluminiowych kubkach. Kawa była bardzo gorąca, a kubki mocno rozgrzane. Szybko okazało się, że picie tak ciepłego płynu sprawia więcej kłopotów niż przyjemności. Trzej mężczyźni mieli teraz na skórze nad górną wargą czerwone półokrągłe pręgi, ślady zetknięcia skóry z metalowym rozgrzanym rantem. Czwarty uniknął oparzenia tylko dlatego, że

71

jego górną wargę przyodzabiały sumiaste wasy, które, jak się okazało, stanowią nie tylko element ozdobny, ale i praktyczne zabezpieczenie przed więziennym absurdem.

– W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego jak zastanowić się nad najlepszą z możliwych form protestu. Panowie, myślę, że nie możemy dać się dalej poniżać. Te aresztowania są bezprawne i dlatego proponuję zacząć od napisania listu protestacyjnego do władz – przekonywał właściciel wąsów.

– Pan docent ma oczywiście rację, to jawne bezprawie – poparł go łysiejący szczupły sześćdziesięciolatek w drucianych okularach. – Należałoby się jeszcze zastanowić, do kogo personalnie zaadresować taki protest, i ewentualnie, kto mógłby się jeszcze pod nim podpisać. Podejrzewam bowiem, że w tych murach bolszewickiej katowni jest znacznie wię-

cej osób, które do takiego protestu się przyłączają.

– Tak, panie profesorze, dobrze pan to ujął, bolszewicka katownia.

Tego sformułowania możemy użyć w petycji – ucieszył się wąsaty docent.

– Ale czy to aby nie będzie zbyt ostre? – przestraszył się długowłosey brunet w czarnym wełnianym golfie. – To może ich tylko rozjuszyć.

– Nie zamierzam przebierać w słowach, tak jak oni nie przebierają w czynach – uniósł się profesor. Wstał z pryczy, założył dłonie do tyłu i zaczął dziarskim krokiem przemierzać celę. – Oni wypowiedzieli dziś w nocy wojnę narodowi. Już na zawsze wpisali się na karty historii jako siepacze krwawego reżimu, mającego w pogardzie własnych obywateli. I cóż pan chce, szanowny panie kolego, żebyśmy my teraz dla potępienia tej hańby domowej przestraszyli się kilku mocniejszych słów? Czas stosunków w dżentelmeńskim stylu minął bezpowrotnie. Teraz niech przemówią armaty.

Profesor zatrzymał się na środku celi i oskarżycielsko spojrzął na długowłosego aresztanta. Ten pod wpływem żelaznego spojrzenia jakby skurczył się nieco i zaraz zaczął przepraszać tonem.

– Ja tylko, panie profesorze – tłumaczył się jak student złapany na ściąganiu podczas egzaminu – zastanawiałem się, jakie to może przynieść konsekwencje. Myślę o takim wystąpieniu. Czy nie należałoby tego jeszcze gruntownie przemyśleć?

72

— O konsekwencje, młody przyjacielu, niechaj się martwią nasi oprawcy. To ich osądzi historia. A my myślimy o tym przede wszystkim, by zachować godność ludzką w tych strasznych chwilach. Musimy więc podjąć działania, które pozwolą nam zachować twarz, byśmy kiedyś, jeśli dane nam będzie przeżyć, mogli powiedzieć o sobie, że zrobiliśmy wszystko, by zachować człowieczeństwo, byśmy tym, którzy przyjdą po nas, mogli przekazać te uniwersalne wartości, które godne są najwyższych poświęceń. A jeśli trzeba, będziemy jak te kamienie przez Boga rzucone na szaniec.

– Brawo, panie profesorze – wykrzyknął wąsaty docent. – Godność przede wszystkim. To, że jesteśmy za kratami, nie oznacza jeszcze, że możemy dać się stłamsić. Musimy podjąć jakieś działania, by móc spojrzeć bez odrazy w lustro podczas golenia.

Siedzący na pryczy najbliżej drzwi aresztowany na Pasterskiej Kazimierz Markowski z coraz większym rozdrażnieniem przysłuchiwał się wywodom napuszonego naukowca. W końcu nie wytrzymał i zaśmiał się głośno. Profesor zdziwiony spojrzął na niego. Podeszedł do pryczy i wyciągnął w stronę Markowskiego rękę z wysuniętym wskazującym palcem.

– A pana szanownego cóż tak bawi? – zapytał wyraźnie zirytowany.

– Prawie wszystko, panie profesorze. Te bzdury o godności, wartościach, poświęceniu. Wygłasza pan mowy, siedząc po uszy w gównie. To właśnie jest śmieszne.

– Zdaje się, że dla pana Markowskiego nie ma świętości – powiedział profesor, zwracając się do pozostałych mężczyzn. Widząc w ich spojrzeniach pełne poparcie, nagle obrócił się do swego oponenta, spojrzął na niego, jakby chciał go rozerwać na strzępy, i wycedził: – A te słowa: Bóg, Honor, Ojczyzna pan szanowny słyszał?

Kłapka judasza poruszyła się ze szczękiem i zaraz potem rozległ się zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł strażnik z pękiem kluczy w ręku. Za nim do celi wkroczył milicjant. Spojrzął na kartkę przytwierdzoną do plastikowej podkładki za pomocą metalowej żabki i odczytał:

– Zatrzymany Markowski Kazimierz, syn Władysława, i Nowak

!Krzysztof, syn Karola, obaj do wyjścia z rzeczami.

73

Profesor podeszedł do obu pozostających w celi współwięźniów i każdemu z nich uściśnął dłoń. Markowski też chciał się pożegnać, ale ci demonstracyjnie odwrócili się do niego plecami. Zawrócił więc i poszedł w ślad za profesorem, który już stał na więziennym korytarzu.

Po paru minutach obaj znaleźli się w niewielkim pokoju przegrodzonym balustradą. Po jej drugiej stronie za odrapanym biurkiem siedział

strażnik w stopniu sierżanta.

– Markowski Kazimierz – przeczytał sierżant z kartki, która leżała przed nim na biurku – siadać i czekać. – Wskazał aresztowanemu ruchem głowy taboret pod ścianą. – Nowak Krzysztof – spojrzał na profesora i uśmiechnął się promiennie. – Proszę tu podejść, profesorze. Był w waszej sprawie telefon z KC. Okazało się, że jesteście zatrzymani pomyłkowo. Miał być zatrzymany jakiś Nowak z socjologii, a nie z historii. Ktoś czegoś nie dopatrzył i mamy pomyłkę. Proszę tu pokwitować odbiór zdeponowanych rzeczy. – Wskazał na wolne miejsce u dołu blankietu, który położył na blacie balustrady wraz z niewielkim płóciennym workiem depozytowym. – Za chwilę będziecie mogli pójść do domu – dodał strażnik.

Profesor tymczasem zaczął skwapliwie przeglądać zawartość worka, sprawdzając czy jest wszystko, co zostawił.

– Przepraszam, czy w mojej sprawie też był telefon z KC? – zapytał siedzący pod ścianą Markowski.

– Zamknij mordę, skurwielu, bo jak ci przypierdolę, to ci się odechce żartów – rzucił w jego kierunku sierżant. – Pierdolonemu ekstremiście jest wesoło. Nie ma co, rozzuchwalili się gnoje. Ale to się wreszcie skończy. Zrobimy z wami porządek jak się patrzy – dodał ciszej klawisz i wrócił na swoje krzesło za biurkiem.

Godz. 08.00

– ... Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność – chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie

74
walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata swojego życia. Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego.

— Hela, Hela, chodź ino tu. Jakiś ksiądz tu gada przez radio. Coś się chyba stało...

Feliks Michalak przysiadł na krześle w kuchni i pokręcił potencjometrem odbiornika, by zrobić głośniejsze. Właśnie przed chwilą wstał z łóżka i chciał iść do łazienki ogolić się. Przedtem jednak zaszedł do kuchni, bo chciało mu się pić. Jak zwykle rano przekręcił ebonitową brązową gałkę i włączył stojące na parapecie radio Pionier. Musiało minąć jednak trochę czasu, zanim rozgrzały się lampy i radio mogło zacząć grać. Zostawił odbiornik z wolno rozświetlającym się szklanym okienkiem, na którym zaznaczone były rozgłośnie z całej Europy i wyciągnął z lodówki butelkę wczorajszego mleka. Nie musiał nastawiać żadnej stacji. Jego Pionier na stałe ustawiony był na pierwszy program Polskiego Radia. Co innego tranzystorowa Jowita, która stała obok łóżka w sypialni. To drugie radio służyło do odbierania Wolnej Europy na krótkich falach. Bo bez prawdziwych informacji Feliks nie mógłby zasnąć, dlatego każdego wieczora włączał polską rozgłośnię nadającą z Monachium w Niemczech. Jeszcze rok temu radio nastawiał bardzo cicho, by nikt z sąsiadów nie usłyszał, czego słucha. Zawsze przecież mógł znaleźć się życzliwy, który mógłby donieść na milicję, że on słucha wywrotowych treści. Jednak kilka miesięcy temu, gdy wybuchła „Solidarność”, przestał się bać. Wolnej Europy słuchał głośno, żona mówiła, że nawet za głośno, ale on wiedział, co robi. W ten sposób chciał dać wyraz swojemu poparciu dla powstającego związku i jednocześnie sprzeciwić się władzy. Mówił, że skoro żyje w demokracji ludowej, to może pozwolić sobie na odrobinę demokracji we własnym domu i słuchać, co mu się tylko podoba.

Zdarł aluminiowy złoty kapsel, oznaczający, że ma w ręce butelkę „mleka pełnego”, czyli o zwiększonej zawartości tłuszczu, i wypił spory łyk. W sklepach można było jeszcze dostać mleko ze srebrnym kapslem, ale to było według niego za chude. Dlatego jego żona codziennie rano o siódmej szła do spożywczego, bo tylko o tej porze można było dostać pełne. Stare radio lampowe przemówiło poważnym i zatroskanym głosem:

75

– Rada Państwa w zgodzie z postanowieniami konstytucji wprowadziła dziś o północy...

– Jaki ksiądz? – zawołała żona z łazienki. – Może papieża nadaj a?

– Cicho, nie drzyj się i chodź tu.
– ...stan wojenny na terenie całego kraju. Chcę, aby wszyscy zrozumieli motywy...
– Co mówisz, Feliks? Zaraz, ino się oblikę. Giry se dopiero umyłam. .. nie mogę wyjść, bo podłogę uślumpram!
– Cicho, do cholery – krzyknął w stronę łazienki Feliks. – Wojna chyba jest albo jak?
– Co mówisz? To papież gada, czy nie on? – pytała kobieta, przekrzykując szum wody płynącej z kranu. – Może ma przyjechać do nas na pielgrzymkę? Już czas by był. Mówiła mi Antczakowa, ta z pierwszego piętra, że jak jej wnuk, ten co jest w seminarium, był na Jasnej Górze, to tam powiadali księży, że tylko go patrzeć, ale te cholery nie chcą go wpuścić do Polski...
– Cicho bądź, babo, do cholery jasnej – uciszył żonę Michalak i zrobił jeszcze głośniejsze radio.
– Nie zmierzamy do wojskowego zamachu, do wojskowej dyktatury.
– Łe jery, co mi gadasz, że papież, ady to Jaruzelski przemawia – zganiła gapowatego męża, wchodząc do kuchni. – Tylko co on tak od rana przemawia, jakby się co stało...
– Bądźże cicho. Mówi, że wojna i zamach stanu jest, znaczy się wojskowa dyktatura.
– Jezus Maria! – wykrzyknęła Michalakowa i złapała się za głowę.
– A kto na nas napadł? Ruskie weszli czy Niemcy?
– ...sprawny, demokratyczny system socjalistycznych rządów. W takim systemie siły zbrojne będą mogły pozostawać tam, gdzie ich miejsce – w koszarach.
– Słyszysz, oni się od razu poddają! Nie chcą wychodzić z koszarów. To na jaką cholere nam taka armia? – denerwował się Michalak. – Jak socjalistyczne rządy mówi, to znaczy się Ruskie nas napadły, jak amen w pacierzu. Dawaj mi pory, pójdę gdzie połazić na dworze, to zobaczę, co się tam dzieje na ulicy.

76

-- Feliks, nie idź, bo cię jeszcze gdzie zastrzelą. Pamiętasz jak w '56 strzelali na ulicach? – lamentowała kobieta.
– Co mam nie pamiętać, ale tam strzelali ubecy, a teraz co innego. Jak będą gdzie Ruskie w mieście, to zara wracam.
– To ty nie idź, zostań se siedzieć w domu, a ja polecę do kościoła. Ksiądz będzie na pewno wiedział, co robić. A jak już się wywiem, co i jak i będzie rychtyg, to pojedziem na Świerczewo do Jasi. Może coś jej da się pomóc. Kto wie, co tam u nich teraz się dzieje. Ten jej Romek w „Solidarności” wywija, to i diabli wiedzą, co z nim będzie.
– Zwracam się do wszystkich obywateli – nadeszła godzina ciężkiej próby. Próbie tej musimy sprostać, dowieść, że Polski jesteście wari. Godz. 08.10

Czerwony fiat 126p wyjechał z Jugosłowiańskiej, minął skrzyżowanie z Grunwaldzką i wjechał na Bułgarską. Kierowca w milicyjnym mundurze prowadził bardzo ostrożnie, bo droga była śliska. Trzymał mocno w dłoniach kierownicę, a twarz zbliżył maksymalnie do przedniej szyby. Jej tafla była mocno oblodzona, a pośpieszne skrobanie zmarzliny nie przyniosło większych rezultatów. Widoczność była więc poważnie ograniczona. Przez małą wydrapaną szparkę niewiele było widać. Milicjant miał nadzieję, że szyba, na którą skierowany był nawiew ciepłego powietrza, szybko się nagrzejie i lód w końcu sam spłynie. Niestety, mogło to jeszcze potrwać, bo dmuchawa malucha na razie pompowała na szybę strumień zimnego powietrza. Na ciepłe trzeba było poczekać do czasu aż cały silnik porządnie się rozgrzejie. Na domiar złego jeszcze ta ślizgawica na drodze. Tej nocy piaskarki i pługi śnieżne nie wyjechały do pracy, toteż nawierzchnię ulicy stanowiła warstwa ubitego i zmarzniętego śniegu. Każde gwałtowniejsze przyspieszenie albo zwykłe hamowanie mogło skończyć się wypadkiem. Auto miało opony w fatalnym stanie. Jego właściciel, sierżant Stefan Kmiecik, od kilku miesięcy bezskutecznie próbował załatwić nowe. Samochód miał już sześć lat i cały czas jeździł na tych samych gumach. Opony w sklepach Polmozbytu były całkowicie nieosią-

77

galne. Pewien znajomy ze sklepu na Jackowskiego obiecał mu nawet, że jak tylko przyjdzie dostawa, to na pewno odłoży mu komplet. Tyle że czas mijał, a dostawa nie przychodziła. Teraz Kmieciak przeklinał swoją głupotę, bo parę tygodni temu kumpel z drogówki proponował mu kupno przechodzonych, ale w znacznie lepszym stanie niż te jego. On jednak zrezygnował, bo dostał informację, że lada dzień do sklepu może przyjść dostawa opon z Dębicy. Dostawa nie przyszła, a kolega sprzedał opony komu innemu. Teraz Kmieciak, zły na siebie samego, jechał za ledwie czterdzieści na godzinę. Na szczęście – myślał milicjant – ruchu prawie nie ma na ulicy, więc jest szansa, że dojedzie na miejsce bez problemów.

– No i co sądzisz o tym wszystkim? – wyrwał go z zamyślenia głos szwagra, który siedział obok.

– A diabli wiedzą, do czego to dojdzie. Na razie jest gemela taka, jakiej jeszcze na komendzie u mnie nikt nie widział. Niby wszystko było przygotowane i każdy miał jakieś rozkazy, tylko że tak naprawdę to nikt nad niczym nie panuje. Gdyby nie ta rozpierducha, to w życiu nie wyszedłbym rano z roboty. Powiedziałem porucznikowi, że muszę pojechać zobaczyć, co się dzieje u mnie w domu, a on tylko machnął ręką i kazał mi spierdalać.

– No to jest szansa, że jakoś przemkniemy się, nie? Jak nikt nad niczym nie panuje, to pewnie nam się uda – zastanawiał się głośno Roman Mazurkiewicz.

– A co ma się nie udać, że mną jedziesz chłopie. Byle tylko ten pierdolony maluch dojechał, bo boję się o te łyse laczki, na których jedziemy jak na nartach.

Wjeżdżali właśnie na skrzyżowanie z ulicą Świerczewskiego, gdy wtem z prawej, od strony centrum miasta nadjechał czerwony miejski autobus. Kierowca chciał skręcić w prawo w Polską, ale zarzuciło go na śliskiej nawierzchni i tył przegubowca, ślizgając się, zatoczył półkole, mało nie zmiatając z ulicy malucha, który był już na środku skrzyżowania. Kmieciak błyskawicznie odbił w lewo i jego auto straciwszy sterowność, bezwładnie wjechało w Polską, lewym pasem ruchu, tuż obok burty autobusu. Na szczęście nikt nie jechał z przeciwka i cała jezdnia była wolna.

78

Kierowca autobusu nawet nie zauważył, że o mało nie doprowadził do wypadku. Jego wóz złapał przyczepność na niewielkim kawałku czarnego asfaltu przy studziencie kanalizacyjnej, buchnął tumanem czarnych spalin z rury wydechowej i pognał w głąb ulicy.

– To chuj jebany! – zaklął Kmieciak, zatrzymując malucha koło krawężnika i ocierając jednocześnie pot z czoła. – Widziałeś gnoja? Nie dość, że wymusił pierwszeństwo, to jeszcze spierdolił z miejsca kolizji. Kurwa, co za kmioty kierują tymi autobusami. Całe jego zasrane szczęście, że nie ma teraz czasu na ksiuty. Normalnie ja bym z nim pogadał – złościł się milicjant.

– Daj spokój, jedźmy spokojnie, bo kłopoty teraz nie są nam potrzebne. Sierżant wrzucił jedynekę i samochód powoli ruszył z miejsca. Nie ujechali jednak zbyt daleko. Chcieli wjechać w ulicę Dąbrowskiego, by wy dostać się z miasta wylotówką na Świecko. Minęli Nowinę i w tym momencie zauważyli przed sobą kilka zielonych samochodów stojących na drodze. Przed autami kręcili się żołnierze. Na poboczu stał też niebieski radiowóz z białym napisem Milicja.

– Co oni tam robią? – zdenerwował się Mazurkiewicz.

– Jak to co, blokują drogę, żeby wyłapywać ekstremistów takich jak ty – wyjaśnił i zaśmiał się sierżant.

– Może zawrócimy? – zaproponował przestraszony ekstremista.

– Daj spokój, jak byśmy zawrócili, to by dopiero ruszyli za nami, a tak siedź tylko spokojnie i nic się nie martw.

Na jezdnię wkroczył żołnierz w czapce uszance z kałasznikowem przewieszonym przez pierś i dużym czerwonym lizakiem w ręce. Machnął nim parę razy, nakazując kierowcy malucha, by się zatrzymał. Kmieciak wrzucił na luz i powoli rytmicznie zaczął dusić pedał hamulca, by auto znowu nie wpadło w poślizg. Samochód stanął tuż przed żołnierzem. Młody kapral

podszedł do kierowcy. Jego kolega z karabinem gotowym do strzału stanął za maluchem. Z zatrzymanego auta wysiadł milicjant. Ale macie przejebane na tym mrozie chłopaki! – powiedział, uśmiechając się szeroko i jednocześnie zatraskując za sobą drzwi.

79

Godz. 08.20

Drzwi do pokoju 114 otworzyły się i do środka wszedł radosny jak skowronek Teofil Olkiewicz. Kilka minut wcześniej w pomieszczeniu pojawili się pozostali członkowie ekipy porucznika Marcinkowskiego. Teraz wszyscy siedzieli na krzesłach przy biurkach, zmęczeni i otępiali po nocy pełnej wydarzeń. Gdy wchodził do komendy, ich dowódca pobiegł zaraz na górę poszukać kapitana Karpińskiego, by złożyć mu relację z tego, co wydarzyło się nocą. Olkiewicz natomiast zawieruszył się gdzieś po drodze, zatrzymany przez jakiegoś swojego znajomego. Teraz wkroczył do pokoju z zadowoloną miną, trzymając coś pod pachą. Powitały go zmęczone spojrzenia kolegów, którzy czekali tylko na to, by dowódca zwolnił ich wreszcie do domu. Olkiewicz stanął przed Grzechem Kowalem, który drzemał na krześle stojącym pod ścianą. Lekko trącił dryblasą w wyciągnięte długie nogi w ciężkich butach z opinaczami. Kowal ocknął się i niechętnie spojrzał na chorążego.

– Pan kapral zdaje się już nie będzie dziś jeździć swoim gratem, nie?

– Mam nadzieję – burknął Kowal.

– No to jako starszy stopniem poproszę, żebyś zorganizował jakieś kielonki, bo na zakończenie roboty przyniosłem trochę paliwa czystego. To mówiąc, wyciągnął spod pachy butelkę zawiniętą w gazetę. Przytnął ją ze swojego pokoju, w którym pracował na codzień. W biurku miał jeszcze zapas kilku takich butelek. Odwinął „Trybunę Ludu” i postawił żytnią na biurku, przed Brodziakiem. Widząc zdziwienie w oczach młodego podporucznika, chorąży wyjaśnił:

– Niech się obywatel porucznik nie cyka, taki zwyczaj, że po dobrze wykonanej robocie trzeba wychylić malucha. A dziś szczególna okazja. Już mi mówili koledzy po drodze, że nasz naczelny generał od rana przemawia przez radio i mówi narodowi, że anarchia się skończyła i mamy stan wojenny. Jest więc co uczcić, nie?

– Co jeszcze mówił? – zainteresował się chudy Szewczyk, którego ledwie było widać siedzącego za biurkiem, na którym milicjanci ułożyli całą stertę toreb i walizek ze sprzętem technicznym.

– A cholera go wie, ale najważniejsze, co mi zdążyli powiedzieć, to to, że w całym kraju wprowadzono zakaz sprzedaży alkoholu.

80

– A co im alkohol zawinił? – zdziwił się sierżant Dąbrowa. – że wsadzają „Solidarność”, to rozumiem, ale aresztować całą krajową wódkę to już jest przesada.

– Na szczęście – Teofil zaśmiał się – tej butelki nie dało się posadzić w pierdłu. Ją aresztowałem już wcześniej.

Kapitan Karpiński podszedł do stojącej szafki z półkami, która była jednym z elementów meblościanki Kowalskiego. Takie fragmenty meblościanek były standardowym wyposażeniem wielu biur. Na tej, która ozdabiała pokój kapitana, walała się cała masa papierów, starych zakurzonych gazet, roczników statystycznych i stało radio Taraban. Radio miało podłużny kształt, skrzynkę wykonaną z drewna, a zewnętrzną ściankę z brązowego plastiku. Niestety nie miało anteny, więc nie dawało się na nim słuchać UKF-u. Można było je nastawić tylko na pierwszy program. Karpiński wcisnął przycisk z lewej strony i skala rozświeciła się na zielono. Po chwili z niewielkiego głośnika zaczęły płynąć dźwięki jakiegoś koncertu muzyki poważnej.

Milicjant usiadł za swoim biurkiem. Był wyspany i wypoczęty. Przed chwilą zrobił sobie kawę w białym wyszczerbionym kubku z niebieskim nadrukiem PSS „Społem”, „wypożyczonym” jakiś czas temu z firmowej stołówki. Postawił go na blacie przed sobą i teraz aromatyczny zapach rozchodził się powoli po całym pokoju. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał w radiu. Generał Jaruzelski wzywał do zachowania spokoju. Ciekawe – myślał milicjant – jak zachowa się „Solidarność”. Tych najważniejszych na pewno udało się dziś wsadzić, ale nie da się wsadzić

wszystkich, a jest ich podobno jakieś dziesięć milionów. Jedyna nadzieja, że jak prowodyrzy znajdą się za kratkami, to pozostali nie będą wiedzieli, co robić. Gorzej będzie, jak zamkną się w fabrykach i zaczną okupację, wtedy trzeba będzie zdobywać zakład po zakładzie. Ta perspektywa nie bardzo podobała się kapitanowi. Obawiał się, że do takich akcji mogą być użyte wszelkie siły. A to mogło oznaczać, że i on będzie musiał wziąć

81

udział w jakiejś paskudnej akcji. A na tłumienie strajków i zamieszek nie miał najmniejszej ochoty. Nie żeby lubił „Solidarność”. Miał ją głęboko w nosie, ale brzydził się taką paskudną robotą, w której nigdy nie było wiadomo, czy nie trzeba będzie użyć broni. A tego bał się jak ognia. Jeśli padnie rozkaz, będzie musiał strzelać, albo, co gorsza, samemu wydać rozkaz strzelania. Wzięcie na siebie takiej odpowiedzialności było ponad jego siły. Karpiński wiedział, że w obecnej sytuacji za takie działania mógłby dostać tylko pochwałę, ale kto mógł wiedzieć, co będzie się działo za parę lat. Może stan wojenny i jego autorzy staną przed sądem. Wtedy takich jak on wykonawców rozkazów będą skazywać w pierwszej kolejności. Dlatego – myślał kapitan – trzeba zrobić wszystko, by być od tego zamieszania jak najdalej. Jeśli będę robił swoje, to nikt mi nigdy niczego nie zarzuci.

Morderstwo, którym zajął się Marcinkowski, było więc jak koło ratunkowe rzucone mu przez los. Wiedział już, że robi z tego sprawę, w którą zaangażuje się bez reszty. Oczywiście pozornie. Wszystkim zajmie się Marcinkowski, a on będzie tylko sprawował nadzór i przekazywał przeznaczonym informację, robiąc wrażenie, że jego obecność przy śledztwie jest niezbędna. Jeśliby jeszcze udało się zgrabnie wplątać w to jakiś wątek polityczny, to mógł mieć pewność, że szefowie dadzą mu całkowicie wolną rękę. A pomyśl już miał. Zaraz po przebudzeniu przeanalizował wszystkie informacje, które wczoraj przekazał mu Marcinkowski i przypomniał sobie, że ciało znalazła ekipa, która jechała aresztować kogoś z „Solidarności”. Sprawdził to u dyżurnego i okazało się, że rzeczywiście sąsiadem zabitego był pewien działacz, który siedział teraz na Młyńskiej. Zadzwonił więc do swojego szefa, podpułkownika Żyto, przedstawił mu sprawę i poprosił o zgodę na przesłuchanie człowieka. Dostał ją bez problemów. Teraz czekał aż doprowadzą mu go z aresztu.

Karpiński wypił duży łyk kawy i odstawił kubek na biurko w chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju, nie czekając na zaproszenie, wszedł porucznik Marcinkowski. Chciał się zameldować, ale kapitan tylko machnął ręką i wskazał mu wygodny fotel stojący przy niewielkim stoliczku.

– No i jak tam twój trup? – zapytał uśmiechnięty Karpiński.

82

— Obywatelu kapitanie – meldował porucznik, sadowiac się w fotelu i jednocześnie zdejmując grubą kurtkę moro. – Wygląda na to, że mamy tu większe gównno, niż myśleliśmy na początku. Nie dość, że są dwa trupy, to jeszcze chyba chodzi o grubsze pieniądze. Najlepsze w tym wszystkim, że całą sprawą interesuje się esbecja. Wleźli na nas w mieszkaniu tego drugiego nieboszczyka i mało nas nie postrzelali. Wygląda to tak, że mogą przejąć nasze śledztwo.

Kapitan, który już oczyma wyobraźni widział, jak pięknie rozwija się cała sprawa, teraz zdenerwował się nie na żarty. Informacja o bezpieczeństwie wchodzącej mu w paradę, krzyżującej jego piękne plany podziałała jak płachta na byka. Wyciągnął z szuflady paczkę papierosów, zapalił, ale zaraz przypomniał sobie o obecności porucznika i jemu również podał klubowego.

– Mów o wszystkim po kolei. Zaraz to sobie poukładamy, a później coś się wymyśli. A o śledztwo się nie bój. Już ja zrobię na szaro te ubeckie łachudry. Naszej roboty nie odbiorą nam, choćby się posrali z wściekłości.

– To, co się teraz wyrabia z tą „Solidarnością”, to są – mówię wam panowie – zwykłe ksiuty. Ci zasrańcy mają szczęście, że żyjemy w takich czasach. Dawniej to nikt by się nie patyczkował z tymi gnojami, co chcą siłą i jawnie obalić ustrój socjalistyczny. Kiedyś za mniejsze rzeczy się wsadzają, a i kary były takie, że nikomu nie życzę – mówił choraży Olkiewicz.

– Pamiętam taką jedną sprawę chyba z 1952 roku. Ten szczon pochodził

gdzieś spod Obornik. Jego stary był leśniczym, więc młody znał lasy jak własną kieszeń. Wiedział, gdzie były walki, gdzie Ruski topili później broń odebraną Niemcom. No i ten kretyn chodził se po lasach i zbierał niewypały. Z takich pocisków wytapiał później trotyl i szykował na jakąś specjalną okazję, wiecie, Nowy Rok albo co jeszcze innego, żeby z fasonem i hucznie świętować. No i kiedyś pojechał z wycieczką do Poznania. Byli na cytadeli i ten idiota zobaczył pomnik z ruską gwiazdą. I wpadł na pomysł, że jakby podłożyć ładunek na samym dole, to gwiazda by się rozpiardoliła.

W domu zrobił bombę, zawinał ją w paczkę tekturową, obwiązał sznurkiem

83

i pojechał bana do Poznania. Przyszedł pod pomnik, podłożył tę bombę, podpalił lont i schował się w krzakach. Tylko nie wiedział, że pomnik cały czas obserwują chłopaki z UB, tak na wszelki wypadek. No i ci, co byli tam na obserwacji, zaraz ładunek unieszkodliwili, a jego z tych krzaków wyciągnęli jak kurczaka. Nawet nie próbował uciekać, tak był przestraszony. Olkiewicz spojrzał na swoją pustą szklankę. Zmierzył ją okiem znawcy, a później popatrzył na kolegów. Kowal spał rozciągnięty na krześle, z rękami założonymi na brzuchu, Szewczyk i Dąbrowa również drzemali, tylko młody podporucznik siedział za biurkiem z głową wspartą na ręce, przysłuchując się opowieści Teofila.

– To jak, panie poruczniku, jeszcze po maluchu na drugą nogę przyjmujemy chyba, nie? Po jaką cholere ma to stać we flaszcze.

– A co tam, lej pan panie Teoś – rzekł i uśmiechnął się Brodziak.

Olkiewicz nalał do dwóch szklanek i obaj wypili.

– I co z tym szczenem się stało? – zapytał porucznik, ocierając wierzchem dłoni usta wilgotne od wódki. Nie było czym zagryźć, więc zapalił papierosa.

– A normalnie, jak to wtedy było, oskarżony był o próbę obalenia siłą ustroju socjalistycznego i przygotowanie zbrojnego zamachu na podstawie przyjaźni polsko-radzieckiej, to musiał dostać czapę.

– Jak to? – zdziwił się Brodziak. – Kara śmierci za wysadzenie pomnika, i to nieudane wysadzenie?

– A jak, to pan nie wiesz, że pomniki bohaterskiej Armii Czerwonej są święte?

Porucznik Marcinkowski wszedł do swojego pokoju. Natychmiast dojrzał stojącą na jego własnym biurku do połowy opróżnioną butelkę wódki. Podeszedł do Olkiewicza i zapytał, patrząc na niego z góry:

– No, panie Olkiewicz, musi pan zdecydować – wraca pan do swoich, czy włączać pana do śledztwa.

Teofil wyprostował się na krześle i sięgnął po czystą szklankę. Nalał do niej wódki i podał porucznikowi.

– Niech pan przepłucze gardło, bo po tej nocy się należy jak nic. A co do śledztwa, to już dawno chciałem przyjrzeć się prawdziwej policyjnej robocie.

— No to zdrowie. – Uśmiechnął się Marcinkowski. Wypił jednym haustem, odstawił szklankę i zwrócił się do wszystkich siedzących. – Panowie, macie wszyscy przerwę na spanie do 13.00. O tej godzinie widzę was wszystkich tu na miejscu. Musimy zabrać się ostro do roboty. I musimy dać radę, bo nikogo do pomocy do tej sprawy nie dostaniemy.

– W końcu „Polak potrafi” – zaśmiał się choraży Teofil Olkiewicz, dopijając resztę wódki ze swojej szklanki.

Godz. 08.30

W pokoju było zupełnie pusto. Biurko, za nim krzesło z oparciem, a przed nim prosty taboret. Sprzęty te stanowiły jedyne umeblowanie pomieszczenia. Ściany pomalowane były na zielono farbą olejną, a podłogę wyłożono brązowymi kostkami linoleum. Z tyłu zza biurka, przez zakratowane okno sączyło się do środka szare światło pochmurnego, śnieżnego dnia. Kazimierz Markowski, działacz „Solidarności”, siedział na taborecie i liczył kraty w oknie. Najpierw policzył wszystkie poziome pręty, później te położone prostopadłe w stosunku do pierwszych, a na koniec zaczęła dawać do siebie kwadraty tworzone przez całą kratę. Tak był zajęty tą idiotyczną zabawą, że nawet nie zauważył, jak do pokoju wszedł milicjant.

– No jak tam, panie Markowski, samopoczucie? Wyspał się pan?

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że tuż za nim oparty

o ścianę stoi kapitan milicji. Uśmiechnięty funkcjonariusz, nie spuszczać wzroku z aresztowanego, podszedł do biurka i usiadł na krześle. Na blacie rozłożył teczkę z napisem akta. Odsunął pierwszą sztywną kartkę i zajrzał do środka.

— I co my tu mamy? — mówił do siebie kapitan, wertując zapiski. — Pan Markowski, zatrzymany dziś w nocy zgodnie z rozporządzeniem Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego i internowaniu elementów wrogo nastawionych do ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ... Niby nic nadzwyczajnego, panie Markowski. — Kapitan podniósł wzrok znad papierów i spojrzał uważnie na aresztanta. — Niby wszystko jak się należy, gdyby nie pewien szczegół. Gdyby nie to, że podczas za-

85
trzymania funkcjonariusze natrafili na zwłoki waszego sąsiada. A to już nie jest sprawa polityczna, panie drogi, ale zwykłe kryminalne gówny. Mężczyzna spojrzał na milicjanta, jakby ten spadł z księżyca.

— Czy chce pan powiedzieć, że miałem coś wspólnego z tym morderstwem? — zdenerwował się Markowski.

— A kto panu powiedział, że to morderstwo? — chwycił go za słowo kapitan.

Karpiński doskonale wiedział, że ten facet jest w tej sprawie niewinny jak niemowlę. Ale to była właśnie ta niebywała okazja, którą musiał wykorzystać. Działacz zatrzymany w pobliżu miejsca zbrodni to okoliczność, dzięki której śledztwo, które prowadzi jego zespół, dostanie zielone światło dla wszystkich działań. Wymyślił więc, że ten Bogu ducha winny Markowski będzie jego parawanem, zasłoną dymną, która pozwoli mu w miarę spokojnie przetrwać pierwsze dni stanu wojennego. Teraz gładko wplącze go w śledztwo, a później równie gładko go z niego wplącze. No i on może sobie gadać, co tylko zechce, może się zaklinać, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego. To nie ma żadnego znaczenia. Trzeba go maglować tak długo, aż Marcinkowski znajdzie prawdziwych winnych. Przypomniał mu się jego ulubiony odcinek Stawki większej niż życie pod tytułem Żelazny Krzyż. Tam kapitan Kloss skonstruował intrygę, która pozwoliła mu na wplątanie w nieistniejący spisek przeciw Hitlerowi kilkudziesięciu wyższych rangą niemieckich oficerów. Karpiński zaśmiał się w duchu na myśl o tym, że i on wymyślił intrygę, co prawda w nieco mniejszej skali, ale równie błyskotliwą, która pozwoli mu osiągnąć cel niewidoczny dla innych. Spokój w chwilach największego zamętu, a jednocześnie uznanie w oczach przełożonych, jeśli się wszystko powiedzie.

— Ja na razie nic nie sugeruję, drogi panie. — Milicjant uśmiechnął się. — Ja na razie chcę wyjaśnić wszystkie wątpliwości i sprawdzić wszelkie okoliczności. A one mówią mi, że pan był na miejscu morderstwa, zanim pojawiła się tam milicja. I to mnie właśnie niepokoi.

— Pan doskonale wie, że to wszystko jest jakimś koszmarnym absurdem — zdenerwował się Markowski. Był przygotowany na przesłuchanie w sprawie swojego zaangażowania w „Solidarność”, ale nie przypuszczał, że będą go próbowali wmieszać w morderstwo. To było coś, z czym

86
nie mógł sobie poradzić. W ten sposób, rzucając na niego podejrzenie, mogli go zniszczyć w jego własnym środowisku. Opinia mordercy kolegi, umiejętnie rozegrana i wypuszczona wśród opozycjonistów, skazywała go na kompletną izolację. Kto poda rękę mordercy? Coś tu strasznie śmierdziało i dlatego postanowił mieć się na baczności. Przede wszystkim nie dać się w nic wmanewrować — myślał gorączkowo. Później się zobaczy, co z tego wyniknie, ale na razie to była jedyna szansa. Poza tym trzeba innym aresztowanym związkowcom przekazać informację, że próbują go zrobić w to gówno.

— Wie pan co, kapitanie, i pan, i ja wiemy, że próba wmieszania mnie w morderstwo to kompletna bzdura, dlatego powiem panu na koniec jedno. Niech się pan ode mnie odpiardoli. Nie mam zamiaru gadać z panem o czymkolwiek. Znajdźcie sobie innego kozła ofiarnego.

Karpiński uśmiechnął się promiennie. Nie mógł spodziewać się lepszego obrotu sprawy. Aresztowany nie będzie współpracował, więc można mu teraz zarzucić wszystko, a śledztwo może się ciągnąć jeszcze długo. Wcisnął guzik zainstalowany pod biurkiem, służący do wzywania mili-

cjanta na służbie. Czas wyprowadzić więźnia.

– Niedługo znów się spotkamy – powiedział kapitan, gdy aresztant przekraczał próg drzwi, wyprowadzany na korytarz przez zomowca. Markowski nawet się nie odwrócił.

Godz. 08.40

– Co mi pani tu pierdoli, pani Mazurkiewiczowa – zdenerwował się porucznik Zbigniew Kurylak. – Mamy z pięciu świadków, którzy widzieli, jak pani mąż wychodził dziś rano z domu, co nie, Władziu? Gruby Władziu Kolasa siedział przy stole kuchennym i patrzył przez okno. Na dźwięk swojego imienia odwrócił się w stronę oddzielonego od kuchni drewnianym barkiem pokoju, gdzie jego kolega porucznik Zbyszek Kurylak rozmawiał z zapłakaną kobietą.

– No właśnie, kurwa – potwierdził słowa kolegi i znów spojrzął za szybę. Na dworze nie widać było nic interesującego, ale esbek nie patrzył

87

tam w jakimś konkretnym celu. On niczego nie obserwował, niczego nie oglądał. Po prostu trenował groźne spojrzenie. Lubił tak patrzeć w jeden punkt, bo to przydawało mu się w jego codziennej pracy. Często zdarzało się bowiem, że w ramach swoich obowiązków musiał przesłuchiwać zatrzymane osoby. Zawsze na takie przesłuchania zabierał spisany na kartce zestaw standardowych pytań typu – rok urodzenia, zawód, imię ojca itd. Później zadawał kilka pytań dotyczących konkretnej sprawy, czyli ustalał, czy przesłuchiwany był gdzieś, czy o czymś coś słyszał. Gdy i te pytania zostały już wypowiedziane, najczęściej kończyły mu się pomysły na kontynuowanie indagacji. Przeciętnie przesłuchanie powinno jednak trwać przynajmniej godzinę, a jemu pytań wystarczało zaledwie na kwadrans. A zbyt szybkie kończenie przesłuchań mogło wzbudzić u przełożonych niepotrzebne wątpliwości co do jego fachowości.

Długo zastanawiał się, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. I wreszcie jakiś czas temu wpadł na genialny pomysł. Wypróbował go po raz pierwszy na pewnym studencie, zatrzymanym podczas jakiejś pokojowej manifestacji. Gdy skończył się zestaw podstawowy, zawierający standardowe pytania, spojrzął groźnie na chłopaka i zamilkł. Siedział tak, milcząc i patrząc jakieś pół godziny. Przesłuchiwany kręcił się, wiercił i zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Gdy Władziu w końcu zmęczył się, tym patrzyeniem, wstał, podszedł do studenta i trzasnął go dwa razy w gębę. A potem chłopak bez słowa sprzeciwu przyznał się do prowadzenia działalności antysocjalistycznej.

Tak mu się spodobał ten nowy sposób przesłuchiwania, że zaczął go stosować na masową skalę, to znaczy podczas każdej rozmowy z zatrzymanymi. Próbował też różnych wariantów. Milczał więc niespodziewanie w trakcie pytań standardowych albo niekiedy na samym początku. Raz nawet zamilkł, nie zadawszy ani jednego pytania, ale szybko zorientował się, że ten sposób nie przynosi spodziewanych efektów, bo bez zadawania pytań nie miał co wpisać do protokołu przesłuchania. W końcu doszedł do wniosku, że najlepsza jest sprawdzona metoda, a więc milczenie i groźne spojrzenie po serii pytań, a w szczególnych wypadkach strzał w papeę.

– No dobra, nie chce pani mówić, to pogadamy gdzie indziej – zdecydował Kurylak i wstał z fotela. – Zapraszam do nas na rozmowę.

88

— Jestem aresztowana? – zapytała Joanna Mazurkiewicz.

– A gdzie tam – zaśmiał się esbek. – Pojedzie pani do nas na kawkę ze śmietanką, co nie, Władziu?

— Co? – odezwał się Władziu, nadal wpatrzony w śnieżną dal.

— Zabieramy panią na kawę do nas, na komendę – wyjął się porucznik Kurylak.

– Ja już piłem kawę. Ale może być herbata, bo mnie już całkiem w gardle zaschło.

ROZDZIAŁ IV

Godz. 08.55

– Jak to nie ma samochodu? Przez pół miasta mam paradować na piechotę z tym zasrańcem? – Sierżant Pytel nie wierzył własnym uszom. W ciągu długich, ponad dwudziestu lat służby już nieraz zdarzało mu się konwojować aresztantów. Ale żeby groźnego przestępcę politycznego

prowadzić z Komendy Wojewódzkiej przez centrum Poznania na Młyńską, to było coś, co nie mieściło mu się w głowie.

Dyspozytor rozłożył bezradnie ręce.

– A co ja za to mogę? Wszystkie auta jeżdżą po mieście, a te, które stoją, nie mają kierowców, bo wiara odsypia nockę. Możesz poczekać, bo za dwie godziny mam dostać dwóch chłopaków z ZOMO.

– Jak mam czekać z więźniem? Może powinniśmy se pójść do baru na jednego i poczekać aż się transport zjawi, co? – ironizował konwojent.

– Dobra, jak nic nie ma, to podpisz mi tu, na tym rozkazie przewozowym, że auta nie ma i ja stąd spierdalam.

Położył na biurku przed dyżurnym niewielki arkusz z informacją dotyczącą zaleceń transportowych dla więźnia.

– Słuchaj, co ja mam ci podpisywać. Ja ci mówię, czekaj. Zreszta nigdy nic nie wiadomo. Może jakiś wóz z trasy zjedzie, to dam polecenie transportu. A jak nie chcesz czekać, to se idź i nie zwracaj mi gitary. Mogę napisać tylko, że w tej chwili nie ma samochodu i wpisać godzinę. A ty rób, jak uważasz.

Pytel spojrział na milicjanta za biurkiem, jakby coś rozważał. Zastanawiał się, czy może podjąć taką decyzję samodzielnie. To znaczy, czy po-
90

winien czekać, czy iść na najbliższy przystanek, wsiąść do tramwaju ijechać na Młyńską. W końcu nie było to aż tak znowu daleko. Wystarczyło przejść na Dąbrowskiego, później przejechać mostem Uniwersyteckim za raz będzie plac Młodej Gwardii. A stamtąd do aresztu tylko dwa kroki. Podrapał się w głowę i odwrócił. Pod ścianą na ławce, przykuty kajdankami do poręczy siedział aresztowany, którego miał konwojować. Przyjrzał mu się uważnie i uśmiechnął się. Taki chuderlak niewiele mógł mu zrobić. Nie powinno być z nim żadnych kłopotów, zdecydował sierżant.

– No dobra – podjął wreszcie decyzję. – Pisz, że transportu nie ma i ja lecę na tramwaj.

Milicjant szybko złożył parafkę, zadowolony, że pozbywa się kłopotu, a sierżant Pytel schował kartkę do czarnej raportówki.

– Idziemy, panie szanowny – zwrócił się do Markowskiego.

Aresztowany, który słyszał całą rozmowę, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Za chwilę znajdzie się na ulicy z jednym tylko, podstarzałym milicjantem. On również ocenił możliwości drugiego. Ta ocena wypadła zdecydowanie na niekorzyść stróża prawa. Facet miał około pięćdziesiątki, więc trzydziestopięcioletni Markowski miał znaczną przewagę. Obezwładnienie konwojenta nie powinno stanowić większego problemu. Pozostało tylko jedno ale. Czy ucieczka ma sens? Markowski jeszcze dziś rano, gdy przewożono go na przesłuchanie, w ogóle nie zastanawiał się nad ucieczką. Pogodził się z aresztowaniem i tak jak większość opozycjonistów chciał biernie poddać się losowi. Teraz jednak wszystko się zmieniło. To, co usłyszał podczas rozmowy z kapitanem, czyli sugestia, że mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem sąsiada, zmieniało całkowicie sytuację. Teraz nie mógł czekać na to, co przyniesie los, bo ten gotował mu najwyraźniej coś paskudnego. Poza tym nadarzała się jedyna taka okazja myślał Markowski. Czy mógł z niej nie skorzystać? Doszedł do wniosku, że niewiele ryzykuje, podejmując próbę.

Uśmiechnął się do milicjanta, gdy ten nachylił się nad nim, by odczepić kajdanki od poręczy ławki.

– Co się śmiejesz, skurwielu? – warknął Pytel. – Przez ciebie będę musiał drałować na girach przez pół miasta.

– Może zamówimy taksówkę? – zażartował aresztowany.

91

Godz. 09.00

Porucznik Marcinkowski chciał się wreszcie wyspać. Mógł pójść do swojego mieszkania na Staszica. Z komendy miał tu dosłownie parę kroków. Jednak gdy pomyślał o tym, w jakim stanie zostawił swoją kawalerkę wczoraj rano, wychodząc na służbę, odechciało mu się wracać. Nie sprzątał tam już chyba od miesiąca, a w zlewie zalegała dwutygodniowa sterta niemytych naczyń. Nie chciał spać w tym bałaganie, a na sprzątanie nie miał najzwyczajniej w świecie siły. Dwa lata temu dostał przydział na służbowe mieszkanie, pokój z kuchnią i łazienką w starym budownictwie.

Planował, że urządzi je elegancko i ze smakiem, ale na planach się skończyło. Tak naprawdę nigdy tam się nie zagnieżdżył. Miał co prawda telewizor, pralkę, lodówkę i kilka starych mebli, ale wszystko to było poustawiane byle jak i bez pomysłu. Jego mieszkanie było tylko miejscem noclegowym, z którego korzystał od czasu do czasu.

Częściej sypiał w swoim dawnym pokoju u rodziców, na Sołaczcu. Ten pokój, z którego tylko w teorii wyprowadził się, idąc do milicji, nie zmienił się wcale od czasu, gdy jeszcze chodził do Marcinka, no i tam czuł się najlepiej. Poza tym wiedział, że powinien dziś pójść do matki. Informacje o wprowadzeniu stanu wojennego rozeszły się już po całym mieście. Musiał więc tam iść i trochę ją uspokoić. Kobieta miała skłonność do wyolbrzymiania wszystkiego. Toteż wieść o wojsku i milicji na ulicach musiała zrobić na niej wstrząsające wrażenie. Dlatego chciał ją zapewnić, że tak naprawdę nic wielkiego się nie dzieje. Poza tym na pewno bała się o niego. Musiała być przekonana, że jako milicjant bierze czynny udział w likwidowaniu „Solidarności”. A on przecież nie ma z tym nic wspólnego. Matka była całym sercem za związkami i od pewnego czasu w ogóle nie rozmawiali ze sobą na temat sytuacji w kraju. Po tym jak pokłócili się przy stole, gdy on zupełnie niepotrzebnie palnął, że z tą anarchią trzeba wreszcie skończyć. Stryj Stefan, który od śmierci ojca był kimś w rodzaju zastępczej głowy rodziny, słysząc taką opinię mało nie zakrztusił się kółkiem schabowym. A matka powiedziała mu, że anarchię wprowadzili do tego kraju komuniści, czyli ci, którzy mu płacą. A to, co dzieje się w kraju, to prawdziwa rewolucja, która prędzej czy później wymiecie stąd bolsze-

92
wików. Dyskusja została szybko zakończona, a oni zawarli niepisany, milczący rozejm. Dla niego wygodny, a dla niej bolesny. Nigdy nie pogodziła się z tym, że jej Alfred poszedł, zamiast na studia, do milicji. Dyplom szkoły oficerskiej w Szczytnie był dla niej tylko nic nieznaczącym skrawkiem papieru. Zawsze miała nadzieję, że on, absolwent elitarniej, najlepszej w Poznaniu szkoły średniej pójdzie na uniwersytet, skończy prawo i tak jak jego ojciec i stryj zostanie adwokatem. Jej marzenia legły w gruzach, gdy oświadczył, będąc w klasie maturalnej, że chce zostać milicjantem. Nie mogła tego zrozumieć, ale nie miała tyle siły, by mu to wyperswadować. Według niej milicjant to był zawód dla ludzi z robotniczych dzielnic, a nie dla inteligentnego chłopaka, którego ojciec był przedwojennym oficerem rezerwy i uznanym prawnikiem.

On jednak już dawno podjął decyzję. Zaczytany w kryminałach Raymonda Chandlera, Agaty Christie czy w końcu w polskich, nafaszerowanych propagandą zeszytach z serii „Ewa wzywa 07”, marzył o tym, by samemu rozwiązywać zagadki kryminalne godne Philipa Marlowe'a.

Praca w milicji okazała się jednak nie tak pasjonująca, jak wydawać by się mogło z lektury książek. Samo śledztwo pochłaniało jakieś dziesięć procent aktywności oficera śledczego. Reszta to były nudne papiery. Ale nie skarżył się. Naprawdę lubił swoją pracę. Zwłaszcza że jako specjalista od spraw kryminalnych nie musiał nigdy dotąd angażować się w sprawy, które szargały opinię całej milicji. Chodziło oczywiście o politykę. Od niej Marcinkowski starał się być jak najdalej. Nawet tej nocy, gdy większość jego kolegów zajmowała się likwidowaniem „Solidarności”, on załatwił sobie dyżur w swoim wydziale kryminalnym.

Zapukał do drzwi mieszkania na pierwszym piętrze przedwojennej willi przy ulicy Podhalańskiej. Ten dom należał do jego rodziny od prawie osiemdziesięciu lat. Teraz, po czasach dawnej świetności, matka była właścicielką trzech pokoi i kuchni, zrobionej z dawnej służbówki. Pozostałe dwie trzecie domu zajmowali ludzie z kwaterunku, którzy dostali przydział na mieszkanie w ich dawnym domu. Drzwi otworzyły się i stała w nich matka. Przedwcześnie posiwiiała, pięćdziesięciopięcioletnia, niewysoka, szczupła kobieta.

— Boże, Fred, co się dzieje? — rzuciła mu się na szyję z płaczem.

93

Nigdy nie widział, żeby matka płakała, więc nie bardzo wiedział, jak się zachować. Przygarnął ją tylko do siebie i zamknął drzwi na schody.

— Nic, mam, nie martw się, wszystko będzie dobrze, naprawdę, będzie dobrze, zobaczysz.

Godz. 09.20

– Kurwa, gdzie jest ta pierdolona bimba? – denerwował się sierżant Pytel. Stał na przystanku naprzeciw Teatru Nowego skuty kajdankami z więźniem Markowskim. Czekali już jakieś dziesięć minut, a po ósemce, która miała jechać z Ogrodów na plac Młodej Gwardii, nie było ani śladu. Jak na złość drogą nie jechał też żaden radiowóz. Sierżant wymyślił sobie, że jeśli nadjedzie jakiś milicyjny wóz, to spróbuje go zatrzymać i poprosić o podwiezienie. Na razie nie widział ani tramwaju, ani milicji.

– Może pójdziemy piechotką? – zaproponował skulony, trzęsący się z zimna Markowski. Było mu zimno, bo wychodząc z domu w noc w całym tym zamieszaniu, założył na siebie cienką jesienną kurtkę zamiast zimowego kożucha.

– Nie gadaj mi tu i stój cicho. Poczekamy jeszcze, a później się zobaczy. Wraz z nimi na przystanku czekały jeszcze trzy osoby, dwie kobiety i młody długowłosy chłopak, który w pewnym momencie podszedł do obu mężczyzn i szybko podał Markowskiemu napoczętą paczkę popularnych.

– Pan weźmie, przydadzą się – powiedział, nim milicjant zdążył zareagować. Więzień chwycił papierosy i schował je do kieszeni.

– A ty, kurwa, co, szczunie jeden. Spierdalaj stąd w podskokach, bo jak przejadę pałą po dupie, to cię matka rodzona nie pozna – zdenerwował się milicjant, ale nie zabrał papierosów.

Chłopak odszedł parę kroków i oparł się o biało-czerwoną stalową barierkę oddzielającą przystanek od ulicy, cały czas przyglądając się obu mężczyznom. Wreszcie na wysokości Rynku Jeżyckiego pojawiła się zielona sylwetka tramwaju. Po chwili wóz z wielką ósemką nad kabiną motorniczego już był koło teatru.

Sierżant ruszył pierwszy, ciągnąc za sobą Markowskiego. Wewnątrz

94

wozu nie było prawie nikogo. Zaledwie kilka osób. Pytel od razu zauważył że coś jest nie tak. W spojrzeniach większości pasażerów wyczuł wrogość. Przetarł czoło spocone pod uszaną czapką z milicyjnym, blaszanym orzełkiem. Ten młody z przystanku też się gapił nachalnie, jakby mu sierżant ojca i matkę zabił.

Kazał usiąść więźniowi na pojedynczym siedzeniu pod oknem z lewej strony i odwrócił się tyłem do reszty pasażerów. Tramwaj ruszył, ale zaraz stanął przy skrzyżowaniu z Roosevelta. Od dołu ulicy w stronę dworca kolejowego jechał konwój wojskowych samochodów prowadzony przez dwa SKOTY. W wieżyczce pierwszego z nich siedział oparty o klapę wjazdu, czerwony jak burak, zmarznięty czołgista w hełmofonie. Ręce oparł o przytwierdzony tam karabin maszynowy. Kilku przechodniów stanęło na ulicy i w milczeniu patrzyło na kawalkadę.

Tramwaj szarpnęła, gdy przejechała ostatnia ciężarówka z białym napisem UNU na tylnej burcie. Markowski spojrzał w ślad za samochodami i przypomniał sobie swoją służbę wojskową, pierwszy skok spadochronowy i dumę z założonego po raz pierwszy czerwonego beretu. Też wożono go ciężarówką z napisem UNU. Wydało mu się, że od tamtych czasów minęła cała wieczność. Wjechali na most Uniwersytecki.

– Panie dowódco – powiedział Markowski do stojącego nad nim milicjanta.

Wyrwany z zamyślenia sierżant nachylił się trochę nad nim. I to był jego błąd. Konwojowany z całym impetem poderwał się do góry i jego głowa uderzyła z trzaskiem w podbródek sierżanta. Ten zachwiał się, jednak nie upadł, bo trzymał się mocno metalowego uchwyty przytwierdzonego do siedzenia. Markowski działał błyskawicznie. Lewą ręką, bo prawą miał skutą, uderzył po raz drugi, tym razem w nos. Trysnęła krew i milicjant padł na kolana. Nie było czasu do stracenia. Tramwaj dojeżdżał do skrzyżowania ze Stalingradzką. Chciał jeszcze raz uderzyć w brzuch, jednak nie zdążył. Długowłosy, ten z przystanku, wymierzył z tyłu cios w kark. To przesądziło sprawę. Zdziwiony Markowski spojrzał na chłopaka a ten uśmiechnął się tylko i szybko przyklęknąwszy zaczął przeszukiwać kieszenie leżącego. Pozostali pasażerowie w milczeniu patrzyli na to, co dzieje się z tyłu wagonu. Nikt nie ruszył się, by pomóc milicjantowi.

95

– W prawej, od spodni! – krzyknął działacz, przypominając sobie,

gdzie Pytel chował pęk kluczy, po tym jak skuwał się z nim na kominie. Klucze natychmiast się znalazły. Otwarcie zamka trwało zaledwie kilka sekund.

Tramwaj stanął. Markowski spojrział przez szybę, przez ramię wąskiego motorniczego. Do przystanku na Fredry było jeszcze jakieś trzysta metrów. Tramwajarz zatrzymał wóz na światłach, mimo że światła nie działały i mógł bez przeszkód jechać dalej. Przycisnął czerwony przycisk z prawej strony pulpitu i wszystkie drzwi otworzyły się.

– Wysiadać, kurwa, ale migiem, bo tam szkieły na przystanku! – ryknął wąsacz na cały tramwaj.

Markowski chciał jeszcze coś powiedzieć, coś wyjaśnić, że nie jest bandytą, ale długowłose wypchnął go z wozu. Kątem oka zobaczył, jak motorniczy śmieje się szeroko i unosi w jego kierunku rękę z palcami ułożonymi w literę V.

Pozostali pasażerowie w pośpiechu uciekli z tramwaju, a prowadzący zadzwonił chyba tylko sam dla siebie i ruszył w stronę przystanku.

Godz. 09.30

Mały fiat zjechał z wiejskiej drogi wprost do samotnego gospodarstwa położonego pod lasem, niedaleko szosy z Poznania do Szamotuł. Polna droga prowadząca do zagrody była zasypana śniegiem i widać było, że od dawna nikt nią nie przejeżdżał. Małe auto jednak nad podziw dobrze dało sobie radę z pokonaniem grubej warstwy puszystego śniegu.

Samochód stanął przed drewnianą bramą. Kierowca w milicyjnym mundurze wyłączył silnik. Dwaj mężczyźni wyszli z malucha i podeszli do furtki zamkniętej na pętłę z aluminiowego drutu.

– Chyba nikogo nie ma w domu – powiedział Roman Mazurkiewicz do swojego szwagra. Ten spojrział w górę na dach. Z komina sączyła się wątła stróżka jasnego dymu.

– Nikt stąd dziś nie wyjeżdżał, nie ma żadnych śladów, a w piecu się pali. Babcia nie ma siły jeździć rowerem, nawet jak jest dobra pogoda, a co dopiero jak jest tyle śniegu na dworze.

96

— To jakaś twoja krewna? – zapytał milicjanta.

— A skąd. To stara znajoma od bimbrowych interesów.

Kmieciak podszedł do furtki i ściągnął drut. Bramka ustąpiła. Pchnął ją i weszli na podwórko. Powitało ich ujadanie niewielkiego kosmatego Burka uwiązanego na łańcuchu do marnej, rozlatującej się budy. Milicjant gwizdnął głośno i pies się uspokoił. Przywarł do ziemi i zaczął merdać ogonem.

Cała zagroda wyglądała nędznie. Solidny przedwojenny dom z czerwonej cegły był jeszcze w jako takim stanie. Natomiast stojąca po lewej stronie murowana obora przedstawiała opłakany widok. Podobnie było ze stodołą w głębi podwórka. Dach zapadł się w środkowej części, a spadające krokwie połamały bramę. Przez otwór widać było stojący w środku, przywalony resztkami dachu stary ciągnik Zetor.

– Nie ma się kto tym zająć – powiedział milicjant, widząc, że szwagier patrzy na tę ruinę. – Dziadek zmarł kilka lat temu i nie ma już gospodarza. Wszystko się sypie.

Nim zdążyli podejść do ganku, drzwi otworzyły się. Wyjrzała z nich pulchna staruszka. Spojrzała na Kmieciaka i rozpoznawszy znajomą sylwetkę, uśmiechnęła się, odsłaniając bezzębne dziąsła.

– Stefek, antena się zepsuła, bo Teleranka ni ma.

– Dobry, babcia, nie stójcie w cugu, bo was zawieje – powiedział milicjant i wziął kobietę pod rękę, wprowadzając do domu. – A Teleranka nie ma, bo telewizję wyłączyli. Antena jest dobra. Jak będą znowu nadawać, to będzie widać wszystko – tłumaczył, rozsiadając się przy stole w kuchni. – Trzeba tylko poczekać. To jest Romek – przedstawił wchodzącego. – Musi tu u babci posiedzieć parę dni.

– Niech drewna narąbie i węgiel aby przyniesie, bo ja już tako słaba, że ledwo idę. A zostać się może. Czemu nie. Ino, co zjedzeniem, bo jeśli o to się rozchodzi, to ja co ugotuję, byleby z czego było. Pyrków mom jeszcze trochę w sklepie, ale co inszego, mięsa czy jakiej omasty, to ni ma.

– Nie martwcie się, babcia, jedzenie przywieźliśmy jakieś ze sobą, a jutro coś jeszcze się kupi w spółdzielni. Zresztą jutro albo pojutrze przy-

jadę jeszcze z Poznania to pewnie co przywiozę – wyjaśnił Kmiecik.

– Spać jest gdzie, ino tam w izbie zimno i trzeba w kaflowym napo-

97

lić. Bo ja to tu w kuchni śpię i jak se tak fest napole z wieczora, to mom ciepło do rana. A dziś jak zapoliłam telewizor, to ino śnieg było widać. Tom się przelęka, że antena się urwała i nie będzie telewizji. Ale jak powiadasz, że to nie antena tylko onych robota, to znaczy się poczekać trzeba.

Mazurkiewicz usiadł przy stole naprzeciw szwagra. Babcia podeszła do pieca i pogrzebaczem zaczęła zdejmować rozgrzane fajerki. Mężczyźni ściągnęli czapki i kurtki, bo w kuchni było całkiem ciepło. Sierżant rzucił ciuchy na rozgrzebane łóżko stojące pod oknem. Przez ostatnią godzinę przemarzli na kość w samochodzie, bo ogrzewanie, choć nastawione na cały regulator, działało tylko na słowo honoru. Byliby przejechali tę drogę szybciej, ale po pierwszej kontroli wojskowo-milicyjnej natrafili na jeszcze jedną roгатkę w Przeźmierowie, przy zjeździe na Szamotuły. Tam również mundur milicyjny sierżanta był najlepszą przepustką. Nie kontrolowano im nawet dokumentów, ale musieli swoje odstać w ogonku kilkunastu samochodów, które milicjanci sprawdzali dość szczegółowo.

– Nastawię na herbatę – powiedziała babcia, dorzucając do pieca kilka drewniaków i bryłkę węgla. – Ale cukru ni ma.

– Ja mam coś do herbaty – rzekł Mazurkiewicz, wyciągając ze swojej torby butelkę wódki stołowej.

– Aleja aby na spróbe – odparła kobieta, przyglądając się stojącej na stole półlitrowce. – Bo mnie po gorzole jakoś tak dusi, że ino jedna szklankę wypić mogę. Nie to, co kiedyś.

Podeszła do białego, pomalowanego olejną farbą kredensu i z przeszkłonej szafki wyciągnęła trzy musztardówki. Przetarła je od środka własnym fartuchem i postawiła na stole.

– A pan szanowny to potrafi aparaturę obsłużyć? Bo jeśli się rozchodzi o zacier, to mam już całkiem dobry. Trzeba by przepędzić, a mnie samej ciężko kanki nosić – dodała i spojrzała uważnie na Mazurkiewicza.

– Jakoś se poradzę. – Mazurkiewicz zaśmiał się, rozlewając zawartość butelki, po równo do wszystkich szklanek.

Lody zostały przełamane.

98

Godz. 09.35

Markowski błyskawicznie ocenił sytuację. Jediną drogą, która dawała jakieś szanse ucieczki, była niewielka uliczka z lewej strony opery, prowadząca do parku Wieniawskiego. Przebiegł ulicę. Za nim biegł jego pomocnik z tramwaju.

— Przez park! – krzyknął do długowłosego, wskazując na lewo.

Kątem oka zobaczył, że na przystanku robi się jakieś zamieszanie przy tramwaju, który właśnie podjeżdżał. – Za jakieś pół minuty, gdy zrozumieją, co się stało, ruszy pościg – pomyślał i przyspieszył biegu. Zaśnieżoną alejką pobiegł w kierunku niewielkiej uliczki, ciągnącej się wzdłuż nasypu kolejowego. Obaj biegnący zostawiali wyraźne ślady na śniegu, dlatego Markowski chciał jak najszybciej dostać się w miejsce bardziej ruchliwe, gdzie mógłby wmieszać się w tłum. Pomyślał od razu o kościele Dominikanów, ale by tam dobiec, musiałby przejść koło Urzędu Wojewódzkiego. A tam na pewno stoją dziś milicyjne wozy. Wybrał więc drogę okrężną. Przebiegł jeszcze jakieś dwieście metrów w stronę Libelta. W jednej z posesji po prawej stronie ulicy zobaczył otwartą furtkę. Nie namyślając się wiele, wbiegł do środka i pognął na tyły domu do ogrodu. Jego pomocnik cały czas był tuż za nim.

– Poczekaj! – krzyknął chłopak, gdy znaleźli się z tyłu willi. – Dokąd chcesz lecieć? – zapytał zdyszany.

Markowski przystanął i obrócił się.

– Musimy przejść przez te ogródki i wyjść prosto na kościół Dominikanów – wyjaśnił. – Tam nam pomoga.

Chłopak tylko skinął głową na znak aprobaty i ruszyli przed siebie. Szybko przeskoczyli płot oddzielający dwie posesje i znaleźli się w ogrodzie należącym do jakiejś instytucji. Przebiegli wzdłuż budynku i stanęli przy ścianie frontowej. Stąd było jakieś dwadzieścia metrów do płotu, a dalej dwieście metrów parku i szeroka ulica Stalingradzka. Po drugiej

stronie widać już było bramę kościoła Dominikanów. Nieco dalej po Prawej – duży plac przed ponurym gmachem Urzędu Wojewódzkiego, przed samymi drzwiami stał transporter wojskowy, a nieco z boku kilka Milicyjnych samochodów. Przy koksowniku grzało się kilkunastu żoł-

99

nierzy i milicjantów. Nie było czasu do stracenia. Na pewno zaraz dostana sygnał od tych z przystanku i zaczną przeszukiwać całą okolicę. Markowski skinął głową na chłopaka, klepnął go w ramię i uśmiechając się, powiedział:

– Ruszamy, bo nam odstrzelą dupy, jak nas dopadną.

– Ręce do góry! – usłyszeli nagle głos, tuż za swoimi plecami.

Obaj uciekinierzy stanęli w miejscu jak wryci. Powoli podnieśli ręce, słysząc za sobą trzask repetowanego karabinu.

– Co wy tu robicie? – zapytał człowiek z karabinem.

Markowski odwrócił się bardzo powoli. Wiedział, że w takich sytuacjach każdy gwałtowny ruch może spowodować nerwową reakcję osoby trzymającej ich na muszce, zwłaszcza jeśli byłby to młody, niedoświadczony, a co gorsza przestraszony żołnierz czy milicjant. Przed nim stał wcale nie młody, ale raczej w wieku emerytalnym strażnik w czarnym mundurze. Mężczyzna mierzył do nich ze starego mausera. Ręce mu się trzęsły, a lufa karabinu nie mogła utrzymać jednego punktu, latała w dół i w górę.

– Tu jest wstęp wzbroniony obcym. To jest instytut naukowy – wyjaśnił strażnik już nieco spokojniej.

Uciekinierzy opuścili ręce, spojrzeli na siebie i nagle wybuchnęli śmiechem.

– Co jest, do cholery? – zdziwił się strażnik, zaskoczony reakcją zatrzymanych.

– Panie – zaczął wyjaśniać młodszy z dwójki – spierdalamy przed szkiełami, a pan nas tu fuzją straszysz?

– To nie fuzja, ale karabin – pouczył go mundurowy. – Jeszcze z wojny, poniemiecki. A te szkieły to niby czemu za wami lecą?

– Panie, jest wojna, a my z „Solidarności” – wyjaśnił Markowski.

To widać ostatecznie przekonało stróża, że nie ma do czynienia ze złodziejami. Popatrzył jeszcze raz uważnie na obu i uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

– Chodźta, otworzę wam furtkę – zdecydował, opuszczając karabin. Zarzucił go na ramię i poszedł drobnymi ostrożnymi kroczkami po nieodśnieżonym chodniku w stronę bramki. Szybko przekręcił klucz

100

zamku i wyszedł pierwszy na ulicę. Przy koksowniku po drugiej stronie Stalingradzkiej zaczął się jakiś ruch. Milicjanci zaczęli biec w kierunku radiowozów. Z chodnika zjechał milicyjny duży fiat, przeciął pas ruchu i na sygnale popędził w kierunku Fredry.

– Teraz chodu, chłopaki, i nie dajcie się tym gnojom! – pożegnał zbiegów dozorca.

Ruszyli biegiem i za chwilę znaleźli się na parkowej alejce. Nie było tu żadnych krzaków a jedynie stare drzewa. Byli więc prawie całkowicie odsłonięci. Nikt jednak nie patrzył w ich kierunku. Milicjanci spod Urzędu Wojewódzkiego biegli w przeciwnym kierunku. Nie było na co czekać.

Ruszyli biegiem. Kilkadziesiąt metrów dzielących ich od bramy kościoła pokonali w iście olimpijskim tempie. Dotarli do chodnika. Wystarczyło tylko przejść przez ulicę. I w tym momencie z Libelta, od strony placu Młodej Gwardii wyjechał radiowóz. Jechał niezbyt szybko. Widać było, że siedzący w nim milicjanci obserwują okolicę. Ulica była zupełnie pusta. Spod Urzędu wyjeżdżały samochody, ale na odcinku między tym budynkiem a Dominikanami stali tylko oni dwaj, jak tarcze na strzelnicy. Markowskiemu nagle przypomniał się film Zamach na Kutcherę.

Tam w jednej ze scen Wojciech Siemion, grający żołnierza Armii Krajowej, w pewnej chwili wchodzi wprost na patrol niemieckiej żandarmerii. I ratuje go genialny w swojej prostocie pomysł. Zaczyna udawać pijanego, zataczającego się przechodnia. Albo wezmą mnie na wytrzeźwiajątkę, albo... – pomyślał i oparł się o zdezorientowanego młodego.

– Prowadzisz mnie do domu – szepnął mu tylko do ucha, i nagle

zaczął wymachiwać rękoma jak pijany człowiek tłumaczący coś swojemu koledze.

Radiowóz zwolnił i przystanął. Kapral, który siedział od strony chodnika odkręcił szybę i spojrzał groźnie na stojących, wspierających się wzajemnie facetów.

– Co to, kurwa, za zbiegowisko? – zapytał milicjant.

Markowski uśmiechnął się szeroko, ukłonił się i już chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go młody.

– Wuja trochę zaniemógł, panie poruczniku. Już go biorę do chaty, raz dwa nie ma nas tu. Ma lekką tytę, ale idzie bez gadania.

101

Milicjanta najwyraźniej uspokoiła ta odpowiedź. Odwrócił się do kierowcy i rozkazał:

– Jedziemy, Heniu, a wy gnoje – marszcząc groźnie brwi, spojrzał jeszcze raz na dwóch pijaków – spierdalać stąd, w podskokach, bo jak was jeszcze raz zobaczę... – Pogroził palcem i samochód powoli odjechał.

Odetchnęli z ulgą. Powoli, by nie wzbudzać podejrzeń, przeszli na drugą stronę. Po kilku schodkach weszli na dziedziniec kościoła Dominikanów. Drzwi do świątyni były przymknięte. Markowski pociągnął za klamkę. Wielkie dębowe wrota otworzyły się. Zobaczyli przed sobą ścianę ludzkich pleców. Kościół wypełniony był po brzegi.

Trwała msza, a chór setek wiernych śpiewał ...Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie.

Godz. 10.05

Choraży Olkiewicz siedział w piwiarni przy Półwiejskiej. Właściwie to przy Dzierżyńskiego 20, bo tak nazywała się oficjalnie ulica, która przechodziła przez całą Wildę i za skrzyżowaniem z Marchlewskiego zmieniała się w deptak. Tyle, że żadnemu szanującemu się poznaniakowi nie przyszłoby do głowy nazwanie Półwiejskiej ulicą Dzierżyńskiego. Ludzie mówili, że skoro już Krwawy Felek dostał Górna Wildę, to ona powinna mu wystarczyć. Zresztą na Wildę też nikt nie mówił inaczej jak Wilda właśnie. Feliks Edmundowicz najwyraźniej nie przypadł do gustu poznaniakom.

Teofil miał jechać do domu przespać się chwilę. Wsiadł nawet na przystanku tramwajowym na wysokości Wildy, czyli jakieś trzysta metrów od swojej kamienicy, doszedł jednak do wniosku, że najpierw pójdzie zobaczyć, co słychać w jego ulubionym barze. Zwłaszcza że w niedzielę otwierali od 10.00 i była duża szansa, że o tej porze będzie piwo kufłowe. Bo to zwykłe butelkowe, poznańskie, można było dostać bez większych problemów. Teofil jednak wolał pić z kufła, bo lane z pipy było świeższe. Co do butelek, to nigdy nie było wiadomo, jak długo skrzynki stały w magazynie browaru, nim piwo trafiło do sprzedaży. Co innego

102

beczkowe. Te rozwożono do pijalni natychmiast po napełnieniu aluminiowych beczek. A w takich miejscach jak piwiarnia przy Półwiejskiej nie miało szansy się zestarzeć. Towar schodził błyskawicznie.

Kierownik lokalu wyjaśnił kiedyś Olkiewiczowi, bardzo zainteresowanemu technologią dystrybucji poznańskiego, że jeśli w jednej dostawie przywożą do niego czterdzieści beczek, to on dzieli towar na cztery partie, na każdy dzień po jednej. Później pięć beczek sprzedaje rano, zaraz po otwarciu pijalni, a pięć po południu, gdy wiara wraca z roboty. Wyjątkiem są niedziele, bo wtedy cały towar idzie jak leci, bez żadnych przestojów i trzeba osprzedać wszystko jak najszybciej, bo czynne jest tylko do czternastej. Ten kierownik, Władek Kajzerek, to był niezły gość i dobrze wiedział, jak zakombinować. Olkiewicz lubił z nim gadać, bo mógł się przy nim czuć całkiem swobodnie. Przede wszystkim facet, zanim zajął się gastronomią, był milicjantem. Kierownikiem lokalu został, gdy przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Kontakty służbowe jednak zachował, a to dzięki namowom Olkiewicza. Teofil, jak każdy pracownik Służby Bezpieczeństwa, musiał mieć własną agenturę, tak zwane Osobowe Źródła Informacji, czyli tajnych współpracowników. On jednak nigdy specjalnie nie przykładął się do swojej roboty. Kilku znajomym osobom założył teczki bez ich wiedzy i sam preparował raporty, które były zapisami z prywatnych rozmów z ludźmi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, że esbek wy-

korzysta ich wypowiedzi. Wszystko to jednak było mało, bo szefowie Olkiewicza żądali wyników. Dlatego zaproponował Kajzerkowi układ. On wciąga go na listę, rozmawiają sobie przy piwku o ciekawostkach z życia piwiarni, no i w ten sposób powstaje comiesięczny raport. Kajzerek nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że nadal czuł się funkcjonariuszem, choć był już na emeryturze. Ta tajna współpraca niosła jeszcze Jedną korzyść im obu. Olkiewicz co miesiąc pobierał z kasy pieniądze na działalność swojego agenta. Kajzerek podpisywał zainkasowanie kwoty, a pieniędzmi dzielili się po połowie. Zresztą ten układ działał w obie strony- Olkiewicz zapewniał ochronę pijalni, a w zamian za to pan Władziu dzielił się z nim zyskami z lewej gorzoły. Proceder był niezwykle prosty. z każdej butelki wódki gastronomicznej, która trafiała na zaplecze, kierownik strzykawką, przez aluminiowy kapsel, ściągał jedną pięćdzie-

103

siatkę i wpompowywał do środka pięćdziesiąt gramów kranówki. Z każdych dziesięciu butelek w cudowny sposób powstawała jedna dodatkowa, a pieniądze szły do podziału. Kajzerek jako agent Olkiewicza miał zapewniony spokój, bo nikt nie mógł go ruszyć. Interes kwitł w najlepsze, zapewniając obu całkiem niezłe lewe dochody.

Dziś od rana w piwiarni panował tłok. Teofil siedział przy stoliku obok wielkiego przeszklonego okna i słuchał, co mówią ludzie. Kajzerka nie było w pracy, bo niedziele miał wolne, brakowało mu więc rozmówcy, a z pijakami nie miał ochoty wdawać się w dyskusje.

Wszyscy wokół komentowali to, co działo się na ulicach.

- Ja wam mówię - wymądrzał się gość z czerwonym nosem, siedzący przy stoliku obok- że jak Ruskie tu wejdą, to wtedy będzie prawdziwa gemela.

- Ady tam, pierdolisz - zdenerwował się jego kolega w kraciastej flanelowej koszuli. - Oni nie muszą wchodzić, już są w swoich koszarach. Wystarczy, że z nich wyjadą.

- Ale na razie nie wyjechali, ino nasi te całą rozpięduchę robią - wytłumaczył im niski szczerbaty brodac.

- Ten chuj złamany, Jaruzelski, mówił w radiu, że przez „Solidarność” i że sami musimy wszystko załatwić, między Polakami, tak mówił, co nie, Gieniu? - ten w koszuli w kratę szukał poparcia u czerwonego nosa.

- A diabli go tam wiedzą, kręci, ślepowron jeden, a ja tym czerwonym za nic nie wierzę, czy oni Polaki czy Ruskie. Jedno wam tylko powiem, wiara - mówił czerwono nosy Gieniu - że Jaruzel dobrze wykombinował. Bo jakby tu weszli Ruskie, to wojna by już była jak nic, boby wszystkich mieli naprzeciwko sobie. A ten wysłał naszych chłopaków na ulicę i teraz, kto do nich będzie strzelał, kto butelki z benzyną na czołg rzuci, jak tam w środku nasi siedzą? „Solidarność” jest w dupie, bo kto pójdzie za nimi, walczyć z naszym wojskiem?

- Prawda to, Gieniu, głupio tak do swoich strzelać...

Olkiewicz przestał słuchać. Głos ludu, zwłaszcza tego przesiadującego w piwiarniach, nigdy go szczególnie nie interesował. Ale jedno mu się dziś szczególnie spodobało z tego, co usłyszał. Nie wpadł na to wcześniej, że

104

stan wojenny, który właśnie wprowadzono, mógł być wymierzony też przeciw RUSkom. Bo o tym, że oni chcieli przyjść do nas z bratnią pomocą, mówiło się już od wielu miesięcy. Podobno od lata na poligonach tuż za Bugiem grzali codziennie silniki czołgów, by u nas było słyhać. „No to niezły numer z tego generała - pomyślał Teofil. - Rozpięprzył „Solidarność” i za jednym zamachem zagrał Ruskim na nosie. Teraz powinniśmy tylko jeszcze wypowiedzieć wojnę Stanom Zjednoczonym i poddać się na drugi dzień.

Wypił drugą pięćdziesiątkę chrzczonej wódki i popił piwem.

- Kierownik, można się dosiąść? - zapytał wychudzony facet, w cienkim skafandrze i z poobijaną gębą.

- A spierdalaj stąd, łachudro jedna. Nie widzisz, popaprańcu, że to stolik służbowy? - warknął Teofil i spokojnie dopił resztkę piwa.

Godz. 10.30

- Po jaką cholere żęście przywieźli mi tu tę babę?

Major SB Stanisław Bielecki spojrział ze złością na swoich dwóch podkomendnych. Obaj przyszedli do jego gabinetu, by zameldować mu o wynikach swojej porannej wyprawy. Nie mieli najszcześniejszych min. Spośród trzech facetów, którzy mieli przechowywać pieniądze „Solidarności”, dwóch nie żyło, a trzeci gdzieś zniknął. To dlatego porucznik Kurylak wpadł na pomysł, by tę Mazurkiewiczową zabrać ze sobą. Nie odnieśli żadnego sukcesu, wszędzie dojechali za późno, więc esbek wymyślił, że choć to zatrzymanie zrehabilituje ich w oczach szefa. Jednak pomylił się. Bielecki był wściekły, bo informacje, jakie mu przywieźli, były najgorsze z możliwych. Miał nadzieję, że to będzie prosta sprawa. Jego ludzie pojedą do trzech mieszkań, postraszą trochę facetów, zabiorą im pieniądze i przywiozą całą trójkę na komendę. Już widział oczyma wyobraźni, jak melduje swojemu szefowi, że akcja skończyła się sukcesem, i jak wysypuje z foliowej reklamówki na jego biurko pięćdziesiąt tysięcy marek. Dowódca poklepałby go po plecach, uśmiechnąłby się tak, jak on to potrafi i tylko powiedziałyby: – Dobrze to zrobiłeś, Stasiu.

105

A tymczasem, co? Teraz będzie musiał pójść tam na górę i powiedzieć że forsę diabli wzięli, faceci zabici, a jeden gdzieś spieprzył. I na otarcie łez ma tylko żonę tego, co uciekł. No i co mu powie pułkownik Iwański? Powie, że na chuj mu ta baba. On będzie chciał wyniku, a wyniku nie ma żadnego. Znosi się więc na długie i żmudne śledztwo z poszukiwaniem jakiegoś faceta i mordercy dwóch pozostałych. A pieniądze mogą być wszędzie. Może już trafiły do kogoś z „Solidarności”, kto miał je dostać w alarmowej sytuacji, na wypadek delegalizacji związku. Trzeba będzie o to zapytać tego skarbnika Różyckiego. Całe szczęście, że jeszcze nie wypuściłem go do domu. Musi posiedzieć jeszcze trochę i pomóc we wszystkim. Przede wszystkim potrzebna jest informacja o ich procedurach alarmowych. Chyba mieli coś takiego na wypadek jakiejś wpadki? – analizował sytuację major, odwrócony twarzą do okna. Patrzył na opadające powoli płatki śniegu.

Za jego plecami dwaj porucznicy nerwowo przestępowali z nogi na nogę, czekając na to, co powie im major. Ten odwrócił się i usiadł za biurkiem.

– Siadajcie, orły – rzekł i wskazał na krzesła koło biurka. – No i mówcie po kolei, co i jak.

– Może by jej wpierdolić, obywatelu majorze – zaproponował Władziu.

Major tylko zmarszczył brwi i porucznik już wiedział, że nie powinien się więcej odzywać.

– Oba mieszkania splądrowane, jeden facet zabity strzałem w serce, drugi postrzał w głowę, no i do trzeciego mieszkania nie zdążyli chyba dojechać. Ten trzeci spierdolił, zanim żeśmy tam przyjechali. Ale w domu nic nie było, bośmy wszystko przetrzasnęli do góry nogami. Żona nic nie wie o pieniądzach i o niczym, co mógłby on, ten Mazurkiewicz, przechowywać w domu. Mówi, że męża nie widziała od wczoraj rano, ale na schodach były świeże ślady butów w śniegu. Więc facet mógł być w nocy czy dziś rano w domu i coś zabrać, a później się ulotnił.

– No dobra, a co tam było z kryminalnymi, jak na nich wleźliście? – zapytał Bielecki.

– No tu Nad Wierzbakiem jak pojechaliśmy, to oni tam już byli i koń-

106

czyli przeszukanie. Dowodzi nimi ten lalusz, jak mu tam – Marcinkiewicz czy Marciniak. Oni, obywatelu majorze, już wiedzą o tej forsie, tylko nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. Myślą, że to dwa zabójstwa rabunkowe, a nie mają pojęcia, że to kasa „Solidarności”.

— A skąd wiadomo, że wiedzą o pieniądzach? – zainteresował się dowódca, patrząc uważnie na Kurylaka. Na Kolasę w ogóle nie spoglądał, bo wiedział, że ten i tak nie ma nic ciekawego do powiedzenia, zwłaszcza że Władziu wyłączył się zupełnie, wpatrując się w okno.

– Bo Teoś nam powiedział.

– Kto? – zdziwił się Bielecki.

– No Teoś, Olkiewicz Teofil znaczy się, on był tam z nimi na miejscu.

– I śmiał się z SB – dorzucił urażonym tonem Władziu, który wrócił

z dalekiej podróży i znów był duchem w pokoju dowódcy. – Powiedział o nas sterzczący kutas na straży, a on to niby kto jest, jak nie esbek – dorzucił z wyrzutem.

– Śmiał się? A co ten cholernik tam robił?

– Najpierw pożartował z nas, a potem powiedział, że bejmów nie ma w domu.

– A pytaliście się ich o pieniądze?

– Nie – zdziwił się porucznik Kolasa.

– A to cwany gnojek. – Major zaśmiał się. – Zdaje się, że on jest mądrzejszy od was obu razem wziętych. W takim razie, zadanie na teraz macie takie: wypuścić tę kobietę, niech idzie do domu, a wy zorganizujecie jej obserwację od zaraz. Mazurkiewicz na pewno będzie się chciał z żoną skontaktować. To po pierwsze, a po drugie – sprowadzić mi tu tego Olkiewicza. Dajcie go jak najszybciej, bo on może nam pomóc, jeśli wzięli go do śledztwa, a wszystko na to wskazuje.

Major wstał i natychmiast na równe nogi poderwał się również Kurylak. Władziu Kolasa zorientował się dopiero po paru sekundach, gdy szef już był za jego plecami. Stał teraz przy drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju, jakby coś sobie przypomniał.

"– Nie muszę pytać, czy przywieźliście zdjęcie tego faceta? No jak mu tam, Mazurkiewicza.

Obaj porucznicy spuścili oczy w dół.

107

Godz. 11.30

– Nie mam pojęcia, co mnie napadło – opowiadał długowłosey, który jak się niedawno okazało nazywa się Wiechu Kaczmarek i jest studentem czwartego roku socjologii, a także działaczem NZS. – To było jak odruch bezwarunkowy. Na przystanku podszedłem do ciebie, bo od razu było widać, że nie masz kryminalnej gęby. A później w tramwaju to jakoś tak samo chyba wyszło.

– Samo? – zdziwił się Markowski. – Sama ci noga poleciała do tego kopa?

– Bałem się, że możesz sobie nie poradzić z tym szkieletem – rzekł i zaśmiał się Wiechu.

Markowski wyciągnął z kieszeni spodni pomiętą paczkę popularnych i podał studentowi.

– No to chyba możemy zapalić tu po jedzeniu? – stwierdził raczej niż zapytał.

– Chyba braciszkwowie nie będą mieli nic przeciwko temu. –

Chłopak uśmiechnął się, wyjmując z paczki papierosa.

Właśnie przed chwilą zjedli po pełnym talerzu owsianki na mleku i kilka sznytek chleba z dżemem truskawkowym.

Gdy rano wcisnęli się do kościoła, wiedzieli już, że przynajmniej na chwilę są bezpieczni. Musieli jednak prosić o pomoc dominikanów. Młody powiedział Markowskiemu, żeby ten stanął przy bocznym ołtarzu, a sam poszedł w kierunku najbliższego konfesjonału. Ku oburzeniu starszych pań czekających w ogonku do spowiedzi, przepchnął się do przodu i dopadł spowiednika, odpychając lekko pierwszą kobietę.

Rozmowa w konfesjonale trwała jakieś trzydzieści sekund. Spowiednik zamknął konfesjonał i poszedł szybko do zakrystii. Nie musieli długo czekać. Po paru minutach odnalazł ich młody zakonnik. Bocznymi drzwiami przeprowadził na dziedziniec klasztoru, a później do niewielkiego pokoju, którego okno wychodziło na ulicę Kościuszki. Jego umeblowanie stanowił tylko stół z czterema krzesłami i pod ścianą klęcznik, a nad nim prosty drewniany krzyż.

Po chwili wniesiono im zupę i chleb. Podający jedzenie zakonnik po-

108

informował ich, że za chwilę przyjdzie ktoś, kto będzie chciał z nimi porozmawiać. Jakiś zegar gdzieś na korytarzu wybił pół do jedenastej. Markowski odruchowo chciał spojrzeć na swój zegarek, ale zegarka nie było. Przypomniał sobie, że przecież zabrali mu go w areszcie. Pomyślał, że wychodząc z domu, szczęśliwie założył na nogi nie sznurowane buty, ale kozaki z cholewkami. W wiązanych butach bez sznurówek, które też odbierano więźniom, miałyby dziś ucieczkę bardzo utrudnioną.

Popiół z papierosów strzasali na mały podstawek, na którym podano im dżem na śniadanie. Nie było popielniczki, więc obaj czuli się trochę niezręcznie, robiąc tu bałagan. Wiechu pociągnął po raz ostatni, zgasił niedopałek i podszedł do okna, by wywietrzyć pokój. Zimne, mroźne powietrze wpadło do środka. Zrobił się przeciąg, bo w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich młody, trzydziestoparoletni zakonnik. – Szczęść Boże – powiedział i zaraz uśmiechnął się promiennie, widząc przy oknie Wiecha. – Coś tam znowu nawywijał, chłopie? – zapytał zakonnik, podchodząc do studenta z wyciągniętą ręką. Przywitali się serdecznie. Gospodarz wskazał ręką miejsce przy stole. Usiedli. – To jest pan Kazimierz Markowski, z „Solidarności”. Dziś w nocy aresztowała go esbecja, a godzinę temu uciekł milicji z moją skromną pomocą – wyjaśnił student. – A to – wskazał na zakonnika – ojciec Krzysztof, choć młody wiekiem, mój duszpasterz akademicki. Zakonnik i działacz uścisnęli sobie ręce.

– Panowie – zaczął dominikanin – to dosyć nietypowa sytuacja, przyznacie sami. Co do Wiesława, to oczywiście, jest to nasz, przepraszam – mój dobry znajomy. Znamy się z ruchu oazowego, no i oczywiście z NZS-u. Bo ja mam przyjemność pomagać trochę tym zapaleńcom z ruchu studenckiego. Ale czasy są takie, rozumie pan to na pewno jako działacz związkowy, że musimy być niezwykle ostrożni.

– Chce ojciec powiedzieć – przerwał mu Markowski – że obawiacie się esbeckiej prowokacji? Wcale się nie dziwię. To, co przytrafiło mi się dzisiaj w nocy, i później nad ranem, to było nic innego jak prowokacja tych...

– Spokojnie, panie Kazimierzu, nikt pana o nic nie podejrzewa, ale tak jak mówiłem, wydarzenia ostatniej nocy każą mieć się na baczności.
109

Dlatego nikomu nie możemy odmówić pomocy. Możecie zostać tu na razie, zaprowadzimy was do pokoju gościnnego. Potrzebny nam jest czas na pewne działania...

– Rozumiem, potrzebujecie zapewne jakiejś informacji na mój temat z wiarygodnego źródła.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli w stronę okna. Po ulicy piętro niżej przetaczało się coś ciężkiego. Student wstał i podszedł do okna. Ostrożnie wyjrzał, odsłaniając lekko firankę. Poniżej ulicą posuwał się transporter opancerzony.

– To tylko SKOT – wyjaśnił obu mężczyznom siedzącym przy stole.

– Polski czy ruski? – zapytał Markowski.

– Chyba nasz, ma szachownicę na wieży.

– Na razie nie mamy żadnych informacji o ruchach wojsk sowieckich. Wolna Europa podaje co chwilę komunikaty, ale jest w nich mowa tylko o polskiej armii – powiedział dominikanin, wstając od stołu. – Za chwilę ktoś przyjdzie po was i zaprowadzi do pokoju.

– Dziękuję za pomoc. – Markowski ukłonił się, podając rękę zakonnikowi. – A jeszcze jedno, niech ktoś, jeśli to możliwe, porozmawia z księdzem Kowalskim, proboszczem z parafii Św. Rocha. Trochę się znamy – dodał, uśmiechając się do wychodzącego ojca Krzysztofa.

Godz. 11.45

– Teofil, Teofil! Obudź się, pijanico. Do ciebie jacyś panowie tu są. Żona stała nad nim i tarosiła go za ramię.

Olkiewicz przetarł zapuchnięte powieki. Miał wrażenie, że dopiero co zasnął. I rzeczywiście, nie pomylił się wiele. Za ledwie pół godziny temu wrócił do domu i od razu, tak jak stał, bez rozbierania zaległ w stołowym. Już na śpiąco kobieta ściągnęła mu portki i koszulę. Nawet tego nie poczuł. Teraz usiadł na tapczanie i powoli zaczął wracać do przytomności. Popatrzył na telewizor i poczuł się od razu trochę lepiej. Ten widok zawsze działał na niego kojąco. Na odbiorniku stał pudel z wiskozy, a wewnątrz pudła była umieszczona butelka żytniówki.

110

— Co za panowie, do cholery? – warknął Teofil, rozglądając się za spodniami.

— No mówią, że od ciebie z pracy przyjechali, ale nie mundurowi – wyjaśniła Olkiewiczowa.

— Dobra, daj mi jakieś pory i koszulę, a ich weź do kuchni. Na herbatę postaw. Zaraz przyjdę, ino się odzieję.

Wyciągnęła z sosnowej szafy na wysoki połysk spodnie zaprasowane na kant i jasną koszulę w niebieskie paski. Przewiesiła to wszystko przez oparcie krzesła, koło okrągłego stołu stojącego na środku pokoju, i wyszła do kuchni.

Przed chwilajeszczce kompletnie zamroczony Teofil błyskawicznie poderał się z siedzenia i pochwycił pudła. Szybko zdjął nakrętkę, pociągnął spory łyk, a następnie na szyjkę nadział z powrotem głowę pieska. Odkładając pudła na miejsce, zauważył, że Matka Boska Częstochowska patrzy na niego z niemym wyrzutem z obrazu na ścianie za telewizorem. Przeżegnał się więc szybko i odwrócił, by uniknąć tego przenikliwego spojrzenia, które często dopadało go w chwili, gdy sięgał po wódeczkę. Chciał nawet kiedyś, zdenerwowany i znękany tymi oskarżycielskimi oczyma, przewiesić obraz w inne miejsce. Żona jednak powiedziała mu, że sam się może obwiesić gdzie tylko chce, a obraz ma zostać tak jak jest, bo to, że on antychrystem służy, nie zna czy, że ona się będzie dla niego Najświętszej Paniienki wyrzekać.

Wciągnął portki, założył koszulę i w laczkach bez skarpet poszedł do kuchni.

Przy stole pod oknem, przy szklankach herbaty, siedzieli smutni i naburmuszeni dwaj porucznicy, z którymi widział się już rano w mieszkaniu Nad Wierzbakiem.

— A kto to przyszedł mnie odwiedzić, własnym oczom nie wierzę.

Ukradli wam portfele i teraz szukacie u wszystkich, z którymi gadaliście dzisiaj?

— Nie wygłupiaj się, Teoś — zaczął Kurylak. — Naszszef chce się z tobą widzieć, co nie, Władziu?

— Właśnie — dodał Władziu, wyrwany z zamyślenia.

Teofil podciągnął pasek, bo spodnie mu opadały i poprawił wyłażącą z boku koszulę.

111

— Jadzia, idź do stołowego, bo muszę z tymi obwiesiami o służbowych kwestiach pogadać.

— A co tam będę siedzieć, jak telewizji ni ma — powiedziała i wzruszyła ramionami kobieta. — Do Krysiakowej na dół polecę.

Odwróciła się od pieca kaflowego, przy którym stała i nie żegnając się z gośćmi, wyszła. Olkiewicz poczekał chwilę, a gdy usłyszał trzask zamkniętych drzwi, podszedł do kredensu. Otworzył dolne drzwi po lewej stronie i ze środka wydobył butelkę stołowej.

— Nie częstuję, boście są na służbie, to pewnie nie pijecie, co chłopaki? — zapytał gospodarz, ale widać było, że raczej nie oczekiwał odpowiedzi. Wydobył szklankę z szafki i napełnił ją do połowy. Wypił jednym haustem, a później uśmiechnięty odwrócił się do dwóch oficerów.

Olkiewicz był starym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa i po wielu latach pracy w organach dosłużył się stopnia chorążego. Była to najwyższa szarża, jaką mógł otrzymać ktoś, kto nie miał skończonych wyższych studiów. Natomiast ci dwaj, którzy odwiedzili go dzisiaj, byli „porucznikami po szkołach”, jak pogardliwie myślał o nich Olkiewicz. Oni nie musieli tak jak on zaczynać od zwykłej służby w milicji i przechodzić wszystkich szczebli drabiny służbowej. Przychodzili sobie do SB i na dzień dobry dostawali stopień podporucznika, dla Teofila nieosiągalny. Uważał to za jawną niesprawiedliwość i dla takich facetów nie miał za grosz szacunku.

— Bo dla kogo niby miałbym mieć szacunek — myślał chorąży. —

Dla takich cymbałów, których jedynym osiągnięciem było zrobienie studiów? Jeśli on, Teoś, miałby takie możliwości jak oni, to dzisiaj miałby nie jeden, ale ze trzy dyplomy i pewnie byłby generałem. Tylko że nie miał tych cholernych dyplomów, bo nie było kiedy ich robić. Jak jego Jadźka zaszła w ciążę, musiał zaraz po zawodówce pójść do roboty i całe szczęście, że trafił na porządnego dowódcę na swoim pierwszym komisariacie. To on zmusił go do zapisania się do wieczorowego ogólniaka dla milicjantów. Powiedział mu, że jak się nie będzie uczył, to go przeniesie na posterunek w Obrzycku albo jeszcze gdzie dalej, bo w Poznaniu milicjanci muszą być wykształceni. Po dwóch latach niezbyt intensywnej na-

uki zdał maturę, i to właśnie ona pozwoliła mu na kontynuowanie kariery.
112

pomogło mu też pochodzenie. Urodził się na Chwaliszewie, dzielnicy cieszącej się nienajlepszą sławą w mieście. Znał tam dosłownie każdy kąt i niemal wszystkich mieszkańców. Dlatego zainteresowali się nim w Urzędzie Bezpieczeństwa i postanowili wykorzystać jego znajomość terenu i ludzi.

Teofil nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę i usiadł przy stole. Wziął ekstra mocnego z paczki leżącej na blacie i przypalił ruską benzynową zapalniczką. Kupił ją jakiś miesiąc temu na gemeli na Łazarzu i był z niej szczególnie dumny. Wyglądała niezbyt elegancko, jak nabój do strzelby myśliwskiej. Ale miała jedną ważną zaletę. Paliła na zwykłą benzynę samochodową, a nie na tę do zapalniczek, której ciągle brakowało w kioskach. Nie poczęstował gości papierosami. Oni wyciągnęli swoje klubowe i zapalili również. Niewielka kuchnia wypełniła się błyskawicznie smrodem przypominającym ten z palącego się siennika.

– No to mówcie, o co chodzi? – zapytał choraży, pociągając ze szklanki tym razem małego łyżeczka.

– Major Bielecki chce cię natychmiast widzieć. Chodzi o tę sprawę, co myśmy się dziś rano widzieli – wyjaśnił porucznik Kurylak.

– Ha, ha! – zaśmiał się głośno Olkiewicz. – Potrzebujecie wtyki u kryminalnych, bo sami se nie możecie dać rady.

– Auto jest na dole – powiedział Władziu Kolasa.

– I lepiej nie pij już gorzoły – dodał porucznik Kurylak.

– A co, kurwa, mam wam jeszcze poprowadzić to auto? – spojrzał na Kurylaka i opróżnił szklanekę do dna.

Godz. 11.50

Do zacisznej uliczki Krasickiego na osiedlu Świerczewo nie było daleko z przystanku autobusowego na Leszczyńskiej. Wystarczyło tylko przejść Przez Buczka i skręcić w trzecią w lewo. Jakies pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania był dom Mazurkiewiczów. W normalnych warunkach Michalakowie potrafili pokonać tę trasę w pięć minut. Dzisiaj jednak szli znacznie wolniej. Wszystko przez ten śnieg. Na osiedlowych chodnikach było śli-
113

sko, nawet przed tymi domami, których zapobiegliwi właściciele rozsypali popiół na chodnikach. Śnieg cały czas padał i to posypanie nie przynosiło dziś spodziewanego skutku. W takich warunkach nawet młody człowiek musi iść ostrożnie, a cóż dopiero dwójka emerytów. Na szczęście Feliks Michalak zabrał z domu swoją łaskę. Dzięki niej szło mu się zdecydowanie łatwiej. Żona trzymała się jego lewej ręki i powolutku dobrnęli do celu. Ze swojego mieszkania przy Rynku Jeżyckim wyszli parę minut przed dziesiątą, zaraz po tym jak Hela wróciła z kościoła. Spotkała się tam z księdzem i większością swoich sąsiadek. Dowiedziała się, że na ulicach jest w miarę spokojnie i że nawet komunikacja miejska działa jako tako. Postanowili więc, że nie ma co czekać i trzeba jechać na Świerczewo do córki. Wyszli z domu i pieszo przeszli przez Dąbrowskiego do przystanku na Roosevelta. Po półgodzinnym oczekiwaniu nadjechała piątka, która przewiozła ich na pętłę Górczyńską. Przez całą drogę siedzieli przyklepieni do tramwajowego okna, przyglądając się temu, co dzieje się na ulicach. Pierwszych żołnierzy zobaczyli na Kaponierze. Na środku ronda stał ustawiony zielony transporter z karabinem maszynowym w wieżyczce, a na chodniku koło kina Bałtyk, przy koksowniku grzali się wojskowi z karabinami przewieszonymi przez plecy. Na Zwierzynieckiej w głębi ulicy, naprzeciwko budynku regionu Zarządu Regionu „Solidarności” parkowało kilkanaście milicyjnych radiowozów. Wnoszono do nich jakieś worki, które milicjanci wynosili ze związkowego budynku. Później zauważyli wojskowe wozy pod Dworcem Zachodnim. Przed budynkiem, ustawionym frontem do ulicy Głogowskiej, przed którym nawet w niedzielne przedpołudnie zazwyczaj było pełno podróżnych, teraz nie było nikogo, nie licząc oczywiście kilkunastu mundurowych. Oko w oko z uzbrojonymi milicjantami stanęli dopiero na Górczynie. Gdy wysiedli z tramwaju, zatrzymało ich dwóch młodzieńców w mundurach. Jeden wymierzył do nich z pistoletu maszynowego, a drugi zażądał okazania dokumentów. Wtedy Michalak nie wytrzymał:

– Do kogo, gnoju, mierzysz z karabinu, co? Do Polaków?
Chwycił za lufę i odepchnął ją od siebie. Milicjant przestraszył się tak bardzo, że przeładował karabin. Na szczęście jego kolega, ten, który zażądał dokumentów, odwrócił się do niego i kazał mu opuścić broń. Skoń-
114

czyło się tylko na spisaniu dowodów. Ale Michalakowie jeszcze długo nie mogli się uspokoić. Na szczęście już po chwili na przystanek podjechał ich autobus. Po Paru minutach byli na Świerczewie.

Weszli po schodkach pod drzwi, trzymając się poręczy. Schody nieodśnieżone nie były zbyt bezpieczne. Hela zadzwoniła do drzwi. Czekali dość długo, zanim usłyszeli jakiś ruch wewnątrz domu. Otworzyła im Joanna. Wyglądała okropnie. Gdy zobaczyła swoich rodziców stojących na progu, po policzkach zaczęły jej spływać łzy.

Matka natychmiast schwyła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Co się stało, córca, mów szybko.

Ona bez słowa pociągnęła ją do domu. Ojciec podreptał za kobietami.

Michalakowie ściągnęli buty w przedpokoju i weszli do środka.

W salonie panował bałagan, jakby przeszła przez niego wichura.

Wszystko powywracane do góry nogami.

– Ale gemela – stwierdził Feliks, stając w przejściu między kuchnią a pokojem.

– Była tu milicja – wytłumaczyła Mazurkiewiczowa, widząc osłupienie w oczach rodziców.

– A co z twoim mężem? – zapytała matka.

– Uciekł. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Ale oni też nie wiedzą. Szukają go teraz.

Michalakowa widząc, w jakim stanie jest córka, postanowiła działać.

Weszła do kuchni i postawiła czajnik na piecu.

– Siednij se, Jasia, ja ci zrobię herbaty, a ty, Feliks, zostaw te telewizje i idź do piwnicy dorzuć do pieca, bo ziąb tu niemożebny.

Mężczyzna, który pochylony stał przy ruskim kolorowym odbiorniku, włączył przycisk. Ten telewizor marki Rubin Michalakowie wystali pod sklepem RTV w Alfie na Czerwonej Armii, rok temu. Stali na zmianę przez cztery dni i noce. I mało brakowało, by odeszli z kwitkiem, bo okazało się, że mimo społecznej listy kolejkowej kierownik sklepu z dostawy Pięćdziesięciu telewizorów jeszcze przed otwarciem sklepu upłynął połowę od tyłu. Zrobiła się z tego niezła chryja. Na szczęście Michalakowie mieli numer 20 w kolejce i zdążyli załapać się na towar. Telewizor oddali córce, a sami wzięli od niej niemal nowego, ale jednak czarno-białego
115

Neptuna. Dlatego Michalak czuł się trochę jak właściciel tego ruskiego kolorowego kolosa i gdy przychodził do córki, od razu włączał telewizor, by choć przez chwilę popatrzeć na świat w kolorach. Kolory były kiepskie, bo w zależności od tego, na jaki telewizor się trafiło, przeważały albo niebieskie, albo zielone. Jednak nie było co narzekać. Był to prawdziwy kolor i nikt się nie przejmował, że niektórym ruskim telewizorom zdarzały się wybuchające kineskopy. Trzeba było mieć nadzieję, że ten akurat nie wybuchnie. Po chwili obraz zrobił się zielonkawy, a zaraz potem na ekranie pojawiła się postać w mundurze, siedząca na tle wojskowego sztandaru.

– Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego.

Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie...

– Ty pierdolony kutasie – powiedział pod nosem Feliks Michalak i wyłączył telewizor. Trzeba było iść napalić w piecu.

ROZDZIAŁ V

Godz. 12.45

Sierżant Stefan Kmiecik lubił przyjeżdżać do Szamotuł. Ostatnio nie miał co prawda na to zbyt wiele czasu, ale gdy to było możliwe, wsiadał w Poznaniu w pociąg i po półgodzinnej jeździe był już na miejscu. To niewielkie miasteczko, położone w odległości niecałych trzydziestu kilome-

trów od Poznania, było miejscem, w którym się urodził i dorastał. Tutaj też zaczynał pracę w miejscowej komendzie MO. Ostatnio bywał tu coraz rzadziej, obowiązkowo jednak na Wszystkich Świętych, by odwiedzić groby swoich bliskich. Jednak od czasu jak rodzice zmarli, najpierw ojciec, a kilka miesięcy po nim matka, najważniejszy powód do częstych przyjazdów zniknął. Teraz w ich dawnym domu mieszkał jego młodszy brat, ale z nim nie układało mu się najlepiej. Nie widział go od pogrzebu matki, na którym zresztą tak się pokłócili, że mało nie doszło do mordobicia. Wszystko przez pomnik dla rodziców. Młody chciał, by za nagrobek zapłacili po połowie. Stefan natomiast uważał, że skoro brat dostał mieszkanie po rodzicach, to powinien wyłożyć całość za płytę. No i od słowa do słowa doszło do awantury, którą zażegnały żony, odciągając od siebie obu braci.

Maluch przejechał tory kolejowe, pozostawiając po prawej stronie dworzec, minął olejarnię i wzdłuż fabryki mebli, zwanej tu po prostu meblarnią, pojechał do rynku.

To właśnie tam mieszkał pewien znajomy, z którym sierżant musiał się koniecznie zobaczyć. Szamotulski stary rynek różnił się od podobnych tego typu miejsc w centrach innych starych miast. Jego środek zabudowa-

117
no bowiem kamieniczkami. W ten sposób rynek tworzyły cztery połączone ze sobą pod kątem prostym, szerokie ulice.

Kmieciak objechał rynek dookoła, obowiązywał tu ruch jak na rondzie, i zatrzymał samochód pod cukiernią. Wszedł z auta i zamknął drzwi kluczykiem. Pociągnął jeszcze za klamkę, by sprawdzić czy aby na pewno samochód jest zamknięty i ruszył chodnikiem. Nigdzie nie widać było ani milicyjnych, ani wojskowych patroli.

– Stan wojenny jeszcze tu nie dotarł – pomyślał sierżant.

Minął zakład zegarmistrzowski ze starym przedwojennym zegarem na wystawie i skręcił w prawo, w zaułek prowadzący na tyły kamieniczek. Po chwili znalazł się na niewielkiej uliczce prowadzącej do kolegiaty. W głębi, jakieś dwieście metrów dalej ostro odbijał się od śniegowej szarości ceglano-czerwony budynek starej szkoły podstawowej. Minął dwie bramy i przystanął przy trzeciej. Nacisnął klamkę i drewniane drzwi osadzone w wielkiej bramie wjazdowej ustąpiły. Najpierw poczuł smród dochodzący ze śmietnika po lewej stronie. Kwaśny odór rozkładających się resztek jedzenia najwyraźniej nie przeszkadzał miejscowym kotom. Cztery czarne dachowce siedziały przy otwartej metalowej klapie na betonowym, zaśnieżonym murku. Gdy zobaczyły nadchodzącego człowieka, wszystkie natychmiast zniknęły w dziurze płotu oddzielającego sąsiednią posesję. Wystarczyło jednak przejść pięć metrów dalej by śmietnikowy smród zmienił się w słodki zapach pieczonych ciast. W oficynie po prawej stronie długiego podwórka mieściła się piekarnia, w której pieczono ciasta sprzedawane w cukierni na dole budynku. Minął otwarte metalowe drzwi do pomieszczenia, w którym kilku ubranych na biało facetów układało placki na aluminiowych blachach.

– Tego Jaruzela pierdolonego to by trzeba za jajca powiesić, skurwiela jednego... – Młody chłopak, który wiedział, w jaki sposób ukarać generała, odwrócił się i spojrzawszy na dwór dostrzegł milicjanta. Ich spojrzenia spotkały się. Piekarz podszedł do wyjścia i z rozmachem zamknął drzwi. Kmieciak szybko przeszedł przez podwórko i wszedł do ciemnej sieni. Po drewnianych schodach dostał się na pierwsze piętro i zaraz zapukał do zielonych drzwi przyozdobionych mosiężną wizytówką z napisem T.S`. Grabkowscy.

118

Minęła dobra chwila, zanim w mieszkaniu zrobił się jakiś ruch. Szczęknięta stara drzwi wolno się otworzyły. Rozczochrany brunet po czterdziestce, ze starannie przyciętym wąsem a la Clark Gable w białym podkoszulku, pasiastych spodniach od pidżamy i czarnych skarpetkach spojrział zdziwiony na stojącego w drzwiach milicjanta.

– Co tam, Stasiu, odsypiasz wojnę? – zapytał Kmieciak i ominąwszy gospodarza wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Ceregiele były w tym wypadku zupełnie niepotrzebne. Obaj znali się od lat. Wychowali się na jednym podwórku, razem chodzili do szkoły i ra-

zem zaczynali robotę w milicji.

– A Teresa poszła do kościoła? – zapytał gość, ściągając grubą milicyjną kurtkę i wieszając ją na wieszaku w przedpokoju.

– No – odparł porucznik Grabkowski, zastępca komendanta Komendy Miejskiej w Szamotułach. – Wchodź do pokoju. Niedawno wróciłem z nocki i teraz trochę odsypiam, bo niedługo znowu muszę iść do roboty. Kawy ci zrobić czy coś?

– Daj spokój, chodź, siadaj i daj jeszcze jakieś szkiełko, bo małą butelczynę przywiozłem, to strzelimy sobie na dobry początek dnia. Sierżant rozsiadł się na krześle przy stole w jadalnym. Wnętrze było typowe dla takich starych mieszkań. Mieszanka starych mebli odziedziczonych po rodzicach i trochę nowych elementów, jak choćby ten stół, przy którym usiadł milicjant. Po lewej stronie pod ścianą stała stara dębowa komoda z witrynkąna górze, a naprzeciw niej rozkładany tapczan i dwa fotele obite sztuczną skórą, która już miała liczne ślady pęknięć na oparciach. Na wprost stołu na niewielkiej komodzie ustawiono ruski kolorowy telewizor, na nim bursztynowy statek-pamiątka z Kołobrzegu. Wyżej na ścianie tradycyjne retuszowane i podkolorowane zdjęcie. Spoglądali z niego uśmiechnięci, świecący śnieżnobiałymi zębami i różowymi policzkami dwadzieścia lat młodsi gospodarze. On w mundurze kaprała milicji, ona w białej sukni i ogromnym welonie. Dawny pan młody, dziś nieco bardziej zaokrąglony, z dodatkowym podbródkiem, przyszedł do stołu z dwoma kieliszkami w rękę i usiadł naprzeciwko. Kmieciak natychmiast nalał po pięćdziesiątce.

– Bimber? – zdziwił się porucznik, rozpoznając natychmiast charakterystyczny zapach. Porucznik z niedowierzaniem uniósł do góry brwi,

119

a potem przystawił kieliszek do nosa i jak prawdziwy smakosz sprawdzi drożdżowy bukiet.

– No, ale jaki, pierwsza klasa, z pszenicy, na twoim terenie robiony. Wypili, a sierżant nalał na drugą nogę. Przez chwilę rozmawiali o pierdołach, jak to zwykle między starymi kolegami bywa, w końcu przy piątym kieliszku Kmieciak przeszedł do konkretów.

– Tak naprawdę to ja do ciebie w kwestii mojego szwagra i tego bimbru przychodzę.

– Mów, w czym sprawa.

– Więc tak, mój szwagier, znaczy się brat mojej starej, ten drukarz, co go powinienes pamiętać, dorabia sobie na boku i tu za Pamiątkowem ujednej starej baby bimber pędzi. Teraz też tam jest, bo jakaś większą partię ma zrobić. Interes ma pół na pół z tą kobitą. No i rozumiesz, że dla mnie jako dla szkieła, no i dla mojej siostry te jego lewe interesy to nie jest najlepsza sprawa. Próbowałem gnojkwowi to ze łba wybić, ale nie skutkuje. No więc pomyślałem o tobie, Stasiu. Bo na kogo można liczyć jak nie na starych kumpli...

– Sprawa niby prosta. – Uśmiechnął się. – Znaczy się chcesz mu z dupy wybić bimbrowy interes, ale nie chcesz go wsadzać na dłużej, żeby przykrości i problemów w rodzinie nie było? No i żeby kary finansowej nie było. Dobrze mówię, nie?

– Co ja ci będę dużo gadał. Wiesz jak jest, Stasiu.

– No to ja tak to widzę. Weźmiemy go, przetrzymamy jakieś dwa dni, ktoś mu da pałą po tyłku, lekko, dla przestradchu, a później do domu. Sprawy nie było, a kolegium na właścicielkę. A swoją drogą to ten bimber robią tam pierwsza klasa.

– Parę literków tam chyba znajdziecie – zaśmiał się głośno sierżant Kmieciak i z radości klepnął kolegę w ramię.

Godz. 12.50

Teofil Olkiewicz ubił dziś świetny interes. Tak mu się przynajmniej wydawało od chwili jak wyszedł z gabinetu majora Bieleckiego. Pomyślał

120

sobie, że zamienił stare i niewygodne buty, w których chodził do tej pory, na równie stare, ale za to lepiej dopasowane. Miał jeszcze dziesięć minut do odprawy u Marcinkowskiego, więc poszedł do swojego biura na trzecim piętrze. W szafce w biurku miał zawsze schowanych parę butelek, na wszelki wypadek, a teraz właśnie taki wszelki wypadek się zdarzył. Miał co opić. Nie oznacza to wcale, że jakby nie miał powodu, to nie dziabnąłby sobie

jednego. Zwłaszcza że od kilku dni był cały czas dobrze na fali. No ale jak był dobry powód, to można było pić z większą radością—myślał chorąży Olkiewicz. Wszedł do pokoju, w którym nie było teraz nikogo, i zaraz zanurkował pod biurko. Wyciągnął butelkę żytniej i nalał miarkę do niezbyt czystej szklanki po herbacie. Spojrzał na brunatny osad na brzegach i wzruszył ramionami.

— Co tam — pomyślał — gorzoła zdezynfekuje.

Wypił i naczynie odstawił z powrotem do szafki. Rozsiadł się wygodnie na swoim krześle, nogi wyłożył na blacie biurka i zapalił ekstra mocnego. Gdy dwaj porucznicy wieźli go na komendę, myślał, że ten Bielecki, z którym jeszcze nigdy wcześniej nie rozmawiał, to palant taki jak ci dwaj. Okazało się jednak, że to bardzo przyzwoity człowiek. Przywitał się grzecznie z Teofilem, wstając zza biurka jak do kogoś ważnego. Kazał mu usiąść na fotelu przy ławie, nie na krześle przy biurku i zaproponował nawet kieliszek koniaku. Teofil odmówił oczywiście, bo nie wypadało moczyć mordy przed taką szyczą, ale ten major powiedział, żeby nie pierdolił głupot i wypił, jak mu dają. I tym ostatecznie ujął Olkiewicza. Tą swoją bezpośredniością. Teofil bardzo sobie cenił takich właśnie ludzi, którzy mówią tak jak on, od razu, co myślą, a nie kluczą gdzieś po opłotkach. Nalał po szklance ruskiego koniaku Biełyj Aist i od razu przeszedł do rzeczy.

— Te dwa patafiany skarżyły się, że się z nich naśmiewałeś? — zapytał na początku.

— Jak by obywatel major zobaczył ich głupie gęby, kiedy wpadli tam do środka z gnatami w ręce i natknęli się na szkiełków mundurowych, to wolałem się pośmiać niż płakać. A poza tym trzeba było coś zrobić, bo zaraz mogło dojść do awantury z tymi smutasami.

— No i rozładowałaś atmosferę. Powiedzieli mi wszystko dokładnie
121

— zaśmiał się major i zaraz wypił trochę koniaku, stukając swoją szklaniczką w szklankę Teofila. — Więc teraz powiem ci dokładnie, o co chodzi. Chodzi o duże pieniądze, które musimy odzyskać. Te banderole, co je tam znaleźliście, są od tych właśnie pieniędzy. Zależy mi więc, żeby to śledztwo szło jak najsprawniej, i co ważniejsze, żebym informacje o nim miał z pierwszej ręki. Dlatego zostajesz przydzielony do nich oficjalnie, jako nasze oczy i uszy.

— No ja już jakiś czas temu pisałem o przeniesienie do kryminalnego, bo tak se myślę, że to robota dla mnie akuratna — podchwycił szansę Teofil.

— I na przeszkodzie chyba nie stoi nic takiego, żebym z nimi robił i o pewnych kwestiach informował jak trzeba. W końcu i tak to jeden resort, nie? Major uśmiechnął się i spojrzał uważnie na Olkiewicza.

— No to twoje podanie zostało rozpatrzone pozytywnie. Formalnie już teraz podlegasz im, a nieformalnie mnie.

Teofil Olkiewicz był zadowolony. Czuł, że teraz wreszcie będzie mógł rozwinąć skrzydła. W SB od pewnego czasu przestał się czuć dobrze. On był typem miejskiego łazika, faceta, co to posiedzi w knajpie, pochodzi po targowisku, pogada z ludźmi o pierdołach, tymczasem ta robota, którą miał wykonywać, coraz bardziej przypominała nudną pracę urzędniczą. Dlatego tęsknił za zwykłą milicją i normalnymi śledztwami. U siebie w bezpieczeństwie czuł, że jest coraz bardziej spychany na boczny tor, a wszędzie panoszą się tacy wykształceni gówniarze. Oni wciąż poszerzali swoją agenturę, a jego coraz bardziej się kurczyła. W końcu napisał to podanie, ale pozostało bez odzewu. Przypadek sprawił, że przydzielili go w nocy do dyżuru i oto nagle, po paru godzinach, był już pracownikiem wydziału kryminalnego KW.

— I jak tu nie opić takiego farta — pomyślał Teoś i jeszcze raz sięgnął po butelkę i szklankę z biurka.

Godz. 12.55

Roman Mazurkiewicz wszedł do zrujnowanej stodoły. By dostać się głębiej, musiałby odwalić stertę desek albo spróbować wdrapać się na maskę Zetora i spróbować przeleźć po traktorze. Wybrał drugą możliwość.

122

po złamanej belce wspinał się na górę, z deski przeszedł na maskę traktora, później przytrzymując się komina, przeskoczył na siedzenie traktorzysty. Ono było już w niezasypanej części pomieszczenia. Zeskoczył na po-

kryte śniegiem klepisko. Środkowa część stodoły nie miała dachu, toteż śnieg wpadał tu bez przeszkód. Obie boczne części były jednak zadaszne i nawet słoma leżąca tam już od kilku lat wydawała się w miarę sucha. Podszedł do sterty siana i zaczął rozgrzebywać ją nogą. Spod buta z pi-
skiem wyleciało kilka myszy. Splunął w to miejsce z odrazą i odszedł na bok w stronę traktora. Siano nie nadawało się więc na kryjówkę.

– Te cholerne myszy mogą tu zeżreć wszystko, co się im podsunie pod pysk – pomyślał, przyglądając się jednocześnie traktorowi. Podszedł do maszyny i dokładnie zlustrował całą zniszczoną kabinę. W końcu znalazł to, czego szukał przy lewym błotniku. Niewielka skrzynka narzędziowa była umocowana tam na stałe. Miała jeszcze jedną zaletę. Posiadała bowiem szczelną klapkę zamykającą. Pod nią wklejona była guma, która kiedyś chroniła przechowywane tam narzędzia przed wilgocią. Dziś guma była już dość sparciała, ale jednak jeszcze trzymała się na tyle, że zamknięcie było dość szczelne. Długo się nie zastanawiał. Szybko opróżnił skrzynkę, a stare narzędzia wyrzucił na dno kabiny. Z plecaka wyciągnął paczkę zawiniętą w torbę foliową i owiniętą dodatkowo taśmą klejącą. Dla bezpieczeństwa poowijał to jeszcze starymi szmatami, które walały się na podłodze kabiny, po czym starannie zamknął pokrywę. Na koniec zaciągnął jeszcze skobel drucianego zacisku opasającego skrzynkę.

Zadowolony z wykonanej pracy jeszcze raz spojrzął na kasetkę, a potem tą samą drogą, którą wszedł do środka, wyszedł na zewnątrz. Burek, który dostrzegł jakiś ruch przy drzwiach stodoły, zaczął szcze-
kać, ale zaraz się uspokoił, gdy dostrzegł znaną już sobie sylwetkę. Mazurkiewicz przeszedł przez środek podwórza i dotarł do obory po przeciwnej stronie. Pierwsze pomieszczenie, to położone najbliżej domu, to według wyjaśnień babci była letnia kuchnia. Otworzył drzwi zamknięte na skobel. Wewnątrz stał żeliwny piec, a przy nim na podłodze okazałych rozmiarów cylindryczna aluminiowa chłodnica. Obok był stół, na którym ustawiono kilka kanek po mleku. Dwie kanki zacieru dojrzewały w kuchni w domu, musiał więc je tu przynieść, jeśli miał się zabrać do roboty.

123

Najpierw trzeba było jednak rozpałcić w piecu. Z drewni przyniósł trochę drewna na rozpałkę i koszyk węgla z piwnicy. Przytargał też obie kany zacieru. Znalazł i tę, którą stawiało się na ogniu. Miała metalową rurkę wlu-
towaną w pokrywę i opalone dno. Widać było, że używano jej już wiele razy przy produkcji bimbru. Sprawdził wszystkie plastikowe rurki i pla-
stem lekarskim przymocował do kanki i chłodnicy. Samą chłodnicę pod-
czepił przewodem do kranu.

Nie minęło pół godziny, jak po letniej kuchni zaczął roznosić się mało apetyczny, za to wróżący wiele przyjemności zapach gotowanego zacieru.

– Ino żeby się za mocno nie zagotowało. Na ogień trzeba uważać, bo jak war za mocny, to robota będzie do dupy – przestrzegła go babcia, która niespodziewanie stanęła w drzwiach, opatulona w gruby kożuch i wełnianą chustę. Widać, że po gospodarstwu musiała skontrolować prace, czy aby wszystko w porządku. – A te pierwszą miarkę wylej w cholerę, bo to sama żybura, nie do picia. A jak już trochę naleci, to do skosztowania przynieś – dodała i poszła do domu.

Godz. 13.05

– A to słyszeliście? – zapytał podporucznik Brodziak, który przy-
siadł na biurku, przy którym siedział wsparty na jednej ręce Olkiewicz. – Żona pyta się męża, co to jest konsternacja. To on jej tłumaczy: – No wiesz, jakbyś weszła do domu, poszła do sypialni i zobaczyła mnie w łóżku z naszą sąsiadką, to byłaby konsternacja. – Aha, rozumiem – odpowiada żona. – Jak bym przespała się z Nowakiem, a ty byś nas złapał, to by była konsternacja. – O nie, kochana, nie myl kurewstwa z konsternacją.

– Bo to się nie nazywa konsternacja jakaś, tylko prostytutka – za-
wyrokował Teofil. – Jak się baba puszcza, to ona jest dziwka i nieważne, czy za to bierze pieniądze, czy nie. Kurwa jest zawsze kurwa i szlus. Porucznik Marcinkowski, wchodząc do pokoju, miał wrażenie, że tra-
fił w jakieś nieznane sobie miejsce. Był przygotowany na to, że spotka się z grupą zaspanych i zmęczonych facetów, tymczasem już na korytarzu

124

dobiegł go gromki śmiech. Gdy otworzył drzwi, od razu poczuł, co było przyczyną tego radosnego ożywienia. Mimo smrodu dymu papierosowego, czuć było wyraźnie ostry zapach wódki. Nie musiał być szczególnie uważnym obserwatorem, by zauważyć, że wszyscy dziabnęli już sobie na rozgrzewkę. Fred nie zdenerwował się jednak wcale. Sam czuł, że musi się napić, dlatego od razu powiedział do nowego kolegi, którego podejrzewał o przywództwo sprawcze:

– No i co, panie Teoś, widzę, że już się panunas zaaklimatyzował?

– Ja tam, panie poruczniku, mam dziś święto, bo mnie dowództwo na stałe dało zgodę do was.

Porucznik przeszedł przez wyciągnięte długie nogi Grzecha Kowala i wcisnął się za swoje biurko. Wyciągnął z szuflady szklanekę i postawił na stercie papierów.

– W tej sytuacji to i ja nie odmówię.

Olkiewiczowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Szybko wyciągnął z torby napoczętą półlitrowkę. Pozostali też wyciągnęli swoje szkła z wyjątkiem Kowala, który chętnie by jeszcze wypił, ale wiedział, że Marcinowski nie lubi, jak jego kierowcy jeżdżą napici.

– Jeśli można, poruczniku, to ja od razu w sprawie służbowej dotyczącej śledztwa – odezwał się Teofil, gdy już wypili. – Dziś byłem już w swoim szefostwie i oni tam mają informacje dotyczące tych no, motywów. Najlepiej jak pan pogada z majorem Bieleckim. Ale wstępnie to powiem tyle, że obaj zabici mieli u siebie po dziesięć tysięcy marek. To pieniądze „Solidarności” na działania, w razie jakby związek nie był legalny. No i to jeszcze nie koniec. Tych bejmów było w sumie pięćdziesiąt tysięcy.

– Ja pierdolę – zaklął głośno Kowal, na którym ta kwota zrobiła niesamowite wrażenie, podobnie zresztą jak i na pozostałych milicjantach.

– Resztę ma facet, co mieszka na Świerczewie, ale on zniknął. SB już tam była rano i śladu po nim nie ma, jest tylko jego żona. Tu ma pan zapisane przeze mnie jego wszystkie namiary. – Wyciągnął z kieszeni kartkę z danymi i adresem Mazurkiewiczów. – No więc bezpieczeństwo szuka tych bejmów, znaczy się ci dwaj, co rano się spotkali z nami, szukają. Dlatego ja dostałem polecenie, że mam być ten no, łącznik między śledztwem

125
kryminalnym a tym drugim, żeby nikt ze sprawą nie obznajomiony się tu nie wpierdalał.

W pokoju zapadła grobowa cisza. To, co usłyszeli, wskazywało, że to nie było już zwykłe śledztwo kryminalne, ale grubsza afera. Bo 50 000 marek to przecież niewyobrażalne pieniądze w kraju, w którym przeciętna pensja wynosiła trzy tysiące, a dolar na czarnym rynku kosztował 350 złotych.

– Jak szukają ich ci dwaj kretyni, to chyba mamy niewielkie szanse na jakąś pomoc. – Brodziak zaśmiał się.

– Łej tam – Marcinkowski machnął ręką – niech se robią swoje, a my swoje. Jak coś znajdą, to pan chorąży nam powie, a jak my będziemy coś mieli, to im też damy. W końcu jeden resort, nie? – Uśmiechnął się, bo wiedział dobrze, że i tak będzie przekazywać im tylko ochłapy, podobnie jak i oni jemu. – Ale najważniejsze, że już wiemy, o co w tym wszystkim chodzi. No i teraz możemy zabrać się energicznie do roboty – dodał porucznik, patrząc na nienaturalnie zaczerwienione twarze facetów ze swojego zespołu. – W tej sytuacji panowie Olkiewicz i Brodziak skoczą na Pasterską, a Dąbrowa i Kowal przejadą się Nad Wierzbak. Witek Szewczyk, ty zabierasz się szybko do swoich odcisków, które być może do kogoś nas doprowadzą. Zespół podporucznika Brodziaka weźmie samochód z kierowcą. Z naszych chłopaków na dyżurze jest Władek Golon. Już wie, że z wami jedzie. Poza tym macie wziąć ze sobą po dwóch kumatych chłopaków z ZOMO, co siedzą teraz i czekają na robotę na stołówce. Niech polatają po mieszkaniach i popytają ludzi, czy coś widzieli.

– Pod warunkiem, że znajdziemy tam jakichś inteligentów, bo ostatnio z tym trochę kiepsko – rzucił ironicznie Brodziak.

– Bo niedorobiony towar z PGR-ów biorą do organów – dodał Szewczyk. – Obciach robią nam wszystkim.

– Mamy to, co mamy, więc liczę na waszą spostrzegawczość i milicyjne oko – podsumował dyskusję porucznik. – No i najważniejsze.

Zbieramy jak najwięcej informacji o milicyjnym radiowozie i milicjantach, którzy pojawili się w obu miejscach na krótko przed obydwojma zabójstwami. Mam wrażenie, że oni nas dokądś doprowadzą.

126

Godz. 13.30

— Łe, pani Walczakowa, no jak mówię pani, że onego znaleźli, to on już był całkiem zabity, to niech pani słucha. Boja tam z nimi stała na korytarzu, jak przyszli. Nawet mój stary też wylazł i wszystko widział. A najlepiej obeznany ze sprawą jest ten wojskowy Tomczak. Bo jak on powiadał, to słyszał w nocy, jak my spali, że ktoś strzelał. I potem zaraz chciał dzwonić na milicję, ale aparat nie działał, to poleciał w nocy sam i zawiadomił szkiełków na posterunku.

— Po nocy leciał? — zdziwiła się chuda jak szczapa Walczakowa z sąsiedniej klatki, która przyszła do Nowakowej dowiedzieć się, co się tu w nocy wydarzyło. Mówiła już o tym cała ulica, ale plotki były tak nieprawdopodobne, że postanowiła zasięgnąć języka u osoby najbardziej kompetentnej, czyli najlepiej poinformowanej.

— Po nocy samiuteńki poleciał i ze szkiełkami tu wrócił. A jak już byli na miejscu, to ci mundurowi wyciągnęli pistolety, otwarli drzwi i wpadli do środka.

— To jednak dobrze wiara gada, że to onego milicja zabiła jak przyszła rano.

— Blubry to, pani, a nie prawda. Oni tam wpadli do izby, a on już leżał zabity. Tomczak za nimi wlaźł i zobaczył, jeszcze nim go przegnali precz, że ten już nieżywy całkiem.

— Bo wiara gada, że on strzelał się z tymi szkiełkami, znaczy się, nie ten Tomczak, ino ten nieboszczyk Pietrasik, świeć Panie nad jego duszą.

— Ady tam się strzelał, zastrzelili go raz dwa, że nawet nikt nic nie usłyszał, ino ten Tomczak jeden, tyle że nie te szkieły, co tu były rano, tylko zupełnie inne.

— Nie może być, znaczy się prawdę powiadali.

— No coś w tym musi być prawdy, jak tu w nocy furgonetka milicyjna stała. Tomczak tym szkiełom mówił, że widział jak byli tu wcześniej jacyś od nich i zniknęli. No to, co to znaczy? — mówiła z przekonaniem Nowakowa. — Byli tu w nocy, rąbnęli go, a później dla niepoznaki przysłali innych, co niby nic nie wiedzą, coby ludziom w głowach namieszać. Zrobili tę wojnę i teraz strach we własnym domu siedzieć, bo widać,

127

jak się to może skończyć. A taki spokojny był, nikomu złego słowa nie rzekł. I jak skończył. Jak psa go te cholery zabiły. Wszystko przez tego Jaruzelskiego. To ta ślepa cholera rozkazała, a te papudroki się go słuchają.

— A żebyś pani wiedziała, pani Nowakowa, święta prawda.

Nowakowa chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle posłyszała za ścianą, na korytarzu, jakiś ruch. Szybko wstała od stołu i pobiegła do drzwi, żeby przez judasza popatrzeć.

— Zaś tu łążą — powiedziała, ścisząc głos, z okiem przyklepionym do dziurki. — Teraz ich dwóch przylazło, ale cywilni, widać lepsze szychy — powiedziała do sąsiadki, która też wyszła do przedpokoju.

„Lepsza szycha” w długim zimowym czarnym płaszczu i filcowym kapeluszu zerwała milicyjną plombę z paska papieru z pieczęcią komendy MO. Drzwi otworzyły się i mężczyzna wszedł do środka. Za nim poszedł drugi, wysoki i dobrze zbudowany, w puchowej kurtce i uszance z brązowego misia. Zamknęli za sobą drzwi, uniemożliwiając tym samym Nowakowej dalszą obserwację.

Major Bielecki minął przedpokój i wszedł do największego pokoju mieszkania. W powietrzu unosił się smród tytoniowego dymu, przemieszany z zapachem starych mebli i zakrzepłej krwi. Oficer marszczył z niesmakiem nos i zaraz ruszył przez stertę śmieci zalegających podłogę, by otworzyć okno. Fala mroźnego, rześkiego powietrza wpadła do środka, rozpędzając natychmiast zaduch panujący dotąd w mieszkaniu. Drugi z mężczyzn stanął przed fotelem, na oparciu którego widać było poczerńniętą wielką plamę. Nie zrobiła na nim większego wrażenia. Przyglądał się jej z chłodną, obojętną ciekawością.

— Tu siedział — powiedział Bielecki, wskazując ręką fotel.

– Yhm – odparł i kiwnął głową kapitan SB Roman Wirski.

– Sprawa jest, wydawałoby się, dość prosta – zaczął major, siadając na drugim fotelu w głębi pokoju.

Kapitan przysiadł na kuchennym taborecie, który pewnie ktoś z ekipy przeszukującej mieszkanie przyniósł do pokoju. Słuchając uważnie Bieleckiego, z wewnętrznej kieszeni kurtki wydobyl paczke peweksowskich marlboro w twardym kartonowym opakowaniu. Spokojnie zdarł banderole

128

; wraz z resztą papierka przykrywającego papierosy, zgrabnym ruchem dwóch palców utoczył niewielką kulkę. Ustawił ją na opuszkach kciuka i palcem wskazującym wystrzelił pod stół. Kolejnym pstryknięciem wysunął z pudełka kilka papierosów. Podsunął paczkę Bieleckiemu. Major poczęstował się. Połknawszy pierwszy łyk aromatycznego dymu Bielecki mówił dalej:

– Te pieniądze muszą się znaleźć u nas. A jeśli to niemożliwe, to lepiej niech je szlag trafi, byleby tylko nie dostały się w ręce opozycji. Nie można pozwolić, żeby oni stworzyli jakieś podziemne struktury. Musi pan zrobić wszystko, by znaleźć tych, którzy je zgarnęli.

– Rozumiem, że mam wolną rękę w podejmowaniu wszelkich działań? – raczej stwierdził niż zapytał Wirski.

– Oczywiście, to sprawa priorytetowa.

Major zgasił papierosa, wrzucając go do pustej szklanki po herbacie. Wstał i zaczął zapinać płaszcz. Nagle przerwał, bo coś sobie przypomniał. Spojrzał na Wirskiego i zapytał:

– Kapitanie, jeszcze jedno. To od agenta, którego pan prowadzi, dowiedzieliśmy się, że pieniądze przyjechały do nas z Niemiec?

– Tak. Wiedzieliśmy o tym od przedwczoraj, ale nikt nie wiedział, dokąd trafiły. Informacja była tylko taka, że przyszły tu na miejsce. Jakbym miał trochę więcej czasu, na pewno dowiedziałbym się wszystkiego o tej forsie. Ale niestety, za wcześnie wprowadzono stan wojenny. – Wirski się śmiał. – Ten mój informator był jedną z niewielu osób, które wiedziały, do kogo trafią pieniądze. Miał mi przekazać tę informację rano trzynastego grudnia, ale nie pojawił się w umówionym miejscu.

– Coś mu się stało, a może jest internowany? – zainteresował się Bielecki.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział beznamiętnie Wirski, patrząc Bieleckiemu prosto w oczy. – Ale dowiem się tego. – W jego spojrzeniu było coś, co mogło przestraszyć.

– Dobrze, że ten facet jest po naszej stronie – pomyślał Bielecki i wyszedł z pokoju.

129

Godz. 14.40

Porucznik Marcinkowski kazał szeregowemu prowadzącemu milicyjny łaźnik wjechać na Świerczewo jedną przecznicę wcześniej, by znaleźć się powyżej domu Mazurkiewiczów. Samochód przejechał więc przez Wróblewskiego, a potem skręcił w lewo, zatrzymując się na samym początku skrzyżowania z Krasickiego. Porucznik, wysiadając z auta, powiedział młodemu milicjantowi, że; ma czekać w środku, a on sam dalej pójdzie pieszo. Do domu Mazurkiewiczów było stąd jakieś dwieście metrów. Mimo że w samochodzie nie było zbyt ciepło, wyjście na zewnątrz okazało się nie lada przeżyciem. Musiało być chyba z piętnaście stopni mrozu, do tego jeszcze zacinający- wiatr zwiększał wrażenie zimna. Mimo to skulony, z opuszczonymi nausznikami i opatulony szalikiem wciśniętym aż na brodę szedł, nie śpiesząc się. Mijał podobne do siebie, nieciekawe domki z płaskimi dachami, szczyt myśli architektonicznej okresu gierkowskiego. Przyglądał się każdej posesji raczej z przyzwyczajenia, bo nie sądził, że może tu natrafić na coś interesującego. Interesujący okazał się dopiero samochód., czarna wołga zaparkowana niemal naprzeciwko domu, do którego zmierzał. Auto miało włączony silnik, a wewnątrz siedziało dwóch ludzi. Nie zwrócili uwagi na zbliżającego się do nich milicjanta, zbyt zajęci jedzeniem kanapek. Niższy, siedzący na miejscu pasażera właśnie nalewał do blaszanego kubka kawę z termosu. Fred podszedł do tylnych drzwiczek i otworzywszy je szarpnięciem, wskoczył do środka.

- Ręce do góry! - zawołał, a obaj siedzący odwrócili się gwałtownie do tyłu. Wraz z nim do ciepłego wnętrza auta wtargnął podmuch niosący falę przejmującego chłodu.

- Kurwa mać! - krzyknął niższy. - Aaa, moja noga - zawołał i zaczął strącać z nogawki gorący płyn.

- Co jest, kurwa? - Zdenerwowany Władziu patrzył na uśmiechniętego Marcinkowskiego, jakby za Chwilę miał go zabić.

- Nie mówi się, co jest, kurwa_, tylko dzień dobry - zaśmiał się Fred, niewiele robiąc sobie z groźnego spojrzenia esbeka. Zaczął spokojnie otrzepywać się ze śniegu.

130

Kurylak podniósł z podłogi kubek i zakręcił nim termos. Potem odwrócił się.

___ Mógłbyś porządnych ludzi nie straszyć - powiedział z wyrzutem.

___ Porządnych bym nie straszył - odparł Marcinkowski. - No ale pożartowaliśmy sobie, pośmialiśmy się, towarzysze, a teraz do roboty - zażartował, wypowiadając popularną kwestię z serialu Czterdziestolatek. Nie rozbawiło ich to wcale. Nadal mieli głupie miny. Jak koty srające w sieczkę - pomyślał Fred. Nie chwycili żartu, bo pewnie nie oglądali filmu. - No dobra, chłopaki - klepnął w ramię Kurylaka. - Przychodzę do was z przyjacielską wizytą.

- Słyszałeś, Władziu, co on pierdoli? - zapytał i zaśmiał się klepnięty porucznik, strząsając z siebie dłoń Freda.

- No słyszałem - odpowiedział Władziu.

- Chłopaki, to prawda, nie będziemy już wpadać na siebie, ale sobie pomagać. Tak postanowiło wasze szefostwo. Prowadzimy śledztwo, a wyniki sobie przekazujemy, w atmosferze wzajemnego zaufania.

Obaj esbecy, choć wydawałoby się to zupełnie niemożliwe, zrobili jeszcze głupsze miny.

- Że niby jak? - zdziwił się Władziu.

- Po bratersku, jak Polska Ludowa i Związek Radziecki - wyjaśnił mu Marcinkowski. - Chodzi o to, że jak na coś trafimy, to mamy wam o tym powiedzieć, a wy odwzajemnicie się nam tym samym. Czyli też nam nic nie powiecie. I dlatego chciałem zapytać po przyjacielsku, czy na coś trafiliście? Był tu w tym domu ktoś, albo ktoś wychodził z niego?

- Nikogo tu nie było - warknął Kurylak, który wyczuł, że jest robiony w balona.

- No i świetnie, o to mi chodziło i naszym szefom pewnie też. No to !ja wam powiem, że nic nowego w sprawie nie wiemy, a jak się dowiemy, to natychmiast damy znać. Podobnie jak wy, co nie, Władziu?

Klepnął Władzia i jeszcze raz Kurylaka, a potem wyszedł szybko z samochodu, zatraskując z całej siły drzwi. Przez chwilę jeszcze dwaj funkcjonariusze patrzyli, jak milicjant idzie w stronę obserwowanego przez nich domu, wchodzi po schodach i po chwili znika w środku.

131

- Wiesz co, Władziu, chyba trzeba mu będzie wpierdolić przy jakiejś okazji. Co za bezczelny kutas.

- Czemu nie, jak trzeba to mu mogę przypierdolić. Niech se nie myśli.

- Co nie myśli?

- Jak co? Wszystko jedno co.

Przed wyjazdem z komendy Fred Marcinkowski poszedł do biura majora Bieleckiego. Rozmowa trwała niespełna pięć minut. Major przekazał mu informacje dotyczące zastrzelonych skarbników i dał namiary na trzeciego, który zniknął. Był bardzo miły i nastawiony przyjacielsko. Widać było od razu, że liczy na to, iż śledztwo prowadzone przez porucznika doprowadzi ich do jakiegoś punktu, o którym można byłoby powiedzieć, że jest kluczowy. To znaczy, że na przykład znajdą miejsce pobytu ukrywającego się Mazurkiewicza i później SB będzie mogła przejąć sprawę. Nie powiedział tego oczywiście wprost, ale dawało się to wyczuć.

- Czyli jednym słowem my zrobimy całą brudną robotę, a później wkroczą chłopcy z bezpieki i spiją całą śmietankę - pomyślał Marcinkowski. - I dlatego trzeba będzie urządzić wszystko tak, żeby utrzyć tym

gnojom trochę nosa.

Uderzyło go jeszcze jedno: Bieleckiego w ogóle nie interesowała kwestia obu morderstw, albo inaczej to ujmując – interesowała go o tyle, o ile była powiązana z zaginionymi pieniędzmi. Czyli pieniądze to priorytet, a mordercy to sprawa kryminalna. Gdyby jednak okazało się, że mordercami byli – a tego na razie nie można wykluczyć – ludzie z „Solidarności”, wtedy to już zupełnie co innego. Wtedy tę sprawę można by odpowiednio wykorzystać.

Na razie jednak jedyne, co Fred wiedział o mordercach, zakładając, że to właśnie ich widziano pod jednym i drugim domem, to to, że byli to ludzie w mundurach milicyjnych. Więc, jako tacy, nie bardzo pasowali do pobożnych życzeń majora Bieleckiego. To jednak było na tyle ważne, że przed wyjściem z komendy kazał człowiekowi ze swojego wydziału sprawdzić wszystkie nocne polecenia wyjazdów i spisać wszystkich, którzy używali dziś milicyjnych nysek. Dał mu więc paskudne zadanie, bo

132
dziś w nocy jeździły niemal wszystkie samochody. Była to mrówcza robotka, ale trzeba było ją wykonać.

Istniał jeszcze jeden wątek tego śledztwa, który przekazał mu major, a później wskazał mu go jego bezpośredni szef, kapitan Karpiński. Chodziło o niejakiego Markowskiego, działacza „Solidarności” i sąsiada zabiętego z Pasterskiej. Ten człowiek dziś w nocy był na miejscu zbrodni, więc teoretycznie miał z nią coś wspólnego. Karpiński jakoś dziwnie upierał się przy tym, by i ta sprawa znalazła się w orbicie zainteresowań śledztwa. Okazało się bowiem, że Kazimierz Markowski był przesłuchiwany przez kapitana, a jakiś czas potem zwiął podczas transportu do więzienia. – To mogło dawać do myślenia – tłumaczył Karpiński swojemu podwładnemu. – Bo niewinni raczej nie uciekają. Jakby nie miał nic na sumieniu, to by siedział spokojnie i czekał na wyjaśnienie całej sytuacji, nie?

Nie przekonało to Freda. Według niego, facet jest tylko przypadkowym świadkiem, który ze sprawą nie ma nic wspólnego. Nie miał jednak wyjścia. Musiał przejąć od kapitana papiery Markowskiego i włączyć je do akt swojego śledztwa.

W drzwiach domu stał starszy mężczyzna. Spojrzał badawczo na Freda i otworzył szerzej.

– Czego jeszcze od niej chcecie? – zapytał z wyrzutem.

– Muszę porozmawiać z panią Mazurkiewicz – wyjaśnił milicjant, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Ażeby was wszystkich cholera wzięła – zaklął stary i poszedł do środka.

Fred poczuł się tak, jakby dostał w pysk, ale nie miał wyjścia, musiał się spotkać z żoną bankiera.

Godz. 15.05

– No teraz wreszcie wyglądasz jak człowiek – zaśmiał się ojciec Robert, młody zakonnik, który pochylał się z ostrymi fryzjerskimi nożyczkami nad Wieskiem. Jego bujna dotąd czupryna leżała w kawałkach

133
na brązowym linoleum, którym była wyłożona podłoga. Chłopak spojrzał po raz kolejny w lustro i zmarszczył czoło. Widać było, że nie podoba się sobie z krótko obciętymi włosami. Markowski, który leżąc na łóżku, obserwował postrzyżyny, zgadzał się w pełni z zakonnikiem. Chłopak z krótkimi włosami wyglądał zdecydowanie porządniej.

– Ale obciach – krzywił się dalej Wiesiek. – Jak ja się teraz ludziom na ulicy pokażę? A moi kumple to chyba mnie śmiechem zabijają. Wiara będzie myśleć, że się zapisałem do Ludowego Wojska.

– To znaczy, że będziesz pasował do tego, co dzieje się na ulicach. A zomowcy mogą cię spokojnie wziąć za swojego – drwił dalej zakonnik. Chłopak wstał i zaczął strzepywać z gołych ramion resztki włosów.

Dominikanin podszedł do stołu i wziął leżące tam zwinięte w kostkę, świeże ubranie. Wiesiek spojrzał na nie z niechęcią.

– I ja mam takie ciuchy ubrać? Rany, będę wyglądał strasznie.

Sięgnął po białą wykrochmaloną koszulę i zaczął ją niechętnie wciągać. Zmiana ubrania i przeistoczenie się w grzecznego chłopaka było konieczne.

Jeśli ktoś zapamiętał wygląd osoby, która pomogła w ucieczce Markowskiemu, opowie milicji o długowłosym hippisie. Tymczasem on będzie wyglądał jak grzeczny chłopczyk, który z subkulturą hippisowską nie ma nic wspólnego. Podczas narady z ojcem Krzysztofem wszyscy trzej doszli do wniosku, że chłopak może bezpiecznie wrócić do domu, bo nikt nie szuka właśnie jego, Wieśka. Szukają jakiegoś długowłosego młodzieńca, jeśli informacja o jego czynnym udziale w ucieczce w ogóle dotarła do milicji. Konieczna jest jednak zmiana powierzchowności, bo ostrożności nigdy nie za wiele. Na szczęście i w dowodzie osobistym, i w legitymacji studenckiej Wiechu miał zdjęcie jeszcze z liceum, czyli ze swoich przedhipisowskich czasów, kiedy to nosił zwyczajne krótkie włosy. Więc w razie przypadkowej kontroli nie będzie dysonansu między fotografią a rzeczywistością. Teraz w czarnych spodniach, granatowym sweterku i wystającej spod niego białej koszuli prezentował się zupełnie bez zarzutu.

— Budzisz zaufanie — stwierdził z uznaniem Markowski, wstając z łóżka.

— No to widzę, że jedną sprawę mamy z głowy — rzekł i uśmiechnął się na widok odmienionego Wieśka ojciec Krzysztof, który właśnie wszedł 134

do pokoju. — Możesz już uciekać do domu. I staraj się unikać ludzi w mundurach, bo podobno legitymują każdego podejrzanego.

— Teraz już nie wygląda na podejrzanego osobnika — zauważył młody zakonnik.

— No to czas się żegnać, panowie. Pan Markowski ma spotkanie. Proszę pójść ze mną.

Dwaj uciekinierzy podali sobie ręce i to wystarczyło za całe pożegnanie, o wymianie adresów i telefonów nie mogło być przecież mowy. Przeszli przez długi ciemny korytarz i po chwili znaleźli się na schodach. Były wąskie i nieco tylko jaśniejsze od korytarza. Mdle światło padało na nie z niewielkiego okienka. Markowski przystanął na moment i spojrzał na widoczne przez szybę niebo. Było ołowiane, a nabrzmiąle chmury niesione wiatrem wyglądały, jakby za chwilę miały pęknąć i rozsypać się nad miastem. Teraz nie padał śnieg, ale po chmurach można było rozpoznać, że to tylko chwilowa przerwa w opadach. Zakonnik pociągnął go za rękę. Zeszli dwa piętra niżej. Na dole od razu doleciał do nich kwaśny zapach kapusty i gotowanego mięsa. Znaleźli się więc w części gospodarczej. Gdy schody skończyły się, skręcili w prawo. Po jakichś dwudziestu krokach zakonnik stanął przed białymi metalowymi drzwiami. Przycisnął klamkę i otworzył je. Korytarz wypełniła smuga białego światła. Wewnątrz przy niewielkim biurku dostawionym do ściany, które prócz dwóch krzeseł stanowiło jedyne meblowanie w tym malutkim pokoiku, siedział łysiejący mężczyzna w wieku zbliżającym się do pięćdziesiątki. Okrągłą, naznaczoną niewielkimi zmarszczkami twarz ozdabiał starannie przystrzyżony wąs a la Wałęsa. Ubrany był w czarny golf wystający spod sztruksowej, brązowej marynarki. Spodnie z tego samego materiału wpuścił zgodnie z obowiązującą modą w traperskie skórzane buty ze sklepu myśliwskiego. Na widok dominikanina i Markowskiego wchodzących do środka poderwał się z krzesła.

— Panowie, nie będę przeszkadzał. Na pewno macie sobie dużo do powiedzenia. Za chwilę ktoś przyniesie wam kawę. Tu nie musicie się niczego obawiać. Te ściany w pokoiku intendenckim na pewno nie mają uszu — powiedział zakonnik i zostawił ich samych.

135

Mężczyźni podali sobie ręce. Znali się doskonale. Ten w garniturze nazywał się Kazimierz Miler i w Zarządzie Regionu zajmował się kwestiami organizacyjnymi, co w rzeczywistości było czymś w rodzaju zakamuflowanego związkowego kontrwywiadu.

— Pół miasta mówi o twojej ucieczce. — Miler zaśmiał się, klepiąc Markowskiego w kolano. — Jak ci się to udało?

Markowski wiedział, że ten początek to wcale nie jest przyjemna pogawędka obu dawnych kolegów. Pytający chce sprawdzić jego wiarygodność i wyłapać ewentualne nieścisłości. Mógł być przecież złamanym działaczem nasłanym przez bezpiekę. Dlatego pytanie to wcale go nie zdziwiło ani nie zdenerwowało. Zaczął więc swoją opowieść od tego, co

zdarzyło się tuż przed aresztowaniem, czyli od znalezienia zwłok sąsiada, poprzez pobyt w celi, doprowadzając ją aż do ucieczki i znalezienia się u dominikanów. Miler co chwilę przerywał mu, zadając precyzyjne pytania dotyczące ludzi, z którymi rozmawiał przez te kilkadziesiąt godzin. Niektóre uwagi zapisywał w niewielkim kalendarzyku TENO w wiśniowej okładce. Gdy skończył, Miler zapisał jeszcze coś na koniec i zamknął kalendarzyk.

– Wszystko to wygląda jak początek dobrego kryminału – podsumował. – Nie mamy tylko mordercy.

– Nie mamy też motywu – zauważył Markowski.

– Niestety, właśnie motyw jest i to nie byle jaki...

– Co masz na myśli?

– Nie mam czasu na owijanie w bawełnę. Nie mam też wyboru i muszę ci zaufać. Twoja ucieczka wygląda tak nieprawdopodobnie i jest takim splotem przypadków, że nie podejrzewam bezpieki ojej wymyślenie. Dlatego dla mnie jesteś czysty. W tej sytuacji, od razu muszę cię wciągnąć w robotę, w której przydadzą się twoje umiejętności.

– Mów, o co chodzi.

– O ten kryminał właśnie. Kilka dni temu Zarząd Regionu dostał pięćdziesiąt tysięcy marek na opozycyjną działalność w razie gdybyśmy musieli zejść do podziemia. Te pieniądze przechowywało trzech ludzi. Dziś wiem już na pewno, że dwaj z nich nie żyją, a trzeci gdzieś zniknął. Zniknął też kurier, znaczy się człowiek, który rozwoził te pieniądze do

bankierów. A jeden z zabitych był twoim sąsiadem, nazywał się Walkowiak. Musimy koniecznie odnaleźć trzeciego skarbnika i pieniądze pozostałych dwóch.

-- I ja mam to zrobić?– zdziwił się Markowski.

– Nie mam nikogo lepszego.

– Co ja, kurde, jestem porucznik Borewicz? Przecież ja się na tym nie znam – próbował się bronić.

– Odmawiasz swojej pomocy związkowi?

– Wiesz, że nie odmawiam, tylko mówię, że to chyba przerasta moje możliwości...

– Jak bym miał jakiegoś detektywa do dyspozycji, to nie rozmawiałbym o tym z tobą. Ale tak się składa, że nie mamy pod ręką żadnego zaprzyjaźnionego oficera śledczego. Muszę więc zadowolić się tobą. Wiem, że jesteś przygotowany do trudnych zadań.

Markowski spojrzał uważnie na swojego rozmówcę. To przygotowanie, o którym wspomniał, to specjalistyczne przeszkolenie wojskowe. Spędził w czerwonych beretach pięć lat i pewnie do dzisiaj byłby zawodowym żołnierzem, gdyby nie kontuzja kolana. Podczas swojego ostatniego skoku spadochronowego złamał nogę w tak paskudny sposób, że musiał się z wojskiem pożegnać. Mimo rehabilitacji, noga nie wróciła do dawnej sprawności. Przez ostatnie lata ćwiczył wytrwale i teraz prawie nie było widać, że lewe kolano jest mniej sprawne od prawego. Pomogła mu w tym jego pasja do gór. W każdej wolnej chwili zabierał ze sobą zestaw specjalistycznych lin, które przywiózł z wycieczki do NRD, i wyruszał na skałki, w Jurę Krakowsko-Częstochowską. Nie wchodził wyczynowo, ale wyłącznie dla przyjemności. Wkrótce jednak okazało się, że drogi, które robi na skałkach, należą do najtrudniejszych i mało kto potrafi mu dorównać. Jego atutem były niesamowicie silne dłonie i niewielka waga ciała. Był szczupły, ale doskonale umięśniony. Codzienne ćwiczenia robiły w końcu swoje.

Jeśli więc chodzi o warunki fizyczne to mógł się zgodzić z Milerem, że jest przygotowany do najtrudniejszych zadań. No, ale w końcu nie chodziło tu o wdrapywanie się na ściankę, tylko o odnalezienie pieniędzy i wytropienie morderców.

137

– Zrozum, te pieniądze są nam potrzebne. Bez nich nie jesteśmy w stanie zacząć normalnie funkcjonować. Musimy mieć tę kasę. W tej chwili mam do dyspozycji trzy osoby. Jedna z nich potrafi napisać traktat o taktyce walki podziemnej, druga może to namalować, a trzecia na-

pisać o tym poemacie. Ale na ulicy zabijają się o własne sznurówki. To moje kadry. Dlatego spadłeś mi jak gwiazdka z nieba. Jeśli ty nie rozwikłasz tej sprawy, to nie zrobi tego nikt. Musimy się śpieszyć, bo czas działa na naszą niekorzyść.

– Kto może mi pomóc w ustaleniu miejsca pobytu ukrywającego się bankiera? – zapytał rzeczowo Markowski, podejmując decyzję.

– Jego żona, Joanna Mazurkiewicz. Mam nadzieję, że ona coś wie.
Godz. 15.15

– Nic nie wiem – powiedziała Joanna Mazurkiewicz, patrząc na Marcinkowskiego. Oficer od pół godziny próbował wyciągnąć coś z tej kobiety. Ale ona była impregnowana na argumenty. Widać było na pierwszym rzut oka, że chce ochraniać swojego męża. Tylko że nie dzieląc się swoją wiedzą z milicją, robiła coś wręcz odwrotnego. Pozwalała tym, którzy chcieli go odnaleźć i zabrać pieniądze, na wyprzedzenie milicyjnego śledztwa. Zresztą oni cały czas byli parę kroków w przodzie. To oni mieli dokładne rozeznanie w tym, kto przechowuje pieniądze. Dotarli do dwóch skarbników i nie zdążyli dotrzeć do trzeciego. Więc ten trzeci był w poważnym niebezpieczeństwie, zdany wyłącznie na siebie. Marcinkowski myślał, że może informacja o zagrożeniu spowoduje, iż ona się wreszcie otworzy. Nic z tego. Nie wierzyła mu. Traktowała go jak przeciwnika, a nie sojusznika. Nie ma się zresztą co dziwić – myślał porucznik.

– Dopiero co wróciła z przesłuchania, które zafundowali jej koledzy z SB. A oni mieli głęboko w dupie, czy facet przeżyje czy nie. Im zależało przede wszystkim na odnalezieniu pieniędzy.

On myślał trochę inaczej. Chciał przede wszystkim nie dopuścić do trzeciego morderstwa. Gdyby przy tym udało się również zabezpieczyć pieniądze, byłoby dobrze. Choć o forszę to niech się martwią esbecy.
138

– Musi pani zrozumieć. Pani mąż jest w poważnym niebezpieczeństwie. Dziś w nocy zginęły już dwie osoby...

– Tylko dwie? To kiepski wynik, jak na waszą wojnę – zadrwiła Mazurkiewiczowa, patrząc hardo na milicjanta.

– Pani naprawdę nic nie rozumie. Jest stan wojenny, to prawda – tłumaczył cierpliwie porucznik. – Ale ja nie jestem milicjantem zajmującym się wprowadzaniem tego stanu wojennego. Od tego jest Służba Bezpieczeństwa i wojsko. Ci faceci, co siedzą w tej wołdze naprzeciwko, to jest policja polityczna. A ja jestem zwykłym facetem, który zajmuje się tylko sprawami kryminalnymi.

– Rozumiem. – Kobieta zaśmiała się. – A mój mąż jest kryminalistą, którego trzeba wsadzić do więzienia.

– Nie jest kryminalistą, ale jacyś bandyci mogą chcieć mu zrobić krzywdę. Tak jak tym dwóm jego znajomym, których zastrzelono dzisiaj w nocy. Muszę znaleźć pani męża przed nimi. Oni na pewno już go szukają. I co więcej, boję się, że mogą wiedzieć, gdzie jest.

Stary zegar stojący w kącie pokoju wybił kwadrans po piętnastej. Fred odruchowo spojrzął na zegarek. Zapadła cisza. Gdzieś z dołu, zza uchylonych drzwi piwnicy słychać było tylko szuranie szypy, którą stary Michalak dosypywał węgla do pieca.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie mąż może być. Wszedł z domu wczoraj i od tego momentu go nie widziałam.

Matka, która siedziała cały czas obok córki, nie odzywając się wcale, w końcu nie wytrzymała.

– Panie, on jest porządny chłopak, krzywdy by nikomu nie zrobił. Nawet ten, jak mu tam, Kmiecik, milicjant, jego szwagier, może dać za nim świadectwo.

Joanna spojrzała na matkę, jakby ją chciała zadusić.

– Co też mama gadasz – fuknęła Mazurkiewiczowa. – Czy pan mówi, że on jest zły? Pan chce go tylko aresztować. A u nas się nie aresztuje złych ludzi, tylko wsadza tych, co myślą inaczej niż wolno myśleć... Mówiła coś jeszcze, ale Fred już nie słuchał. Że tą gadaniną chciała zatłuszczać to, co powiedziała niechcący matka, było dla niego ponad wszelką wątpliwość. Gadała teraz bzdury o polityce, byleby tylko odwrócić jego uwagę od szwagra. Najważniejsze jednak zostało powiedziane i on to na-

tychmiast wychwylił. Szwagier milicjant, powiedziała matka. A ten szwagier milicjant mógł coś wiedzieć. Porucznik Marcinkowski chciał w tym domu złapać jakąś nitkę i wreszcie poczuł, że ją trzyma. Teraz trzeba się tylko przekonać, czy ta nitka dokądś go zaprowadzi. – Trzeba to sprawdzić – pomyślał Fred, wstając z fotela.

– Jakby się pani jednak czegoś dowiedziała, proszę skontaktować się ze mną albo z kimś z mojego wydziału. Ja naprawdę chcę pomóc pani mężowi. Podał jej swoją wizytówkę.

– Dobrze, napiszę wtedy list, bo telefony nam odłączyliście.

Godz.16.30

Roman Mazurkiewicz miał słabą głowę. Wszyscy jego znajomi wiedzieli dobrze, że wystarczy mu wypić zaledwie pół litra i już zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością. Nie żeby zaraz nie mógł dalej pić. Co to, to nie. Jak każdy porządny pijak imprezowy, po pierwszej półlitrowce dopiero się rozkręcał i nabierał ochoty do dalszego picia. Tyle że gdy normalny człowiek po takiej dawce alkoholu zaczynał się dobrze bawić, on już był gotowy do jakiejś rozróby i szukał zaczepki. Potrafił na przykład podczas wesela zwymyślać stryjka, który przez całe życie był działaczem partyjnym od pierdolonych bolszewików, czy nawet powiedzieć podczas zakładowej wycieczki koledze kierownikowi, że jest złodziejem i do tego zakłamaną świnią, która na dodatek donosi na pracowników do bezpieki. Dlatego ludzie nie bardzo chcieli z nim pić. Bo każdy lubi się napić w kulturalnych warunkach. Pogadać przy wódeczce o dziewuchach, poświntuszyć, kawał jaki opowiedzieć, by towarzystwo miało trochę radości. No, ale jeśli w doborowym towarzystwie znajdzie się choćby jedna czarna owca, to cała impreza może być zepsuta. Jak łyżka dziegciu w beczce miodu może cały smak spaprać, tak i taki jeden, co gęby zamknąć nie umie, cały nastrój może spaskudzić. Bo co to za kultura prawdę powiedzieć. Przecież w rodzinie wszyscy wiedzą, że stryjek to bolszewic-
140

ka świnia, a i w zakładzie każdy nawet praktykant wie, że kierownik donosi i co to za odkrycie wielkie. A dzięki takiej prawdzie, wywalonej prosto w ślepią, stryjek przestanie być komunistyczną gnidą? A ten drugi niby to od razu na kolana padnie i łkając, przeprosi wszystkich, że był przez lata całe kanalia? Nic z tych rzeczy. Nic takiego się nie stanie. No to po co psuć wszystkim przyjemność delektowania się bałtycką. Nic więc dziwnego, że ludzie nie lubili pić z Mazurkiewiczem, bo taka nikomu niepotrzebna prawda mogła każdego przy stole trafić.

Mazurkiewicz zdawał sobie z tego sprawę, ale nic na to poradzić nie mógł. Wiedział, że jeśli wypije za dużo, zaraz jakiejś kanalii przywali. Starał się więc w towarzystwie pić w minimalnych ilościach. Gdy czuł, że nadchodzi chwila, w której, jak każdy chłop, musi się od czasu do czasu sponiewierać, zapraszał na wódkę swojego szwagra, Kmieciaka. Z nim można było pić bez obawy, bo obelgi w rodzaju milicyjna kanalia nie robiły na nim żadnego wrażenia. On się najzwyczajniej w świecie nie miał ochoty obrażać o takie pierdoły.

Dziś Mazurkiewicz odkrył jeszcze jeden rodzaj picia zupełnie nieszkodliwy dla otoczenia. Siedział sobie od kilku godzin w letniej kuchni patrzył na wesoło mrugające do niego kropelki bimbrowe spływające z chłodnicy wprost do wielkiej aluminiowej kany po mleku. Co jakiś czas zanurzał w niej metalowy kubek i próbował. Na początku była to rzeczywiście tylko degustacja. Później kubek napełniał się coraz głębiej, a degustator robił się coraz bardziej czerwony na gębie. W sumie wypił już około litra i jak dotąd nikomu się od niego nie dostało. Nie można przecież brać pod uwagę tych paru zdań prawdy wypowiedzianej, a właściwie wymruczanej pod adresem generała Jaruzelskiego i nieśmiertelnych, trwałych więzów przyjaźni między narodem polskim a narodami Związku Radzieckiego. Gdy więc zobaczył milicjanta wchodzącego do kuchni, nawet się ucieszył. Spojrzał na niego spode łba i zaraz zaczął się zastanawiać nad jakąś dosadną zwalającą z nóg obelgą. Nie zdążył. Zaraz po pierwszym milicjancie prób przekroczył drugi, trzeci, czwarty i wreszcie piąty.

– Jak obrazić każdego z nich? – myślał Mazurkiewicz. – Ale tak, żeby ich wszystkich szlag jasny trafił. No i którego wybrać najpierw. Tego małego, co stoi przy drzwiach, a może tego grubasa, który próbuje właśnie

przepędzonego, jeszcze ciepłego bimbru. Z tych rozmyślań wyrwał go nieprzyjemny, rzeczowy głos:

– Dowodzik proszę, obywatelu.

Pijany obywatel spojrział w górę i dostrzegł zadowoloną z siebie, uśmiechniętą twarz w milicyjnej czapce uszance. Zmarszczył czoło i z wyraźną trudnością wypowiedział kwestię, która powinna była wszystkim zebranym tu milicjantom dać porządnie do myślenia.

– Wy niebieskie kutafony.

W letniej kuchni zapadła głęboka cisza, tak że przez chwilę słychać było tylko bulgot zacieru w kotle na piecu. I zaraz potem sufitem wstrząsnął tubalny śmiech pięciu mężczyzn.

– Dobra, chłopaki, nic z niego nie wydobędziemy – zdecydował sierżant kierujący akcją. – Grzegorek i Macuła weźcie go do radiowozu i przykujcie do krzesła, żeby se krzywdy nie zrobił. A wy, Tokarek, weźcie tę kankę na śnieg. Niech się trochę ochłodzi. Tylko zamknijcie wieko, żeby procenty nie uciekły.

Dwaj milicjanci wyprowadzili kompletnie pijanego Mazurkiewicza.

Nie opierał się. Za to próbował coś powiedzieć, krzyknąć nawet, ale mu najwyraźniej nie wychodziło. Dwie minuty później siedział już przykuty do ławki.

– Obywatelu sierżancie, może by jeszcze trochę poczekać – proponował Tokarek, spoglądający z zafrasowaną miną na bulgoczącą aparaturę. – Tam tego zacieru jeszcze zostało. Za jakieś piętnaście minut wszystko przez chłodnicę przeleci. Szkoda tyle tego dobra marnować.

– No dobra – zdecydował sierżant. – Ja idę babcię spisać, a wy tu dokończcie robotę. – Mrugnął porozumiewawczo do plutonowego Tokarka i poszedł do chałupy.

Godz. 21.50

Doktor Filip Kruczkowski siedział w lekarskiej dyżurce szpitala im. Raszei i palił papierosa. Palił klubowego, choć szczerze nienawidził tych ohydnych papierosów. Klubowe to był według niego wyrób tytonio-

142

podobny. Normalnie palił tylko i wyłącznie carmeny. Ale od jakiegoś czasu jego ulubione papierosy zniknęły z kiosków. Musiał jednak zrealizować swoje kartki na tytoń i wykupić to, co dawali, bo kartka niewykupiona w miesiącu, na który była wydana, traciła ważność. A w kioskach sprzedawcy oferowali ostatnio tylko klubowe, radomskie, ekstra mocne bez filtra i popularne. O ile radomskich doktor Kruczkowski zwyczajnie nie lubił, o tyle popularne i ekstra mocne to było już wyjątkowe świństwo, którego za nic w świecie nie wzięby do ust. Chcąc nie chcąc, wykupił w tym miesiącu cały kartkowy przydział klubowych. One zresztą też były śmierdzącym paskudztwem, ale nie było innego wyjścia. Trzeba było zadowolnić się tym, co dają i nie wybrzydzać. Zaciągnął się jeszcze raz papierosem i z niesmakiem zdusił niedopałek w popielniczce. Spojrzął na swoją prawą dłoń, w której jeszcze przed chwilą trzymał klubowego i skrzywił się jeszcze bardziej. Te papierosy oprócz nieprzyjemnego smaku miały jeszcze jedną brzydką cechę. Skóra w miejscach, które miały kontakt z papierosem, robiła się natychmiast żółta. Teraz lekarz patrzył na dwa palce prawej ręki naznaczone tytoniowym osadem. Wstał z leżanki, na której siedział i podszedł do umywalki. Szczoteczką i mydłem dokładnie wyszorował zabrudzone miejsce, ale odrobina nalotu i tak została. Zrezygnowany wrócił na swoje miejsce i położył się. W tej chwili nie miał już nic do roboty.

Wieczorny obchód na swoim oddziale intensywnej opieki medycznej zakończył jakieś trzy godziny temu i wiedział, że jeśli stan żadnego z pacjentów nie pogorszy się gwałtownie, miał przed sobą kilka godzin spokoju. Pod aparaturą miał w tej chwili jednego zawałowca, jednego po wylewie i mężczyznę przywiezionego z wypadku. Stan tych dwóch pierwszych był stabilny i mógł zakładać, że ich życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Najgorzej było z tym trzecim. Był to milicjant, którego samochód zderzył się w nocy z wojskowym transporterem. Facet miał kilka poważnych złamań, a oprócz tego pękniętą czaszkę. I to właśnie o niego doktor bał się najbardziej. Kryzys mógł przyjść w każdej chwili, a to ozna-

czało jedno – nici ze spokojnego dyżuru.

– Ciekawe, swoją drogą – zastanawiał się Kruczkowski – dlaczego dotąd w szpitalu nie pojawił się nikt z milicji, by dowiedzieć się, w ja-
143

kim stanie jest ich kolega. Zgodnie ze wszystkimi procedurami o przewie-
zieniu do nich funkcjonariusza szpital poinformował telefonicznie
komendę miejską natychmiast, gdy pacjent znalazł się w szpitalu. No, ale
w końcu, co się dziwić. Dziś te gnoje mają pełne ręce roboty z wprowa-
dzeniem porządków w kraju.

Rozłożony wygodnie sięgnął ręką na niewielki stolik. Leżała tam ksią-
żeczka z serii „Tygrysa”, którą kupił sobie w kiosku „Ruchu” specjalnie
na dzisiejszy dyżur. Lubił te niewielkie książki wojenne, bo takamikropo-
wieść mógł przeczytać w całości podczas jednego wieczoru. Spojrzał na
okładkę, z której szczyrzył na niego zęby groźnie wyglądający zwierz.
Nieco wyżej, ponad czarnymi tumanami dymu wznosił się czterosilniko-
wy bombowiec.

– Rafinerie płoną o zmierzchu – przeczytał półgłosem tytuł i otwo-
rzył „Tygrysa” na pierwszej stronie.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Lekarz spojrział
znad książki.

W progu stanęła siostra Renata Majcherek. Szczupła, bardzo ładna
blondynka. Miała jakieś dwadzieścia lat. Uśmiechnęła się nieśmiało, za-
mykając drzwi.

– No, co tam siostró? – zapytał Kruczkowski, siadając na tapczanie.

– Przyszłam tylko powiedzieć, że wszystko w porządku. Nic się nie
dzieje.

– No to świetnie – ucieszył się lekarz. – To znaczy, że mamy trochę
czasu dla siebie. Zaklucz tylko drzwi na patent, żeby muchy nie leciały.
Siostra obróciła się i posłusznie spełniła polecenie lekarza. Potem po-
deszła do tapczanu, spoglądając na doktora ze znacznie już śmielszym
uśmiechem. On zaś odłożył książkę na stolik.

– Chyba nie poczytam już dzisiaj – pomyślał, patrząc jak dziewczyna
ściąga z siebie biały fartuch, odsłaniając różowe majtki i różowy,
usztyniany stanik.

ROZDZIAŁ VI

Poniedziałek 14 grudnia 1981

Godz. 05.15

Zygmunt Cholewiak wszedł na tylny pomost śmieciarki marki Star,
złapał się jedną ręką stalowego uchwyty, a drugą machnął w stronę kie-
rowcy, że wszystko w porządku i można jechać. Ten wrzucił jedynkę i cię-
żarówka powoli ruszyła.

– Cholerne zimno – mruknął Cholewiak, wciskając mocniej czapkę
z nausznikami na głowę. – W taki ziąb to człowiek powinien siedzieć
w domu, a nie się uganiać za cudzymi gównami – krzyknął do Czecha Pi-
kusy, który stał na podobnym pomoście z prawej strony śmieciary.

– Co? – spytał Pikusa, przekrzykując hałas silnika.

– Zimno! – odpowiedział Cholewiak.

Minęli po lewej stronie „Modenę”, w której jeszcze było ciemno,
a oświetlona była tylko brama wjazdowa. Ciężarówka, z piskiem i jazgo-
tem dobywającym się z blaszanego bębna na śmieci, zatrzymała się przed
kolejną kamienicą. Obaj pracownicy zeskoczyli ze swoich podestów i ru-
szyli w stronę bramy. Tak jak większość starych bram na Jackowskiego,
i ta nie była zamknięta. Kiedyś, jeszcze w latach pięćdziesiątych dozorca
z każdej kamienicy miał obowiązek pilnować wejścia i zamykać je na noc.
Każdy dozorca dbał też o czystość w bramie i na schodach. Później jednak
dozorców przemianowano na administratorów, którym podlegał nie je-
den, ale kilkanaście domów. Nic więc dziwnego, że taki administrator
miał w nosie zamykanie wieczorne poszczególnych bram. No i oczywiście
nie było mowy o tym, by chciało mu się zadbać o czystość na scho-
dach. Tam, gdzie lokatorzy byli nauczeni porządku, organizowali się sami
145

i wyznaczali sobie dyżury sprzątnięcia. Natomiast w tych kamienicach,
gdzie przeważali ci, którzy porządkowali swoje życie tylko i wyłącznie za
pomocą butelki korbola, panował niemiłosierny bałagan. Wszystkie bra-

my kamienic na Jeżycach miały jednak cechę wspólną. W każdej z nich śmierdziało tak samo. Większość bram bowiem zarówno przechodnie, jak i lokatorzy traktowali jak miejskie szalety. Cholewiak pchnął drewniane drzwi. Smród nie był dziś wcale dokuczliwy. W taką mroźną pogodę ludzie mniej sikali po bramach. Pijacy przenieśli się do melin i piwnic, a odór moczu i niemytych ciał powędrował za nimi.

Dwaj śmieciarze minęli ciemny tunel bramy i znaleźli się na podwórku. Niewielki, ogrodzony z trzech stron ceglanym murem śmietnik był jakieś dziesięć kroków na lewo. Na szczęście powyżej bramy w opancerzonym, odpornym na kamienie podwórkowych rojbrów kloszu przytwierdzonym do ściany paliła się nędzna żarówka. Dzięki temu oświetleniu mogli się zorientować w ciemności, dokąd iść.

Do wyniesienia mieli zaledwie cztery kubły. Najpierw jednak trzeba było przejrzeć ich zawartość. Niekiedy zdarzały się, choć bardzo rzadko, takie cenne przedmioty, jak puste butelki po winie czy wódce.

Tu nie spodziewali się wielkiego łupu. W tym domu większość mieszkańców to było penerstwo. Oni wszystkie opróżnione flaszki sami zanosili już nazajutrz do sklepu, by pieniądze za zastaw wymienić na poranne wino.

Czechu Pikusa otworzył klapę pierwszego z brzegu metalowego kubła i zaczął grzebać w środku specjalnie przygotowanym patykiem z haczykiem na końcu. Poruszał zmarznięte śmieci i z niesmakiem odwrócił się do kolegi zajętego przy drugim kuble.

– Nic tu nie ma. Wszystko cholery już przebrały. A u ciebie jak?

– Też gówno. Bierzymy te kubły i idziemy dalej. Pod osiemnastym mieszka rzeźbiarz, to na pewno coś flaszek musiał wyrzucić.

– No chyba, że jego też wyaresztowali w nocy.

– Coś ty – rzekł i popukał się w głowę Cholewiak. – A po co by taką łachudrę mieli zamykać. Przecie on im politycznie nie szkodzi. Zamykają tylko solidarnościowców, a taki artysta to jest po ich myśli, bo nic

146
nie robi, tylko chleje gorzołę i jeszcze jak trzeba, to może takiego Jaruzelskiego na koniu wyrzeźbić.

__Na koniu? – zdziwił się Pikusa, wytaczając pierwszy z brzegu kubeł i przekrzykując hałas wywoływany przez toczący się po bruku cylindryczny pojemnik. – Przecie Jaruzelski jeździ samochodem.

– Ale tyś jest głupi, Czechu. A widziałeś kiedyś generała na pomniku, co by na samochodzie siedział? Generałów się robi z koniami. Bo jakby on wyglądał w wołdze? Nikt by go nie zobaczył przez szyby auta, bo one z metalu a nie ze szkła zrobione, jak cały taki pomnik.

– No, ale ciekawe, gdzie by takiego konia z Jaruzelskim postawili?

– To jest problem. – Cholewiak podrapał się po czole. – W Poznaniu to się raczej nie da.

– Czyimi?

– Boby mu zaraz wiaruchna mordę na czerwono przemalowała.

A koń to by się pewnie posrał ze wstydu, że świnia na nim siedzi.

Drugi kubeł wytoczył się ze śmietnika z łoskotem. Pikusa chciał chwycić trzeci za metalowy uchwyt, gdy nagle z tyłu dostrzegł coś dziwnego.

– Tej. Zyga, cho no tutaj! – zawołał do kolegi. – Tu ktoś siedzi.

Cholewiak zostawił swój kubeł i szybko wrócił do śmietnika. Z kieszeni wydobył małą, płaską latarkę na baterie. Po sekundzie mdły promień światła powędrował w kąt śmietnika.

Pod ścianą na ziemi, w stercie papierów i kartonów siedział mężczyzna w płaszczu. Głowę bez czapki miał opuszczoną na piersi. Zyga ukucnęła i przyjrzał mu się uważnie. Wcześniej nic nie zauważyli, bo papiery przykrywały go całkowicie. Dopiero jak śmieciarze odsunęli kubły, warstwa papierów zsunęła się na ziemię.

– Zimny trup – zawyrokował Zyga, podnosząc się.

– Skąd wiesz?

– No przecie widzę. Trzeba szkielełów zawezwać. Leć do Mariana do ciężarówki i niech jedzie na Kochanowskiego. Ja tu popilnuję. Ino mi-giem, żeby na nas nie było – pogonił kolegę.

Czechu pognął w stronę samochodu. Cholewiak wyciągnął z kieszeni

paczkę giewontów i zapalił. Spojrzał na jasny płomień zapalniczki, a potem jeszcze raz nachylił się nad siedzącym mężczyzną. Płomień oświetlił stę-

147
żałą, zsiniałą twarz. W jego blasku dostrzegł jeszcze coś, czego wcześniej nie zobaczył w świetle latarki. Skrawek koszuli wystający spod ciemnego płaszcza był cały czerwony. Odchylił połą. Na białej połaci po lewej stronie widać było wyraźnie wielką czerwoną plamę krwi.

– Kurwa mać – zaklął cicho Zygmunt Cholewiak. – Dopiero co się wojna zaczęła, a już są zabici.

Godz. 06.30

Podporucznik Mirosław Brodziak miał wrażenie, że ktoś mu wcisnął na głowę za mały hełm. Przejechał ręką po skroni i wtedy okazało się, że żadnego hełmu nie ma, a to, co uciska mu łeb, to tylko żelazna obręcz kacy. Podniósł się na łóżku i rozejrzał wokół. Było ciemno, ale wzrok powoli zaczął się przyzwyczajać, wydobywając niektóre otaczające go kształty. Spojrzał w prawo i zobaczył dużą, jaśniejszą niż wszystko inne plamę. Było to okno. I co najważniejsze, było to jego własne okno. Mimo bólu głowy i uczucia paskudnego smaku, jakby miał ścięgno od podłogi w ustach, Brodziak ucieszył się. Był we własnym domu, a nawet we własnym łóżku. I to była jedyna dobra informacja tego poranka. Spojrzał w dół na siebie i zmarszczył nos z niesmakiem. Okazało się, że całą noc przespał w ubraniu i w butach. Najważniejsze jednak, że spał u siebie, choć nie bardzo wiedział, w jaki sposób się tu znalazł. Jak przez mgłę zaczął przypominać sobie to wszystko, co wydarzyło się wczoraj. Pamiętał, że po spotkaniu w komendzie został wysłany wraz z esbekiem Olkiewiczem na Pasterską, czyli tam, gdzie dokonano pierwszego morderstwa. Tam wszystko odbyło się normalnie. Pomyszkowali jeszcze w mieszkaniu, w którym nie było już ciała. Tak jak się zresztą spodziewali, niczego nie znaleźli. Podobnie było z sąsiadami. Nikt niczego nie widział, nic nie słyszał. Porucznik zauważył tylko, że ludzie, z którymi rozmawiali, traktowali ich z dość dużą rezerwą, a niektórzy nawet wrogo. Podzielił się tym spostrzeżeniem z Olkiewiczem. Ten z właściwą sobie prostotą wyjaśnił mu to dość dosadnie:

– A czego się pan, kurwa, spodziewasz. To myśmy im zafundowali

148

wojnę, nie? Dotąd się nas bali, ale też nas trochę szanowali. A teraz cały szacunek poszedł się pierdolić. Po tej nocy jesteśmy dla nich jak wojska okupacyjne we wrogim kraju.

Ten Olkiewicz miał rację. Ludzie byli niechętni do udzielania jakichkolwiek informacji. Właściwie nie udało się im dowiedzieć niczego ciekawego. W końcu po paru godzinach łażenia Olkiewicz zaproponował, że niedaleko stąd, na Garbarach, ma pewną bardzo sympatyczną znajomą, u której mogą spokojnie wypić połóweczkę. Było już późne popołudnie, więc wszyscy, bo z nimi chodzili jeszcze dwaj zomowcy, byli mocno zmęczeni tym chodzeniem po osiedlu. Było to zupełnie niebywałe, ale nikt z ich rozmówców nie zaproponował im nawet szklanki gorącej herbaty, nie mówiąc już o czymkolwiek innym. Olkiewicz przeklinał więc cały ten stan wojenny i niewdzięczny naród, który nie rozumie, że to wszystko tylko dla jego dobra.

– Jeszcze będą dziękować te niewdzięczne gnoje, żeśmy zrobili tu porządek – marudził pod nosem. – Bo jakby nie my, to dziś klonkry w chacie przestawialiby im Ruscy.

Około siedemnastej Brodziak jako dowódca grupy zdecydował, że na dzisiaj koniec. Poprosił swojego kierowcę Władka Golona, żeby jego i Olkiewicza wysadził po drodze, a tych dwóch młodych zomowców zawiózł z powrotem do komendy. Ustalił z Teofilem, że pisemny raport sporządzą jutro rano, jednak zomowcom kazał zrobić od razu notatkę służbową, opisać wszystko, co działali i zostawić to dla niego na wartowni. Wysiedli niedaleko placu Kolegi ackiego. Olkiewicz natychmiast skierował się do kamienicy, w której na parterze był sklep monopolowy. Wskazał ręką na wystawę i uśmiechnął się.

– Dobre sąsiedztwo, nie? Ale co jak co, monopolowe powinny być otwarte nawet w niedzielę. Wiara nie musiałaby szukać gorzoły na melinach. Weszli do śmierdzącej bramy i ciemnymi drewnianymi schodami

wspięli się na drugie piętro. Olkiewicz zapukał energicznie.

– Kto tam? – odezwała się po chwili jakaś kobieta.

– Otwieraj, Natasza, bo ważni goście przyszli z wizytą – zawołał przez drzwi Teofil i jednocześnie nachylił się do Brodziaka. – To stara zdzira jest, ta Natasza. Ma tu kilka młodych dupeczek do wyboru i do ko-

149
loru. Jak pan chcesz skorzystać, to brać i wybierać. Dla nas za darmo. Ale najważniejsze, że ma gorzołę prosto ze sklepu, a nie jakąś pędzoną Zybureę.

Po chwili szcęknał zamek i w otwartych drzwiach stanęła otyła kobieta z podwójnym podbródkiem. Jej wiek trudny byłby do określenia nawet dla wytrawnego znawcy kobiecej urody. Należała do tego typu kobiet, które można by zakwalifikować do przedziału między czterdziestką a sześćdziesiątką, bez możliwości wyraźnego wskazania, do którego z tych dwóch punktów na skali wiekowej jest jej bliżej. Na widok Teofila uśmiechnęła się szeroko. Wpuściła obu mężczyzn do środka i, zanim zamknęła drzwi, wyjrzała na schody.

– No, co tam patrzysz, Natasza, czyśmy czasem ogona nie zostawili?

Ha, ha, ha – roześmiał się głośno Olkiewicz i klepnął ją w pulchny tyłek. Ona zapiszczała jak mała dziewczynka i pobiegła w głąb korytarza. Dwaj milicjanci ruszyli za nią i zaraz weszli do dużego salonu.

Na środku pokoju stał okrągły stół przykryty obrusem, a przy nim sześć krzeseł. Na ulicę wychodziły dwa okna zasłonięte firankami w kwiaty.

Pod ścianą po lewej stronie stała ogromna przedwojenna komoda z wiotrynką, w której gospodyni poustawiała w równych rzędkach filiżanki i talerzyki. Z lewej pod ścianą stała szeroka kanapa przykryta czerwoną wyszywaną narzutą. Olkiewicz od razu podszedł do stołu. Ściągnął płaszcz i rzucił go na tapczan. Brodziak także zdjął kurtkę i czapkę i wzorem stałego bywalca rozłożył wszystko na tapczanie.

– Co ma być do picia, panie pułkowniku? – zapytała Natasza.

– Dawaj herbatę gorącą i coś do herbaty z procentami, bo przemarzliśmy jak cholera.

Wyszła zaraz z pokoju, a Brodziak spojrział na Olkiewicza.

– Toś pan awansował tu, panie Teoś? – zażartował.

– A co pan myślisz. Przed szarżą nawet taka baba ma respekt.

Po chwili na stole przed nimi Natasza ustawiła dwie szklanki z gorącą herbatą i pół litra żytniej. Później pojawiły się jakieś panienki, a jeszcze później Brodziak obudził się we własnym łóżku.

Zapalił lampkę przy nocnym stoliku i wziął do ręki budzik. Mógł jeszcze pospać przynajmniej pół godziny albo wstać, wziąć prysznic i zjeść

150
śniadanie. Gdyby tak zrobił, na pewno poszedłby nieco świeższy do pracy Odstawił budzik z powrotem i szybko ściągnął buty, potem spodnie i koszulę. Rzucił przepocone ubranie na podłogę i poszedł do łazienki. Odkręcił kran z gorącą wodą i włożył głowę pod strumień. Woda była lodowata, wyciągnął więc szybko zmoczoną czuprynę, wytarł ją ręcznikiem i wrócił do pokoju.

– Pół godziny, całe pół godziny – pomyślał podporucznik. Usiadł znowu na łóżku i przekręcił gałkę radia tranzystorowego.

– ...Płynie przez Kołobrzeg Parsęta, Parsęta. Ten, kto dni te przeżył, pamięta, pamięta... – zaśpiewał przejętym głosem uczestnik festiwalu piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu. Jednak Mirosław Brodziak nie usłyszał już, o czym pamięta ten, kto dni te przeżył. Po pokoju niosło się jego głośne chrapanie.

Godz. 07.00

– Było tak już trochę po jedenastej wieczorem, jak byłem tam przy składzie. Nawet tak dokładnie nie wiedziałem, która to będzie, bo zegarek w zeszłym tygodniu oddałem do reperacji na rynku. Teraz se tak myślę, że mogła i być nawet druga w nocy. Więc szłem do domu, bo myśmy z takim moim znajomym, co robi w meblarni, trochę popili. Tak nie dużo, może ze cztery wina i parę piwek do popicia tylko. No to on został się leżeć w domu, a ja poszedłem do domu, swojego, bo moja stara nie bardzo lubi, jak późno przy łążę. Więc przeszedłem przez tory tam już za dworcem, gdzie jest cały płot rozwalony. Wy szłem na ulicę, a tam skład spożywczo-mo-

nopolowy jest. No to przystanąłem i patrzę przez szybę, czy tam czego ciekawego nie będzie na sprzedaż na rano. Myślę se tak, jakby co rzucili, toby można było już kolejkę zająć i rano od razu co kupić, toby nawet stara się ucieszyła, że co do domu przyniosłem. Podchodzę więc do drzwi, a tam jak raz szyba cała wytrzaskana, szkło na ziemi leży i jakiś makaron powywalany. No to se myślę, dobrze, że przyszedłem, bo kto jeszcze co może ukraść. Stałem i pilnuję. A śnieg pada i wiatr wieje tak, że zimno jak wszyscy diabli. I jak tak pilnowałem, to myślę se, co ja tak, jak już pra-

151
cuje tu społecznie, marznąć będę na ulicy, jak w środku musi być ciepłej. No to wlałem ja przez te szybę i skromniutko usiadłem se na parapecie, bo tam taki niski parapet jest akuratny do siedzenia. Od dworu już nie dmucha wiatrem, śnieg nie pada, a w dupę miło grzeje kaloryfer spod parapetu. Patrzę ja, a tam przede mną za ladą kista taka stoi sobie, a w niej wino, nie markowe, ale korbolki zwyczajne. Myślę se, że jak już tu społecznie pilnuje, to może choć trochę by gardło przepłukać. No to wziąłem se jedną flaszkę i wypilem, cały czas pilnując, czy aby jacyś złodzieje nie nadchodzą. Tak mnie od tego pilnowania zmogło, a i rozgrzany byłem mocno od środka winem i od siedzenia kaloryferem, że mi się ślepia jakoś tak same zamkły. No i cholera chyba przespałem włamanie. Bo jak mnie zaczęły szkieły za rękaw tarnosić to któryś mówi, że pół sklepu wynieśli. A ja, kurdelebele, nic ztem nie zauważyłem.

Roman Mazurkiewicz też nie zauważył niczego. Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się w celi z tym chudym, rozgadany facetem, który od pewnego czasu opowiadał mu swoją historię. Pewnie pod całą przyjęte jest, że współwięźniowie opowiadają sobie o tym, w jaki sposób zostali aresztowani. Więc Mazurkiewicz powinien teraz zrewanżować się swojemu koledze. Powinien, ale nie mógł. Nie wiedział, jak to się stało, że znalazł się w milicyjnych łapach. Z wczorajszego wieczoru jedyne, co zapamiętał, to zapach i smak bimbru, który pędził w letniej kuchni u babci. Na tym definitywnie kończyły się jego wspomnienia. Pierwszym obrazem, który potem zarejestrował, była żarówka pod sufitem celi i jakieś niewyraźne wspomnienie zarzuty spodni. Popatrzył z obrzydzeniem na swoje nogawki, ale były zupełnie czyste.

– Widać musiałem narzygać na spodnie komu innemu – pomyślał Mazurkiewicz i pociągnął z metalowego kubka łyk gorącej kawy zbożowej. Przed chwilą milicjant przyniósł obu siedzącym w celi mężczyznom śniadanie. Każdy dostał kubek zbożówki i ćwiartkę chleba z margaryną. Mazurkiewicz nie mógł jeść, a widok chleba przyprawiał go o mdłości. Swoje jedzenie odsunął od siebie z obrzydzeniem w najdalszy kąt pryczy. Jego sąsiad za to pochłaniał chleb z wyraźnym apetytem. Ciamkając głośno, nie przerywał opowieści.

– No i te szkieły do mnie zaraz, że ja jestem włamywacz. To ja im
152

mówię, że nie włamywacz tylko społeczna straż nocna, co włamanie stwierdziła i zabezpieczyła. No to oni mi mówią, że oni mnie teraz, wcale nie społecznie, ale całkowicie służbowo zabezpieczą w areszcie. A kolega, to tak niby za co znalazł się pod całą? – zapytał na koniec społeczny strażnik, przyglądając się z uwagą Mazurkiewiczowi.

– Jak to, za co? – burknął Mazurkiewicz. – Ma się rozumieć, że za niewinność.

– No to tak samo jak ija, ale jeśli się rozchodzi o konkrety, to co to tak mniej więcej było? – nie dawał za wygraną chuderlak.

– Panie, to grubsza sprawa, ja siedzę tu za bimbrownictwo.

– Łee tam! – Włamywacz machnął ręką. – Za bimber to pan tu długo nie posiedzisz. Jak dziś jest poniedziałek, to w środę, najdalej we czwartek widzę pana na wolności. Przepisowe czterdzieści osiem godzin. I to pod warunkiem, że milicja jakiś bimber przy panu znalazła. Ale jakżeś pan dobry robił, to będzie jak nic, że bimbru nijakiego nie znaleźli, więc bez sankcji prokuratorskiej wypuszczą.

Mazurkiewicz wstał z pryczy i podszedł do okna. Oczywiście nic nie zobaczył, bo widok zasłaniała blenda z matowego szkła z wtopionym wewnątrz drutem. Spróbował otworzyć chociaż lufcik, bo w celi było bardzo ciepło, a jemu znowu zebrało się na wymioty. Lufcik jednak został staran-

nie zabity gwoździami. Szarpanie klamki nie dało żadnego rezultatu. Zmęczony opadł z powrotem na drewnianą pryczę. Wtedy przypomniał mu się traktor Zetor i schowek, do którego włożył zawiniątko. – Jeżeli aresztowano mnie w sprawie bimbru, to nikt nie przeszukiwał stodoły. Może więc w tej całej idiotycznej sytuacji mam trochę szczęścia – pomyślał i zaraz spojrzął na chudego współaresztanta.

– Mówi pan, że do czwartku najdalej? – zapytał.

– Bimber wypiją i dadzą kopa w dupę. Innej możliwości nie widzę.

Godz. 07.30

Joanna Mazurkiewicz obudziła się dziś później niż zwykle. Zazwyczaj w poniedziałki wstawała o wpół do siódmej, bo o ósmej zaczynały się lekcje w szkole, w której uczyła. Jednak dziś, podobnie jak nauczyciele i uczniowie w całym kraju, miała wolne. Ferie zaczęły się wraz z wprowadzeniem stanu wojennego. Dlatego dziś, po wczorajszym dniu pełnym przeżyć, chciała trochę odespać. W końcu nie miała nic do roboty. Nie musiała nikomu robić śniadania ani obiadu. Wiedziała, że mąż na pewno nie pojawi się w najbliższym czasie w domu. Martwiła się o niego. Zwłaszcza po tym, co powiedział ten milicjant od spraw kryminalnych.

– On mówił, że ktoś może chcieć mu zrobić krzywdę. Ale z drugiej strony, kto mógłby go chcieć skrzywdzić? – zastanawiała się. – Chyba tylko oni, ci gnoje z SB. To oni przecież szukali go i chcieli aresztować, tak jak wszystkich innych działaczy w całej Polsce. Przetrasnęli do góry nogami cały dom, ale nie znaleźli tu ani jego, ani żadnych istotnych dokumentów. Nawet te ulotki, które zapakowali do worka foliowego, były tak nieistotne, że ci dwaj esbecy zostawili je w kuchni.

Przymknęła oczy, ale senność zniknęła zupełnie. Była już całkowicie rozbudzona, więc wstała z łóżka i poszła do łazienki. Myjąc się, pochyłona nad umywalką zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Czy może w jakiś sposób pomóc swojemu mężowi? Ale nic jej nie przychodziło do głowy. Postanowiła, że będzie zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło, czyli chodzić zwyczajnie po zakupy i spotykać się z rodziną, jakby wszystko było normalnie. Każdy podejrzany ruch czy nagłe próby kontaktu z kimś z otoczenia męża na pewno zostaną dostrzeżone przez SB. Zwłaszcza że na ulicy cały czas kręcili się jacyś obcy ludzie. Miała więc świadomość, że dom, a pewnie i ona sama jest pod stałym nadzorem. Oni czekają, że być może Roman spróbuje tu przyjść albo ona pójdzie gdzieś, gdzie on może się ukrywać. Najlepsze w tym wszystkim jest, że jedyną osobą, która wiedziała, gdzie jest jej mąż, był milicjant. Podczas gdy jego koledzy robili wszystko, by złapać Romana, ukrywał go szwagier. Dziwiła się nawet trochę, że on na to poszedł. Przecież ryzykował tak wiele, całą swoją przyszłość w pracy. W razie gdyby to wyszło na jaw, byłby skończony. Spodziewała się, że Kmieciak wpadnie do niej dzisiaj i coś jej powie o mężu. Nie chciała wiedzieć, gdzie on jest. Zdawała sobie sprawę, że taka wiedza byłaby zbyt niebezpieczna. Ona chciała tylko wiedzieć, czy wszystko z nim jest w porządku.

154

Ubrała się i zeszła do kuchni. Wstawiła wodę na kawę i podeszła do okna. Nie odchylając firanki, spojrzała na ulicę. Kilkadziesiąt metrów dalej stał zaparkowany biały duży fiat. Nawet stąd mogła dostrzec siedzących w nim dwóch ludzi.

Czajnik zaczął gwizdać. Gdy zalewała torebkę herbaty ekspresowej Madras wrzątkiem, nagle przyszło jej coś do głowy. Wyciągnęła z szafki termos, wrzuciła tam jeszcze jedną torebkę herbaty i zalała wodą. Poszła do przedpokoju, założyła kozaki, kożuch i czapkę, chwyciła termos i wyszła z domu. Przeszła na drugą stronę ulicy, kierując się wprost na samochód. Gdy doszła do auta, chwyciła za klamkę od strony kierowcy i otworzyła drzwi.

– Przyniosłam panom trochę herbaty na rozgrzewkę, bo chyba zmarzliście przez tę noc – powiedziała i uśmiechnęła się do dwóch kompletnie zaskoczonych esbeków. – Aha – dodała jeszcze, jakby sobie coś nagle przypomniała – jak już wypijecie, to poproszę o oddanie termosu. Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu. Mało nie roześmiała się w głos, gdy przypomniała sobie tych dwóch, małego i wielkiego, których

zdażyła poznać już wcześniej, i ich głupie miny. Była zadowolona z siebie, bo wiedziała, że zakpiła sobie z nich w żywe oczy, a przy tym swoim oprawcom okazała prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie.

Godz. 07.45

Ustalenie, gdzie pracuje szwagier Mazurkiewicza, było banalnie proste. W ciągu kilku minut oficer dyżurny podał Marcinkowskiemu telefonicznie dokładną informację o sierżancie Kmieciku. Mimo że telefony miejskie były wyłączone, to te wewnętrzne milicyjne, łączące między komendami i w samych komendach, działały bez zarzutu. Nie było też problemem wezwanie go dzisiaj na rozmowę do Wojewódzkiej. W jego komisariacie, czyli na Chłapowskiego, zapisali informację, że sierżant ma się stawić w pokoju 114 Komendy Wojewódzkiej dziś o godzinie 11.00. Fred już parę minut po siódmej był w swoim biurze. Natychmiast otworzył okno i wpuścił do środka odrobinę mroźnego powietrza. Miał wraże-

155

nie, że tytoniowy zaduch przylepiał się do wszystkich stojących wewnątrz sprzętów. Po pięciu minutach zamknął okno i zaczął przeglądać papiery, które odebrał w dyżurce, wchodząc do komendy. Oczywiście zapalił przy tym klubowego, który po chwili ponownie wypełnił smrodem cały pokój. Większość dokumentów stanowiły nic nie znaczące śmieci. Jakieś polecenia dotyczące służby w czasie stanu wojennego, rozporządzenia wewnętrzne komendanta wojewódzkiego i rutynowe raporty z nocy. Przejrzał wszystko dość pobieżnie i zatrzymał się dopiero na informacji o wypadku z udziałem SKOTA i milicyjnej nyski. Pomyślał, że trzeba będzie to dokładnie sprawdzić, bo do wypadku doszło niedaleko ulicy Nad Wierzbakiem.

W raporcie zomowców, którzy chodzili po osiedlu razem z Olkiewiczem i Brodziakiem, nie znalazł niczego interesującego. Choć chłopcy dotarli do kogoś, kto przed północą widział zaparkowany przed blokiem milicyjny samochód. Potwierdziło się więc, że ktoś przyjechał tu nyską. Zapewne ci sami, którzy byli w mieszkaniu zastrzelonego mężczyzny i których zobaczył ten pijany sąsiad przesłuchiwany przez Brodziaka. Raport zomowców z ulicy Nad Wierzbakiem był jeszcze mniej interesujący. Nie było natomiast raportów Olkiewicza i Brodziaka oraz drugiego, który powinni sporządzić Kowal i Dąbrowa. Nie zdziwiło go to wcale. Starzy milicjanci nie lubili marnować czasu na papierkową robotę. Jeśli coś znaleźli, na pewno powiedzą mu o tym, gdy zjawia się tu za chwilę.

– Dwa trupy tajnych bankierów „Solidarności” – próbował uporzędkować sobie wszystko Fred. – Trzeci bankier zniknął. Jego żona nic nie wie o miejscu jego pobytu, ale może coś wiedzieć ten jego szwagier, który pracuje w milicji. Jeśli on coś wie na ten temat, to wystarczy go tylko przycisnąć. Można mu na przykład zagrozić wylaniem na zbitą mordę z milicji. Facet powinien szybko pójść po rozum do głowy. Można mu też zaproponować coś w rodzaju układu. Powiedzieć dokładnie, o co chodzi, że jest to kwestia bezpieczeństwa jego własnego szwagra, bo ktoś próbuje się do niego dobrać. Układ polegałby nie na aresztowaniu, ale zapewnieniu ochrony przed bezwzględnym mordercą. To powinno do niego przemówić. Powinienem go też zapewnić, że nikt z jego przełożonych nie dowie się, iż sierżant miał coś wspólnego z ukryciem Mazurkiewicza. Powinno się udać – myślał zadowolony z siebie Marcinkowski. – Gdy

156

już dotrzemy do miejsca, gdzie ukrywa się bankier, rozwiniemy tam sieć, do której może wpaść morderca dwóch pierwszych bankierów. Jest to trochę ryzykowne, ale nie widzę innego sposobu na złapanie tych kutasów – przekonywał sam siebie porucznik. Kapitan Karpiński powinien się na to zgodzić, bo w ten sposób zyskiwał kilka dni spokoju. Tyle bowiem mogła trwać taka obserwacja. Musieli tylko namierzyć bankiera, a to wydawało się Fredowi całkiem realne.

Spojrzał na porcelanowy zegar z godłem Olimpii Poznań. Było pięć minut do ósmej. A to znaczyło, że kapitan Karpiński powinien właśnie wchodzić do swojego pokoju. Zabrał z biurka zeszyt z odręcznymi notatkami, poprawił pas i krawat i poszedł na górę pochwalić się szefowi wynikami śledztwa.

Godz. 07.55

Czerwony maluch wjechał na ulicę Janka Krasickiego. Kierujący nim

sierżant Stefan Kmieciak nie zwrócił uwagi na auto zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Wiedział, że dom może być obserwowany, jednak nie bardzo się tym przejmował. Był przekonany, że mundur jest dla niego najlepszą przykrywką, a jako milicjant jest poza wszelkim podejrzeniem. W razie czego powie, że przyjechał tu, żeby wypytać żonę Mazurkiewiczza o szwagra. Nikt nie powinien mieć co do tego żadnych wątpliwości. Zatrzymał się tuż przed furtką prowadzącą do domu. Wszedł z auta i starannie zamknął drzwi na klucz. Sprawdził jeszcze na wszelki wypadek drzwi po prawej stronie i wszedł do ogrodu. Zobaczył, że w oknie za firanką stoi Mazurkiewiczowa, więc pomachał do niej, uśmiechając się szeroko.

Przeskoczył naraz trzy stopnie i znalazł się pod drzwiami. Joanna otworzyła mu i wpuściła do środka.

Kmieciak zdjął w przedpokoju wysokie buty z opinaczami, a kurtkę i czapkę zostawił na wieszaku. Od razu poszedł do kuchni, w której parę sekund wcześniej zniknęła kobieta.

– Jak się czujesz? – zapytał, gdy Mazurkiewiczowa odwróciła się

157

w jego stronę, stojąc przy piecu, na którym postawiła czajnik z wodą.

Kmieciak usiadł przy stole i spojrzał przez firankę.

– Cały czas tam stoją. Nie ruszają się na krok – oznajmiła i wskazała głową na zaparkowany po przeciwnej stronie samochód.

– Wiesz, kto to jest?

– Ci, co mnie wczoraj zabrali na komendę, to byli z SB – wyjaśniła.

– No i ci tam to też ci sami. Zniosłam im przed chwilą herbatę...

– Co zrobiłaś? Chyba żartujesz – zdziwił się milicjant.

– Zniosłam herbatę, żeby się trochę rozgrzali.

Kmieciak nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Aż się zatrząsł cały.

Wreszcie klepnął się w udo i powiedział:

– No wiesz, kobieto, ty to masz pomysły, niech cię drzwi ścisną. Musieli mieć ale głupie miny, co? Już ich widzę, jak niesiesz im te szklanki...

– Termos.

– Co?

– Termos. Zniosłam im termos, bo w szklance to by zaraz wystygła.

Postawiła przed nim herbatę, a sama usiadła naprzeciwko.

– Powiedz mi, co jest z Romanem. – Popatrzyła na niego, a w jej spojrzeniu widać było napięcie.

– Wszystko jest w porządku. Nie martw się. Nic mu nie będzie. Jak się trochę uspokoi, na pewno wróci do domu.

Mówił spokojnie, jednocześnie mieszając łyżeczką cukier w szklance, dzwoniąc niemilosiernie.

– Na pewno? – zapytała drżącym głosem.

– Ni ma gadki. Wszystko jest w porządku. Jak dobrze pójdzie, to list ci od niego podrzucę za jakieś parę dni. Tylko jedno jeszcze. Nikomu ani mru-mru. Rozumiemy się. Nikomu, nawet twoim starym. Jasne?

– No coś ty, nikomu nic nie powiem. Przecież nie jestem dzieckiem.

Kmieciak wypił duży łyk i odsunął szklankę od siebie. Wstał i spojrzał jeszcze raz przez okno. Duży fiat był tam nadal.

– Muszę już jechać – powiedział, obciągając mundur.

– Słuchaj, Stefan – powiedziała, również wstając z krzesła. – Jechiesz do miasta, to może bym się z tobą zabrała. Muszę pojechać do ro-

158

dziców. Tak się z nimi umówiłam, że przyjadę, a wiesz jak teraz tramwaje jeżdżą w takie mrozy.

Rzeczywiście, pogoda była wyjątkowo paskudna. Dziś rano, gdy Kmieciak sprawdzał temperaturę za oknem, na jego termometrze było minus dziewiętnaście. Na szczęście wieczorem przezornie zabrał do domu akumulator z malucha i podłączył go do prostownika. To dlatego bez większych problemów udało mu się odpalić samochód, podczas gdy większość samochodów jego sąsiadów została dziś na parkingu pod blokiem.

– No dobra – podjął decyzję. – Mam jeszcze trochę czasu, bo powinienem być w robocie o dziewiętej. To mogę cię zawieźć na same Jeżyce.

Godz. 08.15

– Ja pierdolę, ja pierdolę, no chyba ich wszystkich popierdzieliło – lamentował Teofil Olkiewicz, siedzący przy biurku i pochyłony nad rozłożoną na blacie „Gazetą Poznańską”.

Piegowaty rudzielec z opuchniętą gębą podniósł głowę, którą wspierał dotąd na ramionach opartych na biurku i ze zdziwieniem spojrzął na swojego wczorajszego kompana. Brodziakowi jeszcze wszystko mieszało się w głowie, zbierało mu się na wymioty, a jednocześnie w ustach czuł piasek pustyni. W jego zaczerwienionej twarzy można było dostrzec jak w lustrze, że wczorajszy wieczór należał do bardzo udanych. Natomiast Olkiewicz wyglądał tak, jakby nie wypił wczoraj ani grama. Świeży, z zaczesaną łysiejącej głowie, starannie ogolony i pachnący Przemysławką, w elegancko odprasowanym, trochę staromodnym garniturze, który swą świetność przeżywał, gdy towarzysz Wiesław żegnał się z władzą, wyglądał jak wzorowy urzędnik pocztowy. Jego język jednak nie pasowałby do żadnego pocztowego okienka.

– Widziałeś, chłopie, co oni tam nawywijali? – Spojrzął na Brodziaka, po którym widać było wyraźnie, że niczego nie widział. Dlatego Olkiewicz postanowił przybliżyć mu cały tragizm sytuacji. – No więc czytam w „Poznańskiej”, co stoi w niej napisane, bo od dzisiaj mamy tyl-

159
ko „Poznańską”, bo inne gazety nie mogą u nas wychodzić – „Express” i „Głos” zaaresztowali do odwołania. To czytam w tej „Poznańskiej”, że wojewoda poznański wydał zarządzenie. Niby normalne zarządzenie, bo to ludzie muszą wiedzieć, na czym stoją, jak już mamy tę wojnę. No i tam napisali, że sklepy pracują normalnie, no i dobrze, że knajpy w ograniczonym wymiarze do 21.00, to też się da jakoś przeżyć. Ale w punkcie czwartym ten wojewoda mówi, że wprowadza się zakaz sprzedaży i podawania napojów alkoholowych o zawartości powyżej 4,5 procent alkoholu bez żadnych wyjątków. No i w tej sytuacji to ja się grzecznie pytam, na chuj narodowi taka wojna, jak nawet się nie można gorzoly napić?

– Ooo cholera! – jęknął podporucznik Brodziak. W normalnej sytuacji powiedziałby zapewne jeszcze coś, ale dziś mu się nie udało wykrzesać z siebie większej porcji energii. Skończyło się więc na razie na jęknięciu, które nie było nawet komentarzem do tragicznych wieści serwowanych przez Olkiewicza, a jedynie wyrażało stan, w jakim znalazł się jego zmar-

nowany przez wódkę organizm.
– Też tak mówię – zgodził się z nim Teofil. – Cholera jasna, co komu szkodzi, że naród trochę ryja umoczy? Oni, ci co rządzą, to sobie myślą, że jak ogłoszą jakiś zakaz, to zaraz ludzie się zastosują. A ja ci mówię, że to gówno prawda. Im więcej takich głupich zakazów, tym wiara będzie bardziej kombinować. Wprowadzają godzinę milicyjną od szóstej do dwudziestej drugiej, proszę bardzo, ludzie mogą siedzieć w domach, tylko co tam mają robić, jak telewizja daje tylko jeden program, a drugi nie wiadomo po cholere wyłączili. Mogą albo pić, albo się rozmnażać. Ale że do rozmnażania nie wszyscy mają chęci, pozostaje więc picie. Tyle że musi być co pić. A jak nie ma nic do chłania w sklepach, to zaraz zacznie się domowa produkcja bimbru na masową skalę.

– O Jezu! – jęknął podporucznik, łapiąc się za brzuch na samą myśl o bimbrze.

– Właśnie też tak myślę – poparł go Olkiewicz. – Az tego wszystkiego wynikną dwie rzeczy. Pierwsze, to niespotykany dotąd rozwój przydomowej wytwórczości alkoholu, a drugie – za kilka lat tłok w przedszkolach.

– Wyż demograficzny – dodał podporucznik, którego twarz z sinej zaczynała zmieniać się w zieloną.

160

,_No jasne, tylko czy kto pomyślał, jak tę bandę maluchów wykar-

mić z kartkowego przydziału. A takie maluchy to gorzoly raczej jeszcze nie pija-•!
Brodziak znowu złapał się za brzuch i ruszył w stronę drzwi. W przejściu mało nie staranował wchodzącego właśnie do pokoju Grzecha Kowala. Nie zatrzymując się, przecisnął się obok zwalistego milicjanta i zniknął na korytarzu.

– Co jest, kurde? – Kapral spojrzął pytająco na Olkiewicza.

– Tak to właśnie jest, panie kapral, jak się dzieciaki biorą za gorzołę
– wyjaśnił mu Teofil. – Wódka nie jest szkodliwa, trzeba tylko wie-
dzieć, jak ją wtaczać do organizmu. Najważniejsze to pić tak, żeby nie
stracić kontaktu z rzeczywistością. Ale tego się człowiek uczy dopiero po
latach picia. A taki szczon chciałby dorównać zawodowcom i kończy się
później na straszaniu kibla.
– Za dużo wczoraj przyjął? – Kowal, siadając przy biurku, mrugnął
porozumiewawczo do chorążego, wskazując głową drzwi, za którymi znik-
nął młody podporucznik.
– Ady tam za dużo! – Olkiewicz machnął ręką. – Wszystkiego le-
dwie po dwie fałszyki na tytę. Ale, jak kto niezwykajny, to może później
wyrzygać żołądek. No, ale jeśli chodzi o gorzołę, to najlepszy jest kielo-
nek z rana. Co, chlapiemy po maluchu? – Teofil mrugnął porozumie-
wawczo do kaprała.
– A co tam, panie chorąży, jak dzień zaczynać, to z fasonem, nie? Lej
pan póki młody w kiblu. Po małym można, ale więcej nie da rady, bo jeź-
dź dzisiaj.
– Łe tam – rzekł i zaśmiał się stary funkcjonariusz. – No i co
z tego, że pan jeździsz. A kto was zatrzyma, kapralu. Milicja? Przecież my
jesteśmy milicja, nie?

Godz. 08.25

Przejazd przez miasto zajął im niecałe pół godziny. Wyjechali ze
Swierczewa, a później cały czas prosto Głogowską. Na ulicy było bar-

161

dzo mało samochodów. Choć jezdnię posypano piaskiem, ale i tak było
bardzo ślisko. Toteż Kmieciak jechał niezwykle ostrożnie, starając się
zachować jak największy odstęp od poprzedzającego go auta. Koło par-
ku Kasprzaka, mniej więcej na wysokości Arkadii trafili na milicyjną
blokady. Jeden radiowóz stał na chodniku, a drugi blokował lewy pas.
Na środku prawego pasa stali młodzi milicjanci z groźnie wyglądają-
cymi kałasznikowami przewieszonymi przez pierś. Dwaj inni sprawdza-
li dokumenty zatrzymanym kierowcom. Gdy dojechali do blokady, na
ich pasie ustawiła się kolejka sześciu samochodów. Kmieciak nie zamie-
rzał jednak czekać. Zjechał na lewy pas i wymijając stojące auta, podje-
chał na sam początek. Widząc zbliżającego się z boku malucha, zomow-
cy ruszyli w jego kierunku. Pewnie przestraszyli się, że kierowca będzie
chciał minąć ich i uciec środkiem ulicy po tramwajowym torowisku.
Czerwony maluch jednak stanął przed radiowozem. Milicjanci podeszli
bliżej, celując z karabinów, jednak zaraz opuścili broń. Podoficer, który
kontrolował właśnie kierowcę żółtej łady, podbiegł do drzwi malucha.
Kmieciak opuścił szybę i wystawił głowę w uszance na zewnątrz.

– Co jest, chłopaki, do swoich chcecie kropić z tych giwer? –
zawołał.

– Kurwa, Stefan, co porządnych ludzi straszysz. Już się zdążyłem
spocić przez ciebie. Za chwilę zapalenia płuc dostanę.

– A co mam stać w tej kolejce. Nim wszystkich skontrolujecie, to mi
silnik zamarznie. Do wojewódzkiej jadę i nie mam czasu na ksiuty.
Podoficer już bez dalszych wyjaśnień machnął ręką na ładę, żeby odje-
chała i zatrzymując następnego w kolejce trabanta, zrobił miejsce dla
czerwonego malucha.

Kmieciak wcisnął się w szparę i ruszył do przodu. Nie zauważył na-
wet, że po paru sekundach tym samym pasem co on podjechał do zapyry
biały fiat. Ten sam, który stał pod domem Mazurkiewiczów. Jego kierow-
ca nie zatrzymując się i lekko tylko zwalniając, otworzył okno, wysunął
czarną legitymację i krzyknął coś do zdezorientowanych milicjantów. Na-
tychmiast zrobili mu wolną drogę.

Minęli Dworzec Zachodni, a potem wjechali na Kaponierę. Tak jak
wczoraj, na tym największym poznańskim rondzie stał transporter opan-

162

cerzony, a nieopodal, na chodniku dymił rozgrzany do czerwoności kok-
sownik. obok niego kilku zmarzniętych na kość żołnierzy grzało ręce. Po
chwili maluch milicjanta skrzył w lewo na Dąbrowskiego, by po jakichś
dwóch minutach wjechać na Rynek Jeżycki. Joanna odwróciła się do
Kmieciaka i podała mu rękę.

– Stefek, dziękuję ci. Nie wiem, jak byśmy sobie bez ciebie poradzi-
li. Zresztą, co tam ja. Romek co by zrobił bez ciebie.
– Idź już, kobieto – Kmieciak zaśmiał się – i uważaj na siebie.
Zatrzasnęła drzwi i ruszyła przed siebie. Kamienica, w której mieszka-
li jej rodzice, była tuż obok. Przeszła kilkanaście metrów chodnikiem
i zniknęła w niewielkim zaułku po prawej stronie. Milicjant włączył kie-
runkowskaz i już chciał zjechać na ulicę, gdy nagle tuż obok niego zatrzy-
mał się biały fiat. Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera spuścił szybę
i gestem nakazał sierżantowi zrobić to samo. Zdziwiony milicjant po-
słusznie odkręcił szybę w oknie. Tamten wyciągnął do niego rękę, w któ-
rej trzymał czarny kartonik legitymacji służbowej. Kmieciak rozpoznał ją
natychmiast, sam nosił podobną.
– Co jest? – zapytał, uśmiechając się niewyraźnie.
– Jedź za nami – powiedział esbek.
– Ale...
– Żadne ale, jedziemy.

Godz. 08.40

– No więc, sytuacja wygląda tak – zaczął naradę porucznik Mar-
cinkowski – mamy faceta, który być może doprowadzi nas do ukrywa-
jącego się bankiera. To jego szwagier. Wezwałem go tu do komendy. Jak
tylko pojawi się w pracy, powinien dostać rozkaz stawienia się u nas. Bo on,
proszę panów, jest milicjantem i pracuje na komendzie przy Chłapowskiego.

– I szkieł ukrywa tego solidarucha? To chyba jakiś idiota jest –
zdziwił się Olkiewicz.

– Takiej pewności nie mam, ale myślę sobie, że może on zwyczajnie
wiedzieć, gdzie jest ten Mazurkiewicz. Jako szwagrowie przecież nieraz

163

musieli pić ze sobą gorzołę, nie? To są jak dobrzy kumple. A kumple sobie
pomagają.

– No to prawda. Ja ze swoim szwagrem to co i rusz jakąś flaszkę ro-
bimy. Szczególnie u niego na ogródku, jak jest ciepło, to ze starą moją Ja-
dwigą idziemy. Baby rwą świętojanki, a my...

– Właśnie, panie chorąży – przerwał mu porucznik – dlatego
szwagra milicjanta musimy przycisnąć i dać mu szansę wybrnięcia z kło-
potliwej dla niego sytuacji. Musi nam wskazać miejsce, w którym ukrywa
się ten nasz bankier.

– No i zwijamy gościa i po ptokach. – Teofil zaśmiał się i z uciechy
klepnął się w kolano.

– Nie tak od razu – ostudził jego zapał Fred. – Jeśli uda nam się na-
mierzyć miejsce, w którym ukrywa się ten facet, wtedy zaczniemy najbar-
dziej lubianą przez wszystkich milicjantów część śledztwa, to jest obser-
wację. Będziemy najspokojniej w świecie czekać aż namierzą go ci,
którzy znaleźli dwóch pierwszych bankierów.

– Będzie robił za przynętę ten bankier? – zdziwił się podporucznik
Brodziak.

– Zdaje się, że to na razie jedyny sposób na znalezienie naszych mor-
derców.

– No, ale jak się okaże, że mordercy nas w jakiś sposób przechytrzą
i dotrą do obserwowanego obiektu mimo naszej obserwacji? – wątpił da-
lej podporucznik.

Marcinkowski zmarszczył brwi. Widać było, że nie bardzo podoba mu
się brak wiary w sukces młodego oficera. Pomyślał więc, że powinien go
obsztorcować, ale zaraz przypomniał sobie, że to trochę głupio opierdzie-
lać młodego przy niższych stopniach, no a poza tym znał się przecież
z jego siostrą. Młody mógł się poskarżyć w domu, że Marcinkowski jest
czepiającym się kutafonem. A z drugiej strony ten chłopak mógł mieć
przecież jakieś wątpliwości. Lepiej, że je miał – myślał porucznik – niż-
by miał ślepo wykonywać polecenia, nawet się nad nimi nie zastana-
wiając. Takich idiotów w milicji było przecież na pęczki.

– Będziemy się tym martwić, jak już znajdziemy naszego bankiera,
ustalimy, gdzie się ukrywa i sprawdzimy pole obserwacji – wyjaśnił

164

– Erpliwie porucznik. – Jak się okaże, że nie jesteśmy w stanie go chro-
nić, tego naszego obserwowanego, to zgarniemy go po cichu, a w tym

miejscu założymy zwyczajny kocioł, czyli posadzimy tam ciebie i jeszcze kogoś, na przykład pana Teosia, i będziecie sobie w środku jakiegoś sympatycznego mieszkanka czekać na morderców.

Powiedział to wcale nie będąc przekonany, że tak będzie. Najlepszym rozwiązaniem, był o tym święcie przekonany, była obserwacja miejsca z bankierem wystawionym na wabia. A jeśli tego bankiera sprzątną mordercy, no to mówi się trudno, choć taka możliwość wydawała mu się mało prawdopodobna. Mordercy, którzy go namierzą najpierw będą musieli dowiedzieć się, gdzie są pieniądze. A tego nie wyduszą z niego w dwie minuty. Gdy bandyci zaczną swoje przesłuchanie, wtedy wkroczy milicja. I trzeba byłoby naprawdę jakiegoś zupełnie nieprzewidywalnego zbiegu okoliczności, żeby w ciągu tych dwóch minut coś mogło stać się bankierowi.

– Ja tam mogę siedzieć nawet i tydzień na takiej melinie, byleby tylko telewizja tam była – wtrącił się Teofil Olkiewicz. – Kiedyś w siedemdziesiątym szóstym siedziałem właśnie przez tydzień na kotle, jak były wypadki w Ursusie i Radomiu. Tośmy przechwycili punkt, gdzie wiara zносиła pieniądze dla tych rodzin, co ich tam milicja aresztowała. A ja robiłem za gospodarza tego mieszkania, cośmy go przymknęli. I odbierałem od nich pieniążki i zapisywałem tylko, kto daje, a oni nawet mówili chętnie te swoje nazwiska. Bośmy im mówili, że to dla opozycyjnej ewidencji. Takie to naiwne, a wszystko niby jakieś inteligenty. Tyle że siedziało się tam nudno jak cholera, bo w mieszkaniu telewizora nie było, ino same książki. A ja to mogę „Tygrysa” se przeczytać, bo to ciekawe, o wojnie, albo te milicyjne „Ewa wzywa 07”, ale ten, cośmy go zgarnęli i u niegośmy w tym mieszkaniu siedzieli, to nic ciekawego nie miał, same encyklopedie i inne takie grube księgi. Nie do czytania cholerstwa, i nawet w jakichś językach.

– A co z tymi, co przynosili te pieniądze? – zapytał Brodziak.

– No jak co? – zdziwił się chorąży. – Wyaresztowało się ich później co do jednego.

165

Godz. 09.30

Kmieciak patrzył w górę na małe podłużne okienko, przez które do wnętrza sączyło się leniwie słoneczne światło. Okno było bardzo wysoko Jakieś dziesięć metrów nad poziomem podłogi. Osadzono je w ceglany murze starej hali produkcyjnej. Milicjant nie wiedział, co to jest za hala i w jakiej części miasta się znajduje. Wiedział za to, że jest tu bardzo zimno, a on siedzi na krześle ze związanymi rękoma i nogami, i ma na sobie tylko gacie. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się zupełnie absurdalna. Jakiś czas temu zatrzymali go ludzie z SB. Kazali mu jechać za swoim samochodem. W ciągu dziesięciu minut przejechali na Stare Miasto. Tam na ulicy Wodnej esbecy zatrzymali się. On też zatrzymał swojego malucha. Gdyby wtedy wiedział, co się święci, uciekłby natychmiast gdzie pieprz rośnie. Jeden z tych jadących białym fiatem podszedł do jego samochodu i kazał mu wysiąść. Sierżant spełnił polecenie i zamknął drzwi kluczykiem. Wtedy też zrobiło mu się zimno. Na pewno było kilkanaście stopni mrozu i jeszcze na domiar złego zaciągał przejmujący do szpiku kości wiatr.

– Zobacz, tam pod spożywczym stoi zaparkowana zielona furgonetka – rzekł i wskazał ręką esbek. – Podejdz do niej i wsiadź tylnymi drzwiami. Ktoś chce z tobą pogadać.

– Co jest? – zdziwił się Kmieciak. – To nie można po ludzku pogadać na komendzie, tylko bawicie się w jakieś pierdolone podchody?

– Nie gadaj już tyle, bo dostaniesz zapalenia płuc. Idź tam, to się wszystkiego dowiesz.

Milicjant ruszył szybko, mając nadzieję, że całą tę sprawę natychmiast zakończy. Postawi się im, nakrzyczy i powie, że przekaże wszystko swojemu komendantowi. Tak postanowił, dochodząc do stojącej przy chodniku nyski. Samochód miał na burcie napis PSS „Społem” i wyglądał jak normalny dostawczak, który przywiózł przed chwilą towar do spożywczego. Spojrzał jeszcze w lewo, gdzie w kolejce do sklepu stało kilkanaście kobiet z siatkami. Wszystkie skulone z zimna, karnie czekały na swoją kolej, aż wychodząca ze sklepu osoba zrobi miejsce w ciepłym wnętrzu dla kolejnej zmarzniętej kolejkowiczki.

Ciekawe, co tu za towar rzucili, może kawę? – pomyślał sierżant i zapukał w tylne drzwi.

Nikt nie odpowiedział, więc szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się. po dwóch stopniach wszedł do środka. Wewnątrz nie było nikogo.

– Co jest, do cholery? Kto tu se robi jajca? – zdziwił się i nagle poczuł, że ktoś gwałtownie pcha go od tyłu. Stracił równowagę i przewrócił się na podłogę. Już chciał się zerwać na równe nogi i zobaczyć, kto go zaatakował. Nie zdążył. Potężny cios w głowę pozbawił go równowagi. Upadł znowu. Poczul jeszcze drugie uderzenie i zaraz wpadł w ciemną przepaść.

Ocknął się z zimna. Poczul nagle, że cały się trzęsie. Otworzył oczy i zdziwił się, że jest w nieznanym miejscu. Przed sobą widział metalowe schody i jakąś konstrukcję, coś jak stalowe rusztowanie. Schody prowadziły chyba do drzwi kilka metrów nad ziemią. Ale nie mógł dokładnie rozpoznać, co to jest, bo te wszystkie elementy konstrukcji były pograżone w półmroku. Strumień światła, który wpadał przez to małe podłużne okno na górze, oświetlał tylko niewielki skrawek pomieszczenia. Chciał się poruszyć, ale okazało się to niemożliwe. Po chwili zorientował się, że jest przywiązany do krzesła, na którym siedział. Miał skrępowane nogi i ręce. Nie mógł też wydobyć z siebie głosu, bo w ustach tkwił mu knebel z jakiejś wstrętnej, śmierdzącej szmaty. Próbował rozejrzeć się, ale dostrzegł tylko pustą przestrzeń starej hali. Nikogo w niej nie było. Był tu zupełnie sam, rozebrany do gaci, i było mu bardzo zimno. Na domiar złego okropnie bolała go głowa po tych dwóch uderzeniach w samochodzie. Zastanawiał się, co też może to wszystko znaczyć.

– O co tu, do cholery, chodzi? – analizował sytuację. Zatrzymali go esbecy. To nie ulegało wątpliwości. Widział przecież legitymację, którą pokazał mu facet siedzący w białym fiacie. No i ten esbek kazał mu iść do furgonetki, a tam przy tym samochodzie ktoś się na niego zaczął. Tylko, kto i po co? Przywieźli go tutaj do tej cholernej hali i rozebrali do golasa, bo chcieli się czegoś od niego dowiedzieć. I na pewno chodziło im o Mazurkiewicza. Obawiali się, że w normalny sposób niczego z niego nie wyduszą, więc postanowili go nastraszyć i złamać. – Trzeba to wytrzymać, a później jakoś się gnojom odwdzięczyć – myślał gorączkowo Kmieciak.

167

– Trzeba iść w zaparte, a później się zobaczy. Tylko nie mogę dać się zastraszyć.

Spróbował rozejrzeć się jeszcze raz i wtedy to zobaczył. Jakoś wcześniej przegapił ten szczegół, podłużny przedmiot leżący trzy metry od niego na ziemi. Teraz w to właśnie miejsce przesunął się promień światła wpadający przez górne okienko. Spojrzał jeszcze raz i wtedy po raz pierwszy, mimo przenikliwego zimna panującego wokół, poczuł, że zrobiło mu się gorąco. Zaczął się pocić. Doskonale wiedział, co leży tam nieopodal. Sierżant Stefan Kmieciak zaczął się panicznie bać.

Godz. 09.40

– To naprawdę kwestia jego bezpieczeństwa, muszę go odnaleźć przed esbecją i milicją. Poza tym jest jeszcze ktoś, kto go ściga. Nie mamy pojęcia, kto to jest, ale jedno jest pewne – ten człowiek albo ci ludzie są bezwzględni. Zabili już dwóch naszych, a pani mąż może być trzeci. I będzie na pewno, jeśli ten ktoś dotrze wcześniej niż ja do pani męża. – Markowski skończył i wyciągnął z kieszeni papierosa. Zapalił popularnego i wypaloną zapalkę wrzucił do wielkiej kryształowej popielnicy. Patrzył przy tym uważnie na Mazurkiewiczową która wyglądała tak, jakby jej własne myśli przeniosły ją z tego niewielkiego pokoiku na plebani kościoła Serca Jezusowego w zupełnie inne miejsce.

Kobieta zastanawiała się, co powinna zrobić. Ten mężczyzna wyglądał całkiem wiarygodnie, a co więcej to, co mówił, trzymało się kupy. No i przede wszystkim ręczył za jego wiarygodność proboszcz Kudelski. A proboszcza znała od dziecka. To do niego chodziła na religię wiele lat temu i on właśnie dawał jej ślub. Nie, ksiądz Gracjan nie mógłby jej oszukać. Spojrzała na proboszcza, który stał przy oknie i przypatrywał się zasypanej śniegiem ulicy. Gdy przyszła dziś rano do rodziców, po tym jak na rynek przywiózł ją Kmieciak, mama nie pozwoliła jej się nawet rozebrać.

Sama założyła płaszcz i czapkę i pociągnęła ją za sobą. Po drodze wyjaśniła, o co chodzi.

– Był u nas ministrant z kościoła, ten chłopak od Kwapiszowej, Ma-
168

riusz znaczy się. No i on mówi, że ksiądz proboszcz kazał cię przyprowadzić. Ino migiem, jak najrychlej. To ja mu powiedziała, że ty tu będziesz dzisiaj i przyjdziemy obie.

– Ale co on może ode mnie chcieć? – zdziwiła się Joanna.

.– Powiadał, że rozchodzi się o twojego.

Wyszły na rynek i wzdłuż kamienic poszły w stronę kościoła.

Po drugiej stronie, przed sklepem spożywczym ustawiła się duża kolejka. Stało tam chyba ze czterdzieści osób. Mogło to znaczyć jedno: rzucili jakiś wyjątkowy towar. Kolejki za mlekiem czy chlebem były znacznie krótsze. Gdy tylu ludzi stawało w ogonku, to był wyraźny znak, że w sklepie jest albo kawa, albo żółty ser, a może nawet kakao.

Tym razem matka, która była prawdziwym ekspertem od stania w kolejkach i rozpoznawania z daleka asortymentu, nawet nie spojrzała w tamtą stronę. Kobiety szybko zostawiły za sobą rynek i po chwili skręciły w prawo. Minęły kiosk „Ruchu”, w którym smutny sprzedawca emeryt, pan Wojtasik, miał do zaoferowania tylko „Gazetę Poznańską”, „Trybunę Ludu” i „Żołnierza Wolności”, i przeszły na światłach na drugą stronę ulicy. Kościół był zaraz obok. Ciemnoczerwona bryła neoromańskiej budowli wyraźnie odcinała się od śnieżnej bieli otoczenia. Obie kobiety trzymając się pod rękę, weszły na dziedziniec, ale nie poszły do głównych drzwi świątyni. Przeszły wzdłuż budynku i po chwili już były na plebanii.

Otworzył im młody wikary Maćkowiak. Bez słowa wpuścił je do środka i dla pewności wyjrzał jeszcze na zewnątrz. Na chodniku przed kościołem zobaczył mężczyznę w kożuchu i czapce z misia, palącego papierosa. Uważnie zlustrował go wzrokiem. Ich spojrzenia na ułamek sekundy spotkały się. Potem ksiądz zamknął drzwi, przekręcając klucz od wewnątrz.

– Ksiądz proboszcz czeka na panie – powiedział wikary i poszedł przodem.

– Jasiu – powiedział proboszcz, podchodząc do stołu, przy którym siedzieli oboje. Mówił do niej tak jak zawsze, zdrabiając jak dawniej jej imię, jakby w ogóle nie zauważył, że nie jest już małą dziewczynką, która z matką przychodziła przystrajać ołtarz z okazji świąt kościelnych. – Ten
169

pan mówi prawdę. Ja go nie znam i pierwszy raz widzę w życiu, ale przyprowadził go tu ktoś, komu wierzę. Czasy są takie, że nie mamy pewności, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Ale na pewnych wartościach musimy się oprzeć. A ja wiem, że ten człowiek, co tu siedzi przed tobą, to ktoś, dla kogo te wartości są istotne. I musisz mu zaufać.

– Dziękuję księdzu – powiedział Markowski.

– Nie dziękuj, synu – przerwał mu proboszcz, machając ręką.

– Musimy się dziś szczególnie wspierać wszyscy. Trzeba z nimi walczyć, z tymi bolszewikami, bo racja jest z nami. A ty – tu spojrzął na Joannę – możesz ocalić nie tylko swojego męża, ale jeszcze pomóc naszej sprawie. Słuchając tego, co mówi ksiądz, cały czas patrzyła w okno. Wreszcie odwróciła się i spojrzała na Markowskiego. Niepewność zniknęła z jej twarzy. Prawdę powiedziawszy, w nosie miała jakąś sprawę. Miała gdzieś tę całą politykę. Chodziło jej tylko o to, by w domu był spokój, mąż wrócił bezpiecznie i by było co włożyć do garnka. A politykę niech sobie robią wariaci, byle z daleka od niej.

– Z Poznania wywiózł go mąż jego siostry. Ten człowiek pracuje w milicji.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Markowski z niedowierzaniem patrzył na kobietę. Proboszcz zmrużył oczy i zrobił minę, jakby to, co usłyszał przed chwilą, nie dotarło wcale do niego.

– On mu ufa i jest pewien, że szwagier będzie milczał. Zresztą ten szwagier był dzisiaj u mnie i wszystko mi powiedział. Przywiózł mnie nawet do rodziców na rynek – powiedziała to wszystko bardzo szybko, jakby chciała w ten sposób zatrzeć poprzednie wrażenie wywołane przez

informację o profesji Kmieciaka.

– Czy ten milicjant jest po naszej stronie? – zapytał rzeczowo Markowski.

– Nie, chyba nie. On nie jest za „Solidarnością”. On pomaga tylko Romkowi.

– Powiedział pani, dokąd go zawiózł? – pytał dalej.

– Mówił, jak żeśmy tujechali dziś rano, że zawiózł go do jednej babci, co mieszka gdzieś koło Pamiątkowa i że nikt tam go na pewno nie znajdzie. I może tam siedzieć spokojnie aż do wiosny.

170

– Jeszcze coś powiedział? Niech pani sobie dobrze przypomni, tu każdy szczegół może być istotny.

– Na pewno powiedział, że do babci. Aha, jeszcze śmiał się, że nie będzie się tam nudził, bo babcia pędzi pierwszorzędny bimber.

– No to mamy szczęście, drogi panie – ucieszył się proboszcz. – Pamiątkowo leży w parafii cerekwickiej. A tamtejszy proboszcz to mój stary przyjaciel. I co najważniejsze, lubi dobry bimberek od czasu do czasu do kolacji sobie wypić. Myślę, że on najlepiej będzie wiedział, kto tani na miejscu zajmuje się produkcją.

Godz. 10.30

– Jak się czujesz, przyjemniaczku? – usłyszał głos dochodzący gdzieś zza swoich pleców. Spróbował się odwrócić, ale niczego nie dostrzegł. Zresztą nie mógł się obrócić tak, jakby chciał. Bolało go całe zdrętwiałe z zimna ciało. A poza tym czuł jeszcze ból po uderzeniach, które pozbawiły go przytomności. Nie dostrzegł człowieka, ale znowu zobaczył ten niepozorny przedmiot, który przed chwilą tak go przestraszył. Na podłodze leżała długa biała zomowska pałka. Nazywali ją między sobą pałą koncertową. Była ze trzy razy dłuższa od tej zwyczajnej białej, którą nosił codziennie przytroczoną rzemieniami do swojej raportówki. Jednak ta, na którą patrzył teraz, różniła się nieco od tych standardowych pałek używanych zazwyczaj przez funkcjonariuszy do rozpędzania manifestacji. Zauważył to od razu, jak tylko spojrzał na nią po raz pierwszy. Promienie słoneczne, które ją oświetliły, natychmiast ujawniły jej niezwykłość, i to właśnie sprawiło, że Kmieciak przestraszył się. Końcówka pały miała metalowy kapturek, na którym igrały słoneczne refleksy. Uderzenie taką pałką powodowało, że skóra bitego człowieka natychmiast pękała. Wystarczyło kilkanaście ciosów, by bity wyglądał jak kotlet mielony. Kmieciak dobrze o tym wiedział. Widział paru gości po przyjęciu takich uderzeń. Co więcej, wiedział także, jak takie uderzenia się zadaje. Sam je zadawał.

Usłyszał zbliżające się kroki.

171

Wysoki, dobrze zbudowany blondyn stanął koło leżącej na ziemi pałki.

– Poznałeś ją, prawda? – Uśmiechnął się radośnie, wskazując ręką koncertowe. Podniósł ją z ziemi, zasalutował nią jak szablą, a potem machnął kilka razy przed sobą, przecinając ze świstem powietrze. – Zostawiłem cię tu na trochę z twoją przyjaciółką pałą, żebyś się dobrze zastanowił. Miałeś na to sporo czasu. Chciałbym, żebyś odpowiedział mi tylko na jedno pytanie – mówił blondyn, zbliżając się do związanego Kmieciaka. – Pytanie jest proste i nieskomplikowane i powiem ci jeszcze, że usatysfakcjonuje mnie tylko dobra odpowiedź. Więc posłuchaj teraz, dobrze się zastanów i odpowiedz. Gdzie jest twój ulubiony szwagier Roman Mazurkiewicz?

Milicjant poczuł, że stojący za nim mężczyzna wyszarpuje mu z ust knebel. Wypluł na ziemię resztki szmaty i krzyknął histerycznie, licząc, że facet być może blefuje i nie posunie się do spełnienia gróźb. Krzyk był dobrą, nieraz sprawdzoną przez niego metodą zastraszenia rozmówcy. Pomyślał, że może i tym razem się uda.

– Kurwa, facet, ja jestem z milicji. Czego, pojebańcu, chcesz? Odpierdol się ode mnie i wypuść mnie...

– Zła odpowiedź – usłyszał za sobą, a zaraz potem powietrze przeciął świst pałki.

Uderzenie o mało nie pozbawiło go przytomności. Pałka rozorała całe

ramię.

Kmieciak zawył, gdy niewyobrażalny ból przeszył mu całe ciało. Blondyn obszedł go dookoła i stanął metr od niego. Spojrzał na zakrwawiony czubek pałki i znowu się uśmiechnął, ukazując dwa rzędy śnieżnobiałych zębów.

– Taka niepozorna pałka, wyobrażasz to sobie. A jakie to skuteczne narzędzie. Zresztą ty wiesz o tym dobrze. Używałeś już jej kiedyś, prawda? – Mrugnął porozumiewawczo do Kmieciaka i uśmiechnął się znowu.

– Swoją drogą, temu, kto wymyślił ten żelazny kapturek na końcu tej pałki, należałaby się jakaś nagroda resortowa. Genialny wynalazca, nie sądzisz? No ale ja tu się rozgadałem, a ty pewnie chciałbyś mi wreszcie odpowiedzieć na pytanie. Mówiłeś coś? – Teatralnym gestem przyłożył

172

lewą rękę do ucha i pochylił się nieco, jakby starał się za wszelką cenę coś usłyszeć. – No mów śmiało, nie wstydź się.

.– Ty chuju, zajebię cię jak psa! – krzyknął milicjant.

– Zła odpowiedź.

Znów świst powietrza i pałka z młaśnięciem wylądowała na nagiej pierśsi. Kmieciak nie zdążył nawet krzyknąć. Znowu zapadł się w ciemności.

ROZDZIAŁ VII

Godz. 10.35

Podporucznik Mirecki był zły dziś od rana. Od kilku dni nie mógł się wyspać. Najpierw była ta noc trzynastego grudnia i roboty od cholery, a później, gdy myślał, że wreszcie będzie miał trochę spokoju, zbudzili go wcześniej rano i kazali jechać do oględzin jakiegoś trupa. Z domu w Ratajach zabrali go radiowozem i zawieźli na Jeżyce, na Jackowskiego. Tam w śmietniku siedział sobie sztywny facet z przestrzelonym sercem. To trochę zdziwiło Mireckiego. W tej okolicy rzadko używano broni palnej do załatwiania porachunków. Trupy, które od czasu do czasu znajdowano, miały przeważnie głowy rozbite cegłową czy butelką, albo rany od noża. Zdarzali się też pijaczkowie, którzy zasnęli na dworze po wypiciu butelki denaturatu i zesztynieli całkiem na śmierć. Kula w serce wyglądała tu, jakby była z innego świata.

Mimo że było bardzo wcześnie, na podwórku zebrał się już spory tłumek ciekawskich mieszkańców z frontowej kamienicy i dwóch oficyn. Z zainteresowaniem przyglądali się wszystkim czynnościom techników milicyjnych. Jeśliby mogli, na pewno wleźliby nawet do śmietnika, żeby z bliska przyjrzeć się sensacyjnemu znalezisku. Z miejsca, gdzie stali, czyli pod ścianą prawej oficyny, gdzie zepchnęli ich milicjanci, niewiele było widać. Silna punktowa lampa oświetlała tylko niewielki skrawek śmietnika z leżącym w jego centrum trupem. Co chwila któryś z gapiów zbliżał się z wyciągniętą szyją, by zaobserwować jak najwięcej, a później pochwalic się niecodzienną wiedzą ze znajomymi. Szczególnie natrętne były dzieciaki; opatulone szalikami, w wełnianych czapkach naciągnię-

174

tych na uszy kręciły się wokół jak szarańcza. O ile z dorosłymi milicjanci zabezpieczający miejsce jakoś sobie dawali radę, o tyle z maluchami był kłopot, bo one potrafiły wcisnąć się wszędzie. Co pewien czas któryś szczon próbował wejść na tylną ściankę śmietnika. Ściągano ich po kolei i odstawiano w tłum, ale takie chwilowe niepowodzenia nie mogły zrazić ciekawskich dzieci. W końcu nie codziennie na ich podwórku zdarzała się taka atrakcja, jak trup w śmietniku. I co najistotniejsze, jak się wkrótce okazało, trup całkiem znajomy.

Rozpoznał go gospodarz domu mieszkający cztery kamienice dalej.

Milicjanci wyciągnęli go z łóżka, mimo że o tej porze powinien już od dawna biegać z szypą i odśnieżać chodniki. Miał szczęście, bo jakby obudzili go dziś dzielnicowy, to dostałby jeszcze mandat za nieodśnieżony chodnik. Ale dzielnicowego nigdzie nie można było znaleźć. Chłopcy z komisariatu próbowali go odszukać, jednak bezskutecznie. Podobno wczoraj robił rewizję na melinie, kilka przecznic stąd, więc pewnie leżał gdzieś upity zarekwirowaną gorzołą. Gospodarz domu też nie wyglądał najlepiej. Czuć było od niego z odległości kilku metrów przetrawiony alkohol. Stał nad trupem w śmietniku i przyglądał mu się uważnie.

– No i co, panie Kosela? – zapytał porucznik Mirecki, spoglądając

na ciecia w kufajce i uszanej czapie.

– No gównu, panie majorze, znaczy się chciałem powiedzieć – poprawił się gospodarz – że wdepnął w niezłe gównu ten tu.

– Znacie go? – pytał dalej milicjant, nie bardzo wierząc w powo-
dzenie.

Zabity nie wyglądał na gościa z tej ulicy. Tacy klienci w krawatach i w porządnych płaszczach, jak ten tu leżący, dawno zniknęli z Jackowskiego. Co innego dawniej. W tych kamienicach przed wojną mieszkała sama inteligencja. Mieszkania miały po pięć, sześć pokoi; były to wielkie, porządne lokale o dużym metrażu. Po wojnie, jak nastały nowe, lepsze czasy, nie można było dopuścić do tego, żeby jedna rodzina, najczęściej niezbyt przychylnie nastawiona do władzy ludowej i tęskniąca za Anderssem na białym koniu, zajmowała tak wielki metraż. Zagęszczało się więc, jak leci. Tym przemądrzałym zostawiało się jeden pokój z dostępnością do kuchni, a do pozostałych kwaterowano zdrową siłę narodu, czyli emi-
175

grantów ze wsi i biedotę z najgorszych dzielnic miasta. Przybysze przynosili do swoich nowych mieszkań swoje obyczaje i zadbane, ekskluzywne mieszkania szybko przemieniały się w brudne, zarobaczone nory. A inteligenci, nie mogąc znieść widoku dewastowanych ubikacji i klatek schodowych, powoli wynosili się ze swoich dawnych mieszkań, w których panoszyli się teraz nowi, śmierdzący wódką gospodarze z czerwonymi ryjami. Takich jak ten, leżący w śmietniku relikwitu przeszłości, można było policzyć na Jackowskiego na palcach jednej ręki. Mirecki dobrze znał ten typ elegancików. Sam sprowadził się na początku lat pięćdziesiątych do takiego wymuskanego mieszkania jakiegoś adwokata. Początkowo gospodarz próbował walczyć z nowymi lokatorami. Szczególnie nie podobało mu się, że niektórzy nie potrafili nasikać do ustępu bez oblania deski czy podłogi. Młody milicjant szybko poradził sobie z tą reakcyjną świnią. Do-
niósł na niego, że facet słucha wieczorami radia Londyn. UB zaraz go aresztowało, a w nagrodę milicjant przeniósł się ze swojego małego pokoiku, który był kiedyś służbówką do salonu, który odebrano aresztowanemu.

– A co go mam nie znać? To ten Pawlak z narożnika, nad spożyw-
czym co mieszka. Inżynier – objaśnił z niesmakiem gospodarz Kosela.

– Wreszcie się doigrał, skurwiel jeden.

– Doigrał? – zainteresował się milicjant. – A czemu tak uważacie?

– Panie, ja tam nie wiem, co ludzie w domach u siebie robią. I nic mi do tego. Ale jak kto nie ma żony i ma tylko znajomych panów, co na noc zostają to chyba obraza boska, nie?

– Znaczy się pederasta? – zapytał ciszej porucznik.

– A diabli go wiedzą, ale jedno jest pewne, gorzoly to on nie wypił, tylko markowe wina kupował, węgierskie czerwone. Panie, kto normalny takiego sikacza by wypił. No chyba, że na popitkę. A on zamiast kartki po bożemu w monopolowym realizować, ciociosan kupował. Tfu, paskudstwo – dodał i splunął pod nogi. – Nienormalny jak nic, a bejmów to miał jak lodu, bo do Iraku budować jeździł, na te, no kontrakty i dużego fiata się dorobił, i telewizora japońskiego w kolorze.

Porucznik Mirecki pracował w MO już dwadzieścia pięć lat. Niedługo miał pójść na emeryturę. Cenił sobie spokój w pracy i nie bardzo lubił się
176

przepracowywać. A śledztwo, i to kryminalne, od rana oznaczało kłopoty i przede wszystkim dużo pracy. Spojrzał na swój raport leżący na biurku. Przeczytał go jeszcze raz uważnie i złożył na nim swój podpis. Opisał wszystkie elementy porannego zdarzenia na Jackowskiego. Pomyślał, że w ten sposób zaczyna się jeszcze jedno nudne śledztwo, w którym motywem przewodnim będą pieniądze i pederasta. Nie lubił ich. Uważał, że każdego takiego człowieka powinno się leczyć przymusowo i zastanawiał się nawet, dlaczego dotąd władze nie zrobiły z tym porządku. Ale teraz, jak wprowadzono wreszcie stan wojenny, to chyba zaczniesz się porządkowanie tego burdelu. I z tymi pederastami też się coś na pewno zrobi, tak jak z „Solidarnością”. W tym kraju za dużo jest bałaganu – myślał Mirecki. A wszystko przez to, że jest za mało przepisów, które mówią co wolno, a czego nie wolno. Jakby tak na przykład było powiedziane w kodeksie karnym, że za pedałstwo jest dziesięć lat więzienia, to by się to zaraz

dało ukrócić. Każdego takiego można byłoby zamknąć i byłby spokój. Bo wiadomo, że tam, gdzie są zboczenia, musi być przestępstwo. Mirecki był więc zwolennikiem radykalnych rozwiązań i gdyby to od niego zależało, każdy obywatel musiałby mieć żonę i dzieci. A jakby nie miał, byłby automatycznie podejrzany. No a od podejrzenia do udowodnienia winy tylko jeden krok. Potrzebne były tylko odpowiednie paragrafy, które mogłyby wszystko regulować.

Teraz zastanawiał się, jak tę sprawę ugryźć. Pederasta, który dorobił się w Iraku – to dawało pewne nadzieje na szybkie rozwiązanie. W tej chwili milicjanci przeszukiwali jego mieszkanie i wypytywali sąsiadów. To może przynieść jakieś wyniki, ale nie od razu. A komendant będzie chciał na pewno jakiegoś szybkiego efektu śledztwa. Nie było na co czekać. Mirecki wiedział już, jak się do tego zabrać. Potrzebni byli podejrzani. Na szczęście z tym nie powinno być wielkiego problemu.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił trzycyfrowy numer wewnętrzny, kolegi z obyczajówki.

– Słuchaj, Karol, potrzebny mi jakiś namiar na dwóch, trzech znanych nam pederastów, muszę ich wsadzić na czterdzieści osiem w sprawie morderstwa takiego jednego starego dziadygi. On był też z tego kręgu. Oni muszą się przecież wszyscy znać, nie? Dobra, już zapisuję...

177

Godz. 11.35

– To, kiedy on się może obudzić? – zapytał lekarza choraży Olkiewicz.

– Może za godzinę, może za pięć, ale tak naprawdę to nie mam zielonego pojęcia.

– Jak to – zdziwił się milicjant – czemu pan nie wie?

– Bo to nie jest zegar na sprężynę, tylko żywy człowiek. I nigdy na sto procent nie da się określić, jak zareaguje ludzki organizm. Jedno w tej chwili jest pewne: jego stan jest ciężki, a my zrobimy wszystko, żeby go uratować – wyjaśnił cierpliwie doktor Kruczkowski.

Nie miał ochoty na takie rozmowy z milicjantami, ale nie było wyjścia. Musiał im odpowiedzieć na wszystkie pytania, mimo że ledwo trzymał się na nogach. Po dyżurze powinien właśnie odsypiać nockę. Ale rano okazało się, że musi wziąć kolejny dyżur. A wszystko przez stan wojenny. Lekarz, który miał go dzisiaj zmienić, został w trybie pilnym zmobilizowany i wcielony do wojska. Jego pech polegał na tym, że zaledwie pięć lat temu skończył studia i dopiero co zrobił pierwszą specjalizację. Tym samym miał już spore doświadczenie lekarskie i całkiem niedawno zakończył studium wojskowe. Nadawał się więc do służby w pierwszej kolejności. Ordynator dowiedział się o tym dopiero wczoraj i rano uraczył Kruczkowskiego tą sympatyczną informacją.

Burzyło to wszystkie dzisiejsze zamiary doktora. A plany były nie byle jakie. Miał razem z kolegą, internistą ze szpitala na Lutyckiej, jechać do Swarzędza. Nie załatwili sobie co prawda przepustki, która zgodnie z nowymi przepisami stanu wojennego pozwalałaby im przemieszczać się poza miejscem zamieszkania, lecz z tym problemem poradzili sobie błyskawicznie. Kolega porozmawiał ze znajomym, który był kierowcą w kolumnie transportu sanitarnego i dysponował służbową karetką. A wiadomo, że karetka na sygnale żaden szkieł, nie będzie zatrzymywał. No więc ta karetka na sygnale mieli pojechać do Swarzędza, a właściwie do niewielkiej wioski tuż obok miasta. Tam miał gospodarstwo jeden były pacjent doktora Kruczkowskiego, który hodował świnie. Umówili się na dzisiaj wieczorem na świniobicie. Wszystko było już dogadane. Znajomy rzeź-

178

nik, znajomy weterynarz, słowem cała logistyka. No i jeszcze trzeba było mieć tylko trochę kondycji, żeby to świniobicie odpowiednio podlać gorzola. A po nieprzespanej nocy z kondycją dzisiaj u doktora było kiepsko. Gdyby jeszcze miał spokój na dyżurce, ale ta siostrzyczka nie dała mu po spać ani przez chwilę...

Świniobicie to było niezwykle ważne przedsięwzięcie, szczególnie tuż przed świętami. W sytuacji, kiedy w sklepach mięsnych praktycznie nie można było niczego dostać, trzeba było sobie jakoś radzić. A świniak kupiony na spółkę – przerobiony na kielbasy, szynki i inne wędzone spe-

cjały – zapewniał dostatek jedzenia podczas świąt Bożego Narodzenia bez stania w kolejkach i niepotrzebnej straty czasu. No i nic dziwnego, że od rana doktor Kruczkowski myślał tylko o świniobiciu. A tu namolni milicjanci zawracali mu głowę stanem jakiegoś pacjenta.

– Panie doktorze – powiedział rudy, piegowaty podporucznik – bardzo nam zależy na rozmowie z tym funkcjonariuszem...

– Rozumiem – przerwał mu lekarz – ale tu nic już nie zależy ode mnie.

– Tak, wiemy, już nam pan to wyjaśnił. Dlatego proszę, gdyby się obudził, gdyby zaczął wracać do zdrowia – niech szpital da nam znać. Telefony co prawda nie działają, ale jest połączenie alarmowe radiotelefonem między komendą i waszym pogotowiem.

– To akurat mogę wam obiecać, panowie – powiedział lekarz, wstając zza biurka.

Podnieśli się też obaj milicjanci. Pożegnali się i wyszli na korytarz. Zeszli po schodach na parter i po chwili znaleźli się w dużym holu. Brodziak skierował się w stronę oszklonych drzwi, ale Olkiewicz przytrzymał go za rękaw.

– Skończyły mi się ćmiki – wyjaśnił, wskazując głową kiosk „Ruchu”.

– Też bym coś kupił, ale nie mam już kartek – zmartwił się podporucznik.

– To patrz i się ucz.

Olkiewicz nachylił się do okienka, wyciągnął swoją służbową legitymację i rozłożył ją na stercie dzisiejszego wydania „Trybuny Ludu”. Sprzedawczyni spojrzała najpierw na legitymację, później na pochylonego Olkiewicza, a na koniec na mundurowego Brodziaka.

179

– W związku ze stanem wojennym powzięliśmy informację operacyjną, że sprzedaje się tu na lewo papierosy poza kartkowym przydziałem – zaczął groźnie chorąży. – A zgodnie z nowymi przepisami spekulacja podlega karze do pięciu lat pozbawienia wolności.

– Jezus Maria! – powiedziała kobieta i zaczęła płakać.

Teofil odwrócił się do porucznika, mrugnął znacząco i zapytał:

– A obywatel porucznik, jakie pali najchętniej?

– Radomskie – odpowiedział zdziwiony Brodziak.

– Pan porucznik radomskie, a ja ekstra mocne. Pani da dwa kartony. Przerazona sprzedawczyni schyliła się pod ladę i po chwili wynurzyła się z powrotem z dwiema pakami zawiniętymi w szary papier. W każdej było po trzydzieści paczek papierosów. Kobieta położyła je na gazetach.

– A co z tym więzieniem, panie kapitanie? – spytała zapłakana sprzedawczyni.

– Na razie wam darujemy, ale jak jeszcze raz do nas dojdzie informacja o nieprawidłowościach, to inaczej pogadamy.

Olkiewicz pogroził jej palcem, a potem zwinął obie paki pod pachę. Wyszli na zewnątrz. Powiało przenikliwym zimnem. Na szczęście śnieg przestał już padać, a przez szarobure chmury zaczęło przebijać się nieśmiało słońce.

– A gdyby powiedziała, że nie sprzedaje na lewo? – zapytał podporucznik, odbierając od chorążego karton radomskich.

– Jak to co? Wszyscy sprzedają na lewo. W tym interesie nie ma niewinnych. – Olkiewicz zaśmiał się. – Oni oszukują to i my możemy robić ich w balona, nie?

Nagle chwycił się za kieszeń i uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy.

– Kurwa jasna, zostawiłem legitymację! – powiedział i pobiegł do kiosku.

Godz. 12.15

Ksiądz proboszcz Henryk Okoń wyszedł z ciepłego mieszkania i skulił się z zimna. Z pola, które rozciągało się na prawo od plebani, wiał zimny wiatr, zwiewający z zagonów zmarznięty śnieg. Murowany kościółek był

180

jakieś sto metrów przed nim, a przez tę zawieję ledwie go było widać. ksiądz wcale jednak nie zmierzał w stronę kościoła. Musiał przejść pod wiatr wzdłuż domu, w stronę małej obórki. To właśnie w przejściu między budynkiem gospodarczym a plebanią stał niewielki murowany garaż, przylepiony do starego ceglanego muru budynku mieszkalnego. Skulony

ksiądz w grubej wełnianej czapce, ubrany tylko w lekką kamizelkę wrzucaną na wierzch sutanny i szczelnie opatulony szalem chciał już ruszyć na prawo, jednak drzwi otworzyły się za nim i z plebanii wypadła Matylda Grzelakowa, jego gospodyni.

– Łe jery, niech się ksionc proboszcz ino wróci do antryjki i co na te jupke założy. Jakiś mantel albojak, bo taki wyogglany nigdzie nie pójdzie w taką zawieruchę.

– Ee tam, pani Grzelakowa – bronił się ksiądz, ale na próżno. Silne ramię postawnej kobiety objęło szczupłego mężczyznę i wciągnęło go do przedpokoju.

– Przecież ja tylko do garażu – tłumaczył proboszcz.

– Ja jest tego nauczona od małego, że w ziąb trzeba się fajno oblec – stwierdziła kategorycznie i założyła mu na ramiona wielki chłopski kożuch.

Zrezygnowany ksiądz poprawił sobie okrycie i ruszył do drzwi.

– Ino niech ksionc rychło się wróci, bo plyndze dziś bydom na obiad. A do garażu to chyba jeszcze co do odkluczenia się przyda – mówiąc to, wyciągnęła rękę z kluczem od kłódki.

Proboszcz uśmiechnął się zmieszany, wziął klucz z wielkiej ręki i wybiegł z domu. Korzystał teraz z okazji, że nie ma nic ważnego do roboty. Chciał przyjrzeć się swojemu maluchowi, który stał zamknięty w garażu koło domu. Właśnie wczoraj, gdy wracał z pobliskiej Przybrody, auto wpadło w poślizg na niewielkim zakręcie i poleciało do rowu. Księdzu na szczęście nic się nie stało i skończyło się tylko na strachu. Maluch jednak Ucierpiał. Kilku chłopów wepchnęło samochód z powrotem na drogę.

Ukazało się, że na prawym przednim nadkolu było wyraźne wgniecenie. Na domiar złego podczas odpalania, zerwała się jeszcze linka rozrusznika i trzeba było go zapchnąć. Po powrocie do domu było już zbyt ciemno, żeby przyjrzeć się szkodom, a dziś od rana nie miał na to czasu. Zaraz po 181

porannej mszy zaczął przyjmować parafian, których było tym razem wyjątkowo wielu. Więc teraz, gdy wyszła od niego ostatnia para młodych, którzy przyszli dać na zapowiedzi, błyskawicznie narzucił na siebie skórzaną kamizelkę i pobiegł do garażu, nie bardzo myśląc o porządnym odzianiu się.

– Grzelakowa jak zwykle miała rację – pomyślał z uśmiechem o swojej gospodyni, gdy otwierał garażową bramę. Drewniane drzwi zaskrzypiały, ale nie otworzyły się od razu. Trzeba było nogą odsunąć śnieg, który zaległ na podjeździe, przysypując je w dolnej części. Ksiądz trochę się przy tym spocił, ale udało się. Po minucie był już w środku. Biały fiat 126p na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem dobrze. Dopiero gdy właściciel podszedł z lewej strony, zobaczył, że błotnik jest mocno wgnieciony. Na szczęście nie na tyle, by utrudniać jazdę. Proboszcz bardzo lubił swój samochód. Kupił go pięć lat temu za dolary. W normalnej sprzedaży małe fiaty były w ogóle nieosiągalne. Gdyby chciał czekać na swojakolejkę, wpłacając co miesiąc pieniądze na książeczkę samochodową PKO, to samochód dostałby gdzieś koło roku 1987. Tak mu powiedzieli w banku. Dlatego zdecydował się na transakcję walutową. Od cinkciarzy pod Peweksem na Grunwaldzkiej w Poznaniu kupił 850 dolarów i wpłacił je na konto w PeKaO. W ten sposób nielegalna waluta została zalegalizowana. Potem wyciągnął z konta 850 dolarów w pekaowskich bonach, dołożył szesnaście tysięcy złotych i już po czterech tygodniach oczekiwania odebrał fiacika z Polmozbytu.

– Trzeba będzie pojechać do warsztatu w Rokietnicy. Tylko ciekawe, ile im zajmie taka naprawa – pomyślał, przypominając sobie tę z zeszłego roku, kiedy to po zderzeniu z furmanką miał wgnieciony cały przód. Wtedy mechanik obiecywał, że zrobi malucha błyskawicznie, a bawił się z naprawą ponad miesiąc. Wszystko w końcu zostało wyklepane, pospawane i wyszpachlowane, ale i tak na masce widać było wyraźne ślady po tej partaninie. Wtedy proboszcz musiał korzystać z pomocy wiernych, by móc się przemieszczać. Było to na tyle uciążliwe, że teraz zaczął zastanawiać się, czy w ogóle z takim niewielkim zgnieceniem oddawać auto do naprawy. Jednak linkę rozrusznika naprawić trzeba było na pewno. Na razie jednak poszedł na tył garażu, gdzie pod ścianą wałała się sterta rupieci. Poszperał

tam trochę i w końcu wydobyl obciety metrowy kij od miotły. Spojrzał na niego, sprawdził czy nie jest pęknięty, a gdy oględziny wypadły pomyślnie, otworzył drzwi auta i wrzucił go na tylne siedzenie.

Taki kij był niezbędnym elementem wyposażenia wszystkich właścicieli maluchów. W samochodach tych często zrywały się linki łączące dźwignię rozrusznika z samym urządzeniem. Wtedy jedynym ratunkiem był kij. Trzeba było otworzyć z tyłu klapę silnika i kijem przycisnąć cyniel przy rozruszniku. Ta metoda sprawdzała się zawsze.

Ksiądz Okoń jeszcze raz spojrzął na wgniecenie i w końcu machnął ręką.

– A co tam, jeszcze pojeździ z pomocą Bożą a mechanik może poczekać – powiedział do siebie i poszedł na plebanie.

Godz. 12.35

– No jak tam, kolego, zastanowiłeś się wreszcie? – jakiś głos wyrwał Kmieciaka z odrętwienia.

Przez moment w ogóle nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Dopiero po jakiejś chwili zaczął przypominać sobie, co się dzieje. Wysoki blondyn, pała uzbrojona w stalowy kaptur i zimna hala fabryczna. Te wszystkie elementy ułożyły mu się w chronologiczny obraz wydarzeń z czasu, zanim stracił przytomność. Zdziwił się, że nie czuje w ogóle bólu. Zaczął się zastanawiać i obliczył, że dostał jakieś dziesięć ciosów pałką. Wolno otworzył oczy i spojrzął na swoją pierś. Była cała pokryta ranami. I sinymi pręgami pozostawionymi przez twardą gumę. Wtedy ból i zimno powróciły. Jakby ktoś za pomocą jakiegoś niewidzialnego pstryczka wcześniej wyłączył, a teraz włączył czucie. Kmieciak zaczął się cały trząść. Dotkliwe zimno znów przeniknęło każdy milimetr jego ciała, a przy tym rany paliły, jakby ktoś przykładal mu w zranione miejsca żywy ogień.

– Niepotrzebnie się upierasz, przyjacielu. Jeślibyś powiedział mi Wszystko od razu, nie musiałbyś wcale cierpieć – mówił blondyn, który znów stanął metr od niego. – Myślisz sobie pewnie, że jestem sadystą? ale ja, jeśli mam być szczery, nie lubię bić ludzi. Co więcej, nawet uwa-

183
żam, że tortury są nieludzkie. No ale sam wiesz, jaka to niewdzięczna praca. Niekiedy spotyka się na swojej drodze człowieka, którego w żaden sposób nie można namówić do współpracy. No i jak takiemu przemówić do rozsądku. Pamiętasz tego studenta polonistyki, którego złapaliście podczas marszu głodowego, chyba w sierpniu? Tego, co rozrzucał ulotki na placu Wolności. Ciekaw jestem, czego on wam wtedy nie chciał powiedzieć na komendzie. Taki młody przestraszony chłopak.

Kmieciak pamiętał dobrze. Złapali go akurat, jak wyjmował z torby plik ulotek odbitych na powielaczu. Chciał je rzucić w tłumie i uciec, ale nie zauważył, że tuż za nim, przy budce „Ruchu” stało dwóch mundurowych. Nie pozwolili mu rozrzucić bibuły. Obezwładnili go natychmiast i zawieźli do siebie na komendę. Najpierw dostał już w radiowozie parę porządnych ciosów, że z samochodu musieli go wynieść. No a później w celi postanowili sprawdzić na nim po raz pierwszy, jak działa ta pała z metalowym kondomem. No i sprawdzili. Przylali mu kilka razy, a efekt był nawet dla nich, twardych milicjantów, porażający. Chłopaka zabralo pogotowie i później dowiedzieli się, że zmarł w szpitalu. A ten tu się pyta, czego im nie chciał powiedzieć. Tylko, że oni go o nic nie pytali. Chcieli mu tylko wybić z dupy wrogą działalność tą ulepszoną pałą i trochę przeholowali.

– I wiesz, co myślę? – mówił dalej oprawca. – Myślę sobie, że on wam wcale nie miał nic do powiedzenia, bo wyście go o nic nie pytali. Prawda? Tak sobie pobiliście go dla zabawy. Czyli zupełnie niepotrzebne okrucieństwo. I jak myślisz, kto z nas dwóch jest sadystą. Ja, bo biję cię dla uzyskania ważnych informacji, czy ty, który własnoręcznie zabiłeś chłopaka, bo chciałeś się trochę zabawić. No, ale dość tych pogawędek. Teraz poproszę cię wreszcie o odpowiedź na moje pytanie. Gdzie ukrywa się twój szwagier?

Kmieciak podniósł głowę i spojrzawszy na mężczyznę, wycharczał:

– Spierdalaj, gnoju.

– Zła odpowiedź.

Godz. 13.05

– Pani mi da w takim razie rosół z makaronem i na drugie niech będzie schabowy z pyrami i jakaś surówka do tego. Kiszona kapusta jest?
– Kapusty nie ma dzisiaj, jest ino szabelek z puszki.
– Dobra, niech będzie ta fasolka – powiedział Karpiński i podał bufetowej swój kupon obiadowy. Kobieta wzięła kartonik i wycięła nożyczkami mały kwadracik z dzisiejszą datą. Jak większość milicjantów z Komendy Wojewódzkiej, którzy zajmowali się pracą biurową kapitan na początku miesiąca wykupywał sobie obiady w stołówce zakładowej na cały miesiąc. Prócz tego musiał u intendenci zostawić też kartkę na kilogram mięsa bez kości. Z tych kartek, które oddawali wszyscy jedzący tu obiady, kierowniczka stołówki wykupywała mięso w hurtowni WSS „Społem”. Prócz tego lokal dostawał także mięso spoza kartkowego przydziału, tak jak każda restauracja. I to dlatego właśnie milicjanci mieli codziennie do wyboru kilka dań mięsnych, a nie jak pracownicy innych zakładów pracy, którym ich stołówki zakładowe nie dawały żadnego wyboru.

Natomiast ci z pracowników komendy, którzy nie wykupywali miesięcznych bloczków, za obiad pozaabonamentowy musieli zapłacić trochę drożej. Fred Marcinkowski należał właśnie do tej drugiej grupy. Nie wykupywał obiadów, bo nigdy nie wiedział, czy będzie w komendzie w porze obiadowej. Najczęściej jadał na mieście w którymś z barów mlecznych, a niekiedy w restauracji. Dziś do stołówki zabrał go kapitan, bo chciał z nim porozmawiać o sprawie dwóch morderstw.

– A ja wezmę barszcz zabieleny i bigos z ziemniakami – powiedział Marcinkowski.

– Pani Wiesiu, raz schabowy, raz bigos, barszcz i rosół proszę!

– krzyknęła bufetowa, nachylając się do okienka, za którym znajdowała się kuchnia. – Oba drugie z pyrami! Panowie se siedną a ja zawołam jak nałożą – wydała polecenie obu oficerom, a ci posłusznie poszli zająć stolik.

Usiedli koło okna. W sali jadalnej stało kilkanaście kwadratowych stolików na metalowych nogach, przykrytych obrusami z ceraty. Na każdym stał mały porcelanowy wazonik z plastikowym kwiatkiem. Dodatkowe

185

wyposażenie stołów stanowiły niewielkie słoiczki z solą. Każdy miał w nakrętkach po kilka dziurek zrobionych małym gwoździem. Dzięki temu nie trzeba było soli wybierać palcami, lecz można było posypywać nią potrawę prosto ze słoja.

Karpiński odsunął od siebie solniczkę i zgarnął z ceraty na podłogę resztki jedzenia, które zostały tu po poprzednim konsumencie. Tylko przy dwóch stolikach i to w przeciwległej części sali siedzieli milicjanci, ale i tak kapitan nachylił się nieco, zbliżając się do porucznika, jakby bał się, że ktoś może usłyszeć.

– Słuchaj, Fred – zaczął kapitan. – Byłem dziś na górze – wskazał ruchem głowy sufit. Góra oznaczała pomieszczenia zajmowane w komendzie przez Służbę Bezpieczeństwa. – No i tam powiedzieli mi trochę więcej o sprawie pieniędzy. Okazuje się, że to wszystko, co stało się z tymi dwoma zabitymi facetami, to ich wina. Spierdolili całą sprawę od samego początku.

– Nie przechwycili kasy, od razu jak pojawiła się w Polsce? – domyślił się Marcinkowski.

– No właśnie i z tego wyszła ta cała gemela. Śledzili przepływ kasy, namierzili kuriera i wiedzieli nawet, że pieniądze trafiły do Zarządu Regionu. Później ich informator dał im cynk, kto te pieniądze ma rozwieźć po Poznaniu. Okazało się, że ten sam kurier dostał adresy i miał się zająć ich dostarczeniem bankierom. Tyle, że chłopcy z bezpieki nie wiedzieli, kiedy. No i ten facet rozwiózł tę kasę, a oni go chcieli wtedy przejąć i ustalić, gdzie te bejmy trafiły. No i wtedy zaczęła się wojna, a ten kurier im zniknął, rozpląnął się w powietrzu.

– To są ale lebiegi – podsumował i zaśmiał się porucznik.

– I najlepsze jest to, proszę ja ciebie, że oni teraz próbują znaleźć tego klienta, ale im nie idzie. I dlatego poprosili nas o pomoc.

– I co, pomożemy im?

– Pomóc możemy, ale nie od razu. Niech się jeszcze trochę powkur-

wiają. Na razie to sobie myślą, że kurier może wiedzieć, gdzie ukrywa się ostatni bankier. Ale ja myślę, że on nic nie wie. Oddał forszę i na tym skończyła się jego rola. Dlaczego ci z „Solidarności” mieliby go wtajemniczać w to, co dalej z tymi markami, nie? A zresztą, nawet jakby wiedział, to i tak nikomu nic nie powie.

186

— Uciekł za granicę?

— Uciekł, ale nie do Niemiec. I to jest właśnie najlepsze. Słuchaj, Fred. proszę ja ciebie. Uciekł, przynosząc się w zaświaty. Dziś rano znaleźli go sztywnego w jakimś śmietniku na Jackowskiego. Zabity jednym strzałem prosto w serce. Dostałem właśnie informację na biurko. Śledztwo prowadzi ten tępak z mojej skiej komendy, no jak on się nazywa, Mirecki podporucznik-Marcinkowski uśmiechnął się do siebie. Jeśli Mirecki prowadził śledztwo, to było pewne jak w banku, że efekty tego będą mniej niż mizerne. Facet był twardogłowym, betonowym kretynem, który, gdyby to od niego zależało powsadzałby wszystkich, którzy mu się nawiną pod rękę w czasie śledztwa. Słowem, nie można było o nim powiedzieć, że jest wulkanem intelektu.

— No i on w swoim raporcie już napisał, że może tu chodzić o porachunki w środowisku pederastów. Proszę ja ciebie, Fred, ten debil pisze o nich tak, jakby to była mafia z filmu Ojciec Chrzestny.

— To niech sobie ściga mafię, a my róbmy swoje. Niech idzie tym swoim tropem, byleby tylko zbyt wielu ludzi nie pozamykał. Dla nas ma to o tyle znaczenie, bo widać, że ktoś szuka trochę po omacku. Trahl dwóch, szuka trzeciego, a tymczasem próbował dopytać o kuriera. Mamy więc do czynienia z zimnym gnojem, który zdecydował się na wszystko, byleby tylko dostać całą forszę. Oczywiście, przy założeniu, że kuriera zabił ten sam człowiek, co sprzątnął bankierów. Chyba, że pan Mirecki ma rację i to rzeczywiście porachunki mafijne.

Kapitan Karpiński uśmiechnął się i machnął ręką, pozostawiając ostatnią myśl Freda bez komentarza.

— Schabowy z rosołem i bigos z barszczem zabielanym! — krzyknęła w salę bufetowa.

Obaj milicjanci jak na komendę wstali od stołu i ruszyli do bufetu. Stojąca za nim kobieta podsunęła w kierunku nadchodzących dwie plastikowe tace załadowane talerzami.

— A barszczu już nie ma, to dałam zamiast szczawiową z jajkiem, bo też kwaśna — wytłumaczyła Fredowi, dlaczego zamówiony przez niego barszcz ma zielony kolor.

187

Godz. 15.10

O tej porze na deptaku przy Półwiejskiej kręciło się niezbyt wielu ludzi. Poranne zakupy dawno już były zrobione i wiadomo, że nie ma co liczyć, aby o tej porze pojawił się jeszcze jakiś towar w sklepach spożywczych czy mięsnych. Poza tym było bardzo zimno i nikt, kto nie był do tego zmuszony, nie wychodził bez potrzeby na ulicę. Przed Peweksem na narożniku z Kwiatową stał dziś tylko jeden cinkciarz. Mimo że ubrany był w czapkę z misia, gruby barani kożuch oraz wysokie ciepłe buty typu Relax i tak kulił się z zimna. Nie miał zbyt dużo pracy. W normalnych warunkach o tej porze zaczynał się już sezon przedświątecznych zakupów. Każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, kupował dolary, bo tylko w Peweksach można było dostać jakiś dobry towar. W zwykłych sklepach półki były niemal puste. Bo teraz, gdy zaczął się stan wojenny, ludzie spodziewając się najgorszego, wykupywali wszystko, co tylko się dało. Tak na wszelki wypadek. Nikt nie miał też pewności, czy przed świętami rzuca jeszcze do sklepów coś godnego uwagi. Ale gdy wprowadzono stan wojenny, ruch pod Peweksami zamarł. Ludzie nie wiedzieli, czy te nielegalne przeciw transakcje walutowe nie zaczną być ścigane i, co gorsza, karane z surowością godną nadzwyczajnych okoliczności.

Choraży Olkiewicz idący po drugiej stronie ulicy spojrzął na cinkciarza i machnął mu ręką. Tamten odpowiedział mu tym samym gestem.

Znali się od dawna i niekiedy robili razem jakieś walutowe interesy.

— Dolary już niedługo będą po cztery stówy — powiedział Teofil do Mirka Brodziaka, który teraz, po służbie przebrany w cywilne ciuchy,

wyglądał jak zwykły chłopak ze Starego Miasta. Po pracy obaj pojechali do mieszkania podporucznika przy Wrocławskiej. Ściągnął tam mundur i zamienił się w cywila, bo Olkiewicz postanowił zabrać młodego na „małe piwko”. Teraz szli do ulubionej pijalni Teofila.

— Chciałem kupić se dzinsy jakieś, bo te, co mam na tyłku, mają już ładnych kilka lat. Ale teraz przed świętami chyba nie dam rady. Widziałem tu ładne wyciery za dwadzieścia dolców. No i jeszcze Old Space'a, po gołębniu, bo od tej naszej kioskowej Przemysławki już mi się niedobrze robi.

188

v tym Peweksie to se coś nieraz kupuję — powiedział Brodziak, wskazując na sklep z cinkciarzem na warcie.

.__ Jak chcesz, to możemy pogadać z tym Karolkiem, co tam stoi. Na pewno ma dla ciebie jakieś parę dolców po dobrej cenie.

— Ee nie, nie mam pieniędzy na pierdoły. Zresztą ostatnio i tak cały czas łażę w mundurze.

— Ady tam, ciągle nie będziesz łaził, nie? Ta wojna kiedyś się skończy, a kryminalny szkieł w mundurze to poruta.

Teofil przeciął deptak, a Mirek chcąc nie chcąc, poszedł za nim.

— No, co tam Karolek, jak leci? — przywitał się z handlarzem.

— Co się pan pytasz, pułkowniku, widać, że chujowo, nie? Naród przestraszony tymi waszymi porządkami, nie wie czy walutę kupować, czy sprzedawać.

— Ty się ciesz, że te nasze porządki robią nasi, a nie towarzysze od bratniej pomocy, bo takich jak ty to w try miga wywieźli by na białe niedźwiedzie, albo, co gorsza, wysłali do pracy w Ceglorzu na resocjalizację. A naszą władzę ludową gówno obchodzą twoje zasrane walutowe interesiki imasz spokój.

— I to jest właśnie socjalistyczna sprawiedliwość.
— A to jest właśnie podporucznik Brodziak, z którym pracuję. Więc jakby co, to pamiętaj, że jemu nieraz potrzebny będzie towar walutowy po cenach umownych, a nie komercyjnych.

— Karolek jestem — przedstawił się cinkciarz. — Ja porucznika to znam z widzenia. Pan jako szczon na Wrocławskiej urzędował. To pan porucznik był łaskaw wytrząść okno wystawowe w warsztacie szewskim na Wodnej, co do mojego tatusia należał. Razem z Grubym Rychem wywijali — wyjaśnił Olkiewiczowi Karolek.

Brodziak uśmiechnął się zmieszany. Rzeczywiście szyba u szewca poleciała, ale była to sprawa honorowa. Stary pijanica, ten szewc Groma-dziński, dostał zimowe pionierki Mirka do przerobienia na buty łyżwiarskie. Sprawa była prosta. W obcasie trzeba było wyciąć dziurę i wstawić w nią blaszkę z dziurką. Dzięki takiemu prostemu zabiegowi łyżwy przykręcało się kluczykiem z przodu podeszwy, a do obcasa wciskało się trzpień od łyżwy w tę właśnie dziurkę. Mirek dostał te łyżwy od gwiazdo-

189

ra i zaraz po świętach pobiegł na Wodną. Szewc przyjął zamówienie i wziął nawet zaliczkę. Ale z robotą grzebał się prawie dwa miesiące. Ciągle miał zamknięty warsztat i siedział w tym czasie w pijalni na Garbarach. A jak już przypadkiem udawało się zastać go w warsztacie, zbywał młodego obietnicami, że jutro będą do odbioru. Wreszcie najlepszy kumpel Mirka, Gruby Rychu, który kilka razy był z nim u szewca, wpadł na pomysł, że trzeba nieuczciwego rzemieślnika ukarać. Zemsta była prosta, ale dotkliwa. Po następnej wizycie, gdy zostali odprawieni z kolejną obietnicą, że jutro już będą do odbioru, wyszli na ulicę i każdy z nich rzucił w szybę kawałkiem ceglówki. Szyba wyleciała z wielkim hukiem, a chłopcy uciekli błyskawicznie. Efekt był taki, że wieczorem i Miras, i Rychu mieli czerwone dupy od pasów swoich ojców, których szewc poinformował o całym zajściu. Kazał też sobie zapłacić za wybitą szybę. Ale ból się opłacił, bo następnego dnia buty z dziurami do łyżew znalazły się w domu Mirka. Tylko tymczasem zima puściła i nie pojeździł już tego roku.

— A co u Rycha słyhać? — zapytał Karolek.

— Diabli wiedzą — odpowiedział Brodziak. — Pewnie coś kombinuje, jak zwykle, ale co i gdzie, to nie wiem.

Poczuł się trochę głupio, bo od powrotu do Poznania nie przyszło mu nawet na myśl, by odwiedzić starego kupła. Wiedział, że on kręci się

w cinkciarskim środowisku i handluje, czym się da. Podobno ostatnio przerzucił się na towar z paczek żywnościowych, które przychodziły do nas z Niemiec. Można było na tym nieźle zarobić, bo towary były pierwsza klasa: przechodzone zachodnie ciuchy i przede wszystkim żywność, słodczyce, kawa, konserwy. Tylko żeby z tego żyć, trzeba było mieć układ albo z jakimś księdzem, bo paczki przychodziły najczęściej do kościołów, albo z kimś, kto zajmował się ich przewożeniem. A znając Rycha, na pewno nie interesował się detaliczną sprzedażą, ale raczej hurtem, i to na dużą skalę, więc w grę wchodził tylko przewoźnik.

Pożegnali się z waluciarzem i poszli w kierunku pijalni. Po chwili weszli oszklonymi drzwiami do środka. Pijalnia była zupełnie pusta. Wewnątrz nie było ani jednego klienta. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie sprzedają piwa.

Mirek stanął w progu i spojrzał smutno na swojego nowego kompana.

190

.- Chyba nici z tego piwka dzisiaj.

__ Wchodź i nie gadaj głupot. Ze mną jesteś – powiedział Teofil i ruszył w stronę baru.

Za kontuarem na taborecie siedział smutny chudzielec i czytał „Perspektywy”. Słyszając kroki, zwinął tygodnik gotowy zbyć natręta, który nie zauważył jeszcze, że sprzedaż wstrzymana. Zobaczył jednak nie zwykłego klienta, ale doskonale znanego sobie Olkiewicza.

– Szefa nie ma – powiedział barman z uśmiechem.

– No to daj pan mnie i porucznikowi parę poznańskich do biura, bo nam zupełnie w gardle zaschło.

Godz. 15.10

Pociąg złożony zaledwie z trzech wagonów i lokomotywy wtoczył się na peron. Dwaj mężczyźni ubrani na czarno, w grubych kurtkach i sutanach, z podróżnymi torbami w rękach wyszli z tunelu i ruszyli w stronę zatrzymującego się składu. Na peronie było kilkadziesiąt osób. Większość z nich to ludzie wracający po pracy do domu w okolicznych miejscowościach. Pociąg jechał do Międzychodu. Po drodze zatrzymywał się w kilkunastu niewielkich miejscowościach, z których chłoporobotnicy codziennie dojeżdżali do pracy w miejskich zakładach. Oni wszyscy mieli bilety miesięczne, natomiast ci, którzy jeździli tylko raz na jakiś czas do Poznania na zakupy i potem wracali do domu, wcale nie kupowali biletów. Na ich stacjach nie było bowiem kas biletowych, dlatego trzeba było zapłacić konduktorowi w pociągu. Konduktor natomiast powinien wypisać zgodnie z regulaminem PKP bilet blankietowy. Ale nie wypisywał. Pasażerowie płacili mu, a on wkładał pieniądze do kieszeni. Gdyby musiał wypisać bilet, trzeba by za niego zapłacić jakieś dwadzieścia złotych w zależności od stacji, na której wsiadał czy wysiadał pasażer. A tak kolejarz inkasował od każdego równo dychę i wszyscy byli zadowoleni. Konduktor czekał na klientów w pierwszym wagonie. Dwaj księża kupili jednak bilety po bożemu w dworcowej kasie, więc nie musieli korzystać z konduktorskich usług. Weszli do środkowego wagonu, bo tam były jeszcze wolne miejsca.

191

Pociąg osobowy do Międzychodu odjedzie z toru przy peronie piątym. Planowy odjazd pociągu o godzinie 15.15 – rozległa się zapowiedź z megafonów peronowych.

Ksiądz Gracjan Kudelski zajął miejsce przy oknie. Obok niego przy siadł skromnie jego towarzysz podróży, przebrany za księdza poszukiwany przez całą poznańską milicję uciekinier Markowski. Sutanę płaszcz i czapkę pożyczył mu ksiądz wikary Maćkowiak. Obaj księża doszli do wniosku, że przebranie daje największe szanse przedostania się na wieś do Cerekwicy, gdzie mieszkał kolega proboszcza. Dziś od rana dostali już kilka informacji, że milicja i wojsko stoją przy zaporach na wszystkich drogach wyjazdowych z miasta. Kontrolowany był każdy samochód i dokumenty jadących w nim osób. Gdyby Markowski zdecydował się na taki właśnie sposób podróży, wpadłby na pewno. Uradzili więc w trójkę że podróż pociągiem będzie najlepszym rozwiązaniem.

-- Przecież nie mogą kontrolować wszystkich wyjeżdżających – denerwował się proboszcz. – A w pociągu siądziemy sobie skromniutko,

to nawet nas nie zauważą.

-- Jak to, siądziemy? – zdziwił się Markowski.

– Normalnie. – Ksiądz uśmiechnął się. – Przecież nie puszczę cię samego, synku, boby się jeszcze proboszcz z Cerekwicy mógł przestraszyć, że nie daj Boże to jakaś prowokacja ubecka. A tak będzie wszystko jasne, jak mnie zobaczy.

Nie było sensu dyskutować z proboszczem. Postanowił sobie, że może i nie było na to rady. Zresztą Markowski musiał przyznać, że proboszcz miał sporo racji. Mogło minąć trochę czasu, zanim ten wiejski pleban przekonałby się do niego. A gdy pojawi się tam z jego przyjacielem, wszystko powinno pójść bez większych problemów.

Poza tym widać było, że cała ta konspiracja sprawia proboszczowi wielką przyjemność. Na stare lata chciał jeszcze poczuć się potrzebny. Ksiądz Maćkowiak ze zdziwieniem patrzył na swojego przełożonego, który wyglądał tak, jakby mu nagle ubyło z dziesięć lat. Sprawdzili w grupym książkowym rozkładzie jazdy PKP połączenia do Międzychodu i szybko ustalili, że wyjazd o godzinie 15.15 będzie najodpowiedniejszą porą.

192

Wagon, w którym siedzieli, nie miał przedziałów. Po obu stronach ustawione były podwójne siedzenia, dzięki czemu siedząc twarzą do środka wagonu, mogli swobodnie przyglądać się temu, co dzieje się wewnątrz. Wszystkie siedzenia, a zaraz potem i przejścia zapełniły się ludźmi. Smród potu i niemytych ciał, zmieszany z dymem tytoniowym, tak charakterystycznym dla wszystkich polskich pociągów osobowych, wkrótce wypełnił cały wagon. Na domiar złego ogrzewanie rozkręcone było na całą parę, więc zrobiło się duszno. PKP nie znały półśrodków. W pociągach było albo zimno, albo gorąco. Jak była zima to grzali tak, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że nie grzeją. Chyba, że instalacja grzewcza nie działała. Wtedy musiało być zimno, bo z oporną techniką jeszcze nikt nie wygrał. Zgrzany Markowski chciał otworzyć okno, ale okazało się to niemożliwe. Wszystkie okna były zablokowane, pewnie po to, by podróżni nie niszczyli ich niepotrzebnym otwieraniem. Na szczęście pociąg ruszył i zrobił się lekki przewiew.

Zaraz jednak w przejściu koło drzwi zrobił się jakiś ruch. Od czoła pociągu na środek wagonu, w którym siedzieli, przecisnął się sokista.

Strażnik sprawdzał dowody osobiste pasażerów. Ksiądz Kudelski zobaczył kontrolera, nachylił się do Markowskiego i powiedział cicho:

– Jak tu przylezie, to ty siedź cicho, a ja już se z nim pogadam jak należy. A teraz zajmij się czymś właściwym dla duchownego.

Prawdziwy ksiądz założył okulary do czytania, po czym wydobył ze swojej torby dwa egzemplarze Pisma Świętego i zaraz obaj zagłębili się w pobożnej lekturze. Fałszywy ksiądz jednak cały czas kątem oka obserwował to, co dzieje się na korytarzu. Po chwili strażnik kolejowy wszedł do części wagonu, w której siedzieli. Nie sprawdzał wszystkim dowodów. Działał wybiórczo, żądając okazania dokumentów tylko od niektórych pasażerów. Widać, że kierował się jakąś własną logiką w doborze ludzi legitymowanych, wybierając takich, którzy, jak sądził, są najbardziej podejrzani. Gdy pociąg wjeżdżał do Kiekrza, znalazł się obok księży. Nie zwrócił wcale uwagi na dwie kobiety siedzące naprzeciw, tylko od razu zwrócił się do nich.

– Kontrola dokumentów – powiedział.

– Szczęść Boże – odpowiedział proboszcz, spoglądając na strażnika znad okularów, które przesunęły mu się na czubek nosa. – A z jakiej to

193

okazji chcesz legitymować, synu, duchowne osoby? Czy księża są ludźmi podejrzаныmi o jakieś nieczne czyny? – Powiedział to wszystko głośno i wyraźnie, jak zwykł był mówić podczas kazania, by wszyscy pochowani nawet w najdalszych kątach kościoła mogli go usłyszeć. I jak zwykle po skutkowało. W wagonie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Wszystkie sokisty, ciągnął dalej: – Czy może księża pielgrzymujący do cudownego obrazu Matki Boskiej Szamotulskiej, z pokłonem Najświętszej Panience, by wstawiła się za naszą umiłowaną Ojczyzną, niemili są władzy naszej? Czyżby władza ta chciała rzucać kłody pod nogi pielgrzymom, co podą-

żają, by modlić się za cierpiących?

Za plecami strażnika rozległ się groźny pomruk tłumu, a wokół niego nagle zrobiło się jakoś ciasniej.

– Ja tylko chciałem... – zaczął się tłumaczyć sokista.

– Wypierdolić gnoja z pociągu! – odezwał się jakiś podchmielony pasażer stojący koło ubikacji.

– Odwal się od księży! – zawołał inny.

– Kary na was nie ma, wy hycle jedne, ciąg stąd, łachudro. Do księdza, do Polaka, do katolickiego księdza... – krzyknęła kobieta siedząca naprzeciw, a druga poderwała się z miejsca, jakby swoim okazałym rozmiarów ciałem chciała zasłonić napastowanych duchownych. Ludzie zaczęli pokrzykiwać coraz głośniej i już ręce zaczęły wyciągać się w stronę coraz bardziej przerażonego mężczyzny. Wtedy ksiądz wstał i zwrócił się do ludzi, rozkładając ręce.

– Poniechajcie, mili moi, poniechajcie! On nie wie, co czyni. Tonie wróg wasz, choć szatanowi służy, ale brat zagubiony. Tylko ślepym narzędziem jest w dłoniach antychrysta. Pamiętajcie o chrześcijańskim miłosierdziu.

Ludzie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozstapili się w przejściu i wokół sokisty zrobiło się luźniej. Strażnik poprawił czapkę, która zsunęła mu się na oczy, gdy naparł na niego tłum, i zmieszany szybko wycofał się do drugiego wagonu. Proboszcz usiadł na miejscu i spojrzał z uśmiechem na swojego towarzysza.

– Ale ksiądz ma gadane – powiedział z uznaniem Markowski.

194

– Lata praktyki, synu, lata praktyki – odpowiedział ksiądz Gracjan i wrócił do przerwanej lektury.

Godz. 15.50

– Ale o co chodzi?

– No to chyba ja się powinienem zapytać, o co chodzi? Nie uważasz, łachudro? Ja myślałem se, żeś ty jest poważny facet, jak cię przy tej fachowej produkcji przywazyłim, a tyś jest zarzygany obesraniec. Czekał tylko jak sierżant przyjdzie na komendę, to on już se z tobą pogada o tych zafajdanych porach. Żeby sierżantowi Makule narzygać na spodnie, no to jest coś niemożliwego. Jak ja tu pracuję przez dziesięć lat, to żem jeszcze czegoś takiego nie widział. Sierżant chciał onego ino posunąć na ryczce, żebyś se zębów nie wybił. Ojciec trzepnął go tylko raz w łeb, letko, byś się nie osunął na podłogę. A ten zamiast grzecznie podziękować, to rzygnął mu prosto na giry. Ja cię pierdołę. Teraz nie dość, że dostaniesz kolegium za nielegalną wytwórczość alkoholową, to jeszcze jako premię otrzymasz, zasrańcu, dodatkowy wpierdol od sierżanta za to narzyganie na służbowe pory. A chuj jeszcze wie, czy aby sierżant nie jest tak wkurwiony, że nie podciągnie tego wszystkiego jako napaść na funkcjonariusza na służbie i obrazę munduru. Także módl się teraz, bo kiepsko widzę twój los zasrany. Mazurkiewicz siedział na taborecie w pokoju przesłuchań komendy miejskiej w Szamotułach i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że jego zatrzymanie ma związek z „Solidarnością”. Spodziewał się, że w każdej chwili mogą wziąć go w obroty esbecy, którzy będą chcieli wydusić z niego, gdzie są pieniądze. Na tę ewentualność przygotowywał się przez ostatnie parę godzin. Rozważał wszystkie możliwe pytania i wszystkie możliwe odpowiedzi. A tu zupełnie inny obrót sprawy. Okazuje się, że jego kolega z celi miał rację. Tu może się skończyć na laniu i kolegium. Oznaczało to, że dostał się do aresztu przez zupełny przypadek. Milicja najzwyczajniej w świecie zrobiła nalot na bimbrownię, a on wpadł podczas tej rutynowej akcji. Wpadł i wypadł niezbyt korzystnie, bo narzyganie na spodnie sierżanta, no jak mu tam, Matulaka, chyba nie

195

było zbyt dobrą rekomendacją. Ale z drugiej strony, mogło uwiarygodnić jego legendę, którą właśnie zaczął układać sobie w głowie. Najprościej będzie więc przyznać się, że zajmował się wytwarzaniem bimbrowy w wolnych chwilach i wszystko to robił na własne potrzeby u zaprzyjaźnionej babci. Oni oczywiście nie uwierzą, że taka ilość, jaką musieli znaleźć w letniej kuchni, była wyprodukowana na własne potrzeby, ale trzeba było dać im szansę zdobycia przewagi nad zatrzymanym. To znaczy iść w zaparte

i mówić o własnym użytku, a oni z satysfakcją będą mogli udowadniać mu ilości handlowe. I w tej sytuacji nikt nie powinien skojarzyć, że jest poszukiwanym działaczem „Solidarności”. Powinien więc zrobić wszystko, by byli przekonani, że jest nieudolnie kłamiącym producentem bimbrowu.

– Panie władzo – zaczął. – Ja tylko tego bimbrowu to tak przed świętami, na rodzinne przyjęcie chciałem trochę przepędzić. Parę buteleczek i tyle. A co do tych spodni, to bardzo mi przykro i chciałem przeprosić sierżanta Matulaka.

– Nie Matulak, ale Makula, kurwa! – Kapral zdenerwował się, gdy usłyszał przekręcone nazwisko. Nie chodziło jednak o to, że darzył szczególnym szacunkiem swojego szefa. Wybuchnął, bo jego nazwisko było niezwykle podobne i często się zdarzało, że i ono było przekręcane przez jakieś niedouczone łachudry. – Jak on tu przyjdzie, to się nauczysz jego nazwiska jak paciorka. Po nocach ci się będzie śnił sierżant Makula w swoich zarzyganych spodniach. Oj, zrobiłeś ty głupotę, chłopie. Ten bimber to nic, spodnie to jest problem, powiadam ja tobie, problem jak cholera.

Kapral Marian Macuła, który prowadził przesłuchanie, wstał od biurka i podszedł do okna. Wyciągnął papierosa popularnego i rozkruszył go nieco w rękach. Potem z kieszeni na piersi wydobył czarną od tytoniowej smoły szklaną lufkę i włożył w nią połówkę papierosa. Kapral oszczędzał tytoń, bo te dziesięć przydziałowych paczek, które mógł wykupić na miesiąc, gdyby palił normalnie a nie porcjami, w żaden sposób by mu nie wystarczyło. Dlatego ta lufka i papieros na pół. Dzięki niej mógł wypalić prawie całego papierosa, nie pozostawiając niemal wcale niedopałka. Zaciągnął się dymem i zaraz zakaszłał. Dym z popularnych był gryzący i śmierdzący, jednak kapral nie wyobrażał sobie, by mógł palić jakieś inne papierosy. Cho-

196
ciąż nie, były takie jedne, które mógłby palić pod warunkiem, że można byłoby je kupić. Pomyślał sobie niedawno, że nawet by się na nie przerzucił całkowicie. To camele bez filtra. Dwa miesiące temu jego ciotka, co mieszka przy rynku, niedaleko kolegiaty, i udziela się mocno w kółku parafialnym, dostała na plebanii dużą paczkę żywnościową z NRF. Było tam pełno różnych smakołyków, ale dla kaprala najważniejszy był jeden produkt. To papierosy z wielbłądem. Ciotka nie paliła, więc bez żalu podarowała siostrzeńcowi całe pięć paczek. Marian wziął te ćmiki i od razu wyszedł na podwórko, by jednego zapalić. Jak każdy palacz, słyszał już niejedno o legendarnych amerykańskich papierosach, ale dotąd nie miał okazji ich spróbować. Zresztą z zagranicznych palił tylko ruskie bielomorzy, wyjątkowe paskudztwo, które nawet jemu, zahartowanemu przez sporty przemianowane niedawno na popularne, smakowały tak, jakby palił stary siennik. Dlatego i do tych nowych zagranicznych odniósł się z pewną rezerwą. Do czasu jednak. Do chwili, gdy wciągnął do płuc pierwszą porcję aromatyzowanego dymu.

Wtedy jego świat tytoniowych smaków natychmiast uległ przewartościowaniu. Okazało się bowiem, że papierosy mogą nie tylko dusić głód nikotynowy, ale też mieć smak i aromat. Po czterech dniach, gdy wypalił już wszystkie zagraniczne papierosy, trochę innym okiem spojrzął na zgniły Zachód i kapitalistów. Nie może tam być tak źle, skoro robią takie ćmiki – pomyślał Marian Macuła. Przestał patrzeć na śnieg padający za oknem i odwrócił się do zatrzymanego.

– To ja tu upisałem już, co następuje – rzekł i podszedł do biurka, by wziąć do ręki kartkę, czyli raport, który sporządził, zanim jeszcze do pokoju wprowadzono Mazurkiewicza. Kapral był z siebie zadowolony. Opisał wszystko składnie, jak mu się zdawało, a później podczas przesłuchania tak nastraszył przesłuchiwanego, że ten bez problemów powinien wszystko podpisać i nie roztrząsać sprawy wyprodukowanego bimbrowu. Odchrząknął i zaczął czytać: – W dniu 14 grudnia 1981 r. w związku z akcją milicyjną pod kryptonimem „ Trzeźwość ” wykonano zabezpieczenie miejsca podejrzanego o pędzenie alkoholu w postaci nielegalnego bimbrowu. Informacje o miejscu wyżej wymienionej działalności powzięto w trakcie działań operacyjnych i rozpoznania środowiskowego. W związku z nimi dowiedziano

197
się, że w miejscowości Pamiątkowo istnieje nielegalna bimbrownia, na

którą dokonano zasadzki. W wyniku niej funkcjonariusze MO w liczbie pięciu dokonali zatrzymania w liczbie dwóch ludzi podejrzanych opędzenie. A mianowicie Pelagii Wyrwas, lat 72 i Romana Mazurkiewicza, lat 32. Po dokonaniu oględzin i przeszukaniu miejsca zdarzenia stwierdzono, że do zdarzenia nie doszło z powodu, że: urządzenia i sprzęt do pędzenia bimbru był niezdatny do produkcji. Bimbru i zacieru nie było ani litra. W związku z tym do przestępstwa nie doszło poprzez złamanie prawa i pędzenie bimbru, bo nie mogło, jak nie było w czym go robić. Złapani na gorącym uczynku Pelagia Wyrwas i Roman Mazurkiewicz po przesłuchaniu zostali zwolnieni, z tym że Pelagia Wyrwas w związku ze starością i chorobami w ogóle nie była zatrzymana, a zostawiona w domu ze względu na małą szkodliwość społeczną czynu i niezdatność do przewiezienia do aresztu. Podpisano kapral Marian Macuła.

Odwrócił kartkę w rękach i położył ją przed Mazurkiewiczem.

– Posłuchaj, gnojku, choć żeś tyle nawywijał, to Milicja Obywatelska daje ci jeszcze jedną szansę i nie wpakuje cię za kratki, żebyś tam zgnął do końca życia. Tylko podpiszesz to, a my już dla twojego dobra zaraportujemy wyżej, że doniesienie było fałszywe i bimbru się tam nie znalazło. Rozumiemy się? Żadnego bimbru w ogóle nie było, a urządzenia były nieczynne. Jasne?

– Co mam nie rozumieć, panie sierżancie. Żadnego bimbru tam nie było – potwierdził z uśmiechem Mazurkiewicz.

– No i dobrze, że się rozumiemy bez owijania w wełnę. To dlatego wam powiem teraz szczerze, już na sam koniec – milicjant pochylił się nad biurkiem, zbliżając do aresztanta, i zaczął mówić ściszym głosem: – że chłodnica i kocioł leżą za stodołą w śniegu. – Wyprostował się, obciągnął pas i znowu podszedł do okna. – A jeszcze wam powiem, obywatelu, zupełnie prywatnie, że jeśli by wam w głowie narodziła się przestępcza myśl o pędzeniu bimbru, to my tak was już będziemy mieć na oku i co jakiś czas tam zajrzemy.

Mazurkiewicz, zadowolony z takiego obrotu sprawy, wziął do ręki popielatę długopis Zenith, który leżał na biurku i podpisał, że ze wszystkim, co wyżej napisano, zgadza się całkowicie.

198

__A co z sierżantem i tymi spodniami? – zapytał jeszcze były już zatrzymany.

– Umundurowanie zniszczone podczas czynności służbowych podlega wymianie w trybie natychmiastowym.

Godz. 16.20

Magazyn przy Fortecznej na Starołęce przeznaczony był do rozbiórki. Była to stara budowla z przełomu XIX i XX wieku, która stanowiła część kompleksu budynków stacji kolejowej. Oddalony jednak od głównych zabudowań, już dawno przestał być użyteczny. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych przechowywano w nim towary wyładowywane na Starołęce. Jednak od czasu, gdy większość towarów zaczęła przyjeżdżać do Poznania na ciężarówkach, magazyn utracił swoje znaczenie. Najpierw urządzono tu graciarnię, gdzie pracownicy stacji składali niepotrzebne rupiecie, których nie można było wyrzucić – stare akumulatory, puste beczki, popsute czy zużyte elementy zwrotnic. Gdy magazyn wypełnił się po brzegi bezużytecznymi klonkami, zamknięto go na cztery spusty. W nową dekadę lat osiemdziesiątych budynek wkroczył zupełnie zapomniany, z sypiącymi się ścianami, przeciekającym dachem i powybijanymi oknami. Nie zapomnieli o nim jednak miejscowi kombinatory, żyjący z tego, co ofiaruje im w swej szczodroblewości marnotrawiąca wszystko co tylko było możliwe gospodarka socjalistyczna. W ciągu pierwszego roku od momentu, gdy na wielkich drewnianych, rozsuwanych wrotach zawisł gruby łańcuch z kłódką, bocznym małym wejściem prowadzącym na rampę wyładowczą zaczęli wynosić ze środka wszystkie metalowe elementy, które nadawały się do wyniesienia. Wszystko to wędrowało do pobliskiej składnicy złomu.

Początkowo kolejarze i sokiści, widząc, co dzieje się ze starym magazynem i jego zawartością, próbowali gonić zbieraczy. Później jednak, gdy przyszła decyzja o rozbiórce magazynu, poszli po rozum do głowy. Przed wyburzeniem przecież trzeba było zrobić w środku porządek.

Zlecenie na posprzątanie dostała kolejowa brygada remontowa. Któregoś
199

dnia jej kierownik przyjechał na miejsce, wszedł do budynku i zobaczył cały ten bałagan. Ściągnął więc łańcuch i kłódkę i zostawił szeroko otwartą bramę. Nikt nie musiał zachęcać zbieraczy. W ciągu dwóch tygodni wszystko, co było w środku i miało jakąkolwiek wartość, zniknęło. Zostały tylko gołe ściany. Wtedy kierownik przyjechał znowu, zamknął bramę, a na ścianie przybił tabliczkę: Budynek do rozbiórki. Grozi zawaleniem. Wstęp surowo wzbroniony.

A potem pojechał do dyrekcji zgłosić, że jego brygada oczyściła cały teren. Wszyscy byli zadowoleni. Dyrekcja, bo wykonano zadanie. Brygada, bo dostała premię. Kierowcy ciężarówek kolejowych z pionu transportowego, bo nie przejechawszy ani kilometra wykazali kilkanaście kursów ze złomem, a zaoszczędzoną benzynę mogli sprzedać na lewo. A zbieracze złomu zarobione pieniądze mogli spokojnie przepić w pobliskim barze Pelikan.

Bar był niewielką murowaną budką. Początkowo miał pełnić rolę letniej pijalni piwa tuż przy pętli tramwajowej, która zapewne miała umilać czas czekającym na tramwaj. Szybko jednak wielkie zapotrzebowanie na piwo kuflowe zmieniło jej charakter z letniej na całoroczną, choć warunki techniczne nie nadały za zmiennymi porami roku. Pijalnia nadal wyglądała jak sezonowa buda. Wewnątrz miała tylko dwa stoliki, a na zewnątrz, w letnim ogródku, kilka przestronnych wysokich stołów. Nic więc dziwnego, że zimą zaledwie kilka osób mogło napić się we w miarę ciepłym wnętrzu. Pozostali amatorzy piwa musieli pić na mrozie. Obsługa poradziła sobie i z tym problemem. Pani Gienia, obrotna bufetowa, która nie mogła patrzeć, jak jej klienci męczą się z zimnym piwem na mrozie, przyniosła do pracy ogromny aluminiowy czajnik. W nim na maszynie elektrycznej podgrzewano piwo. Każdy, kto szedł pić na dwór, dostawał połowę kufła z pipy i dolewkę gorącego z czajnika.

Juras Pociecha dopił kolejne ciepłe piwo i wyszedł z przysypanego śniegiem letniego ogródka. Kufel kulturalnie zaniósł do środka, bo szkła było za mało w barze i na każde puste czekało kilku amatorów poznańskiego. Wyszedł na zewnątrz, zabrał swój dwukołowy wózek i ruszył w stronę niedalekiego starego magazynu. Od paru tygodni nikt tam się nie kręcił, bo wszystko było już wyniesione. Ale Juras wiedział, że jest jesz-

200

cze coś, co godne jest uwagi. Były to metalowe schody przypominające rusztowanie, prowadzące do małego kantorka na poddaszu. Gdy był tam rozejrzeć się ostatecznie, zauważył, że cała konstrukcja trzyma się na słowo honoru, na kilku hakach wpuszczonych w ceglany mur. Dlatego wymyślił, że można podważyć te haki łomem i tym sposobem zwalić całą konstrukcję na ziemię. Później wystarczyło tylko przyjechać tu z palnikiem pożyczonym z punktu skupu złomu, by wszystko ładnie pociąć w drobne kawałki. Teraz, póki jeszcze nie zapadły całkowite ciemności, szedł jeszcze raz przyjrzeć się tym hakom. Zostawił wózek przed rampą i wszedł do hali bocznymi drzwiami, przyświecając sobie latarką. Znał to miejsce doskonale, więc od razu ruszył pod ścianę z rusztowaniem schodów. Był już na środku magazynu, gdy wtem jego uwagę przyciągnęło coś, co było po drugiej stronie. Zdziwił się, bo według jego wiedzy niczego tam nie powinno być. Zainteresowany odwrócił się i zaczął iść w tamtym kierunku. Nagle przystanął, bo w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zobaczył coś, co przypominało leżące na oparciu krzesło, nad którym bieliły się wycelowane prosto w niego dwie białe ludzkie stopy.

— Ożeż ty kurwa mać! — zaklął głośno Juras i ruszył biegiem.

Stanął nad przewróconym krzesłem, do którego przywiązany był zupełnie siny, goły facet z wielkimi ranami na piersiach i na brzuchu. Nie trzeba było sprawdzać, czy ten leżący jeszcze żyje. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to ciemna dziura w jego czole. Natomiast tylna część głowy była zupełnie zmasakrowana. Wychodzący pocisk rozerwał całą podstawę czaszki. Wszędzie za leżącym wałały się rozbryzgane kawałki mózgu.

— Jezus, Maria — przeżegnał się Pociecha — chyba się komuś nie spodobał — domyślił się i szybko pobiegł do baru Pelikan.

ROZDZIAŁ VIII

Godz. 18.30

– To może być tylko stara Wyrwaska – powiedział ksiądz Okoń, nalewając bimber do trzech malutkich kieliszków. Przy stole na plebanii cerekwickiej siedziało z nim dwóch gości. Obaj ubrani byli w sutanny, z tym że tylko jeden z nich był księdzem. To kolega Okonia, ksiądz Gracjan. – Tyłko ona potrafi zrobić taki zacier, że bimberek jest pierwsza klasa. Robi go nie tak jak inni, to znaczy z cukru i drożdży. Jej zacier jest robiony ze słodkich gruszek z niewielką dosypką cukru. Ona ma kilka grusz w swoim sadzie. No i zbiera wszystko, co się da z tych drzew, a gruszki układa w stodółce w sianku. No i one sobie tam spokojnie zimują, a co jakiś czas, gdy jedna partia bimberku się skończy, wędrują do kotła.

Proboszcz Okoń wziął do ręki kieliszek i podsunął go sobie pod nos.

– Zanim posmakujecie, powąchajcie. Prawda, że nie czuć w ogóle drożdży? A ten delikatny aromat gruszek czujecie? Prawdziwa poezja. Gospodarz przymknął oczy i z lubością wciągnął do nosa bimbrowy bukiet. Goście zrobili to samo. Patrzył na nich znad swojego kieliszka, sprawdzając po minach, czy rzeczywiście są w stanie docenić walory zapachowe tego dzieła sztuki. Widać ta lustracja wypadła pomyślnie, bo uradowany proboszcz zaraz przekazał im kolejne instrukcje:

– A teraz wypijcie po łyeczku, ale takim, żeby tylko troszeczkę dostało się na język.

Spróbowali, a potem zapadła chwila ciszy. W końcu odezwał się Markowski.

– Powiem szczerze, że jeszcze nie piłem czegoś takiego.

202

Zaraz poparł go ksiądz Gracjan:

– Wiesz, że jeśli chodzi o alkohol, to nie jestem specjalnym znawcą i przeważnie degustuję tylko wino, ale przyznaję, że to rzeczywiście jest pierwsza klasa.

– A nie mówiłem – ucieszył się gospodarz i zatarł ręce z radości. – Pierwsza klasa, naprawdę pierwsza klasa. Te wszystkie koniaki czy wódeczki ze sklepu kartkowego to zwykle pomyje przy tym boskim napoju. Panie, przebac bluznierstwo. Wyrwaska ma rękę i nikt mi nie powie, że pędzenie takiego bimberku to jest przestępstwo.

– No a co z tą Wyrwaską? – zapytał ksiądz-przebieraniec.

– Ano pędzi od niedawna, jak jej mąż, Antoni Wyrwas, Panie świeć nad jego duszą, przeniósł się do lepszego świata.

– Nie, ja nie o tym – wytłumaczył Markowski. – Pytam czy aby ona na pewno jest jedyną osobą, u której mógł się zatrzymać ten człowiek. Proboszcz spojrział na niego jak na człowieka, który nie wie, co mówi. On opowiada o walorach smakowych najlepszego bimbru na świecie, a ten tu profan pyta o jakieś przyziemne sprawy. Zaraz jednak się zreflektował. Dopił resztkę z kieliszka, mlasnął jeszcze ze smakiem, po czym objaśnił gościom:

– Jeśli mówicie, że jechał do Pamiątkowa, i do kogoś, kto robi tam bimber, no to nie ma innej możliwości, bo we wsi tylko ona jedna pędzi. A poza tym mieszka pod lasem, w pewnym oddaleniu od wioski. Więc jak nic jej dom nadaje się na takie miejsce, w którym można się ukryć. Drzwi do jadalni, w której siedzieli trzej degustatorzy, otworzyły się i do pokoju weszła Matylda Grzelakowa. W rękach trzymała tacę zastawioną talerzami. Postawiła ją na brzegu stołu i powoli zaczęła rozkładać przed siedzącymi zastawę. Nikt jednak nie patrzył na ozdobne talerze z chodzieskiego serwisu „Iwona”, przystrojone różyczkami. Spojrzenia wszystkich mężczyzn powędrowały w stronę wielkiego półmiska, na którym leżała gorąca, parująca, dopiero co wyciągnięta z garnka z wodą wielka czerwonobrazowa szynka.

– Święta idą, to i gospodarze biją świnię – wyjaśnił ksiądz Okoń.

~~ No i od czasu do czasu coś przyniosą.

– Nie widziałem takiej szynki chyba już z pięć lat – zachwycił się

203

Markowski. – To nie to, co te ochłapy na kartki, które sprzedają u nas w sklepach.

– To prawda. – Ksiądz Gracjan zatarł ręce z radością. – Święta prawda, że takich szynek w mieście nie uświadczysz. Nie ma to jednak jak

prawdziwa, prosto ze świniobicia.

Grzelakowa nałożyła każdemu po wielkim plastrze aromatycznego mięsa, a oni dołożyli sobie do tego kwaśnej zasmażanej kapusty.

– Teraz jak człowiek dostanie jakąś szynkę w sklepie, to oszczędza jajak największy skarb i kroi jak najcieńsze plasterki, by na dłużej wystarczyło – mówił dalej Gracjan. – A tu u ciebie jak na pańskim dworze. Człowiek już zapomniał, jak przyjemne może być jedzenie. Wszystko przez tych bolszewików. Nic nie idzie dostać, nawet na te ich kartki. Przed wojną to na sklepie był napis „rzeźnik”, a w środku było mięso, a teraz piszą na szyldach „mięso”, „wędliny”, a w środku tylko rzeźnik.

– A tu jest właśnie chrzan – powiedziała gospodyni, stawiając na stole miskę z jasną, ostro pachnącą papką. – Sama raszplowałam. Ino uważać trzeba, bo ostry bardzo, nie to, co te sklepowe pyprzy. Godz. 19.10

Porucznik Marcinkowski stanął nad ciałem i spojrzął w szeroko otwarte oczy zabitego mężczyzny.

– Widzisz, bracie, miałeś przyjechać do mnie i pogadać. Może jak byś zdążył, to nie leżałbyś tu teraz – pomyślał milicjant. Dziś przed południem ten, który leżał teraz na podłodze magazynu, miał się stawić w biurze u Marcinkowskiego. Gdy minęła wyznaczona godzina, Fred połączył się z komendą na Chłapowskiego i spróbował poszukać sierżanta. Był na niego wściekły, bo nie dość, że nie przyszedł do Wojewódzkiej, to nawet nie zadzwonił z usprawiedliwieniem. Wiadomo, że ostatnio milicjanci mieli pełne ręce roboty, ale to nie usprawiedliwiało olania poleceń służbowego, a czymś takim właśnie było wezwanie na rozmowę do KW. Dlatego kazał się połączyć z jego bezpośrednim przełożonym. Podporucznik, który odebrał telefon, był trochę zmieszany.

204

– Naprawdę nie wiem, o co chodzi – wyjaśniał milicjant na drugiej stronie linii. – Ja dostałem to wezwanie na biurko i rano dałem je do przekazania dyżurnemu, żeby zaraz Kmiecik dostał, jak przyjdzie do roboty. No i on, obywatelu poruczniku, nie przyszedł. Ja się nawet zdziwiłem i myślałem, że chłop zasnął, bo on jeździł już przecież całą poprzednią noc, i mogło mu się zdarzyć. No i teraz, jak sprawdzałem, to jego dalej nie ma. A jeszcze nigdy tak nie było, żeby nie przyszedł w ogóle.

Fred rozkazał więc, by zaraz, gdy tylko się pojawi poszukiwany przez niego milicjant, dano mu znać. I rzeczywiście dostał informację w jego sprawie, ale zupełnie inną niż ta, na którą czekał. Gdy na Chłapowskiego dostali wiadomość, że ktoś znalazł zwłoki ich kolegi, natychmiast dano znać też Marcinkowskiemu, wychodząc ze słusznego założenia, że oficer z KW zainteresuje tą sprawą. Fred właśnie pakował swoją torbę i chciał już iść do domu. Jego śledztwo nie posunęło się ani o centymetr. Nie szukał na razie żadnego rozwiązania, bo sądził, że jest ono w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko przycisnąć tego milicjanta, szwagra bankiera i poczekać, aż odzyska przytomność milicjant z rozbitej nyski. Dziś sierżant Dąbrowa z jego zespołu rozmawiał z żołnierzami ze SKOTA, który zderzył się z milicyjnym radiowozem. Ci powiedzieli mu, że nyska wyjechała na ulicę gdzieś z okolic Wierzbaka. Godzina, o której to nastąpiło, pokrywała się z czasem, kiedy emeryt wojskowy w swoim mieszkaniu usłyszał strzał. Ci więc, którzy jechali tym milicyjnym wozem, mogli być tymi, którzy byli pod blokiem w czasie, gdy doszło do morderstwa. Na obu miejscach zbrodni widziani byli milicjanci w nysce. Więc ci z wypadku mogli coś widzieć albo sami byli w to zamieszani. Mogło to wyjaśnić przesłuchanie milicjanta, który przeżył wypadek. Nitki były więc pochwytniane, należało je tylko umiejętnie powiązać. Gdy odebrał telefon tuż przed wyjściem z biura, poczuł, że ta najmocniejsza nić wylatuje mu z ręki. Najpewniejszy trop leżał teraz u jego stóp z dziurą w głowie.

– No i co, kiepsko to wygląda, kolego? – usłyszał za sobą stwierdzenie wypowiedziane protekcjonalnym tonem. Nie musiał się nawet odwracać, by zidentyfikować mówiącego. Znał dobrze ten głos zarozumiałego idioty, któremu wydawało się, że jest najmądrzejszym milicjantem w Poznaniu. Porucznik Mirecki stał pół metra za nim i palił papierosa.

205

– Kiepsko, rzeczywiście – przyznał Fred.

- Na miejsce pierwszy przyjechał radiowóz z patrolu. Dostali informację z centrali od dyżurnego, że jakiś pener znalazł tu trupa. No i jak zobaczyli, to się nogi pod nimi ugięły, bo okazało się, że to jest milicjant.
- Miał być dzisiaj u mnie i nie zdażył - powiedział Marcinkowski.
- Aha, znaczy znaliście się - stwierdził Mirecki.
- Nie, pierwszy raz go widzę.
- Aha - zdziwił się milicjant - to, po co miał być u pana?
- Nic ważnego, chciałem go zapytać o jedną sprawę.

Fred przykucnął i odkrył białe prześcieradło, którym przykryte było ciało od szyi w dół. Przed chwilą widział tylko przestrzeloną głowę leżącego. Teraz zobaczył jego zmasakrowany tors. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze, ale całą siłą woli powstrzymał odruch wymiotny. Zmusił się do patrzenia na te nietypowe rany.

- Ja se bynajmniej myślę tak - mówił z tyłu Mirecki - oczywiście tak na gorąco mam te wnioski, że to jest robota ekstremistów. Na pewno jakieś siły nie zostały jeszcze wyeliminowane i teraz zaatakowali nas w najczulszy punkt, mordując w odwecie jednego z naszych, męcząc tego biedaka. Może być tak, że oni w ten sposób chcą się mścić i będą porywać innych milicjantów. I zabijać ich. Trzeba by taki raport przesłać gdzieś wyżej i zrobić alarm, że jakieś wrogie elementy dążą do konfrontacji poprzez takie prowokacje. Musieli go bić jakimś prętem metalowym, pewnie żeby wydusić adresy innych milicjantów i ich dopaść teraz... Marcinkowski przestał słuchać tych idiotyzmów. Pograżył się we własnych myślach. Delikatnie dotknął niewielkiej, lekko osmolonej okrągłej rany na lewym ramieniu zabitego. Zaraz po tym podniósł się i zaczął okrażać trupa. Zatrzymał się przy leżącym tuż obok krzesła. Schylił się, wyciągnął kraciatą chusteczkę z kieszeni i chwycił przez nią coś, co leżało na ziemi.

- Znalazł pan coś? - zainteresował się Mirecki.
- Tylko niedopałek.
- Łe, że też chce się panu pety zbierać - zbagatelizował wartość znaleziska milicjant. - Ja bynajmniej to wiemjedno, jakby tę całą „Solidarność” rozpiardolili od razu, jeszcze w Gdańsku w tej stoczni, to byśmy

206
dziś nie musieli tu stać nad tym biedakiem. Trzeba by tych gnoi wszystkich wytłuc, bo nigdy tu nie będzie porządku. Niech mi pan wierzy, jest pan młody, ale ja już niejedno widziałem i wiem, że nie wolno być mientkim. Gnidy trzeba rozdeptywać od razu, żeby wszy nie wyrosły.

- Weź pan to i niech sprawdzą na tym odciski palców, ślady śliny. To papieros marlboro, i jak widzę peweksowski.
- Skąd to wiadomo? - zdziwił się Mirecki.

Marcinkowski spojrział na niego z politowaniem, a potem wyjaśnił:

- Ma tuż przy filtrze złoty pasek, a bibułka jest prażkowana - mówiąc to, wręczył milicjantowi chusteczkę z zawiniętym niedopałkiem.
- A tak w ogóle, panie poruczniku Mirecki, to powinien pan wiedzieć, skoro niejedno pan widział, że po uderzeniach metalowym prętem rany wyglądają zupełnie inaczej. Takie rany jak te zadaje długa milicyjna pała z metalowym kondomem na końcu, a o ile wiem - ekstremiści nie używają takich pałek.

Odwrócił się i odszedł w kierunku wyjścia, zostawiając zdziwionego porucznika Mireckiego.

Godz. 19.15

Piwiarnię na Półwiejskiej zamykano o 20.00. Dzisiaj nikt z personelu nie był zmęczony pracą. Przez cały dzień nie sprzedano tu ani jednego kufła piwa. Nie znaczy to jednak, że nikt, kto wszedł w progi piwiarni, nie wyszedł stąd w radosnym nastroju. Po południu, gdy przewaliła się już fala robotników wracających z pracy w swoich zakładach, szef pijalni podjął decyzję o tajnej sprzedaży alkoholu dla zaprzyjaźnionych klientów. Zgodnie z rozporządzeniem o wprowadzeniu stanu wojennego całkowicie zakazano sprzedaży alkoholu wysokoprocentowych. Jednak zapotrzebowanie było zbyt wielkie, by wszystkich związanych różnymi układami pijaków odprawić z kwitkiem, zwłaszcza że płacili i chcieli pić, a przepisy stanu wojennego mieli w głębokim poważaniu.

Początkowo wszystkich klientów bufetowy informował, że piwa nie

ma, a wódki nie sprzedaje się. Trwało to do czasu, aż w barze nie pojawił
207

się stały klient i kolega szefa, Teofil Olkiewicz. Wraz z podporucznikiem Brodziakiem poszli na zaplecze, gdzie barman zaraz przyniósł im butelkę gastronomicznej i cztery piwa poznańskie. Byli to klienci na specjalnych prawach i ich nie obowiązywała prohibicja. Nim zdążyli wypić po drugim kieliszku, do biura wrócił kierownik.

– Serwus, Władek – ucieszył się na jego widok rozłożony wygodnie w fotelu Teofil. Na drugim fotelu oddzielonym od pierwszego niewielką ławą siedział mężczyzna, którego kierownik nie miał okazji jeszcze poznać. Olkiewicz zauważył, że wchodzący uważnie przygląda się obcemu. – To swój szczon, Władziu, mój kolega z wydziału. Razem pracujemy przy śledztwie – wyjaśnił z dumą w głosie.

– Aha. – Władek Kajzerek uśmiechnął się i podał rękę Brodziakowi. Przecisnął się zaraz wąskim przejściem pod ścianą do swojego biurka i ściągnawszy grubą pikowaną kurtkę, usiadł na krześle. – Widzę, żeście się już obsłużyli – powiedział z uśmiechem.

Olkiewicz natychmiast podał mu pełny kieliszek i butelkę piwa do popicia. Kierownik wypił, a potem zapalił papierosa.

– No i jest, kurde frak, problem, Teos – powiedział Kajzerek. – Gorzkość nie możemy sprzedawać, bo jest zakaz. A piwa mam tylko na dwa dni i cholera wie, kiedy dostawa przyjedzie z browaru. Byłem tam dzisiaj, kurde, i oni sami nie wiedzą, kiedy coś wyślą, bo ograniczyli produkcję. Olkiewicz nie był może wulkanem intelektu, ale jedno potrafił dobrze – kombinować. Uczył się tego już od dzieciństwa, wychowując się na Chwaliszewie wśród miejscowych wywijasów. Bo tam, żeby przeżyć, trzeba było umieć się zakręcić za swoimi sprawami. I to Teofil umiał doskonale. Popatrzył na smutnego kierownika Kajzerka, któremu walił się cały dobrze prosperujący interes i uśmiechnął się szeroko.

– Ale oranżadę to możesz sprzedawać, nie?

– No mogę, ale... – Nie dokończył, bo już domyślił się, o co chodzi koledze. – Jasne, że mogę. Tyś to jest ale bamber, Teofil. Mosz te ryte nie od parady.

Oczywiście nie każdy mógł kupować oranżadę z większą zawartością procentów. Ale już dwie godziny po rozmowie Olkiewicza z Kajzerkiem w barze przy stolikach siedziało kilku smakoszy, popijając czerwony napój.
208

Dwaj milicjanci wyszli z baru na ulicę. Olkiewicz poprawił sobie kraciasty szalik i naciągnął czapkę na spoconą łysiej ąca głowę. Chwiejący się na nogach Brodziak z trudem zapalił radomskiego, a zaraz potem oparł się na ramieniu swojego kompana. Musiał się podeprzeć, bo czuł, że za chwilę może stracić równowagę. W środku został jeszcze kierownik Kajzerek, bo chciał sprawdzić, czy wszystko zamknięte od tyłu. Czekali na niego, patrząc przez wielką wystawową szybę do środka, gdy nagle tuż za ich plecami ktoś odezwał się rozkazującym tonem:

– Dowodziki poproszę, obywatele.

– Patrz, Teos, szkieły. – Brodziak zaśmiał się na widok trzech milicjantów z ZOMO.

– Ja ci się, kurwa, pośmieję – zdenerwował się stojący najbliżej kapral. Chwycił automat kałasznikowa, który miał przewieszony przez pierś i wycelował w Brodziaka. Pozostali dwaj natychmiast zajęli miejsca z obu boków legitymowanych, dokładnie tak jak ich uczono w koszarach, i też chwycili za swoje karabiny.

– Ręce do góry i dokumenty pokazać – rozkazał kapral.

– Jak mam pokazać dokumenty jak mam mieć łapy w górze? – zapytał Olkiewicz i zaczął się śmiać. Brodziak zawtórował mu śmiechem, a ich rechot wypełnił całą pustą ulicę.

Zdezorientowany dowódca patrolu najwyraźniej nie wiedział, jak powinien w takiej sytuacji się zachować. Zdążył się już przyzwyczaić, że jego groźnie brzmiące polecenia wykonywano natychmiast. Młodzi milicjanci bez szemrania stawali przed nim na baczność, a legitymowani cywile podawali mu dowody osobiste trzęsącymi się ze strachu rękoma. Natomiast ci dwaj zachowywali się tak, jakby mieli go głęboko w nosie i chyba nawet kpili sobie z niego. A to już było nie do przyjęcia. Kpina z milicjanta na

służbie to było poważne przewinienie. Można nawet powiedzieć, że obraża munduru. Podoficer pomyślał więc, że nie może pozwolić sobie na utratę autorytetu u podwładnych i musi natychmiast zareagować. A jak go uczono, w trudnych sytuacjach najlepsza jest najprostsza reakcja. Obrócił błyskawicznie automat i kolbą uderzył w roześmianą gębę tego młodego. Facet zachwiał się i przewrócił na chodnik. I wtedy zareagował stary.

– Ty zajebany kutasie, na kogo broń podnosisz, kurwo jedna, na mi-

209
licjanta w trakcie wykonywania zadania operacyjnego. Baczność, wy kutafony zomowskie, przed oficerami.

Całkowicie wygłupieni milicjanci opuścili broń i przyjęli coś na kształt postawy zasadniczej. Olkiewicz podszedł do kaprała, ściągnął mu z piersi mikrofon radiotelefonu patrolowego i zawołał do sitka:

– Mówi chorąży Olkiewicz z Komendy Wojewódzkiej, kto tam jest po drugiej stronie?

Po chwili ciszy odezwał się głos koordynatora patroli.

– Sierżant Krupa melduje się.

– Słuchajcie, Krupa, jestem z podporucznikiem Brodziakiem na Półwiejskiej. Podeślijcie nam tu szybko jakiś radiowóz.

Po chwili ciszy usłyszeli niepewny głos sierżanta Krupy:

– Obywatelu chorąży, ale ja nie mam w spisie ulic ulicy Półwiejskiej. Gdzie to jest?

– Kurwa, Dzierżyńskiego róg Kwiatowej.

– Aha, już wiem, zaraz wysyłam.

Olkiewicz odwiesił mikrofon na pasek przewieszony przez pierś kaprała, a później z całej siły trzepnął go w pysk. Cios był silny, ale milicjant tylko zachwiał się na nogach i utrzymał w pionie.

– To za porucznika, kutasie – warknął chorąży. – A teraz spierdalać stąd w podskokach i żebym was tu więcej nie widział. Nic się nie wydarzyło, rozumiecie? No to spierdalać.

Trójka milicjantów błyskawicznie pomaszzerowała w głąb ulicy w stronę Starego Rynku.

Brodziak ze zdziwieniem obmacał dłonią swoją błyskawicznie puchnącą wargę. Teofil pochylił się do ziemi i chwycił garść śniegu. Zgniótł go w ręce i podał pobitemu koledze.

– Masz, przyłóż, bo zaraz będziesz wyglądał jak półtora nieszczęścia. Słyszałeś tego kutasa z centrali? Żeby taki złamaniec nie wiedział, gdzie jest Półwiejska. Skąd oni biorą tych zomoli?

– Co jest, chłopaki, kurde? – Z wejścia do pijalni wynurzył się kierownik Kajzerek.

– A nic takiego – wyjaśnił Olkiewicz. – Mirek poślizgnął się i upadł na ziemię. Ino ryfę se trochę poraszplował.

210

Godz. 20.05

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział Marcinkowski do Kowala.

Kapral zaparkował swoją nyskę jakieś dwadzieścia metrów od domu przy ulicy Janka Krasickiego i wyłączył światła.

– Możesz wyłączyć silnik – powiedział oficer.

– Nie mogę. Jak wyłączę, to możemy go już wcale nie odpalić. Akumulator jest tak zajechany, że powinno się go wyrzucić już dawno, ale nowego nie dają. A na tym mrozie może jak nic szlag go trafić.

– No to technikę mamy pierwsza klasa. – Fred zaśmiał się.

Przez okno w kuchni sączyło się niezbyt mocne światło. Porucznik domyślił się, że właścicielka musi siedzieć w pokoju gościnnym, który oddzielony jest od kuchni tylko masywnym bufetem, bo wyraźnie było widać, że nie jest to światło kuchenne.

Przed domem, tam, gdzie wcześniej stał zaparkowany samochód z obserwatorami z SB, nie było śladu żadnego auta. To potwierdziło tylko przypuszczenia porucznika. Jeśli dotąd się zastanawiał, czy jego podejrzenie ma jakieś racjonalne podstawy, to teraz był już niemal pewien.

– Słuchaj – powiedział do Kowala – idę teraz porozmawiać z Mazurkiewiczową, a ty połącz się z komendą i spróbuj ustalić, gdzie mieszka ten nasz nowy kolega Olkiewicz. Musimy się z nim jeszcze dzisiaj zobaczyć.

– Nie ma sprawy, wodzu. – Kapral wyszczerzył do niego zęby

i chwycił za mikrofon radiotelefonu.

Marcinkowski wyszedł z auta i skulony, przytrzymując przy szyi postawiony gruby kołnierz, pobiegł w stronę wejścia do domu. Nie musiał czekać długo. Już po chwili otworzyła mu gospodyni.

– Musimy porozmawiać – powiedział porucznik i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Wytarł starannie buty na wycieraczkę, która rozłożona była w przedpokoju i poszedł do kuchni. Zatrzymał się na chwilę w przejściu do dużego pokoju i spojrzał na włączony kolorowy telewizor Rubin. Z ekranu prezenter w wojskowym mundurze odczytywał kolejną zapowiedź do materiału filmowego. Nie zainteresował jednak Marcinkowskiego, bo ten zaraz podszedł do stołu kuchennego i usiadł na taborecie. Zdenerwowana tym nagłym najściem gospodyni stanęła w drzwiach.

211

– Może mi pan powie... – zaczęła, ale milicjant nie pozwolił jej skończyć.

– Proszę bardzo, niech pani usiadzie i mnie wysłucha najpierw. Proszę – powtórzył. – Nie ma już czasu na zbędne gadanie, bo wydarzenia idą szybciej, niż można się było spodziewać.

Mazurkiewiczowa usiadła posłusznie na taborecie naprzeciw porucznika.

– Mówiłem pani, jak byłem tu ostatnio, że pani męża szuka ktoś, kto nie przebiera w środkach. Dlatego chciałem, żeby mi pani powiedziała, gdzie on jest, bo mogę w ten sposób nie dopuścić do najgorszego. Ma pani ostatnią szansę, by mi pomóc. Potem już może być za późno.

– Dlaczego za późno? – spytała kobieta, zupełnie nie przekonana tym wywoodem Marcinkowskiego.

– Może być za późno, by mu pomóc, bo ten, kto go szuka, może go dopaść pierwszy, tak jak dopadł dziś jego szwagra.

– Co?

– To, co pani słyszała. Ten, kto szuka pani męża, rozmawiał dziś z Kmieciakiem.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale nie zapytała o nic. Wyczuł natychmiast, że boi się zapytać, dlatego zaatakował. Wiedział bowiem doskonale, że tylko w ten sposób może uzyskać jakiś efekt.

– Widziała się pani dzisiaj ze szwagrem, prawda?

– Śledziliście nas, to powinien pan wiedzieć.

– To nie my śledziliśmy panią.

– Jak to?

Zostawił to bez odpowiedzi. Uznał, że bez sensu będzie tłumaczenie, jaka jest różnica między milicjantami od spraw kryminalnych a facetami ze Służby Bezpieczeństwa.

– Zakładam, że sierżant Kmieciak wiedział, gdzie ukrywa się pani mąż. Co więcej, to on pomógł mu się ukryć. I co najważniejsze, powiedział coś pani na temat jego kryjówki, by panią uspokoić. Mam nadzieję, że powie mi pani, co on powiedział.

– Skoro pan tyle wie, poruczniku, to proszę porozmawiać z Kmieciakiem.

212

– Chciałem z nim porozmawiać, proszę pani, ale mi się nie udało.

Ktoś porozmawiał z nim przede mną.

– I co w takim razie? – Uśmiechnęła się jakoś niewyraźnie, jakby zaczęła się domyślać, że stało się coś, o czym nie chciałyby usłyszeć.

– Iw rezultacie tej rozmowy sierżant Kmieciak ma przestreloną głowę.

Godz. 20.40

– Ni ma gadki, ja ci mówię, że ni ma gadki. Ale, nigdzie nie pójdziesz. Wypijemy jeszcze po małym, a potem możesz pójść leżeć tam, do tego małego pokoju. Do chaty cię nie puszczę, bo jak wyleziesz na miasto, to cię jak nie szkieły to jakieś wywijasy mogą dopaść i będę cię mieć na sumieniu. Raz żeś już w tytę dostał i na tym koniec – tłumaczył młodemu koledze Olkiewicz.

Obaj siedzieli w kuchni mieszkania Teofila. Jego żona położyła się już spać, bo jak wytłumaczyła mężowi, musi rano wcześniej pójść do kolejki. Przez te kolejki Olkiewicz był na nią zły. Nie chciał, żeby zrywała się

o czwartej rano i szła pod mięsny, zwłaszcza w taki mróz. Tym bardziej, że wcale nie musiała. On ich domowe kartki zabierał do pracy i realizował w milicyjnym bufecie. Tam zaopatrywał się w wędliny i mięso. Wszystko było w jak najlepszym gatunku i bez żadnych kolejek. Bo władza dbała o swoich umundurowanych obrońców. W takim bufecie mogli zaopatrzyć się tylko milicjanci, ponieważ dla ludzi z zewnątrz był on całkowicie niedostępny. Co ważniejsze, można tam też było dostać nieco tylko droższe wędliny bez kartek. Nazywano to sprzedażą po cenach komercyjnych. Nikt nie wiedział, co to są ceny komercyjne i jak je kalkulowano, wiadomo było tylko, że są wyższe od tych urzędowych. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Parę złotych drożej można było przecież dać za towar, który normalnie był nieosiągalny. W cenach komercyjnych sprzedawano na przykład kabanosy czy krakowską suchą, czyli towary, których na kartki nie było. Olkiewiczowie, tak jak inne rodziny milicyjne, nie mieli więc kłopotów z aprowizacją.

Ale Jadwiga nie stała w kolejce dla siebie. Zabierała kartki od kilku
213

starszych sąsiadek i stała w ogonku dla nich. Na pretensje męża odpowiadała, że skoro Bóg dał jej zdrowe nogi, to powinna się na coś przydać ludziom, którzy nie są tak zdrowi jak ona. Z tym Bogiem to też Olkiewicz miał przez nią kłopoty. Już na samym początku jego służby w milicji musiał wziąć ślub kościelny w tajemnicy. Najpierw więc był cywilny, tak jak być powinno, w paradnym mundurze, a kilka dni po tym ślub kościelny po cichu w wiejskim kościółku kilka kilometrów od Poznania. Dla przełożonych było zupełnie nie do pomyślenia, żeby milicjant stojący na straży socjalistycznego porządku mógł ożenić się w kościele. Ale co było robić, Jadwiga nie wyobrażała sobie życia w grzechu, bez poświęcenia przed ołtarzem. Wtedy jej uległ i później już tak zostało. Tajne chrzciny dwóch córek, tajne komunie i bierzmowania. Ona rozumiała, że w milicji patrzą krzywo na katolickie wychowanie dzieci, dlatego zgadzała się, by te wszystkie sakramenty załatwiać po cichu. Ale nie dała nic sobie powiedzieć w sprawie niedzielnych mszy. Co niedziela chodziła do kościoła, a on w tym czasie siedział w domu.

Kilka razy pytano go o to w pracy, a jeden taki oficer polityczno-wychowawczy nawet chciał z tego zrobić poważną sprawę. Mogło się to nawet skończyć wyrzuceniem ze służby, bo po co w Służbie Bezpieczeństwa ktoś – argumentował na partyjnym zebraniu ten facet – kto nie jest w stanie poradzić sobie z własną żoną.

Na to Olkiewicz odpowiedział, nie do końca zgodnie z prawdą, że on jest niewierzący, ajak baba głupia i w zabobony wierzy, to on nic na to nie może, bo ona ze wsi pochodzi i wychowana jeszcze jest w przedwojennej, sanacyjnej Polsce i że to nie jego wina, iż Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa nie przyniosła religijnej świadomości także polskim chłopom w 1920 roku. I dlatego on za błędy sanacji cierpi teraz w domu, ale nic za to nie może. No i jakoś rozeszło się wtedy po kościołach, ale kiedy i tak się z niego śmiali, że z kobietą sobie nie radzi i ona mu w domu przedwojenne porządki ustanawia.

– Słuchaj. – Brodziak spojrział na Teofila, który nalewał właśnie wódkę do dwóch literatek. – Mówiłeś, tam na Półwiejskiej, że dolary podskoczą do czterech stów, nie?

– No podskoczą, tak mówią cinkciarze, bo trzy i pół setki, tak jak jest
214

teraz, to gadają, że za mało jest, a oni też umią kombinować. Jak w sklepach nic nie ma, a w Peweksach jest towar, to ludzie będą kupować dolary, więc co się dziwić, że cena pójdzie do góry.

– To jak ja jestem początkujący oficer MO i dostaję pensji miesięcznej 6500 złotych, to znaczy się, że zarabiam szesnaście dolarów, nie? Tyle, co kosztują dzinsy w Peweksie.

– No na to by wychodziło, ale jak sprzątaczką ma 2500, to ma sześć dolarów, to znaczy, że ty jesteś kawał gościa, a masz jeszcze dodatek mundurowy i premię, tak że nie masz co narzekać, bo na swoje wychodzisz. A te dzinsy można też dostać nasze, bardzo eleganckie wycierki. Żona mi kupiła na lepsze okazje. Stała w ogonku po materiał na zasłony do dużego pokoju, ale akurat rzucili te dzinsy, to wzięła.

– Tylko że materiał z Odry wygląda jak worek po pyrach.

– Mi się bynajmniej podoba.

Od drzwi rozległo się pukanie. Teofil wstał, na stojąco dokończył jeszcze ostatniego łyčka ze swojej szklanki i wyszedł na korytarz. Myślał, że to pewnie znowu ta Walczakowa, sąsiadka, co do jego żony przy łązi na pogaduchy. Ucieszył się nawet, że babsko przylazło, bo ostatnio pożyczła szklankę cukru i Jadwiga skarżyła się, że nie oddała, więc od razu chciał jej powiedzieć, co myśli o takich, co to pożyczają i nie oddają. Ale to nie była Walczakowa. W drzwiach stał porucznik Marcinkowski, a pół kroku za nim wielki kapral Kowal.

– No co tam, panie Teoś – porucznik uśmiechnął się – nie wpuści pan kolegów do środka?

Teofil stanął w progu i przez chwilę nie wiedział, jak ma się zachować. Podrapał się w łysinę, spoglądając na gości, ale zaraz jednak oprzytomniał i zrobił ręką zapraszający gest.

– A co mam nie wpuścić, panie poruczniku, ino żem trochę zaniemówił jak pana zobaczyłem.

Obaj przybysze ruszyli w głąb mieszkania.

– Tam, gdzie się świeci – pokierował ich gospodarz – do kuchni znaczy się, bo my tam siedzimy, a żona Jadwiga już poszła spać – tłumaczył za ich plecami, ryglując drzwi.

*

215

Podporucznik Brodziak kręcił gałką potencjometru radia, które stało na parapecie okiennym. Przejechał już prawie całą skalę i nie udało mu się znaleźć nic interesującego. UKF milczał cały czas, a większość zagranicznych stacji na falach długich dawała o tej porze mało interesującą muzykę. A Brodziak lubił muzykę. Lubiał, jak coś gra gdzieś obok niego. U siebie w domu miał niezłą kolekcję płyt, w większości rockowych, kupowanych na łazarskiej gemeli. Gdy tylko pojawiał się w swoim mieszkaniu, natychmiast nastawiał adapter, Fryderyka podłączonego do amplitunera Radmor. Dobry rock, to było to, co uwielbiał ponad wszystko. Tyle że takiej muzyki jak na złość nikt nie nadawał teraz w Olkiewiczowym radiu. Zrezygnowany przesunął czerwoną strzałkę na środek skali i najechał na polski pierwszy program.

– No niech będzie 2+1 – pomyślał rozczarowany, gdy usłyszał piosenkę o windzie do nieba. Odwrócił się od okna, na którym stał aparat radiowy i spojrzął w kierunku drzwi. Zdziwił się, bo zamiast wracającego Teofila zobaczył tam Marcinkowskiego.

– Proszę, proszę – powiedział porucznik, podchodząc do stołu. – Widzę, że już zdążyliście się dobrze poznać – powiedział z uśmiechem porucznik.

– A, tak jakby – wymruczał Brodziak, któremu zrobiło się trochę głupio. Popielniczka pełna petów, jedna pusta butelka po wyborowej i druga opróżniona do połowy wymownie świadczyły o tym, że nie zajmowali się tu grą w bierki. Ale z drugiej strony przecież byli po służbie, nie? – usprawiedliwił sam siebie szybko Mirek. – Jesteśmy po służbie – powiedział, starając się wymówić każde słowo jak najstaranniej. Kiepsko mu jednak to wyszło. Od razu można było wyczuć, że wypił już ładnych parę kielonków.

– A czy ja co mówię? – Marcinkowski zaśmiał się i usiadł na wolnym krześle.

Kowal wyciągnął sobie spod stołu niewielką ryczkę i też przysiadł.

– Nalejcie i nam po małym, bo zmarzliśmy trochę – poprosił Fred. Olkiewicz natychmiast wyciągnął z kredensu dwie literatki i napełnił je wódką. Obaj nowo przybyli milicjanci sięgnęli po nie i natychmiast wypili.

216

– No to na drugą nogę? – zapytał gospodarz.

– Nalej pan, panie Teoś – powiedział Marcinkowski – ale zanim wypijemy, musimy pogadać.

– A o co tak w ogóle się rozchodzi?

– O to czy jesteś pan kryminalny czy z SB.

Godz. 21.50

Roman Mazurkiewicz przeszedł tory kolejowe i znalazł się na ulicy prowadzącej do dworca. Po lewej stronie minął ponurą sylwetkę kanciarstwa, socjalistycznego w formie, a narodowego w treści budynku domu kultury, ozdobionego mozaiką przedstawiającą roztańczoną parę z szamotulskiego zespołu folklorystycznego. Szybko przeszedł koło nieczynnej wieży ciśnień, za którą zaraz stała drewniana, zamknięta na cztery spusty budka kiosku „Ruchu”. Piętrowy budynek dworca wyglądał jak większość tego typu niemieckich budowli z początku wieku. Wzniesiony z czerwonej cegły z dwoma rzędami równych dużych okien. Tylko w dwóch na parterze paliło się światło. Wszedł do niewielkiego holu dworca. Zbliżała się godzina milicyjna, a on nie miał się gdzie zatrzymać. Kilka godzin temu, gdy wypuścili go z aresztu w komendzie milicji, myślał, że bez problemów dostanie się do Pamiątkowa. Poszedł na dworzec autobusowy, ale tam okazało się, że jest zbyt późno i dzisiaj żaden autobus już nie pojedzie. Pani w kasie biletowej poradziła mu, żeby poszedł na drogę wylotową na Poznań i złapał jakąś okazję. Przeszedł więc całe miasto i stanął na ulicy oddzielonej od dworca kolejowego zniszczonym betonowym płotem. W ciągu trzech godzin w kierunku Poznania jechało zaledwie kilka samochodów i żaden z kierowców się nie zatrzymał. W końcu zmarznięty i zły postanowił pójść na dworzec i sprawdzić, czy nie ma jakiegoś kolejowego połączenia.

Podszedł do dużej czarnej tablicy, na której plastikowymi żółtymi cyferkami poprzyczepiano godziny odjazdów.

— Kurwa jasna — zaklął głośno, gdy okazało się, że pociąg osobowy na Poznań, który pewnie stawał w Pamiątkowie, odszedł jakąś godzinę

temu. Widział żółto-niebieski pociąg elektryczny odjeżdżający ze stacji, ale wtedy jeszcze liczył, że ktoś go podwiezie. A teraz stracił szansę na stopa, a najbliższy pociąg osobowy był o 4.50.

Nachylił się jeszcze do okienka kasowego i zapukał w szybę. Nie było żadnej kartki, że już zamknięte, więc gdy za pierwszym razem nie było żadnego odzewu, uderzył w okienko jeszcze raz.

— Halo, jest tam kto? — zawołał, przykładając usta do półkolistego otworu.

Po chwili usłyszał jakiś ruch, a potem poruszyła się zielona kotara z monogramami PKP i zza niej do niewielkiego pomieszczenia weszła pulchna, zaspana pani kasjerka. Obrzuciła natręta złym spojrzeniem i warknęła:

— Kasa już jest nieczynna w związku z godziną milicyjną do samego rana i biletów się nie sprzedaje, bo ni ma pociągów jeżdżących. — Powiedziała to wszystko jednym tchem i zniknęła za kotarą, nim zdążył o cokolwiek zapytać.

— No, to muszę się przespać w poczekalni — pomyślał i poszedł do pomieszczenia przeznaczonego dla oczekujących pasażerów.

W niewielkiej poczekalni siedziały dwie osoby. Jakieś kobiety w syrenim wieku, opatulone w płaszcze i czapki, z siatkami i torbami rozłożonymi na ławce obok nich.

Wewnątrz były jeszcze trzy wielkie drewniane ławy, nad którymi wisiały czarno-białe zdjęcia z krajobrazami Polski Ludowej. Mazurkiewicz wybrał tę, nad którą zawieszono fotografię robotnika z młotem pneumatycznym wgrzyzającym się w skałę kamieniołomu w Strzelinie. Mógł stąd z powodzeniem obserwować dwie siedzące postacie i jednocześnie spoglądać na drzwi. Spojrzał na okno wychodzące na dziedziniec przed dworcem. Ciemności rozpraszała tam świecąca na żółto lampa przymocowana do ściany dworcowego budynku. Ktoś stał tam i palił papierosa. Nie widział postaci, a tylko unoszące się w powietrzu kłęby dymu. Okno, za którym stał palacz, było zabezpieczone solidną kratą, nie było więc szansy wydostania się tamtędy w razie jakiejś nagłej potrzeby. Popatrzył na grube przedwojenne drzwi do poczekalni, ozdobione solidną metalową klamką, i pomyślał, że w tym pomieszczeniu jest jak w klatce. Gdyby za-

skoczyli go tu ci, którzy pewnie chcą go odnaleźć, nie miałyby żadnych szans. Na szczęście, na przypadkowy patrol milicyjny miał poważny argument w kieszeni. Była to karteczka z informacją o zwolnieniu go z aresztu

w Szamotułach. Wystarczyło pokazać ją legitymującym go funkcjonariuszom, by przekonać ich, że ktoś, kto właśnie wyszedł z aresztu, nie może być już poszukiwany, bo został zapewne wszechstronnie prześwietlony. Wielkie drzwi otworzyły się i stanął w nich niewysoki mężczyzna, w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat, w grubym płaszczu przewiązanym woj skowym skórzanym pasem. Na głowie miał baranią czapkę, która zapewne podczas wojny polsko-radzieckiej spadła z głowy kawalerzyście od Budionnego, a w ręce wypchaną torbę plastikową z kolorową reklamą amerykańskich papierosów marlboro. To właśnie on przed chwilą stał pod oknem i palił papierosa. Teraz wraz z nim do ciepłej poczekalni wtargnął smród tytoniu i przetrawionego alkoholu.

Mazurkiewicz przez chwilę łudził się, że nowo przybyły wybierze jedną z dwóch wolnych ławek. Nic z tego. Wybrał jego ławkę, i przysiadł się całkiem blisko. Rozsiadł się wygodnie, a torbę postawił na ławce obok siebie. Zaraz pochylił nad nią głowę i zaczął czegoś szukać. Wreszcie po dobrej chwili wydobyl ze środka butelkę wódki stołowej. Popatrzył na nią uradowanym wzrokiem, a potem odkręcił aluminiowy korek.

– Pan szanowny nie pogardzi małym łyckiem? – zapytał, podsuwając butelkę w stronę Mazurkiewicza.

Ten spojrział na niego zdziwiony. Po wczorajszym pijaństwie ssało go mocno w żołądku i właściwie to miał nawet ochotę na klina. Ale z drugiej strony pić z jakimś nieznanym na dworcu? Poza tym jak wypije, to powinien się w jakiś sposób zrewanżować, a jak tu mówić o rewanżu, jeśli nie ma szans na kupno butelczyny.

– Bez krępacji – nieznanomy pijak uśmiechnął się – pij pan, bo to rozgrzaniu wewnętrznemu służy.

– W poczekalni PKP się nie pije – odezwała się z drugiej strony sali kobieta w jaskrawym berecie.

– Trzymaj ryj, chorlipo jedna, i nie wtrącaj się do rozmowy męskiej, bo mogę być niegrzeczny – objechał ją właściciel butelki. – No dalej, szanowny panie, bo procenty uciekają na wolność bez potrzeby.

219

Mazurkiewicz sięgnął po butelkę i pociągnął spory łyk. Poczul jak alkoholowe ciepło rozlewa się po wyziębionym ciele. Uśmiechnięty oddał wódkę właścicielowi.

– Dziękuję, ale nie mam się czym zrewanżować.

– Nic się pan nie martw. Jak zabraknie, to pani Andżelika z kasy ma tu mały zapasik dla potrzebujących.

Godz. 22.40

W Polsce Ludowej czerpanie korzyści z nierządu było karalne. Co więcej, sam nierząd nie dość, że był niedozwolony, to w ogóle go nie było, bo nie było go w oficjalnych statystykach i opracowaniach. A jak o czymś się nie pisało, to znaczy, że czegoś nie ma w ogóle. Bo w kraju równych szans i równych możliwości nie mogło być tak, żeby ktokolwiek mógł mieć inne aspiracje niż te, które wyznaczała przewodnia siła narodu, czyli Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. To ona wiedziała, czego obywatel chce i czego potrzebuje. Dlatego kobiety mogły pragnąć być nauczycielkami, szwaczkami czy nawet traktorzystkami, ale na pewno nie prostytutkami. Zresztą w tym skomplikowanym systemie nie było miejsca na potrzeby seksualne, o ile nie były zdrowe i nie służyły przysparzaniu ludowej ojczyźnie kolejnych obywateli. Natomiast seks za pieniądze był niedopuszczalny w socjalistycznym społeczeństwie. W kapitalizmie owszem, tam mógł istnieć, bo wiadomo, że ten zgniły system ma za nic ludzką godność i dlatego dopuszcza takie skrajne formy wyzysku kobiet. A socjalizm jako system równych szans i możliwości nie wyzyskiwał nikogo. Owszem, zdarzały się jeszcze pewne niedociągnięcia oraz jednostki zwichnięte moralnie, nie w pełni świadome roli, jaką mogłyby odgrywać w ludowym państwie. Był to jednak margines, o którym nie warto nawet wspominać. A to, o czym się nie mówiło, nie miało prawa istnieć.

Dlatego w kraju, w którym nie było problemu prostytucji, prostytutki były wszędzie, tyle że nieoficjalnie i poza jakąkolwiek kontrolą. Bo jak można kontrolować coś, czego nie ma? W najlepszych knajpach sprzedawały swe wdzięki te dewizowe, a w gorszych restauracjach z dancinngiem nieco

220

starsze i lekko zużyte panie, na które mógł sobie pozwolić nawet średni szczebel administracji zakładowej. Wchodziły im w paradę młode nieopierzone, rozpoczynające dopiero swoją karierę zawodową dziewczynki, które można było posiąść za kolację i pół litra. Najwięcej było jednak tych, które urzędowały w piwiarniach i najpodlejszych knajpach PSS-owskich. Zmęczone życiem i wyniszczone, jak dojarki z PGR-ów przez lata pracy, oddawały się w bramach czy w piwnicach za butelkę jabola.

Zupełnie inną kategorię stanowiły dziewczyny, które pracowały w burdelach, przybytkach, które również nie istniały w oficjalnych wykazach. Te miały menedżerską opiekę pań zajmujących się sprawami socjalno-bytowymi oraz rachunkowością. Na potrzeby ich działalności pracowali portierzy z najlepszych hoteli, którzy podsyłali im klientów, oraz niektórzy taksówkarze. Te miniprzedsiębiorstwa doskonale dawały sobie radę w skomplikowanej socjalistycznej rzeczywistości gospodarki nakazowo-rozdzielczej, ponieważ rządziły w nich prawa wolnego rynku. W samym Poznaniu było kilkadziesiąt takich domów rozrywki, usadowionych najczęściej w willach peryferyjnych dzielnic. Usługi tam świadczone były stosunkowo drogie, dlatego mogli sobie pozwolić na nie tylko najzamożniejsi przedstawiciele bezklasowego społeczeństwa oraz przybysze zza żelaznej kurtyny.

Z usług panienek w takich domach korzystali także stróże prawa, z tym że oni nie musieli płacić. Dostawali to, co chcieli, w zamian za tak zwaną opiekę.

Marcinkowski nigdy nie chodził na dziwki. Znał co prawda większość poznańskich burdeli, ale tylko dlatego, od czasu do czasu dochodziło tam do łamania prawa. Jednak tu, na Junikowie przy ulicy Rocha Kowalskiego, był pierwszy raz w życiu. Gdy przyszedł dziś wieczorem do mieszkania Olkiewicza, wyjaśnił mu, na czym polega problem. Powiedział wszystko o zabitym sierżancie Kmieciaku i o tym, jaką rolę w całej tej sprawie mogą pełnić jego koledzy z SB. Nie mógł ich ścigać, nie mógł im nawet próbować przedstawić jakichkolwiek zarzutów, ale mógł zrobić jedno. Mógł ich wyprzedzić i znaleźć rozwiązanie przed nimi i w ten sposób zagrać gnojom na nosie. Dlatego właśnie zapytał Olkiewicza, czy jest jeszcze w SB czy już w kryminalnych.

221

Teofil nie namyślał się długo, ubrał się natychmiast i po chwili prowadził już do radiowozu, potykającego się o własne nogi, Mirasa Brodziaka. Teraz radiowóz stał zaparkowany kilkadziesiąt metrów od niepozornej kwadratowej willi, jakich pełno w każdym polskim mieście.

– Ta kurwa, co prowadzi ten burdel, to jest jego, no jak to powiedzieć – Olkiewicz nie mógł znaleźć przez chwilę odpowiedniego słowa – to jest jego narzeczona. Ona robi tu swój interes, a on jej pomaga w utrzymaniu porządku. No i poza tym daje jej jeszcze parasol ochronny, tak że nikt z organów nie może się do niej przypierdolić. No a poza tym nikt nie ma interesu, żeby ten burdel likwidować, bo korzysta z niego za dużo chłopaków od nas. Każda firmowa impreza, jakieś imieniny czy coś tam, to wszystko się kończy tutaj.

– No to nieźle się skurwiel ustawił – ucieszył się kierowca Grzechu Kowal.

– Sam bym się tak ustawił, jakbym mógł, ale mi stara nie pozwala na dziwki chodzić. – Olkiewicz zaśmiał się.

– Na pewno jest tutaj? – zapytał siedzący na tylnym siedzeniu Marcinkowski.

– No a gdzie ma być? – zdziwił się Teofil. – Na wódkę nie musi chodzić, bo ma tu, na kurwy nie musi, bo też ma na miejscu. Żyje se jak w rajku.

Godz. 23.00

Były zapaśnik w stylu wolnym Wiesław Kapica siedział tuż przy drzwiach w niewielkim korytarzyku willi, w której pracował od pięciu lat. Dochodził już do czterdziestki i tak naprawdę niczego nie osiągnął w swoim dotychczasowym życiu. Bo jak się okazuje, te wszystkie medale i puchary, które zdobył w trakcie swojej kariery na macie, są tak naprawdę nic niewarte. Gdy walczył i godnie reprezentował kraj, wszyscy klepali go po plecach, pisały o nim gazety i był cały czas w centrum uwagi. Lubił to bar-

dzo, ale kto nie lubi? Prócz sportu lubił też gorzołę. Więc im więcej walczył i wygrywał, tym więcej było okazji do uczczenia sukcesów. A póź-
222

niej im więcej pił, tym wyniki stawały się gorsze. W końcu została tylko woda, bo w jego klubie nikt nie chciał mu dać kolejnej szansy. Za to szanse dał mu jeden koleś poznany kiedyś na dansingu w Adrii. Facet był esbekiem i potrzebował napakowanego siłacza do ochrony interesu. No i tak Wiechu trafił do tego domu. Nie przemęczał się tu zbyt, bo klientela nie sprawiała specjalnych kłopotów. Sama jego obecność wpływała na co bardziej krewkich gości uspokajająco. Wiechu wyglądał bowiem, jak betonowy słup ogłoszeniowy. Każdego, kogo chwycił w swoje wielkie ramiona, z łatwością mógłby rozgnieść, a później wdeptać w podłogę. Ale najpierw musiał chwycić, a to dla tego stu pięćdziesięciokilogramowego kolosa, którego niećwiczone mięśnie obrosły tłuszczem, nie było wcale takie łatwe.

Dziś, podobnie jak wczoraj, nie było tu zbyt wielu klientów, toteż Wiechu nie miał wiele roboty. Obroty spadły od dnia wprowadzenia stanu wojennego. W tej chwili zaledwie dwie dziewczyny miały zajęcie. Jedna obsługiwała jakiegoś Niemca, którego taryfiarz przywiózł niedawno z hotelu Merkury, a z drugą, małą Baśką, zabawiał się jego szef. Mógł się dziś rozerwać, bo jego kobieta, właścicielka tego interesu, była od kilku dni za granicą. Wyjechała do Niemiec Zachodnich i teraz nikt nie wiedział, kiedy i czy w ogóle wróci, skoro granice były zamknięte.

Wiechu rozłożył się wygodniej w fotelu i chciał się zdrzemnąć, ale w tej właśnie chwili rozległo się pukanie do drzwi. Wstał niechętnie, mrużąc jakieś przekleństwa pod nosem. Otworzył niewielki wizjer i spojrzał na stojącego na oświetlonym ganku gościa. Jakiś chudy rudzielec nie wzbudził w odzwrotnym żadnych obaw. Otworzył więc drzwi.

Pięść rudzielca natychmiast wylądowała na podbródku Wiecha, ale bramkarz nawet się nie zachwiał. Brodziak zdziwiony cofnął rękę i spojrzał na swoje siniejące kostki. Nie mniej zdziwiony był ochroniarz, ale jego zdziwienie nie trwało zbyt długo. Drugi cios, tym razem znacznie potężniejszy, wylądował na jego nosie. Grzechu Kowal nie dał mu żadnej szansy. Natychmiast uderzył jeszcze raz drugą ręką w brzuch. Wiechu padł na kolana, a wtedy Brodziak mógł dokończyć dzieła, uderzając w gruby, umięśniony kark.

Kowal złapał nieprzytomnego Wiecha pod ręce i wciągnął go do środ-
223

ka. Olkiewicz wszedł zaraz za dwoma kolegami i szybko skuł kajdankami ręce nieprzytomnego bramkarza. Kajdanki z ledwością objęły wielkie nadgarstki.

– Jak mam z nim, kurwa, gadać, jeśli jest nieprzytomny? – powiedział cicho Marcinkowski, patrząc z góry na wielkoluda.

– Spokojnie, dowódco – odezwał się kapral Kowal. Chwycił stojący na niewielkim drewnianym stoliku kryształowy wazon z kwiatami. Goździki wyrzucił w kąt, a brudną wodę wylał na twarz osiłka. Ten otworzył oczy.

– Słuchaj – powiedział Fred, nachylając się nad zdziwionym Wiechem – gdzie jest twój kolega Kurylak?

Wiechu chciał krzyknąć, rozdziawił nawet szeroko gębę, ale Kowal był szybszy. Jego pięść znowu trafiła w twarz leżącego, pozbawiając go przytomności.

– Chyba musimy sami poszukać – powiedział Brodziak, wchodząc na schody prowadzące na piętro.

Drobnutka blondynka Samanta, czyli Basia Wąsik założyła marynarkę, poprawiła poziomkowy krawat, chwyciła brązową, zniszczoną przez lata używania teczkę i ruszyła wzdłuż niewielkiego korytarza. Stała przed ostatnimi drzwiami po prawej stronie i zapukała najmocniej jak potrafiła w szklaną matową tafłę.

– Otwieraj, wróciłem z pracy i mam nadzieję, że obiad jest już na stole – powiedziała to niskim głosem, który miał sugerować osobie po drugiej stronie, że nadchodzi ktoś, przed kim należy mieć respekt.

– Ojej, nie zdążyłam ugotować pyrów, kochanie, już otwieram, tylko się nie złość, proszę – zapiszczał ktoś cienkim głosem zza drzwi.

– Otwieraj, ty głupia dziwko, zaraz ci pokażę, jak masz czekać na swojego pana, ty szmato! – starała się Basia.
– Jejku, już otwieram ci drzwi... – piszczął cienki głosik.
Basia Wąsik, która już dzisiaj wypila parę porządnych szklaneczek wódki z pepsi, nie rozglądała się na boki. A nawet jakby spojrziała wcześ-

224
niej w głąb korytarza, zapewne nie zwróciłyby uwagi na wielkiego, prawie dwumetrowego osiłka, który szedł w jej kierunku. Tacy faceci pojawiali się tu dość często i żaden z nich nie był nigdy klientem. Stanowili ochronę specjalnych gości.

– Otwieraj, szmato! – krzyknęła nienaturalnie niskim głosem Basia i były to ostatnie słowa, które zdążyła wypowiedzieć. Wielka łapa opadła na jej usta, a zaraz potem poczuła, że ktoś unosi ją w powietrze i gdzieś przenosi.

– O Boże, kochanie, tylko nie krzycz, już otwieram.

Szarpnięte od środka drzwi rozwarły się na oścież.

Porucznik Zbigniew Kurylak ubrany był w czerwony szlafrok, spod którego widać było ustrojone w niebieskie pończochy krótkie, masywne nogi. Ponad owłosionym brzuchem świecił się czerwony sztywny stanik. Puszysta jak balon peruka dopełniała reszty.

– Zwyczajna tania dziwka – powiedział Brodziak, który jakby od niechcienia wyprostował rękę, a jego twarda pięść wylądowała na podbródku Kurylaka. Uderzony prawym prostym esbek przewrócił się na plecy.

– A kazał ci ktoś walić go w tytę? – zapytał Marcinkowski, który wszedł do środka i przeszedł ponad leżącym.

Nad Kurylakiem przeszedł również Brodziak, zaraz z nim Olkiewicz, a na koniec Kowal, który pochylił się nad leżącym, uniósł go w górę i leciutko rzucił oficera w pończochach na szerokie łóżko. Nieco wyżej w złotej ramie pływały na środku stawu dwa piękne białe łabędzie. Nikt z wchodzących do pokoju nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Za to z radością patrzyli na oficera SB przebranego za kurwę. Marcinkowski siadł na jedy-nym stojącym w pokoju fotelu, Olkiewicz usiadł na wielkim łóżku obok esbeka w pończochach. Z drugiej strony Kowal przywarł do przebranego Kurylaka i objął go czule za szyję. Tylko Brodziak nie mógł początkowo znaleźć sobie miejsca, ale po paru sekundach uznał, że dywan przy szafie, która zamiast drzwi miała lustro, będzie jak najbardziej odpowiednim lokum. Kurylak próbował się podnieść, ale żelazna ręka Kowala przycisnęła go do poduszek.

– Leż, panienko, spokojnie, bo przywalę ci w ryja – powiedział Kowal i zaraz potem wstał z łóżka.

225

Marcinkowski w tym czasie wydobyl ze swojej torby aparat fotograficzny Zenit T i podszedł do leżącego.

– Co, kurwa, chcesz zrobić? – krzyknął esbek.

– Mówiłem ci, że masz spokojnie leżeć, bo ci pierdolnę – zagroził Kowal, wyciągając w kierunku Kurylaka ogromną łapę zwiniętą w pięść. Fred podłączył do aparatu lampę błyskową, ustawił czas i przysłone, po czym najspokojniej w świecie zaczął robić zdjęcia.

Gdy było już po wszystkim, schował Zenita do torby i znów usiadł w fotelu, a Kowal wrócił na swoje miejsce na łóżku.

– O co wam chodzi, chłopaki – zaczął płaczliwym tonem esbek.

– A jak myślisz? – powiedział Olkiewicz. – O informacje, kurwa, o informacje.

– Teraz mamy cię na widelcu, Kurylak. Jak nas zrobisz w konia, to te fotki powiesimy na tablicy ogłoszeń w komendzie – zaczął spokojnie wyjaśniać Marcinkowski. – Ale zapomnimy o tym całym burdelu, jak nam wszystko powiesz.

– Co chcecie wiedzieć?

– Chcemy wiedzieć, kto załatwił Kmieciaka i co Kmieciak powiedział przed śmiercią.

– Chodzi wam o tego kutasa sierżanta, co jest szwagrem bankiera.

– Dokładnie.

– No to czemu nie spytacie moich szefów. Przecież współpracujemy, co nie, Teoś?

– Odpierdol się, kutasie – warknął Olkiewicz, który właśnie nalewał sobie do szklanki wódkę z butelki, która stała na parapecie. Rozejrzał się za kolejnym szkłem. Znalazł szklaneczkę na toaletce. Powąchał, a potem napełnił po brzegi i podał Marcinkowskiemu. Ten wziął szkło i wypił do dna.

– Mów wszystko po kolei – poprosił grzecznie Fred.

– No on nie chciał mówić, to kapitan Wirski mu wpierdolił.

– Pałą z metalowym kondomem, mamy taką dla ciebie – powiedział i zaśmiał się Kowal.

– No co wy, ja wam wszystko powiem, chłopaki. On na koniec powiedział, że zawiózł szwagra do Pamiątkowa, do jednej baby, co pędzi bimber. Ale był twardy i długo nie chciał gadać. Jeszcze trochę, toby od

226 tego pałowania wyciągnął kopyta. A potem, na koniec, zaczął się śmiać jak jakiś pojebany. Wtedy Wirski wyciągnął spluwę i strzelił mu w łeb. Niby dla zatarcia śladów. Bo ten Wirski ma takie rozkazy, że daj Boże zdrowie. Jest kryty na całej linii.

Marcinkowski podniósł się z fotela i podszedł do łóżka.

– Sprawdzimy to Pamiątkowo i lepiej, żeby to była prawda, bo jak zrobiliś nas w trąbę, to zdjęcia będziesz se mógł jutro zobaczyć na komendzie.

– No to twoje zdrowie – powiedział Olkiewicz i jednym haustem opróżnił kolejną szklankę wódki.

Godz. 23.40

Nie miałem prawie nic, a chciałem jej darować świat

I czarno-białe dni rozłożyć na palecie barw.

Mówił, jeśli chcesz, zabiorę cię daleko stąd

Ze sobą tylko weź gorące serce, dwoje rąk.

Z głośnika radia Amator stereo płynęła wolno piosenka, którą śpiewał Jacek Lech.

– Dwadzieścia lat a może mniej – zaśpiewał razem z piosenkarzem sierżant Makula, który pełnił dziś nocny dyżur na komendzie w Szamotułach. Właściwie to nie miał prawie nic do roboty. Co jakiś czas odbierał rutynowe meldunki kilku patroli jeżdżących po mieście, ale nie było w nich niczego godnego uwagi. Nie prowadzono żadnej akcji, a i przestępcy jakoś od kilku dni nie dokazywali specjalnie, pewnie przestraszeni stanem wojennym. Ale tu tego stanu wojennego prawie nie było. Owszem, była godzina milicyjna i zwiększona liczba funkcjonariuszy chodzących po mieście w dzień, tak na pokaz, żeby wszyscy widzieli, że jest stan wyjątkowy. Ale w nocy nic się ciekawego nie działo, jak to na prowincji.

– Tu u nas to spokój i cisza, i nawet psy dupami szczekają – powtarzał często sierżant swoim podwładnym. Jedyna afera w ostatnim czasie to akcja na bimbrownię. Zarekwirowali na własne potrzeby kilka litrów dobrego alkoholu i sprawy nie było. Skrzywił się z niesmakiem na wspo-

227 mnienie swoich porzyganych spodni przez tego pijanego zasrańca. Chciał mu nawet za to wpierdolić, ale później, jak napił się zrobionego przez niego bimbrowa, to mu cholera przeszła.

– Nie ma co sobie zrażać, takiego dobrego fachowca – pomyślał sierżant i kazał kapralowi wypuścić go po przesłuchaniu, nawet bez zwykłej porcji pały na dupę. Ale miał go puścić dopiero rano, żeby się jeszcze przespał pod celą.

– Dwadzieścia lat, a może mniej, wirował w oczach słońca pył. Dwadzieścia lat, a może mniej, świat brałem taki, jaki był... – zaśpiewał duet Jacek Lech i sierżant Makula.

Milicjant otworzył szufladę biurka dyżurnego i zaczął w niej grzebać. Często zdarzało się bowiem, że jego koledzy, którzy dyżurowali wcześniej, zostawiali coś ciekawego, jakąś gazetę albo książkę. Dziś prócz paru obgryzionych ołówków natknął się tylko na podniszczony komiks z serii „Kapitan Żbik” pod tytułem Zapalniczka z pozytywką.

– No niech będzie komiks – powiedział pod nosem sierżant i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Już chciał zacząć czytać, mimo że niespecjalnie lubił czytać cokolwiek, wolał raczej oglądać obrazki, gdy odezwał się metaliczny dzwonek telefonu. – Komenda miej ska w Szamotułach – warknął niezbyt sympatycznym głosem do czarnej słuchawki.

– Mówi Marcinkowski, porucznik z Komendy Wojewódzkiej, a tam

kto siedzi w tych Szamotułach?

Sierżant zerwał się na równe nogi, jakby oficer mógł go widzieć przez słuchawkę, i przepisowo zameldował się.

– Obywatelu poruczniku, sierżant Makula melduje się na rozkaz.

– Słuchajcie, Makula, mam do was ważne pytanie, więc dobrze mi się zastanówcie, zanim odpowiecie.

– Tak jest, obywatelu poruczniku.

– Wieś nazywa się Pamiątkowo, znacie?

– Co mam nie znać, tak jest obywatelu poruczniku.

– Kto tam pędzi bimber?

Sierżant zamilkł na chwilę. Zaczął szybko zastanawiać się, czy powiedzieć prawdę i przyznać się, że właśnie zatrzymali bimbrownika, czy też iść w zaparte i udawać, że nic nie wie. Z drugiej strony, jeśli to coś ważne-
228

go, to jak nie powie prawdy, będzie poruta. No, ale jeśli powie, że zrobili najazd na bimbrownię i wypuścili bimbrownika, to jak się wytłumaczy, że bimber cały wyparował? Oceniał, że jednak lepiej powiedzieć, że zna to miejsce, a później coś się wymyśli z tym bimbrem.

– Stara Wyrwaska pędzi, ale już nic tam nie ma, bośmy właśnie przeszukanie zrobili.

Chwila ciszy w słuchawce, a potem oficer odezwał się głosem, w którym można było wyczuć napięcie:

– Słuchajcie, Makula, był tam ktoś jeszcze?

– No byliśmy w pięciu, ja byłem, był kapral...

– Nie o to mi chodzi, znaczy nie o funkcjonariuszy – przerwał mu Marcinkowski. – Czy ktoś tam był jeszcze u tej kobiety w domu?

– A taki jeden, cośmy go zatrzymali, a na nazwisko to miał Mazurkiewicz. Wzięliśmy go na wszelki wypadek na komendę i przytknęliśmy, choć bimbru tam żadnego nie było. Ale tak dla wyjaśnienia trzeba było go posadzić.

– Macie go u siebie?–nie mógł uwierzyć własnym uszom porucznik.

– Tak jest – zameldował radośnie sierżant.

– No to słuchajcie, pilnujcie go jak oka w głowie, a rano będziemy tam, żeby z nim pogadać, jasne?

– Tak jest, obywatelu poruczniku. – Makula odłożył słuchawkę na widełki telefonu i na powrót usiadł w fotelu. Był z siebie zadowolony. Co prawda nie wiedział, po co tym z komendy ten Mazurkiewicz, ale na pewno nie chodziło o jakiś tam bimber. Facet musiał mieć coś poważniejszego na sumieniu. A to oznaczało, że może ten, kto zatrzymał poszukiwanego, dostanie jakąś nagrodę. Może gratyfikacja finansowa, a może też przyspieszony awans – rozmarzył się sierżant. Spojrzał na swoje pagony i pomyślał, że dwa romby starszego sierżanta wyglądałyby zdecydowanie lepiej niż dotychczasowy jeden.

– Dwadzieścia lat a może mniej uczyłem się dopiero żyć. Dwadzieścia lat a może mniej nie miałem prawie nic. – Jacek Lech zakończył piosenkę, a sierżant zasluchany w wybrzmiewającą jeszcze melodię, pomyślał, że rzeczywiście przez ostatnie dwadzieścia lat nic właściwie nie miał i teraz wreszcie czas na to, by zacząć osiągać sukcesy.

ROZDZIAŁ IX

Wtorek 15 grudnia 1981

Godz. 06.40

– Jak tak dalej pójdzie, to zachleję się na śmierć – pomyślał skacowany Roman Mazurkiewicz, usadowiony na ławce w wagonie pociągu jadącego do Poznania. Nie wracał jednak do domu. Gdyby kierował się zdrowym rozsądkiem, powinien próbować wrócić do miasta, by ukryć się gdzieś wśród ludzi. Wielkie miasto dawało bowiem więcej możliwości. Mazurkiewicz, mimo kaca po wczorajszym picu w dworcowej poczekalni, przeanalizował całą sytuację. To znaczy dzisiaj tylko realizował plan, który obmyślił wczoraj gdzieś między pierwszą flaszką, tą, którą przyniósł jego nocny kompan, a tą, którą później kupił on sam u znacznie już miłszej biletarki. Pierwszą butelkę wypili niemal natychmiast, na rozgrzewkę, a potem Mazurkiewicz zgodnie z sugestią pana Bolka, bo tak na imię miał jego nowy śmierdzący petami i alkoholem towarzysz, poszedł do pani Andżeliki. Zaspana sprzedawczyni biletów natychmiast rozpromieniła się, gdy

usłyszała, że klient nie pyta o pociągi czy bilety, ale o gorzołę. Bez zbędnych ceregieli podała przez niewielkie okienko butelkę wódki stołowej, skasowała należność, 250 złotych, czyli nieco taniej niż w Peweksie, i poszła znowu spać. Obaj biesiadnicy natomiast zabrali się do konsumpcji. Kobiety, które wraz z nimi siedziały w dworcowej poczekalni, początkowo próbowały przywołać pijaków do porządku, głośno wyrażając swój sprzeciw wobec picia alkoholu w miejscu publicznym. Uspokoili się jednak natychmiast, gdy wstawiony Mazurkiewicz postanowił poczęstować je wódką dla, jak to określił, „współsprawstwa”. Gdy stanowczo odmówiły, powiedział, że wetknie im butelkę w gardło, żeby zamknąć im

230
ryje, ale na szczęście pan Bolek czuwał. Odciągnął narwanego kompana od przerażonych bab, tłumacząc, że szkoda lać cenny napój w chamskie gardła. Wspólnie wypili jeszcze tylko jedną butelkę, bo na tyle wystarczyło im razem pieniędzy. Mazurkiewicz nie zobaczył jednak dna flaszki. Gdy doszli mniej więcej do połowy, opadł na ławkę i zasnął.

Obudził się tuż po szóstej, przespał więc pierwszy pociąg, którym miał jechać. Stwierdził, że w poczekalni jest sam. Zniknęły dwie panie i zniknął też pan Bolek wraz z jego kurtką, czapką i zegarkiem marki Ruhla z NRD. Co dziwne, nie zabrał mu natomiast portfela, w którym była jeszcze jedna stużłotówka ze smutnym okularnikiem Ludwikiem Waryńskim. Mazurkiewicz kupił za nią bilet do Pamiątkowa i „Gazetę Poznańską”. Bo wczoraj postanowił właśnie podczas picia wódki, że wróci do Pamiątkowa. Był przekonany, że to miejsce jest w tej chwili najbezpieczniejszym schronieniem. Uważał, że skoro była już tam milicja, to raczej na pewno nie będą go tam szukać po raz drugi. No a poza tym miał tam czekać na swojego szwagra Kmieciaka.

Lokomotywa szarpnęła i pociąg powoli ruszył ze stacji. W piętrowym wagonie siedziało kilkadziesiąt osób ubranych w płaszcze, kożuchy, opatulonych szalikami. Tylko on jeden wyglądał w swoim sweterku jak przybysz z innej planety. Pasażerowie obrzucili go tylko przez chwilę spojrzeniami, ale nikogo nie zainteresował jego wygląd. Smród wódki, który wraz z nim wpłynął do wagonu, a prócz tego jego opuchnięta twarz były aż nadto wymowne. Wiadomo, człowiek popił, to i zgubił odzienie. Co w tym dziwnego?

Mazurkiewicz rozłożył gazetę na kolanach i zaczął przeglądać tytuły. Większość z nich informowała o poczynaniach Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Przejrzał je pobieżnie, bo nie spodziewał się znaleźć tam nic interesującego. Zainteresował się dopiero krótką informacją z pierwszej strony, mówiącą o strajku w Hucie Katowice. Dziennikarz pisał, że przedsięwzięcie to zostało udaremnione w wyniku zdecydowanych działań sił Porządkowych, wspartych godną i obywatelską postawą załogi.

W notatce poniżej donoszono, że w Łodzi zatrzymano dwóch działaczy, członków Komisji Krajowej „Solidarności” – Słowika i Kropiednickiego, którzy próbowali zorganizować wiec w centrum miasta.

231

– To znaczy, że rozpierdolili już „Solidarność” – pomyślał Mazurkiewicz. – A to oznacza, że zrobiłem to, co powinienem był zrobić w tej sytuacji.

Godz. 08.15

Milicyjna nyska minęła Pamiątkowo, jadąc w kierunku Szamotuł. Samochód przemieszczał się dość wolno, bo przez cały czas padał śnieg, więc na drodze było bardzo ślisko. Widać było, że żaden pług śnieżny nie przejeżdżał tędy od dawna. Na obu pasach ruchu jechało się więc po warstwie ubitego i zamrożonego śniegu. Najgorzej było przy wyjeździe z terenu zabudowanego czy z lasu na odkrytą przestrzeń. Tutaj wiatr nawiewał śnieg na drogę i tworzył zasy, tak że jazda przypominała chwilami narciarski slalom. Na szczęście ruch na drodze był minimalny, toteż kierujący samochodem kapral Kowal mógł spokojnie zjeżdżać na lewy pas, by wymijać śnieżne przeszkody.

– Kurwa jasna, co to za pierdolona droga – przeklinał tę jazdę kierowca.

– Nie klnij, tylko uważaj jak jedziesz – pouczył go siedzący obok porucznik Marcinkowski.

– W sześćdziesiątym ósmym też była taka zima... – odezwał się chorąży Olkiewicz z tylnego siedzenia.

– Ja pierdolę! – krzyknął Kowal na widok rozpędzonego stara jadącego z przeciwka. Kolos jechał chyba ze sto na godzinę i nawet na chwilę nie zwolnił, widząc nadjeżdżającą nyskę. Kowal natychmiast odbił w prawo, robiąc przejazd starowi. Ciężarówka przemknęła tuż przy nich, mijając burtę radiowozu o parę centymetrów. Milicyjny samochód wpadł w poślizg i rozpędzony, pomimo wysiłków kierowcy, obrócił się bokiem, w ten sposób pędząc dalej do przodu. Kowal gwałtownie obrócił kierownicę i dodał gazu, chcąc wyprowadzić radiowóz z poślizgu.

– Jezus, Maria, Panno Święta! – darł się z tyłu Olkiewicz, trzymając się kurczowo oparcia fotela. Brodziak chciał jeszcze przypiąć się pasem bezpieczeństwa, ale nie mógł złapać dyndającej grubej wstęgi-

232
Marcinkowski zaparł się rękami i nogami i z bezsilną wściekłością obserwował rozpaczliwe próby wyrwania auta z bezwładnego ruchu. Silnik przyciśnięty pedałem gazu do granic możliwości zawył jak ranny zwierz.

– Ty gnoju – krzyknął Kowal – mam cię! – myśląc, że już mu się udało wyprowadzić samochód z poślizgu, gdy koła nagle wjechały w wyjeżdżony tor. I pewnie wszystko skończyłoby się na strachu, gdyby nie zakręt. W tym miejscu droga pod ostrym kątem skręcała w lewo, natomiast oni rozpędzeni mknęli prosto. Nyska z impetem uderzyła w śnieżną pryzmę, staranowała ją i wylądowała w niewielkim rowie. Rów był niemal po brzegi zasypany śniegiem, toteż auto wpadło tam jak w ogromną miękką poduchę amortyzującą uderzenie. Silnik zgasł. W środku zapadła zupełna cisza. Zza szyb dochodził tylko gwizd zimowego wiatru. Na drodze pusto. Byli na zupełnym odludziu, tylko w dali, jakiś kilometr od nich, pod lasem widać było przesłaniane co chwila przez tumany śniegu niewielkie gospodarstwo.

Porucznik Marcinkowski podniósł głowę z deski rozdzielczej. Na czołe miał pękniętą skórę. Natychmiast z rany popłynęła krew.

– Ja pierdolę – zaklął Kowal. – Myślałem, kurwa, że już po nas.

– O Jezu, moja noga – zawył z tyłu Olkiewicz.

– Co się stało? – spytał ociekający krwią porucznik.

– Noga mi się, kurde, wcisła za fotel i nie mogę ruszyć – wyjaśnił Teofil.

– A co z tobą? – Marcinkowski spojrzał na Brodziaka.

– Jasna cholera – zdołał wyjęczeć blady jak ściana podporucznik, który leżał na podłodze. Powoli zaczął wspinać się na fotel, lecz nagle chwycił się za brzuch. Błyskawicznie zerwał się na nogi, chwycił klamkę bocznych drzwi i wyskoczył z nyski. Wpadł w śnieżną pryzmę po kolana, nachylił się i zaczął wymiotować.

– Znaczy, że będzie żyć – skwitował całe zajście Kowal, któremu zupełnie nic się nie stało. Odwrócił się do Olkiewicza. Spojrzał z góry na nogę tkwiącą za fotelem. Zauważył, że utknęła między metalową rurką nogi jego fotela a ścianą nyski. – Niech se pan odwiąże sznurówkę i wyjmie tę girę z buta – poradził zaklinowanemu milicjantowi.

233

Jęczący po cichu Olkiewicz nachylił się pod fotel i za chwilę uradowany wynurzył się zza oparcia.

– Juzem myślał, że złamana – wyjaśnił oswobodzony z kleszczy chorąży.

W tym czasie Kowal wydobył już z szafki opatrunek osobisty, rozdarł zębami brezent i wyjął ze środka tampon. Podał go bez słowa porucznikowi, a ten przyłożył go do czoła.

– Coś mi się zdaje, że bez szycia się nie obejdzie, ale najważniejsze, że łepetyna cała, co nie?

– Mieliśmy szczęście. – Marcinkowski uśmiechnął się krzywo, patrząc z respektem na kierowcę. – Ty to jednak masz łeb na karku. Jakby tu kto inny siedział, to ten kutas z ciężarowy zmiotłby nas z drogi i nie skończyłoby się na jednej rozbitej głowie.

Brodziak, który zwrócił już całe śniadanie, otarł usta i czoło śniegiem, po czym wgramolił się z powrotem do samochodu. Zatrzasnął za sobą

drzwi i usiadł.

– Myślałem, że wyrzygam płuca – powiedział ze złością. – Szkoda, że nie zapisaliśmy rejestracji tego skurwiela z ciężarówki, bo trzeba by mu oderwać jajca – złościł się milicjant. – Ten gnój pewnie nas nawet nie zauważył, tak szybko leciał.

– Bo ja zawsze mówię – odezwał się Teofil Olkiewicz, któremu udało się wreszcie wyrwać zakleszczonego buta – że picie gorzoły to jest sztuka. Trzeba znać swój żołądek i wiedzieć, ile można w niego wlać, żeby nie rzygać później po polach. A rejestrację to miał na tylnej klapie, wołowymi literami wypisaną. PZN 30-80. Znajdzie się go jak nic.
Godz. 08.20

Kapitan Wirski stał przy oknie i obserwował milicyjny radiowóz, który przed chwilą ugrzązł w zaspie. Gdy zobaczył wypadek, przez moment, w pierwszym odruchu chciał nawet pójść tam, by sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Szybko jednak opanował ten zupełnie niepotrzebny ludzki odruch. Stał jednak przy oknie i patrzył, czy czasami ktoś aby

234

stamtąd nie wyszedł i, nie daj Boże, nie idzie w kierunku domu w poszukiwaniu pomocy.

– Nie mogli zrobić sobie przecież nic złego – myślał Wirski.

W pewnej chwili zauważył, że koło auta zrobił się jakiś ruch i dostrzegł tam niewyraźną postać. Wyglądało to tak, jakby ten, co wyszedł z radiowozu, sprawdzał, jaka na zewnątrz jest sytuacja, położył się nawet na śniegu, a potem wstał i wrócił do samochodu. A to oznaczało, że ci tam w środku siedzą spokojnie i czekają na pomoc. – Swoją drogą mieli szczęście, bo ten star mógł ich zmieść z drogi – pomyślał esbek. Od pewnego czasu siedział przy oknie i patrzył na oddaloną o niecały kilometr drogę, bo nie miał nic innego do roboty. Gdy tylko nastał świt, mimo że było bardzo zimno, poszedł wstawić do szopy ich samochód. Na szczęście padał śnieg, który szybko przysypał ślady pozostawione przez auto. Potem obszedł całe gospodarstwo i upewnił się, że jedyną drogą dochodzącą do zagrody jest ta prowadząca od głównej szosy. Można tu co prawda dostać się jeszcze od strony lasu, do którego gospodarstwo przylegało, ale śniegu było tam tak dużo, że Wirski uznał, iż nikt tamtędy nie będzie próbował się przedrzeć. Nie miał co prawda pewności, czy mężczyzna, na którego czekał, pojawi się tutaj. Stara baba, która mieszkała w tym domu, tak się przestraszyła, gdy weszli do niej w nocy z Władziem Kolasą, że padła na podłogę i wyzionęła ducha. Durny Władziu zamiast przytrzymać grzecznie, od razu strzelił ją w papę i kobieta nie zdążyła przekazać im żadnych informacji.

Ale kto mógł przypuszczać, że jest słabego zdrowia. Poza tym mieli nadzieję, że ten, którego szukają, jest gdzieś w domu. Znaleźli nawet rozrzucone łóżko i torbę podróżną z rzeczami mężczyzny, ale jego samego nigdzie nie było. Wirski domyślił się więc, że Mazurkiewicz musiał oddalić się stąd tylko na chwilę i na pewno wróci. Znalazł bowiem w torbie masynekę do golenia, pędzel, ręcznik i różne inne pierdoły, bez których nikt nie wyjeżdża na dłużej. W tej sytuacji pozostało im tylko spokojnie siedzieć na dupie i czekać, aż facet sam przyjdzie tu i wpadnie w zastawioną na niego pułapkę.

– Władziu, dorzuc trochę do pieca – powiedział kapitan, odwracając się od okna w stronę kuchni. Drugi esbek siedział przy stole kuchen-

235

nym i patrzył się gdzieś przed siebie. Dopiero po paru sekundach zareagował, jakby ocknął się wyrwany ze snu. Spojrzał pytająco na Wirskiego.

– Co? – zapytał przytomnie.

– Napal w piecu, bo zimno się zaczyna robić. Węgla dorzuc.

– Ale nie ma.

– No to weź tę węglarkę, co stoi koło pieca i przynieś trochę. Musi gdzieś być, w jakiejś drewni czy gdzieś.

– Aha – odpowiedział Władziu. Podniósł się powoli, chwycił metalowy pojemnik i poszedł szukać węgla.

Wirski odwrócił się i znowu spojrzał w okno. Ten Władziu był głupi jak but, ale on lubił z nim pracować. Przynajmniej facet nie zadawał jakichś idiotycznych pytań i nigdy nie miał żadnych wątpliwości, czy to, co robi,

jest słuszne czy nie. On najzwyczajniej w świecie wykonywał rozkazy. Ciekawie – zastanawiał się kapitan – jak komuś takiemu udało się skończyć studia. Bo Władziu był magistrem wychowania fizycznego. To tam właśnie, na AWF-ie znaleźli go łowcy talentów z SB i po dokładnym prześwietleniu zaproponowali mu pracę w resorcie. Zgodził się bardzo chętnie, bo nie bardzo wiedział, czym ma się zająć po skończeniu studiów. Mógł zostać co prawda nauczycielem, ale nie za bardzo lubił dzieci. A tu nadarzyła się okazja – ciekawa praca i do tego dobrze płatna. Wystarczyło jeszcze tylko kilkumiesięczne przeszkolenie, po którym został oficerem Służby Bezpieczeństwa. Niezbyt błyskotliwym, ale cenionym przez przełożonych. Roman Wirski w podobny sposób trafił do służby. Z tym że on zaczął tajną współpracę już na czwartym roku socjologii. Bawiło go raportowanie o nastrojach na uczelni i infiltrowanie środowiska. Jednak nie bardzo widział się w roli funkcjonariusza. Po skończeniu studiów dostał propozycję zostania w instytucie i objął funkcję asystenta, nadal współpracując ze swoim oficerem prowadzącym. Ale po roku pracy naukowej, gdy otwarty miał już przewód doktorski, doszedł do wniosku, że to, co robi na uczelni, nie ma wcale sensu, bo nie daje mu już żadnej satysfakcji. Poczuli, że na tym polu osiągnął już wszystko. Dlatego postanowił odejść i podczas jednego ze spotkań operacyjnych wyraził chęć rozpoczęcia służby. No i teraz zamiast czytać książki i pisać artykuły naukowe, robił coś, co dawało znacznie więcej adrenaliny.

236

Władziu wszedł z napełnioną węglarką. Podeszedł do pieca, ściągnął haczykiem fajerki i dorzucił trochę węgla do przygasającego ognia.

– Długo będziemy tu siedzieć, obywatelu kapitanie? – zapytał, gdy skończył robotę przy piecu.

– A skąd ja, kurwa, mogę wiedzieć – odpowiedział Wirski, nie spuszczać wzroku z zasypanej śniegiem drogi. – A czemu pytasz?

– E nic, tylko żona kazała mi się rozejrzeć za karpiem na święta. Czasu już mało zostało.

– Słyszałem, że w bufecie u nas będą zapisy, więc nie masz się co martwić. Dla ciebie wystarczy.

Godz. 08.30

Sierżant Makula zbladł jak ściana. Poczuli, że ręce zaczynają mu się trząść i nic nie mógł na to poradzić.

– Jak, kurwa, wypuściłeś go? – krzyknął wściekły, podchodząc do kaprała Mariana Macuły, który stał wyprostowany jak struna na środku pokoju.

– Melduję posłusznie, że obywatel sierżant sam kazał...

– Ja ci, kurwa, kazałem wypuścić go dopiero po złożeniu i podpisaniu zeznań! – darł się sierżant. – Ty debil! – Ty debilu jeden, kto ci, kurwa, kazał go puszczać, kto ci kazał, ty kutasie jeden...

Sierżant chwycił się za serce i powoli podeszedł do swojego biurka przywalonego stertą papierów. Wyciągnął z szafki butelkę oranżady z porcelanowym kapslem, otworzył go jednym uderzeniem dłoni i wypił spory łyk. Od razu zrobiło mu się lepiej na sercu. Oranżada wypełniała zaledwie jedną trzecią butelki. Nadawała napojowi lekko słodkawy smak i soczystość czerwony kolor. Reszta to był bimber, który zarekwirowali niedawno podczas akcji w Pamiętkowie. Makula jako szef całej akcji wziął dla siebie największą porcję bimbru. Wczoraj przed południem kupił skrzynkę oranżady i w swoim garażu umieszczał dość mocny bimber z napojem orzeźwiającym. W ten sposób powstała całkiem niezła wódka o lekko landrynkowym smaku. Ta oranżada z bimbrem to był jego własny pomysł.

237

Robił tak już od dłuższego czasu, bo dzięki temu mógł bez żadnych podejrzeń nosić tę wódkę do pracy i popijać zupełnie oficjalnie. Poza tym jego żona, która nie wiedzieć czemu była zdecydowaną przeciwniczką alkoholu, nie domyślała się nawet, co znajduje się w skrzynce stojącej w garażu. A on spokojnie podczas godzin spędzanych pod swoim małym fiatem, był bowiem zapalonym mechanikiem amatorem, mógł raczyć się wódeczką własnego wyrobu.

Odstawił butelkę na biurko i spojrział na kaprała, jakby go chciał pożreć żywcem.

- Mów mi teraz, skretyniały kutasie, kto kazał ci go wczoraj wypuścić.
- Melduję, że to obywatel sierżant kazał...
- Co ci kazałem, ty ośle?
- Miałem go przesłuchać i dać mu kopa w dupę rano.
- A teraz jest co? Rano?
- Melduję, że rano.
- No to czemu, ośle jeden, nie dajesz mu właśnie kopa w dupę?
- Melduję, że ja chciałem zrobić lepiej i szybciej, żeby obywatel sierżant był zadowolony. Znaczą się tak, żeby niepotrzebnie czasu milicyjnego nie zajmować niepotrzebnymi kwestiami.
- Matko Boska –jęknął sierżant – on chciał szybciej i lepiej. Czy ty, kurwa, pracujesz na taśmie w fabryce gwoździ? Czy my w Milicji Obywatelskiej pracujemy na akord? Czy tobie płacą za wykonywanie poleceń przełożonych, czy za samodzielne myślenie?
- Ja myślałem...
- To nigdy więcej nie myśl, bo nie jesteś tu od myślenia tylko od roboty. Jak dowódca mówi rano, to ma być rano, a nie ma ci się wydawać, że możesz zrobić coś lepiej. Bo nie możesz, Macuła, bo jesteś za głupi na to, rozumiesz? Nie myśl, tylko wykonuj rozkazy...

Zrezygnowany sierżant Makula wypił jeszcze jeden łyk z butelki i usiadł na krześle za swoim biurkiem. Schował flaszkę z napojem regeneracyjnym do szafki, a potem popatrzył na stojącego na baczność, czerwonego jak burak podwładnego.

- Słuchaj, ty pierdolony myślicielu – powiedział spokojnie jadowym tonem. – Zabieraj teraz stąd tę nędzną dupę i ruszaj szukać tego za-

238
trzymanego. Masz mi go tu przywieźć w zębach. A jeśli go nie znajdziesz, to lepiej weź sobie od razu L-4, bo dam ci słowo, że wyniosą cię stąd nogami do przodu. Bo ja cię tymi rękami zapierdołę.

Kapral zsalutował i pośpiesznie wyszedł z pokoju. Sierżant sięgnął do kieszeni i wydobyl paczkę giewontów bez filtra. Zapalił papierosa.

- I co ja teraz, kurwa, powiem tym z Komendy Wojewódzkiej. Przecież ten porucznik mnie zajebie jak psa – pomyślał zrozpaczony. – No chyba, że ten kretyn Macuła sprawi się i przywiezie mi tego Mazurkiewicza tu z powrotem. Nie, nie można idiotcie powierzać tak odpowiedzialnego zadania – zdecydował.

Wstał z miejsca, obciągnął mundur i założył czarny pas z kaburą pistoletową. Ze smutkiem spojrzął jeszcze na swój pojedynczy sierżancki romb na naramienniku.

- Oj, nie doczekasz się ty towarzystwa – powiedział do niego i wyszedł z pokoju.

Godz. 08.35

- Teraz gaz do dechy! – krzyknął kapitan Marcinkowski stojący na poboczu drogi. Machnął ręką, a Kowal wrzucił wsteczny bieg. Auto szarpnęło i zaczęło bardzo wolno wytaczać się z zasy. Jednak o własnych siłach nigdy by się z niej nie wydostało. Teraz toczyło się powoli tylko dzięki naprężonej stalowej linie, którą ciągnął wielki ciężarowy kamaz. Początkowo, gdy ich radiowóz znalazł się w tym trudnym położeniu, milicjanci wpadli na pomysł, że własnymi siłami wypchną go na drogę. Najpierw kapral Kowal poszedł przed nyskę z łopata, którą na szczęście wozził w bagażniku, i odgarnął sprzed maski cały śnieg. Potem Marcinkowski, Brodziak i Olkiewicz zaparli się z przodu i, gdy silnik zapalił, spróbowali popchnąć samochód. Szybko jednak przekonali się, że tylko tracą siły, a przednie koła wbijają się jeszcze głębiej. Zarzucili więc ten plan. Wtedy Olkiewicz zaproponował, żeby zamiast marznąć na zewnątrz, Wsiedli z powrotem do środka i najzwyczajniej w świecie połączyli się z komendą w Szamotułach, by przysłali po nich jakiś samochód. Pomysł

239

prosty i genialny w swojej prostocie okazał się nie do zrealizowania. Podczas uderzenia w zaspę musiało się coś stać z radiotelefonem, bo Kowalowi nie udało się włączyć zasilania od urządzenia.

- No tośmy są w dupie – skomentował ze swojego siedzenia Teofil, pociągając ukradkiem łyk z podróżnej metalowej piersiówki.
- A może by tak przejść się do tego tam gospodarstwa–zapropono-

wał Brodziak, wskazując ręką budynki pod lasem.

– Koniem nas nie wyciągną. – Kowal spojrział na niego z politowaniem. – Musieliby mieć tam traktor.

– Ja się mogę przelecieć – nie dawał za wygraną młody podporucznik.

– Nigdzie nie będziesz latał, nie ma czasu na załatwianie traktora, i latanie w tę i we w tę – zdecydował Marcinkowski.

– Grzechu ma rację, w takiej nędznej zagrodzie mogą mieć tylko konia, a i to nie jest pewne. Dlatego czekamy, aż coś będzie jechało. Obojętne co – czy ciężarowa, czy osobowy. Jak będzie osobowy, to któryś z nas jedzie do Szamotuł po pomoc, a jak ciężarowa to zaczepiamy ją od tyłu i niech nas wyciąga. Masz chyba jakąś linkę w tym gracie, co? – spytał Kowala.

– Ma się rozumieć, że wyposażenie jest jak należy.

– Tylko żeby coś jechało – westchnął Olkiewicz – bo na razie przejechał tylko jeden samochód, ten, co nas wpierdolił do rowu. Zapadła cisza, w której słychać było tylko szum wiatru hulającego na polu.

– A mówiłem wam – odezwał się Teofil, który nie lubił, gdy nikt nic nie mówił – jak w sześćdziesiątym ósmym mój braszka jechał z braterską pomocą do socjalistycznej Czechosłowacji? To było podobnie, jak z nami teraz. – Nikt nie odpowiedział, więc Olkiewicz uznał to za milczącą aprobatę i mówił dalej. – On był dowódcą jednego czołgu z tej kolumny, co jechała na ten Hradec Kralowe z Kłodzka czy gdzieś tam z naszej strony. No i oni w nocy przekroczyli granicę z Czechosłowacją i dalej pomagali braciom Słowianom. Równa droga, ładna, asfaltowa, prosto na ten ich Hradec prowadzi, cisza, spokój, tylko huk motorów czołgowych i samochodowych, a nasi obrońcy socjalizmu jadą pomagać Czechom i Sło-

240
wakom, co ich chce zgnieły Zachód wyrwać z bratniej rodziny krajów socjalistycznych. Ten mój brat, Stanisław mu na imię, tak jedzie on tym czołgiem i patrzy, a na poboczu co chwilę widać jakiś czołg, czy jakiś transporter. Dokładnie jednak nie widać, bo ciemno jak cholera, a oni w zaciemnieniu jadą, bo wiadomo jak to na wojnie, światła włączonych nie wolno mieć, coby wróg się nie zorientował, skąd bratnia pomoc nadchodzi. No i w ciemnościach te czołgi czy tam inne żelastwo wyglądają, jakby je ktoś rozpieprzył podczas walki. Stoją na poboczach, leżą w rowach i nikt, kto jedzie drogą w tej kolumnie, nie wie czy to nasze, czy to może wróg dostał po dupie. To ten Stanisław se myślał, że tam przed nim, bo on na tyłach kolumny jechał, musiały być jakieś walki z tą czeską kontrrewolucją kapitalistyczną. A zapytać nikogo nie mógł, bo cisza radiowa była zarządzona. No i jak przejechali już ze trzydzieści kilometrów, to nagle silnik w jego czołgu zaczął przerywać i mechanicznie, co na dole siedział, zameldował mu, że mają awarię i muszą zjeżdżać na poboczne, żeby nie hamować ruchu kolumny. Pewnie pompa paliwowa się rozpieprzyła, a na ręcznej to zajędzie najwyżej na poboczne. No to Stanisław dowódca kazał zjeżdżać na bok z drogi, a jak już stanęli, to on patrzy a kawałek dalej stoi transporter SKOT. To on kazał załodze broń mieć w pogotowiu, pilnie się rozglądać, czy gdzieś tej kontrrewolucji nie widać i sam pobiegł do tego transportera. Podchodzi ostrożnie z pistoletem w ręce i nasłuchuje, czy aby jakiej zasadzki gdzieś nie ma. No i jak przywarł do tego pudła, to nagle słyszy, że wewnątrz po polsku ktoś gada i do tego jeszcze śmiech jakiś słychać. No to on zapukał kolbą w burtę i ci, co tam byli, to mu otworzyli, a tam pijany jak bela dowódca drużyny, co tam siedziała w środku i piła jakiś bimber, i w karciochy grała, powiedział mu, znaczy się ten kapral czy jakiś tam plutonowy, że strachu nie ma, bo nikt do nich nie strzela, a wraki po rowach stoją, bo nasz supernowoczesny sprzęt się psuje i nasz zwycięski blitzkrieg to marsz szmaciarzy z gołą dupą i w połatanych łapciach.

– No, ale co to ma wspólnego z nami? – zapytał Marcinkowski.

– A tyle, że oni tam na kolumnę techniczną czekali cały tydzień i Hradca Kralowego nie zobaczyli.

Grzechu Kowal nie zdążył nawet skłać Olkiewicza za krakanie i czar-nowidztwo. Otworzył szybko drzwi od szoferki i wybiegł na drogę. Po

chwili tuż przy unieruchomionym radiowozie zatrzymał się ogromny ciężarowy kamaz, którego wypatrzył w oddali kapral Kowal.

Godz. 08.40

Mały fiat księdza proboszcza zjechał z głównej drogi i wtoczył się w niewielką wiej ską uliczkę. Stały przy niej zaledwie cztery domy otoczone ciemnymi koronami starych owocowych drzew. Dalej było już tylko pokryte śniegiem pole, a kilkaset metrów za nim czernił się las. Z prawej strony wzdłuż drogi biegł tor kolejowy do Poznania. Samochód zatrzymał się tuż za ostatnią zagrodą. Kierowca nie wyłączał silnika, bo przy tej temperaturze – a na zewnątrz było prawie minus 15 stopni – takie nierozważne działanie mogło się skończyć kompletnym unieruchomieniem wozu.

Akumulatory małych fiatów były bardzo wrażliwe na niską temperaturę, więc pozostawienie malucha z wyłączonym silnikiem na ostrym mrozie najczęściej kończyło się rozładowaniem baterii i przymusowym postojem.

– Niech pan tam patrzy – rzekł ksiądz Okoń i wskazał na ciemną ścianę lasu, rozciągającą się jakieś sto metrów od nich. – Musi pan przejść dokładnie tam, gdzie jest ta przesieka, tam przy tych trzech brzózkach się ona zaczyna.

– Widzę brzozy – potwierdził Markowski.

– Przed nami jest pole zaorane jesienią, więc pod śniegiem nie będzie żadnych niespodzianek. Można śmiało iść i do żadnej dziury się nie wpadnie. A potem przez ten lasek trzeba iść prosto jakieś pół kilometra i wychodzi się na stodołę Wyrwaski. Niech pan wejdzie do stodoły od tyłu, bo tam brama jest niezamknięta – tłumaczył dalej proboszcz. – Tylko trzeba uważać, bo dach się tam trochę zwałił do środka. No i stamtąd, znaczy się ze środka, można się spokojnie rozejrzeć, czy jest bezpiecznie w obejściu.

– Dziękuję, księżo proboszczu – Markowski uśmiechnął się – dziękuję za wszystko. Jakoś sobie poradzę.

Proboszcz podrapał się po brodzie. Chyba nie do końca był przekonany, że jego gość rzeczywiście da sobie radę. Nie dawało mu spokoju to, co

242

widzieli jeszcze kilka minut temu. Gdy jechali z Cerekwicy do Pamiątkowa ksiądz nie myślał, że ta wyprawa może być niebezpieczna. Wydawało mu się, że najzwyczajniej w świecie podjedzie pod dom starej Wyrwaski i zostawi tam swojego gościa. Dopiero, gdy minęli wieś i znaleźli się w pobliżu zjazdu do domu Wyrwasów, zauważył tuż przy drodze milicyjny radiowóz. Auto stało na poboczu niemal dokładnie naprzeciw zjazdu do zagrody. Mogło to oznaczać, że dom jest pod obserwacją albo że w gospodarstwie są milicjanci. Proboszcz przytomnie minał milicyjny wóz i pojechał dalej. Zawrócił dopiero w następnej miejscowości. Chciał natychmiast wracać na plebanię, ale jego narwany pasażer się uparł. Powiedział, że musi się sam przekonać, co tam się dzieje. O tym, by podjeżdżać pod drogę prowadzącą do zagrody ksiądz nie chciał nawet słyszeć. Milicjanci byli zbyt blisko, więc niebezpieczeństwo zbyt wielkie. Postanowił, że zawiezie go od drugiej strony. Dlatego przejechał przez wieś i zajechał pod las.

– Jak wszystko się uda, to czekam na plebanii. Będzie się trzeba cofnąć do środka wsi, a później cztery kilometry wzdłuż jeziora. Nie można nie trafić. Szosą byłoby prościej, ale sam pan wie...

Podali sobie ręce i Markowski ruszył w stronę lasu. Przysypane śniegiem pole pokonał biegiem, raz po raz grzęznąc w zagłębieniach. Na szczęście śnieg był suchy i zmarznięty, więc nie lepił się do butów. A te, które miał na nogach, mimo że sięgały za kostkę, nie były przeznaczone do wędrowania po wykrotach, ale po odśnieżonych miejskich chodnikach. Spieszył się, bo nie chciał, by ktoś ze wsi zobaczył go skradającego się w tym miejscu. Za sobą słyszał ujadanie gospodarskich psów i charakterystyczny dźwięk silnika odjeżdżającego malucha. Gdy dopadł pierwszych drzew, przystanął. Las był niezbyt gęsty. Rosły w nim sosny i gdzieniegdzie brzozy. Bez trudu dostrzegł za drzewami ciemną bryłę drewnianej stodoły. Ruszył na przełaj w tamtym kierunku. Pokonanie tego półkilometrowego dystansu zajęło mu prawie pół godziny. W końcu zmęczony dotarł do stodoły. Tak jak mówił ksiądz Okoń, drewniana brama nie była zamknięta. Ostrożnie odchylił jedno skrzydło i wsunął się do środka. We-

wnętrz było zupełnie jasno, bo światło wpadało szerokim strumieniem Przez zawalony dach. Zobaczył stary traktor i podszedł do niego. Stał za 243

wysoką pokrywą silnika i spojrzął na podwórko przez wyrwę w ścianie. Obejście wyglądało tak, jakby nic się tu nie działo.

Z komina leniwie snuł się dym, na pewno więc był ktoś w domu.

– Muszę poczekać tu trochę i przekonać się, czy nie ma tam jakiejś zasadzki – pomyślał, splatając ręce na piersi, by choć trochę się ogrzać.

– Że też mi się zachciało bawić w partyzanta – mruknął pod nosem, gdy nagle usłyszał, że pies, którego dotąd nie zauważył, wyskoczył ze swojej budy na podwórku i zaczął szczeekać tak wściekle, jak tylko potrafią to wiejskie psy trzymane przez całe życie na krowich łańcuchach.

Godz. 09.05

Niebieski żuk z budą przykrytą plandeką przedarł się przez zasypaną śniegiem drogę i podjechał pod drewnianą bramę prowadzącą do zagrody.

Kierowca w kufajce, nie zgasiwszy silnika, wyskoczył z szoferki, obszedł chwiejnym krokiem auto z przodu i otworzył drzwi z drugiej strony. Zrobił to na tyle ostrożnie, by jego pasażer nie wypadł na śnieg. Przytrzymał podobnie jak on ubranego w kufajkę mężczyznę, który nie miał żadnej możliwości samodzielnego opuszczenia wnętrza samochodu, bo był kompletnie pijany. Złapał go wpół, wydobyl z szoferki i ustawił przy burcie samochodu.

– Oo – zdziwił się pasażer, patrząc wokół siebie. – Przywiozłeś mnie na moją metę?

– Tak jak chciałeś, Romuś – potwierdził kierowca, zawijając troskliwie szalik wokół szyi swojego kompana. – A teraz stójże, poprawię ci te łompy, żebyś nie był taki wygoglany, i możesz zaraz iść do chaty. A tą kufajkę, jak już będziesz na chodzie, oddaj do nas na stację, do Genia. Rozumiesz?

Mazurkiewicz spojrzął przytomnie na swojego kolegę.

– No co mam nie rozumieć, do Genia tam przy torach zaraz, nie? – odpowiedział z dużą trudnością.

Zapewne byłby o wiele wcześniej w domu swojej gospodyni, gdyby nie to, że na stacji w Szamotułach stracił kurtkę. Gdy pociąg, którym jechał, zatrzymał się na malutkiej stacyjce w Pamiątkowie, wysiadł z wago- 244

nu i stanął na pustym peronie. Był jedynym pasażerem, który właśnie przyjechał. Zawiadowca podniósł czerwonego lizaka i zezwolił na odjazd, a on stał, trzęsąc się z zimna, bo nie bardzo wiedział, dokąd powinien iść. Kolejarz spojrzął na niego zdziwiony i, gdy pociąg odjechał, podszedł do dziwnie ubranego pasażera.

– A pan co tu, że zapytam, robi w tym sweterku? – zainteresował się wąsaty zawiadowca.

– Ja do pani Wyrwasowej, do ciotki przyjechałem – skłamał na oczekaniu, żeby uwiarygodnić swoją odpowiedź i wytłumaczyć jednocześnie swój mizerny wygląd. – Ale nie wiem, jak się tam dostać pod las, no i jeszcze mi kurtkę podpierdolili.

Wąsacz spojrzął na niego zmrużywszy oczy, jakby chciał go dokładnie sprawdzić i przeświecić wzrokiem.

– Do Wyrwaski, powiada pan? No to chodź pan do środka na stację się ugrzać, bo w tym odzieniu to daleko się nie da zejść.

Poszli do budynku, ale nie do poczekalni, jak spodziewał się Mazurkiewicz, ale do części służbowej. Wewnątrz pod oknem stał wielki stół z telefonami. Na środku pomieszczenia zainstalowano rząd dużych przekładni służących do zmiany torów. Natomiast tuż przy drzwiach stała szafka z przegródkami na niewielkie kartonowe bilety z dziurkami w środku. Takie bilety w Poznaniu wyszły już dawno z użycia, a zastąpiły je papierowe blankiety. Tu jednak czas się zatrzymał i sprzedawano takie same bilety, jak w latach, gdy Mazurkiewicz jako uczeń technikum dojeżdżał jeszcze do Poznania pociągiem z Wągrowca. Jak na większości małych stacji tak i tu zawiadowca pełnił jednocześnie rolę sprzedawcy biletów.

– Siadaj pan tu. – Kolejarz wskazał mu miejsce przy stole. – Zaraz panu dam coś na rozgrzewkę.

Przemarznięty pasażer usiadł na wskazanym miejscu, a zawiadowca otworzył niewielką, wiszącą na ścianie szafkę ze znakiem Czerwonego

Krzyża. Z apteczki wydobyl napoczętą półlitrowkę stołowej.

– A pan to z Szamotuł? – zapytał zawiadowca.

– Z Szamotuł jadę, ale tak w ogóle to z Poznania jestem.

– Oo, z Poznania! – zainteresował się wąsacz. – A jak tam wojna w Poznaniu?

245

– Nie wiem, bo dopiero wyszedłem z aresztu – przyznał się Mazurkiewicz – aleja nie kryminalny – dodał pośpiesznie, gdy zobaczył jak gospodarz marszczy brwi. Jednak to wyjaśnienie widać mu całkowicie wystarczyło. Uśmiechnięty nalał wódki do aluminiowego kubka, a potem jeszcze jedną porcję do szklanki.

– Bo wie pan – wyjaśnił kolejarz, stawiając przed nim kubek na stole – jakbym mógł, to ja tego gnoja w ciemnych okularach zamknąłbym między szlabanami w jego samochodzie. I nawet jakby to był wóz pancerny, to z pośpiesznym nie miałyby żadnej szansy. Cała kolej przeciw niemu idzie, mówię panu, cała kolej...

Mazurkiewicz aż wzdrygnął się na myśl o picciu wódki, ale głupio mu było odmówić. Wypił więc z obrzydzeniem pierwszą porcję na rozgrzewkę, a następne weszły mu już całkiem gładko. Pan Genio okazał się doskonałym kompanem. Razem wypili butelkę do końca, a później gospodarz skoczył do sąsiada po następną i wrócił po kilku minutach z dwoma flaszkami i sąsiadem na dodatek. Poranna degustacja mogłaby się ciągnąć jeszcze długo, bo o ósmej przyszedł zmiennik zawiadowcy, więc Genio miał czas, ale skończył się alkohol. Na pożegnanie zaopatrzył więc Mazurkiewicza w swoją roboczą kufajkę, a sąsiad, Stasiu, zaproponował, że zawiezie go do Wyrwaski swoim wozem.

– Ja cię ino pod drzwi podprowadzę i muszę już jechać – wyjaśnił Stasiu, właściciel żuka. – A Pele Wyrwaskę to pozdrów ode mnie, znaczy się od Stasia Matusiaka, dobra?

– Nie może być żeby nie – odpowiedział Mazurkiewicz, po czym obaj, podtrzymując się pod ręce, ruszyli na podwórze.

Z budy wyskoczył Burek i zaczął przeraźliwie szczekać.

– Będziesz ty cicho! – krzyknął Mazurkiewicz. – Swojego nie poznajesz?

Uspokojony pies wrócił do swojej budy.

Kierowca podprowadził go do drzwi, ucałował z dubeltówki i na koniec jeszcze raz uściśnął mu rękę.

– A jak będziesz w Poznaniu, to powiedz tam, że my tu wszyscy w Pamiątkowie murem za Wałęsą. Jak będzie trzeba, to z widłami razem się weźniemy i na tych komunistów pójdziem. I jeszcze jedno. – Nachylił

246

się niżej do swojego nowego kolegi i powiedział nieco ciszej, jakby się bał, że ktoś go tu może podsłuchać: – Ten Jaruzelski to jest kawał kutasa.

– I niech mu ziemia lekka będzie, jak go razem dorwiemy, co nie, Władziu? – ucieszył się Mazurkiewicz i pocałował w rękę Stasia, kierowcę żuka.

Godz. 09.05

Wirski, widząc przedzierającego się przez zasypaną drogę żuka, odszedł od okna. Stał nieco z boku, by nie można go było dostrzec z zewnątrz. Gdy zobaczył wysiadających z samochodu mężczyzn, uśmiechnął się pod nosem. Pstryknął palcami, a Władziu zareagował na ten dźwięk, podnosząc głowę znad stołu. Przed chwilą zdrzemnął się trochę. Zasnął, ułożywszy się na blacie przykrytym ceratą. Śniło mu się, że żona upiekła na obiad wielki kawał mięsa od szynki. Ostatni raz taką pieczoną szynkę jadł dwa tygodnie temu i teraz to jedzenie ciągle chodziło za nim. Cały czas kombinował, gdzie mógłby takie mięso załatwić, żeby dać jej znowu do uszykowania, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wtedy dostał okazji ćwiartkę świniaka, bo jego znajomy prowadził śledztwo w sprawie jednego szczonego, który na polibudzie zajmował się ulotkami. Ten chłopak, młody student był właściwie zupełnie niegroźny dla bezpieczeństwa kraju i socjalistycznego ustroju, ale na tyle głupi, że groził mu wylot z uczelni, gdyby postawiono mu zarzuty prokuratorskie. Śledczy szybko zorientował się, w czym rzecz i zamknął go na przepisowe czterdzieści osiem godzin, a zaraz potem wykonał telefon do komendy

w Kępnie. W trakcie przesłuchania okazało się bowiem, że chłopak pochodzi z podkępińskiej wsi, a jego ojciec ma tam duże gospodarstwo rolne. Właśnie dlatego poprosił kolegów z Kępna, by przejechali się do tego ojca gospodarza i przekazali informację, że syn siedzi. Po tym nie pozostawało mu nic innego, jak już tylko cierpliwie czekać. Nie czekał długo. Następnego dnia zjawił się w jego biurze przestraszony nie na żarty ojciec młodego działacza.

Kolega Władzia postawił sprawę jasno, albo chłopak idzie do pudła na 247

trzy miesiące i oczywiście wylatuje ze studiów, albo ojciec stanie na wysokości zadania. Skończyło się więc wszystko jak najlepiej. Młody dostał tylko kilka pałek na dupę, a jego stary przywiózł zaszlachtowanego świnia w bagażniku i coś tam jeszcze w kopercie. Śledczy wziął swoje a ćwiartka po znajomości trafiła do Władzia. No i stąd ta ekstra pieczeń z szynki. Cała wielka szynka powędrowała do piekarnika i Władziu jadł ją potem przez cały dzień. Do tego żona przygotowała jeszcze gar zasmażanej kwaśnej kapusty ze skwarkami, no i trochę gotowanych pyrów polanych ciemnym sosem pieczeniowym na śmietanie, czyli jednym słowem niebo w gębie.

No i teraz myślał cały czas, czy i jemu nie mógłby się trafić jakiś student, którego ojciec hoduje świnie, bo smaku szynki nie mógł zapomnieć. Co prawda, w swoim bufecie w komendzie mógł kupować mięso poza kartkowym przydziałem, ale takiego wielkiego kawałka świeżego mięsa nikt by mu tam nie sprzedał. Było zbyt wielu chętnych na tego rodzaju specjały. Spojrzał na Wirskiego, czując jeszcze na języku smak wyśniewanej pieczeni. Ten wskazał mu palcem drzwi. Domyślił się więc, że ktoś nadchodzi. Podniósł się szybko z krzesła i stanął przy ścianie, wyciągając jednocześnie pistolet z kabury pod lewym ramieniem. Kapitan, również z bronią w rękę, wszedł do pokoju obok. Otwierające się drzwi musiały więc zasłonić Władzia, a Wirski był ukryty za drugimi drzwiami. Każdy, kto wejdzie do środka musiał wpaść w ich pułapkę. Nie czekali długo. Po chwili usłyszeli jak zewnętrzne drzwi otwierają się i ktoś wchodzi do sieni. Zaraz potem rozległ się tam jakiś trzask, a potem zapadła cisza. Nie było na co czekać. Wirski wyskoczył z pokoju i wpadł do sieni. Tuż za nim do tego niewielkiego pomieszczenia wszedł jego kolega. Obaj zdziwieni spojrzeli na podłogę. Leżał na niej, obok przewróconego aluminiowego wiadra, zupełnie pijany Roman Mazurkiewicz.

Władziu popatrzył pytająco na swojego dowódcę.

– Weź go do środka i daj na wyro – zarządził Wirski.

Nie było to polecenie, które mogło sprawić porucznikowi jakikolwiek kłopot. Z łatwością uniósł w górę leżącego i poniósł do kuchni, gdzie pod ścianą stało stare drewniane łóżko. Przenoszony Mazurkiewicz nawet nie jęknął.

248

Wirski już chciał pójść do kuchni, gdy wtem usłyszał, że pies na podwórku znowu zaczął szczekać. Pomyślał więc, że to ten kierowca z żuka postanowił sprawdzić, jak się ma jego kolega.

!- No trudno – pomyślał esbek – sam się kretyn prosi, żeby mu przywalić.

Stanął pod ścianą tak, by otwierające się do wnętrza sieni drzwi ukryły go przed wchodzącym. Od dawna nieoliwione drzwi otworzyły się powoli z przeraźliwym zgrzytem. Esbek usłyszał kroki, więc spodziewał się, że zaraz zobaczy odwróconą do niego plecami postać wchodzącego mężczyzny. Zobaczył jednak coś zupełnie innego. Uchylone dotąd do połowy szerokości drzwi, za którymi stał przyczajony, nagle z impetem poleciały na niego. Nie zdążył się nawet zasłonić. Solidne, obrabiane jeszcze przed wojną drewno uderzyło go z impetem w czoło. Stracił równowagę i poleciał na ścianę z tyłu. Zjechał po niej na podłogę. Nie zdążył już się podnieść. Kopniak wymierzony prosto w szcękę dopełnił reszty. Kapitan Wirski w ciągu zaledwie paru sekund podzielił los nieprzytomnego Mazurkiewicza. Padł na podłogę, tracąc świadomość.

Władziu, usłyszawszy hałas dochodzący z sieni, zostawił na łóżku pijanego faceta i poszedł tam, skąd dochodziły niecodzienne dźwięki. Nie niepokoił się o kapitana. Był przekonany, że ten sobie doskonale poradzi.

Poszedł tam raczej z ciekawości, by zobaczyć, kto jeszcze wlaźł w ich pułapkę. Stał w drzwiach do sieni i aż zaniemówił z wrażenia. To, co zobaczył, wprawiło go w prawdziwe osłupienie. Na podłodze leżał nieprzytomny kapitan Wirski. Było to niewyobrażalne, bo nawet on, najsilniejszy funkcjonariusz w ich zespole, nie był w stanie położyć Wirskiego. Nikt nie mógł dać mu rady na macie, bo nie dość, że był silny, to jeszcze niewyobrażalnie szybki. Podczas sparingów potrafił sobie poradzić dosłownie z każdym. A tymczasem teraz Wirski leżał bez oznak życia, a napastnika nigdzie nie było. Władziu ruszył naprzód, chcąc jak najszybciej pomóc swojemu koledze. Pochylił się nad leżącym i wtedy ciężkie metalowe wiadro z impetem uderzyło go w tył głowy. Esbek poczuł, że wszystko wokół niego wiruje, ale przemógł się i, zebrawszy wszystkie siły, wyprostował się gwałtownie. Chciał się odwrócić, by spojrzeć na napastnika i chwycić go w objęcia. Wiedział, że jeśli dojdzie do zwania, ten,

który go uderzył z tyłu, nie będzie miał najmniejszych szans. Kątem oka dostrzegł jeszcze jakąś niewielką postać i zaraz potem to samo wiadro powtórnie wylądowało na jego głowie. Tego drugiego, zadanego z rozmachem uderzenia twardy łeb Władzia nie był już w stanie wytrzymać. Esbek stracił przytomność i padł jak kłoda na podłogę.

– A pan szanowny, co się tu rozbija? – zapytał, patrząc na nieznanego pochylonego nad dwoma leżącymi mężczyznami, Roman Mazurkiewicz, który właśnie ocknął się z pijackiego snu i poszedł do sieni sprawdzić, co to za hałasy nie dajamu spokojnie pospać. Jednak już po sekundzie przestał się dziwić czemukolwiek. Mocny cios wymierzony prosto w szczękę wysłał go błyskawicznie w krainę pijackich snów.

Godz. 09.25

– Powiem ci jedno, Macuła, jak ten kutas się nie odnajdzie, to lepiej żeby cię matka rodzona na świat nie wydała. Rozumiesz, dupo wołowa?

– Melduję, że rozumiem, obywatelu sierżancie, ale nigdzie go nie ma, znaczy się przepadł jak śliwka w kompot.

– Jak śliwka to wpadłeś ty, a on co najwyżej jak kamień albo amfora.

– Jaka amfora? – zdziwił się Macuła.

– A co ja ci będę, kretynie, tłumaczył. Patrz na drogę i przestań w ogóle gadać – zdenerwował się sierżant Makula.

Kapral Macuła wrzucił trójkę i dodał nieco gazu. Droga w tym miejscu za ostrym zakrętem w Piaskowie była już zupełnie prosta i można było pozwolić sobie na lekkie przyspieszenie. Tym bardziej, że tuż przed ich radiowozem, niebieskim fiatem z białym napisem Milicja, przejechała piaskarka z pługiem i teraz przyczepność była zdecydowanie lepsza. Sierżant Makula siedział nastroszony niczym indor na siedzeniu pasażera obok kierowcy i zdenerwowany dłuwał w nosie. Zawsze jak się denerwował dłuwał w nosie, bo to przynosiło mu nieco uspokojenia, a jednocześnie dawało jakieś zajęcie. A teraz musiał się czymś zająć, bo jadąc samochodem, nic nie mógł zrobić, jedynie czekać. Podjął bowiem decyzję, że trzeba jechać do Pamiątkowa. Skoro poszukiwania w Szamotułach nie przy-

250
niosły rezultatu, zdecydował, że jedynym miejscem, w którym ten Mazurkiewicz może się znajdować na chwilę obecną, może być tylko dom w Pamiątkowie. Taką decyzję podjął w momencie, kiedy kapral zameldował mu, że poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

Rezultatu przynieść nie mogły, bo nikt Mazurkiewicza nie szukał już w Szamotułach. Kapral Macuła po wyjściu rano od sierżanta, poszedł do dyżurnego i poprosił o przekazanie wszystkim patrolom w mieście, że szuka się takiego i takiego mężczyzny, choć wiedział, że to i tak nic nie da, bo koledzy na patrolach nie będą sobie zawracali głowy jakimiś pierdołami. Sam też nie zamierzał rozpoczynać poszukiwań na własną rękę. Wsiadł do służbowego samochodu i pojechał na rynek, byle tylko zejść z oczu wściekłemu sierżantowi. Nie zdążył jednak nawet wyjść do kiosku po gazetę, bo w jego radiotelefonie rozległ się komunikat dyżurnego nakazujący mu powrót na komendę. Odpowiedział więc, że już wraca i po pięciu minutach był z powrotem. Sierżant czekał na niego w holu. Z dziwnym spokojem przyjął meldunek, że poszukiwania były bezowocne i powiedział, że teraz pojedą szukać razem. Gdy radiowóz ruszył, wyjaśnił ka-

pralowi krótko, że jadą do Pamiątkowa.

Kapral nie mógł wiedzieć, że jego przełożony wymyślił sobie sprytny plan uniknięcia odpowiedzialności za wypuszczenie aresztanta. Mimo że wypuścił go kapral, to i tak odpowiedzialność spadnie na niego właśnie. Przecież ci z Komendy Wojewódzkiej wcale nie będą dochodzić, kto Mazurkiewiczowi pozwolił wyjść na wolność. W łeb dostanie ten, kto zameldował im, że ten klient siedzi w szamotulskim areszcie. A tym kimś był właśnie sierżant. Dlatego wpadł na pomysł, że wyjedzie z komendy, by nie wpaść w ręce oficera z Poznania, z którym rozmawiał w nocy przez telefon. A że nie wiedział, gdzie jechać, postanowił jechać do Pamiątkowa, bo tylko to miejsce kojarzyło mu się z Mazurkiewiczem. W końcu tam go zatrzymali.

– Ktoś z Poznania jedzie radiowozem do nas – przerwał rozmyślenia sierżanta kapral, widząc nadjeżdżającą z naprzeciwka nyskę. Sierżant skulił się w sobie i odwrócił twarz od drogi, jakby się bał, że Ci, co tam jadą, mogą go rozpoznać i jeszcze zatrzymać ich auto. Radiowozy minęły się i każdy pojechał w swoją stronę. Sierżant po chwili rozprostował się na siedzeniu i spojrzał gniewnie na kaprala.

251

– Jak go nie znajdziemy, to masz u mnie przejebane, Macuła – pogroził któryś raz z rzędu.

Teraz kapral pochylił się nieco, jak pies czekający na kolejnego, nieuchronnego kopniaka. Ale następnej groźby już nie było. Makula spojrzał uważniej na lewo od drogi, a potem zawołał:

– Szybciej, kurde, bo coś tam jedzie od tej zagrody. – Wskazał palcem w stronę gospodarstwa, w którym dopadli bimbrownika.

Macuła spojrzał w tamtym kierunku i przyspieszył.

– Spokojna głowa, obywatelu sierżancie – rzekł i uśmiechnął się po raz pierwszy dzisiaj. – Zaraz wjadę w tę dróżkę i przyblokujemy go. Nie da rady wyjechać.

Nyska zjechała z szosy w drogę prowadzącą do gospodarstwa Wyrwasów. W ich kierunku wolno toczył się biały duży fiat. Jego kierowca zwolnił jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że droga jest zablokowana. Bardzo ostrożnie oba samochody zbliżyły się do siebie.

– Teraz stanij tu – powiedział sierżant. – Niech on podjedzie tu do nas. I wysiadamy, zobaczymy, co to za ptica. Ale ty zostań przy aucie, a ja do onego podejde.

Fiat stanął jakieś dziesięć metrów przed nimi. Nikt jednak z niego nie wysiadł. Milicjanci dostrzegli, że w samochodzie siedzi jedna osoba. Obaj wyskoczyli z nyski. Sierżant, poprawiwszy pas z pistoletem, ruszył w stronę stojącego samochodu, a Macuła został przy otwartych drzwiach szoferki, przyglądając się działaniom przełożonego.

Na widok podchodzącego do samochodu milicjanta kierowca fiata uśmiechnął się, a następnie otworzył okno. Sierżant spojrzał na kierowcę i zdziwił się, bo twarz tego człowieka wydała mu się jakoś znajoma. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć, skąd zna tego faceta. A facet wychylił się i odezwał pierwszy, zanim cokolwiek zdążył powiedzieć milicjant:

– Co tam, sierżancie, wyгнаło was w taką pogodę na to zadupie?

Makula zdziwił się, słysząc, w jaki sposób zwraca się do niego nieznanjomy. Ten protekcyjnalny i jednocześnie poufały ton zarezerwowany był przecież tylko dla osób ważniejszych od sierżanta. Dlatego nie odpowiedział nic na pytanie, ale podrapał się po nosie a potem zażądał okazania

252

dokumentów. Kierowca spojrzał zimno na sierżanta, a potem powiedział wolno, wychodząc z samochodu:

– Od kiedy to sierżanci milicji z jakiegoś zadupia legitymują oficerów SB z Komendy Wojewódzkiej?

– Co? – wyjęczał tylko Makula i poczuł, że zimny pot spływa mu po plecach.

– Najpierw, sierżancie, trzeba było spojrzeć na rejestrację mojego wozu, a później brać się do kontroli papierów. A teraz jeszcze, żeby wszystko było jasne, pokażę wam legitymację.

Machnął przed nosem sierżanta czarnym podłużnym kartonikiem, ale nie pozwolił mu go wziąć do ręki.

– Nazywam się Wirski, kapitan Wirski. Zapamiętajcie to sobie, sierżancie. Jak wy się właściwie nazywacie?

– Makula, sierżant–zameldował.– To pan kapitan może dzwonił do mnie wczoraj w sprawie tego zatrzymanego Mazurkiewicza? – domyślił się.

– Może i dzwoniłem – odpowiedział oficer.

– Bo ja względem tego właśnie faceta chciałem zameldować, że on nam się wymknął i ja teraz właśnie chciałem sprawdzić, czy on może jest tu, znaczy się w tym domu, czy go nie ma, bo on tu właśnie był zatrzymany i stąd my go zabrali do komendy, i ten kretyn co tam stoi, Macuła kapral, go wypuścił wbrew rozkazom...

– Sierżancie – przerwał mu ten wywód Wirski. – Słuchajcie, sierżancie Makula. Jeśli chodzi o tego Mazurkiewicza, to zapomnijcie, że kiedykolwiek słyszeliście to nazwisko, jasne?

– Tak jest. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Tak się składa – mówił dalej esbek – że tam na siedzeniu z tyłu leży sobie ten wasz Mazurkiewicz. I ja go teraz zabieram do Poznania, a wy wracajcie do siebie i morda w kubel. Nawet jakby was matka rodzona o niego pytała to pamiętajcie, faceta nie ma i nie było.

– Tak jest – wyprężył się sierżant, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– A mogę go zobaczyć?

– A patrzcie sobie. – Esbek uśmiechnął się.

Sierżant spojrział przez tylne okno na leżącego na siedzeniu człowieka
253

i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kamień spadł mu z serca. Nie dość, że nie będzie problemów z tym tu leżącym gnojkiem, to jeszcze ten kapitan okazał się całkiem równym facetem i nie czepiał się go wcale, że Macuła wypuścił tego gnoja. Odwrócił się do kapitana zadowolony z takiego zakończenia sprawy, która dręczyła go dziś od rana.

– Melduję obywatelu kapitanie, że to jest ten Mazurkiewicz Roman.

– Przecież to wiem.

– Tak jak pan kapitan kazał, już zapomniałem o całej sprawie.

– Tak będzie dla was najlepiej, sierżancie. – Wirski poklepał go po ramieniu i wsiadł do fiata. – No i zróbcie mi tu jeszcze trochę miejsca do wyjechania.

– Tak jest – wyprężył się sierżant Makula, a potem machnął na swojego kierowcę i krzyknął najgłośniej jak umiał: – Z drogi! Spierdaj z drogi, Macuła!

Godz. 09.40

Starszy sierżant Zenon Piasek wyjrzał przez okno na plac przed komendą MO w Szamotułach. Wszystko na zewnątrz przykryte było grubą warstwą śniegu – niewielkie parterowe domki jednorodzinne z prawej strony, chodniki przed nimi i parkujące tam samochody, łącznie z trzema zepsutymi radiowozami, do których już od paru miesięcy nie było części zamiennych. Stały tu zdezelowane, a chłopcy z warsztatu milicyjnego co rusz wykręcali z nich jakieś części potrzebne do naprawy tych aut, które były na chodzie.

Sierżant nie miał dziś zbyt wiele do roboty jako podoficer dyżurny, bo w mieście nie działo się nic szczególnego. Kilka kolizji drogowych i zaledwie jedno pobicie, ale nie jakieś chuligańskie, gdzie potrzebna byłaby milicyjna interwencja, tylko zwyczajne domowe, jak to w rodzinie. Pijany mąż przyłał swojej starej, a ta, zamiast siedzieć cicho, wezwwała milicję–Stan wojenny toczył się gdzieś tam daleko, a u nich, jak to na zadupiu, historia przechodziła gdzieś obok.

Zdziwił się więc, gdy zobaczył, że przed budynek zajeżdża radiowóz

254

na poznańskich numerach. Skoro przyjeżdża tu ktoś z Poznania, to on jako dyżurny powinien coś na ten temat wiedzieć. Nie żeby zaraz wiedzieć, kto przyjeżdża i po co, ale według procedur ci, co tu przyjechali, powinni choć dać znać przez radio, że tu jadą. Zobaczył, że z samochodu wysiada trzech mężczyzn po cywilnemu i jeden kierowca w mundurze.

Dyżurny podszedł do okienka, w którym meldowali się interesanci akurat w chwili, gdy pierwszy z przyjezdnych, facet z plastrem na czole, doszedł do niego z drugiej strony.

– Porucznik Marcinkowski z KW. Miał tu na mnie czekać sierżant Matula od was – powiedział milicjant po cywilnemu.

– Proszę wejść tu do mnie – rzekł sierżant Piasek, przyciskając włącznik automatycznej blokady drzwi.

Zdziwił się, gdy usłyszał nazwisko Matuli, czyli Makuli. Jego kolega nic nie mówił o jakichś gościach z Poznania, nim wyjechał do Pamiątkowa. Ale to było do niego niepodobne. Powinien powiedzieć, że ktoś ma przyjechać i w razie czego poinformować, o której będzie z powrotem. Po chwili czterej goście z województwa weszli do niewielkiej dyżurki.

– Obywatelu poruczniku melduję, że sierżant Makula wyjechał w pilnej sprawie i pewnie niedługo powinien wrócić.

Trzej milicjanci rozsiedli się na krzesłach stojących w pokoju, a porucznik podszedł do biurka, za którym siedział dyżurny.

– No to poczekamy aż przyjedzie, a teraz dajcie nam jakiś pokój, bo chcielibyśmy pogadać z zatrzymanym, którego macie w areszcie. Nazywa się Mazurkiewicz Roman.

– Niech pan siada, obywatelu poruczniku. – Sierżant wskazał fotel stojący koło okna. – Zaraz zadzwonię na areszt, a potem wywołam przez radio sierżanta. Zobaczmy, jak mu tam idzie i za ile się tu zamelduje. Wziął do ręki czarną ebonitową słuchawkę telefoniczną i wykręcił dwucyfrowy numer wewnętrzny.

– Witek! – krzyknął do mikrofonu. – Wiciu, masz tam u siebie niejakiego Mazurkiewicza Romana? Co? Już nie ma go? A kiedy wyszedł? Słyszac to, Marcinkowski poderwał się na równe nogi i błyskawicznie znalazł się przy dzwoniącym.

– Kto go, kurwa, wypuścił?

255

– Kto go, kurwa, wypuścił? – powtórzył sierżant. – Aha, dobra, dzięki. – Odłożył słuchawkę na widełki.

– Mówi, że na polecenie sierżanta Makuli kapral Macuła.

Porucznik oparł się obiema rękami o blat biurka i spojrzał na dyżurnego.

– Słuchajcie, sierżancie, połączcie się z tym waszym Macuła czy Makuła...

– Makuła – poprawił go sierżant.

– Wszystko jedno z kim, chcę gadać z tym kretynem, który wydał polecenie wypuszczenia zatrzymanego Mazurkiewicza.

Po paru bezskutecznych próbach wywołania radiowozu dyżurny rozłożył bezradnie ręce.

– Chyba wyłączone mają radio, obywatelu poruczniku.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, widząc wściekłą minę oficera, ale naraż usłyszał dźwięk silnika samochodu podjeżdżającego pod komendę. Podbiegł więc do okna w samą porę, by zobaczyć jak z radiowozu wysiada Makula. Po chwili czerwony od mrozu sierżant wszedł do dyżurki.

– Tu jest ktoś do ciebie – uprzedził od razu wchodzącego dyżurny Piasek.

– Słuchajcie, sierżancie, gdzie jest ten zatrzymany Mazurkiewicz?

– zapytał spokojnym tonem porucznik Marcinkowski, któremu pierwsza wściekłość już przeszła i teraz chciał tylko spokojnie wyjaśnić całe to, jak mu się wydawało, nieporozumienie.

– Mazurkiewicz? – zdziwił się uśmiechnięty sierżant. I zgodnie z rozkazem oficera z Komendy Wojewódzkiej odpowiedział: – Nigdy o nikim takim nie słyszałem.

Gdyby spojrzenie potrafiło zabijać, sierżant Makula wiłby się właśnie w agonii. Marcinkowski miał ochotę go rozszarpać na strzępy, ale niestety nie mógł tego zrobić. Mógł za to zmieszać go z błotem, a potem wdeptać w ziemię i już chciał to zrobić. Na szczęście w rozmowę włączył się przytomnie chorąży Olkiewicz.

– Obywatelu poruczniku, może mu przypierdolić dla polepszenia pamięci?

ROZDZIAŁ X

Godz. 11.15

– Nie lubicie pedałów, co, Mirecki? – Kapitan Karpiński, zaśmiał się kartkując raport, który dziś rano położono mu na biurku. Przejrzał go pobieżnie i myślał, że będzie go mógł spokojnie wyrzucić do kosza, ale zameldo-

wano mu, że autor tego dzieła chce się z nim koniecznie widzieć. Nie miał w tej chwili nic pilnego do roboty, więc kazał go wezwać. Od Marcinkowskiego nie dostał jeszcze żadnego sygnału z Szamotuł, więc miał trochę czasu. Liczył na to, że sprawa pieniędzy „Solidarności” zostanie dziś doprowadzona do przełomowego punktu. Zatrzymanie trzeciego z bankierów powinno być takim właśnie przełomem. Kapitan wiedział, że jeśli ten człowiek wpadnie w ręce milicji, to powinno się też odzyskać pieniądze, które zdeponowano u niego. Co do reszty pieniędzy, którą zabrali mordercy, to sprawa mogła ciągnąć się jeszcze tygodniami albo nawet miesiącami. W końcu i tak mordercy znajdą się w rękach wymiaru sprawiedliwości. Karpiński wiedział z doświadczenia, że w tym kraju nie można żyć spokojnie z grubszą lewą gotówką w kieszeni. Prędzej czy później kogoś, kto ma za dużo pieniędzy zadenuncjują albo życzliwi sąsiedzi, albo jacyś koledzy od interesów lub nawet zżerany przez zazdrość któryś z członków rodziny. Posiadanie dużych pieniędzy w PRL-u było może i przyjemne, za to na pewno nie było bezpieczne, bo życzliwych w tym kraju nie brakowało. Dla Kapitana Karpińskiego najważniejszy był doraźny wynik śledztwa. Jeśli bankier wpadł, on mógł spokojnie zameldować swoim przełożonym, że mają ogromny sukces. Co ważniejsze, dzięki temu zatrzyma-

257
niu okazaliby się lepsi od kolegów z SB, którzy równie gorączkowo szukali bankiera. Dziś rano porucznik Marcinkowski przekazał mu wszystkie informacje dotyczące przebiegu śledztwa i obiecał, że przywiezie mu tego Marzurczaka czy jak mu tam do Poznania. Karpiński zarządził więc, że przesłuchają go razem, a dopiero później zameldują o tym bezpieczeństwu. Gdy jego podwładny wyjechał, poszedł zaraz do pułkownika Iwańskiego z SB i zameldował mu, że jego ludzie pojechali zatrzymać skarbnika. Wolał się zabezpieczyć, by nikt nie mógł mu zarzucić potem, że mimo wyraźnych rozkazów dotyczących współpracy w tej sprawie, on i jego ludzie działali bez porozumienia z bezpieczeństwem. A tak był kryty. Poinformował Iwańskiego, jednego z najważniejszych ludzi w resorcie, że jego chłopcy mają zamiary na tego człowieka od pieniędzy i powinni go niebawem przywieźć do komendy.

Pułkownik Iwański zachował się trochę dziwnie. Wcześniej zależało mu na każdej, najmniejszej nawet informacji o tym, co dzieje się w sprawie tych pieniędzy solidarnościowych. A w chwili, gdy usłyszał, że bankier wleciał w milicyjną sieć, nie okazał żadnego entuzjazmu. Zainteresował się oczywiście jakimiś nieistotnymi szczegółami i kazał informować się na bieżąco.

– Zupełnie tak, jakby mu przestało zależeć – pomyślał Karpiński.

– A to mogło oznaczać, że oni mają w tej sprawie jakiś własny trop, i że być może są przed kryminalnymi jakiś krok w przedzie.

To zaniepokoiło trochę Karpińskiego, nie na tyle jednak, by zawracać wątpliwościami głowę Marcinkowskiemu. Postanowił, że nie będzie się z nim łączył przez radiotelefon i informował go, że esbecy coś w tej sprawie już mogli namieszać, bo po pierwsze, ta informacja nie na wiele by mu się zdała, a po drugie – wyszłoby na jaw, że nie czekał do jego powrotu z informowaniem bezpieki o efektach. A to mu przecież obiecał. Wolał dalej grać na dwa fronty. Przed swoimi podwładnymi udawać lojalnego tylko wobec nich, a przed tymi wyżej zgrywać całkowicie oddanego sprawie. Nauczył się, że taka postawa opłaca się najbardziej, bo wszyscy go mają za swojego – i ci na górze, i ci na dole.

Spojrzał na raport Mireckiego i uśmiechnął się po raz kolejny. Ten cymbał zatrzymał czterech ludzi tylko dlatego, że w kartotekach milicyj-

258
nych figurowali jako czynni homoseksualiści. Porucznik Mirecki wyszedł ze słusznego w swoim przekonaniu założenia, że jeśli ginie w niewyjaśnionych okolicznościach człowiek o odmiennych skłonnościach seksualnych, to znaczy, że podejrzanymi w tej sprawie mogą być tylko ludzie o tej samej orientacji.

– To co, Mirecki, czemu tych pederastów tak nie lubicie? – popatrzył uważnie na siedzącego naprzeciw niego porucznika.

– Ja ich nie, że nie lubię, tylko ich trzeba leczyć. Bo jak kto jest zbroczony, to trzeba go dać do lekarza. Bo z tego różne złe rzeczy się biorą. Al-

kohol, prostytutka i przestępstwa różne.

– A wy, Mirecki, jesteście lekarz? – zdziwił się Karpiński. – I alkoholu też nie pijecie?

– Ja nie, a czemu?

– No, bo chcecie ich leczyć.

– Nie, ja tylko mówię, że jak kto jest pederasta, to się nie nadaje do normalnego życia w socjalistycznym społeczeństwie.

– A powiedzcie mi, Mirecki, czy ci zatrzymani znali waszego denata?

– No, tego właśnie nie wiadomo, obywatelu kapitanie.

– To wy zatrzymujecie ludzi tylko dlatego, że wam się wydaje, iż trzeba ich wszystkich leczyć? No to na chuj ich wsadzacie do aresztu?

– Bo oni są pederasta, znaczy się jedno podejrzone środowisko. Posiedzą trochę, to zmiękną i coś powiedzą.

– A po coście tu dzisiaj przyszli, Mirecki, powiedzcie mi.

– Ponieważ chciałem zameldować, że podejrzeni w sprawie są już w areszcie. I że śledztwo ma charakter rozwojowy, bo zabity obracał się również w środowisku „Solidarności”. A z tego, co udało mi się ustalić, to spośród zatrzymanych i internowanych działaczy, tych co ich w nocy trzynastego grudnia zatrzymano, tu w Poznaniu są dwie osoby o skłonnościach pederastycznych i dlatego chciałem prosić o przewiezienie ich z miejsca internowania do aresztu w Poznaniu, żebym mógł z nimi pogadać. A to znaczy, że śledztwo zatacza coraz szersze kręgi.

– A Żydzi i cykliści?

– Co? – nie zrozumiał Mirecki.

Karpiński wstał zza biurka, bo przestała mu się podobać ta rozmowa.

259

Miał nadzieję, że ten człowiek rozbawi go trochę od rana, ale okazało się że jego głupota wcale nie jest zabawna.

– Takich ludzi trzeba się bać – myślał Karpiński – bo władza w rękach Mireckiego i jemu podobnych mogłaby się skończyć czymś znacznie gorszym niż stan wojenny.

Postanowił natychmiast skończyć tę farsę.

– Poruczniku Mirecki, wasze śledztwo właśnie dobiegło końca.

Teczkę z waszymi ustaleniami przejmuję, a tych zatrzymanych natychmiast wypuścić, jasne?

Mirecki spojrział na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby działa mu się jakaś straszna krzywda. Przecież poczynił takie piękne ustalenia i doszedł do rewelacyjnych wniosków. A wszystko to zrobił samodzielnie, bez pomocy kogokolwiek. I teraz ten tu kapitan wtrąca mu się w jego śledztwo? A może chce je przejąć i poprowadzić samodzielnie i sobie przypisać cały sukces – zastanawiał się Mirecki. Z tego zamyślenia wyrwał go zimny głos kapitana Karpińskiego:

– I jeszcze jedno wam powiem, Mirecki. Zupełnie prywatnie wam powiem. To nie pederastów trzeba leczyć. Leczyć trzeba takich kretynów, jak wy.

Godz. 11.30

– Przeżyj to sam, przeżyj to sam, nie zamieniaj serca w twarde gwał, póki jeszcze serce masz...

Brodziak odwrócił się wyraźnie zadowolony od radia Trubadur stojącego na drewnianej niewielkiej szafce w kącie pokoju przesłuchań. Po kilku minutach ustawiania krótkiego dwużyłowego kabla, który pełnił tu rolę anteny, nareszcie udało mu się złapać jakąś rozgłośnię. Na całym UKF-ie była cisza i szukał właściwie od niechcienia, tak dla zabicia czasu. Aż tu nagle z szumów i pisków wypłynął głos wokalisty zespołu Lombard. Spojrział na skalę i okazało się, że to do życia wróciło radio Poznań. Gdy zaczął się stan wojenny, ta lokalna rozgłośnia zamilkła, podobnie jak inne rozgłośnie w całym kraju. Teraz widocznie władze doszły do wniosku, że

260

trzeba społeczeństwu podać trochę miejscowych informacji i Wielkopolska znów miała swoje radio.

Czterej milicjanci z Poznania zajęli ten pokój, by spokojnie pogadać. Przede wszystkim pogadać z sierżantem Makulą, który nie wiedzieć czemu nabrał wody w usta. Wszystkie argumenty Marcinkowskiego, dotyczące dobra śledztwa, nie były w stanie zmusić go do mówienia. Sierżant

powiedział w końcu, że nie może nic wyjawić, ponieważ związany jest tajemnicą służbową, którą zdjąć może z niego tylko jego własny komendant albo ktoś wyżej. Niestety okazało się, że komendant z Szamotuł jest dzisiaj nieosiągalny. Próbuja go namierzyć i lada chwila może zadzwonić. A wtedy dyżurny połączy rozmowę z pokojem, w którym siedzieli. I wtedy podporucznik Brodziak wpadł na genialny pomysł. Wstał z krzesła i podszedł do Marcinkowskiego, który wyglądał tak, jakby miał zaraz eksplodować.

Powiedział mu, że pójda z Teofilem zobaczyć, jak idzie Grzechowi Kowalowi robota przy samochodzie. Bo ich kierowca zaraz po przyjeździe zabrał swoją nyskę do milicyjnego warsztatu, żeby przyjrzeć się jej po wypadku. Marcinkowski machnął tylko ręką zniecierpliwiony i obaj jego podwładni natychmiast wyszli. Nie poszli jednak do warsztatu. Brodziak zaciągnął Olkiewicza na dyżurkę. Tam porozmawiał przez chwilę z sierżantem dyżurnym, a potem już sam wrócił do pokoju, w którym porucznik rozmawiał z upartym sierżantem. Sierżant Makula, zdenerwowany i spięty, siedział na taborecie, co chwila ocierając pot z czoła kraciastą czerwono-niebieską chusteczką. Fred Marcinkowski naprzeciw niego za biurkiem udawał, że pisze coś w swoim notesie. A w radiu za jego plecami śpiewał zespół Bee Gees.

Rudowłosy podporucznik Brodziak podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Wykręcił jakiś numer i odchrząknął do mikrofonu. Obaj milicjanci, porucznik i sierżant, spojrzeli na niego zdziwieni.

– Halo, tu podporucznik Brodziak z wydziału kryminalnego, z obywatелеm komendantem chciałem rozmawiać. Proszę przekazać komendantowi kryptonim „Kasa”.

Marcinkowski, zmrużywszy oczy, popatrzył na telefonującego Brodziaka, a potem ukrył twarz w dłoniach. Sprawiał wrażenie człowieka, który

261
jest bardzo zmęczony swoją pracą i odpowiedzialnością, jaka na nim ciąży.

– Melduje się podporucznik Brodziak. Obywatelu komendancie, w związku ze sprawą „Kasa” natrafiliśmy na pewne trudności. Niejaki sierżant Makula z Szamotuł zasłania się tajemnicą służbową i nie chce z nami współpracować. Tak, jest tu koło mnie. Już go daję, obywatelu komendancie. Makula, komendant wojewódzki chce z wami rozmawiać.

Sierżant poderwał się na równe nogi i w oka mgnieniu był przy telefonie.

– Melduje się sierżant Makula na rozkaz – powiedział drżącym z emocji głosem. Jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło mu się rozmawiać bezpośrednio z komendantem wojewódzkim MO. Do dziś nie wierzył nawet, że może go coś takiego spotkać. – Tak jest, obywatelu komendancie – wykrzyczał do słuchawki, przyjmując postawę zasadniczą. – Tak jest, obywatelu komendancie – powtórzył po raz drugi i odłożył słuchawkę na widełki. Jego łysiejące czoło pokrywały kropelki potu. Sięgnął do kieszeni po wymiętą kraciastą chusteczkę i przejechał nią po głowie. – Komendant wojewódzki zdjął ze mnie tajemnicę służbową – powiedział, zwracając się do Marcinkowskiego.

Dwaj oficerowie spojrzeli na siebie z zadowoleniem.

– No to siadajcie i mówcie po kolei – rozkazał porucznik.

– Mi zakazał mówić cokolwiek ten kapitan ze Służby Bezpieczeństwa z Poznania. On się nazywa Wirski.

– O czym zakazał mówić?

– No o tym Mazurkiewiczu, co go zabrał do Poznania.

– Kurwa mać! – zdenerwował się Marcinkowski. – Jesteście pewni, że to był ktoś z SB?

– Pokazywał legitymację i mówił, że nazywa się Wirski, a i miał białego fiata na numerach poznańskich milicyjnych, znaczy się swój człowiek.

– A Mazurkiewicza widzieliście?

– No leżał na tylnym siedzeniu jakiś taki zasłabnięty, ale to on był na sto dwa, bom mu się już wcześniej przyjrzał, jak my go w nocy aresztowali u tej Wyrwaski, co ona z nim bimber pędzi.

– Jeszcze raz i po kolei mówcie, Matula, jak to było z tym aresztowaniem Mazurkiewicza i jak to z tym esbekiem.

262

– Makula jestem, obywatelu poruczniku, wszyscy się zawsze mylą i mówią inaczej, jakby takie trudne niby to nazwisko czy jak. No, ale po kolei to było tak.

Sierżant opowiedział o całej akcji zatrzymania Mazurkiewicza, pominiawszy tylko zarzygane spodnie. No i później o nieporozumieniu z wypuszczeniem go na wolność, jego wyjeździe do Pamiątkowa i spotkaniu z oficerem SB.

– A ten oficer był sam? – zapytał porucznik, któremu coś nie pasowało w tej całej powieści.

– No tak jak nadmieniałem, ino z tym Mazurkiewiczem.

– Nie było z nim drugiego funkcjonariusza? – zdziwił się Fred, który od wczoraj wiedział, że Wirski miał być na tej akcji razem z tym wielkim kretynem Władziem. – A jak wyglądał ten Wirski? – indagował dalej porucznik.

– A bo ja wiem? – zastanowił się sierżant. – Taki normalny, gładko ogolony, ciemne włosy, jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu...

– Nie był wysoki?

– No mówię, że wysoki raczej średnio. Taki mniej więcej jak ja, czyli średnio wysoki był raczej.

– Oglądaliście jego legitymację służbową?

– Tak jest, widziałem.

– Mieliście ją w ręce, to znaczy, czy patrzyliście na zdjęcie i na człowieka?

– A gdzie tam – zdziwił się Makula. – Jakże ja bym legitymację szarży miał badać.

– No to, kurwa, mamy pasztet jak diabli – powiedział, patrząc na Brodziaka, porucznik Marcinkowski.

– Przez tego Wirskiego? – domyślił się podporucznik.

– Właśnie przez Wirskiego, bo ten facet, z którym rozmawiał nasz przyjaciel sierżant Matula, na pewno Wirski nie był.

– Jak to? – zdziwił się sierżant Makula. – No przecież on mówił, że się tak nazywa. I miał tę legitymację.

Marcinkowski spojrzał wymownie na nic nie rozumiejącego sierżanta, a potem dłonią zakrył oczy.

263

– Skoro to nie jest Wirski, a miał legitymację Wirskiego, to znaczy, że musiał ją temu Wirskiemu zabrać – podsumował dyskusję Brodziak, patrząc z politowaniem na sierżanta Makulę.

Godz. 11.50

Biały duży fiat na milicyjnych numerach przejechał przez Rokietnicę, kierując się w stronę Kiekrza. Stąd do Poznania było jakieś dziesięć kilometrów. Trzeba było tylko przejechać przez Strzeszyn i dalej koło szkoły wojsk pancernych wjechać do miasta. Ten fragment drogi był szczególnie niebezpieczny, bo tam mogło roić się od ludzi w mundurach kontrolujących auta wjeżdżające do Poznania. Markowski postanowił jednak podjąć ryzyko. Był przekonany, że ten wariacki plan ma duże szanse powodzenia. A ponadto jest to najbardziej niezawodny sposób na przewiezienie jego pasażera do Poznania. Wypróbował już, jak na milicjantów działa zdecydowana postawa i legitymacja SB. Ten milicjant w Pamiątkowie był tego najlepszym przykładem. Dlatego – myślał Markowski – wszystko powinno się udać. Miał zabrany z szopy milicyjny samochód, legitymację esbeka, którego pozbawił przytomności, a później nieprzytomnego zostawił w domu. No i miał jeszcze jeden atut. Potrafił zachowywać się jak prawdziwy oficer. Tę umiejętność wyniósł z czasów swojej służby w czerwonych beretach. Co prawda nigdy nie był oficerem, ale natrzymał się na nich na tyle długo, by bez problemów umieć naśladować ich zachowanie. Teraz, gdy zbliżał się nieuchronnie do bram miasta, obmyślał sobie odpowiedzi na pytania, które mogą paść podczas kontroli. Najważniejsze to nie dać sobie wejść na głowę i od razu zakrzyczeć takiego milicjanta czy żołnierza na rogatkach – utwierdzał sam siebie w przekonaniu, że tylko pokaz siły może wyrzucić na kontrolujących odpowiednie wrażenie, jak na sierżancie milicji, który przyjechał do Pamiątkowa. Zdawało mu się, że nad jego dotychczasowymi działaniami czuwa siła wyższa, może Opatrzność. Markowski nie był szczególnie

wierzący, należał raczej do tej grupy katolików, o której mówiło się wierzący i niepraktykujący. Natomiast, jeśli chodzi o wiarę, to był przeko-
264

nany, że jakaś Wyższa Istota sprawuje kontrolę nad światem, ale niekoniecznie ma ochotę wtrącać się w losy jednostki. No chyba, że jej się zachce w szczególnych okolicznościach. A takie szczególne okoliczności mogły być właśnie teraz. Więc kto wie, może w tej chwili jego los i wszystkie poczynania analizuje właśnie ów Najwyższy Kierownik? Od momentu ucieczki z aresztu najwyraźniej sprzyjało mu szczęście. Wszystko, czego dotknął się od tej chwili, kończyło się powodzeniem. Ale najważniejsze, że udało mu się odnaleźć tego człowieka od solidarnościowych pieniędzy, który teraz spokojnie leżał na tylnym siedzeniu. To jeszcze niedawno wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, a tu proszę, znalazł go i jeszcze udało mu się wyrwać go z esbeckich łap. Najlepsze było jednak w tym wszystkim to, że ten Mazurkiewicz nawet o tym nie wiedział. Facet był tak pijany, że nie dało się go w żaden sposób obudzić ani w Pamiątkowie, po tym jak dostał uspokajający cios w szczękę, ani później w Cerekwicy na plebanii dokąd pojechał, by zdać relację ze swojej akcji księdzu proboszczowi. Poinformował go też, bo wydawało mu się, że powinien to zrobić, że jego parafianka, Wyrwasowa, nie żyje. Znalazł ją w pokoju na podłodze, gdy przeszukiwał dom.

Najpierw powiązał sznurem znalezionym w stodole obu esbeków i zakneblowanych zostawił w kuchni. Później metodycznie i dokładnie przetrząsnął całe mieszkanie. Pozbierał wszystkie rzeczy należące do Mazurkiewicza i zapakował je do bagażnika milicyjnego samochodu, który stał schowany w szopie. Odkrył go, gdy skradał się pod dom, po tym jak zobaczył, że człowiek, którego szuka, wchodzi do domu. Wtedy też postanowił, że podróż do Poznania takim środkiem lokomocji może być najbezpieczniejszym sposobem powrotu do miasta. Liczył na to, że nikt zbyt wcześnie nie odkryje skrępowanych esbeków. Były na to niezbyt wielkie szanse. Zwłaszcza po tym, jak udało mu się wyprowadzić w pole milicjantów jadących do gospodarstwa. Ten sierżant, któremu przedstawił się jako Wirski, powinien choć przez parę godzin być przekonany, że miał do czynienia z prawdziwym kapitanem. A tyle czasu powinno wystarczyć na dojazd i rozplynięcie się w mieście.

Minał budynki szkoły z prawej strony i zjechał ostrym łukiem w stronę przejazdu kolejowego. Szlabany były podniesione, więc zwolnił tylko
265

nieznacznie, by bez niepotrzebnych wstrząsów przejechać tory prowadzące z Poznania do Piły. Zaraz za przejazdem droga wznosiła się nieco w górę, skręcając na prawo wzdłuż płotu szkoły oficerskiej wojsk pancernych. Wyjechał na ulicę Ludowego Wojska Polskiego i wtedy ich zobaczył.

Tuż przy bramie wjazdowej do szkoły, mniej więcej na wysokości czołgu T-34, pomnika chwały LWP, stał transport opancerzony SKOT blokujący jeden pas ruchu. Obok niego na poboczu parkowały dwa przykryte brezentem GAZ-y, a na jezdni stało kilku żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe. Markowski zwolnił nieco, by ze spokojem przeanalizować sytuację. Pas jezdni, którym mógł jechać, był całkowicie zablokowany, na przeciwległym stały dwa samochody osobowe, które kontrolowali właśnie żołnierze.

Podjechał więc na dwójce i zatrzymał samochód tuż przed transportem, na tyle jednak daleko, by móc w razie czego ruszyć błyskawicznie w lewo, jeśli droga byłaby wolna, albo w najgorszej sytuacji w prawo, przez trawnik.

Podoficer dostrzegł jego samochód i podnosząc dłoń w szarej rękawiczce, nakazał mu przystanąć. Posłusznie wykonał polecenie i auto stanęło. Kontrolujący żołnierze zainteresowali się żółtą syrenką, więc Markowskiego zostawili samego sobie.

Rozejrzał się po samochodzie. Na tylnym siedzeniu spał Mazurkiewicz, pochrapując od czasu do czasu. Na wszelki wypadek przykrył go dokładnie kocem wypożyczonym od proboszcza z Cerekwicy. Potem spojrzał na deskę rozdzielczą samochodu i dopiero teraz zauważył, że jest tam zamontowane radio. Przekręcił walcowatą gałkę z lewej strony i radio zagrało piosenkę Skaldów.

Czy ktoś widział, jak biegnie króliczek ulicą, czy to widział kto...
Godz. 11.55

– Ten ksiądz z naszej parafii, proboszcz znaczy się, to jest ludzki człowiek, mówię wam dziewczyny – nie rozdziela po znajomych tylko normalnie wszystkie lompki, co przyjdą w paczkach, każe siostram roz-

266
kładać na stolikach w salkach katechetycznych – zachwycała się siostra Wioletta Włodarska. Trzy pielęgniarki siedziały w pokoju socjalnym i piły kawę. Dopiero przed chwilą zakończył się na ich oddziale obchód lekarski, a za pół godziny powinno zacząć się wydawanie obiadów dla pacjentów, którzy mogli już jeść o własnych siłach, dlatego teraz miały chwilę przerwy, którą wykorzystały na południową kawę. Z tą kawą ostatnio było nie najlepiej, bo ze sklepów zniknęła i gdyby nie wdzięczne za opiekę rodziny chorych, to nie byłoby zupełnie co pić. Tyle że gatunkowo było też kiepsko. Orient czy Super były od kilku miesięcy prawdziwym rarytasem, a najczęściej pojawiała się ta najpodlejsza, Robusta. Ludzie mówili o niej, że jest to kawa pozagatunkowa, czyli taka, która nie nadawała się do normalnej sprzedaży, bo podczas palenia została za bardzo przypalona i w cywilizowanym kraju wywalono by ją na śmietnik, ale u nas nic się przecież nie mogło zmarnować. Przypaloną gorzką kawę w końcu też dawało się pić. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że jest to zwykła odmiana kawy, tyle że tańsza od innych. Przywożono ją do Polski z przodujących krajów Afryki, które w ramach przyjacielskiej wymiany otrzymywały od nas za kawę karabiny Kałasznikowa i wsparcie na arenie międzynarodowej. Dzisiaj jednak dziewczyny piły kawę luksusową. Paczkę niemieckiej kawy Jacobs przyniosła do pracy siostra Wioletta. Dostała tę paczkę na swojej plebanii. Prócz kawy udało się jej przynieść do domu jeszcze kilka tabliczek czekolady, cały wielki blok żółtego sera i kilka puszek niemieckiej mielonki. Tej kawy dostała aż sześć paczek, każda wielkości cegłówki. Na początku nawet nie wiedziała, jak zabrać się do otwarcia hermetycznie zapakowanego pudełka. Każda z paczuszek była twarda jak kamień i nawet początkowo wydawało się jej, że ta kawa w środku musi być zamrożona. Położyła więc jedno opakowanie na kaloryfer, ale po godzinie nadal było twarde jak kamień. W końcu ostrożnie spróbowała zrobić w opakowaniu dziurkę nożem i wtedy w środku coś syknęło i paczka przestała być twarda. Odzłowała jedną paczkę i zabrała ją do pracy, by zrobić przyjemność koleżankom, no i oczywiście pochwalić się swoją zdobyczą.

– Znaczy się otwiera te paczki i sam segreguje? – zdziwiła się siostra Urszula, młodzianka brunetka, która zaledwie parę miesięcy temu rozpoczęła pracę po ukończeniu policealnej szkoły pielęgniarskiej.

267
– No właśnie – podchwyciła Wioletta – żeby było uczciwiej, nie na chybił trafił tylko każdemu według potrzeb. Wszystko sprawdza, co przywieźli w tych paczkach, segreguje i robi paczki dla każdej rodziny która się zgłosi. A że wszystkich zna na osiedlu, to i wie, czego komu brakuje. I sam daje im te paczki, tak dba o ludzi.

– No chyba, że część idzie na sprzedaż, na lewo, zamiast do ludzi. Może dla tego taki skrupulatny w tym dzieleniu – nie dowierzała siostra Mirka, najstarsza z dyżurujących dziś pielęgniarek.

– Ady nie ksiądz Marek – oburzyła się Wioletta. – Nigdy w życiu. On jest uczciwy jak mało kto. Może co poniektóry ksiądz jakieś machlojki robi, ale ten nasz za nic w świecie. A mi to po znajomości nawet dał sześć paczek tej kawy, co teraz pijecie. I co, nie uczciwy?

– Au nas w parafii to też wszystkie ubrania, co przyjadą ciężarówką z NRF-u, wykładają w jeden dzień na dużej sali i każdy może se przyjść wybrać, co potrzebuje. Tyle, że jak już wyłożą te lompki i dadzą znać, że jest otwarte, to zaraz się robi taka gemela, bo kobiety to się tam nawet leją o jakie lesze pory czy bluzki – mówiła Urszula. – A raz to był taki numer, że do dziś się jeszcze wszyscy śmieją. Jak rano utworzyli na plebanii tę świetlicę zawaloną ubraniami, to zaraz zleciało się bab z całego osiedla i dalej przebierać w tych stertach. A wiecie, kto najwięcej tam wybiera? Te, co najwięcej mają. Bo najbiedniejsi mają swoją godność i się nie pchają między te glapy. No i wtedy przyjechały takie dwie wypudrowane i umalowane babki, żony jakichś badylarzy, co forsy mają jak lodu. Mercedesy zostawiły na

parkingu przed kościołem, w eleganckich futrach leżą i dalej przebierać w tych ubraniach. Tak im się to spodobało, że zaczęły na miejscu przymierzać, co ładniejsze wdzianko, jakby były w Modzie Polskiej na Starym Rynku. A swoje futra położyły na tej kupie ubrań, w których grzebały. Tak się zapędziły w tym przymierzaniu, że ani spostrzegły, jak im te ich futra drogie ktoś do torby włożył i zabrał. Jaki był krzyk, jak cholerami rzucały i cała ich wielkopańskość na wierzch wyszła wtedy. No, ale chciwość nie popłaca. Futra się nie znalazły. Za to śmiech był na całej dzielnicy, że chciały się za darmo nachapać, i nic nie zarobiły i jeszcze ile straciły.

– Az kogo te futra były? – zainteresowała się siostra Mirka.

– No nie wiem, ale musiały być jakieś drogie, może z lisów albo nor-
268

ków, bo awantura była jak diabli. Aż ksiądz musiał je z plebanii wyganiać, bo bez swoich futer nie chciały iść precz.

– Pewnie jakaś babcia myślała, że to futra z darów i jak zobaczyła, zaraz schowała do torby, żeby kto nie zabrał – domyśliła się Mirka.

– Łe i dobrze. Niech nosi na zdrowie. – Wioletta zaśmiała się. –

A te lampucery to już więcej na ciuchy do plebanii nie przyjechały. Drzwi od pokoju pielęgniarek otworzyły się i do środka weszła Karolina, młodzianka salowa, która pracując na oddziale, na tym najniższym w hierarchii szpitalnej stanowisku, zarabiała dodatkowe punkty do egzaminów na medycynę.

– Siostro – zwróciła się do Mirki – ten pacjent po wypadku, no ten milicjant, właśnie się obudził.

– Pójdę zobaczyć, jak on się czuje, a ty, Wioletko, skocz na dyżurkę do pogotowia i powiedz, żeby powiadomili komendę MO. Oni chcieli być poinformowani, jak tylko ten chłopak odzyska przytomność.

Godz. 12.00

...Piąty, ostatni krótki sygnał oznacza punktualnie godzinę dwunastą – powiedział spiker Polskiego Radia, a zaraz po tym wypłynęły z samochodowego głośnika dłuższe, a później krótsze piknięcia, pozwalające wszystkim właścicielom zegarków i zegarów dokładnie ustawić czas.

Gdy trębacz z wieży Mariackiej zaczął grać hejnał, Markowski spojrzął na swój ręczny zegarek. Ale zegarka nie było na przegubie.

– No tak, nie oddali mi gnoje mojego citizenena. – Musiał oddać go do więziennego depozytu, w chwili gdy przyjmowali go do aresztu na Młyńskiej. Teraz pewnie będzie go nosił jakiś więzienny strażnik. Po dróbkę markowego zegarka kupił na Łazarzu i dotąd zegarek sprawował się bez zarzutu.

– Lata, panie, całe lata będzie chodził – zachwalał swój towar sprzedawca. – To nie to co ruskie zegarki najszybsze na świecie. Te citizeny chodzą jak szwajcarskie.

I Markowski miał nadzieję, że tak będzie rzeczywiście. Jednak tego,
269

jaka jest prawda, nie miał szansy dowiedzieć się już nigdy, bo pewnie nikt mu już nie zwróci jego drogiego przedmiotu. Kroki w radiu i gruchanie gołębi. Na ulicy też kroki. Równomierny rytm podkutych butów zbliżającego się do auta żołnierza z kałasznikowem.

Kapral Arkadiusz Włodarek nie miał dziś najlepszego humoru. Od rana załapał się na służbę na ulicy przed koszarami. Odbywał służbę zasadniczą w jednostce wartowniczej zajmującej się ochroną szkoły wojsk pancernych. W tej dzisiejszej służbie nie było niczego nadzwyczajnego. Jak zwykła warta na biurze przepustek, z tym że rozszerzona jeszcze o ulicę.

– W sumie nawet nieco ciekawsza – myślał Włodarek, bo na ulicy działo się znacznie więcej niż na wartowni, na której można było umrzeć z nudów. Tyle że dzisiaj nie miało dla niego większego znaczenia, czy to była ulica, wartownia, koszary czy nawet kasyno. Ostatni centymetr ze swojego krawieckiego metra odciął w połowie listopada. A teraz był już grudzień, a on zamiast siedzieć w domu w Pile, w dalszym ciągu tkwił w Poznaniu. Ten krawiecki metr kupował sobie każdy stary żołnierz na sto dni przed pójściem do cywila. I każdego dnia obcinał jeden centymetr. On i jego koledzy odcięli wszystkie fragmenty i nadal siedzieli w woju. A najgorsze w tym wszystkim było to, że nikt nie potrafił powiedzieć, jak długo jeszcze będzie to wszystko trwać. Arek odbębnił swoje dwa lata i li-

czył, że na początku grudnia wróci do roboty w swoim zakładzie Połam – Piła, w którym produkowano słynne na cały świat, tak przynajmniej mówiono w Pile, żarówki. A tu tymczasem na początku listopada powiedzieli mu, że jest jakiś rozkaz wstrzymujący wyjście jego rocznika do cywila. On i jego kołesie myśleli początkowo, że to tylko chwilowa sprawa. Tydzień, dwa i będą w chacie. Bo wiara w wojsku mówiła, że tak już wcześniej bywało i wszystko kończyło się szczęśliwie po krótkim zamieszaniu. Tym razem jednak sprawa okazała się zupełnie beznadziejna po tym, jak Jaruzel ogłosił tę wojnę narodową.

Ze stanem wojennym nie zetknął się żaden człowiek służący w armii i nikt nie umiał przewidzieć, ile to całe zamieszanie może potrwać. Optymiści uważali, że miesiąc, góra dwa wszyscy ponadterminowi będą w domu. Jednak byli i tacy, którzy przekonywali, że nie po to ich zatrzy-

270
mali jesienią, by zwalniać wiosną i jedyny realny termin to jesień następnego roku, a więc pełne trzy lata, jak w marynarce wojennej. Włodarek, który z natury był pesymistą i zawsze skłaniał się do najgorszych rozwiązań, bo w te lepsze nie wierzył z zasady, też myślał, że wdepnął w trzyletnie szambo. I nie winił bynajmniej za to wszystko armii, która mimo wszystko, po dwóch latach służby, wydawała mu się nawet przyjazna dla człowieka, ale tych pierdolonych komunistów i służących im kutasów z milicji. Najgorsi jednak, jego zdaniem, byli ci z bezpieki. To oni, gdy jeszcze w Polsce działało UB, wsadzili do pudła jego tatę, który we Wronkach przesiedział pięć lat za działalność antypaństwową, a tak naprawdę – za kawał polityczny opowiedziany podczas jakiejś alkoholowej imprezy. Ojciec nieraz opowiadał mu o śledczych ubekach i ich metodach pozyskiwania zeznań. Dlatego Włodarek nienawidził ich szczerze, nienawidziłą głęboką, zakorzenioną w jego świadomości już od dziecka, które od najmłodszych lat słuchało o tym, jak źli ludzie lali jego tatę gumowym węzłem po nerkach i trzymali zanurzonego po szyję w lodowatej wodzie w ciemnej piwnicy. No i to wszystko psuło mu humor od rana, bo zamiast siedzieć w ciepłe, w swojej fabryce, łąził na mrozie po poznańskiej ulicy. Teraz kapral Włodarek patrzył z odległości kilku metrów, jak młodzi żołnierze z jego plutonu radzą sobie podczas kontroli osobowych samochodów. Stał tuż za SKOTEM i tylko się przypatrywał. Nie chciało mu się brać w tym całym gównie udziału, bo jak mówił swojemu kumplowi, kapralowi z drugiej kompanii, nie czuł tej roboty. Chłopakom, z którymi siedział dzisiaj na ten drogowy posterunek wyjaśnił zgodnie z regulaminem, na czym będzie polegała ta robota, czyli kontrola dokumentów, sprawdzanie bagażu i tak dalej. Na koniec odprawy powiedział im jeszcze, że w tych samochodach, co je będą kontrolować, mogą jechać starzy ich kumpli albo laski, z którymi jakiś szwej będzie się chciał umówić, i jak będą dla nich niegrzeczni to obrażą się na całą armię i mundurowych będą miały do końca życia w dupie. I że od rewizji to są milicjanci, a oni, armia, od ważniejszych rzeczy, bo od obrony kraju, więc nikomu w klonkrach grzebać nie muszą.

Gdy dwóch młodych skończyło pobieżną kontrolę syrenki, odwrócił się i ruszył w stronę budek na pętli autobusowej. Chciał pójść pod drzew-

271
ka, żeby się wysikać i zapalić ćmika. Na ulicy po lewej stronie stał biały duży fiat. Przed chwilą jeden z jego żołnierzy machnął na kierowcę, żeby stanął, bo musieli się najpierw uporać z tymi, co jechali od strony miasta. Kierowca opuścił szybę i uśmiechnął się do niego.

– Co jest, kurwa, kapralu, długo jeszcze mam tu czekać? – krzyknął do zbliżającego się podoficera.

Włodarek stanął jak wryty i spojrzał na siedzącego w aucie. Nie spodziewał się, że jakiś kierowca może w taki sposób zwrócić się do podoficera na służbie. Tę odzywkę można by jakoś jeszcze usprawiedliwić, bo nerwy w takiej sytuacji mogą ponieść każdego, ale tego, co ten kutas powiedział później, Włodarek nie mógł już znieść spokojnie.

– Przestańcie się już pierdolić z tymi cywilami i puszczajcie mnie kapralu, boja tu służbowo zasuwam. Jestem kapitan Wirski z SB.

Mężczyzna wyciągnął w kierunku żołnierza oprawioną w czarny plastik legitymację służbową. Machnął kartonikiem i chciał już ją schować,

ale Włodarek był szybszy. Chwylił dokument w rękę i nie oglądając go, włożył do górnej kieszeni kurtki, a potem powiedział:

– Dzisiaj każdy może udawać kogoś z SB. Poczekaście chwilę, sprawdzimy was i pojedziecie, obywatelu, jak wszystko będzie w porządku – mówiąc to, odczuł wielką satysfakcję. Nareszcie bowiem mógł choć w niewielkim stopniu odegrać się na którymś z tych skurwieli.

– Was chyba pojebało, kapralu. – Facet w samochodzie zrobił się czerwony i widać było, że za chwilę eksploduje.

Ale na Włodarka hasło SB zadziało jak płachta na byka.

– Zajac, Wróbel! – krzyknął do dwóch chłopaków stojących koło koksownika żarzącego się przy pomnikowym czołgu. – Sprawdzić mi dokładnie tego fiata.

Tego Markowski nie mógł przewidzieć. Ten kapral był tępym służbistą. Dwaj szeregowcy już zbliżali się w stronę jego samochodu. Kapral stał dwa metry obok, a w jego oczach można było dostrzec jakieś dziwne iskierki, jakby czerpał satysfakcję ze swojej żandarmskiej roboty. Niestety, tacy idioci na służbie to najgorsza swołocz. Z każdym można się dogadać, ale nie ze służbistą półgłówkiem, który liczy na szybki awans, albo

272

nawet na zwykłą pochwałę oficera. A tego tu Markowski oceniał na właśnie taką najędzniejszą kategorię durniów. Trzeba było działać, i to szybko, bo sytuacja stawała się coraz groźniejsza.

– Jeśli zaczną przetrząsać auto, to natychmiast znajdą leżącego na tylnym siedzeniu pijanego faceta – myślał gorączkowo Markowski. – A wtedy trudno im będzie cokolwiek wytłumaczyć.

Spojrzał w prawo i zobaczył, że tuż za dwoma wojskowymi autami jest tyle wolnego miejsca na trawniku przysypanym śniegiem, że bez większego problemu można się było tam precyzyjnie, pod warunkiem, że śnieg nie jest zbyt głęboki. Auto musiałyby tylko pokonać niewielką śnieżną przyzmę. Była to jedyna droga ucieczki, bo wyjazd na wstecznym uniemożliwiały już dwa samochody stojące w kolejce za jego fiatem. Spojrzał jeszcze raz na uśmiechniętego kaprala, i to przekonało go ostatecznie, że z tym kretynem nie da się na żaden temat porozmawiać.

Pochylił się lekko nad kierownicą, jakby chciał sprawdzić coś w swoim radioodbiorniku i wrzucił jedynkę. Gdy dwaj szeregowcy podeszli do auta, błyskawicznie zwołał sprzęgło, wciskając gaz do dechy. Silnik zawył całą mocą swoich sześćdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Fiat wyskoczył w prawo i przeleciał nad górką śniegową. Koła lekko zaryły się w okrzepłej zmarzlinie, ale zaraz jednak samochód na drugim biegu poradził sobie z tą przeszkodą. Nim żołnierze zdążyli ochłonać, auto gnało już poboczem w stronę Poznania. Kierowca, zanim zjechał na ulicę, dojrzał we wstecznym lusterku malejące figurki żołnierzy. Markowski zaśmiał się w głos. Fiat wtopił się na jezdnię i wpadł w lekki poślizg, ale on bez większych problemów wyprowadził go z opresji. Pognał prosto, mijając z lewej Akademię Rolniczą, a z prawej Urząd Statystyczny. Po chwili skręcił gwałtownie w prawo, w Wołyńską, i zaraz znalazł się między willami na Sołacz. Mógł jechać prosto w stronę parku Sołackiego lub skręcić w lewo. Wybrał tę drugą opcję. Ta, w razie pościgu, dawała większe szanse ucieczki. Przy wjeździe na niewielki plac musiał zwolnić, bo już z daleka zorientował się, że pług śnieżny czy piaskarka nigdy nie przejeżdżały tą trasą. Uliczki otaczające plac Spiski były zupełnie białe. Wrzucił dwójkę i skręcił w prawo. Jeszcze odruchowo obejrzał się za siebie, by sprawdzić czy nikt za nim nie jedzie, i wtedy zobaczył, że jego pasażer obudził się i siedzi zdziwiony na tylnym siedzeniu.

273

– Zamawiałem taryfę na Świerczewo, a nie na Sołacz. Myślisz, że nie znam Poznania i dam się przewieźć na lewe sanki? – wybełkotał Mazurkiewicz.

Dwaj zaskoczeni żołnierze spojrzeli najpierw na odjeżdżającego fiata a później na ich dowódcę, kaprala Włodarka. Nie wiedzieli, co mają robić, ale ich przełożony nie zastanawiał się długo. Wskoczył do najbliższego GAZ-a i błyskawicznie uruchomił silnik. Niemal po śladach esbeckiego samochodu ruszył do przodu. Potężny samochód terenowy, którego ojcem był niezawodny amerykański willys, bez trudu pokonał śnieżne nierówno-

ści i zaraz wy dostał się na ulicę. Wjechał na drogę akurat w chwili, gdy fiat zniknął w bocznej uliczce. Na szczęście kapral zarejestrował, że jest to zjazd tuż za nieczynnymi światłami. Żołnierz wcisnął gaz do dechy. Auto w ciągu kilkunastu sekund znalazło się na zakręcie, w który wjechał fiat. Włodarek skręcił w lewo i po chwili był już na spokojnej willowej, zarośniętej z dwóch stron starymi drzewami uliczce. Ale fiata już tu nie było. Po kilkuset metrach starymi kończyła się, łącząc z prostopadłą do niej, biegnącą wzdłuż parku Sołackiego ulicą Małopolską. Włodarek podjął szybko decyzję, by jechać w lewo, w stronę centrum miasta. Jego wóz wpadł w lekki poślizg na brukowanej jezdni, ale wyprowadził go z bezwładnej jazdy, dodając gazu. Łazik potoczył się do przodu, głośnym rykiem silnika płosząc wrony siedzące na rosnących tuż za przystankiem tramwajowym kasztanowcach. I wtedy go zobaczył. Uciekający przed nim fiat wyjeżdżał na ulicę którą jechał z placyku po lewej stronie. Był kilkadziesiąt metrów od niego. Kierowca jednak wcale się nie śpieszył. Jechał powoli, jakby wcale nie obawiał się pościgu.

Kapral błyskawicznie podjął decyzję. Postanowił odciąć drogę ucieki nierowi. Ten jednak w ostatnim momencie zauważył nadjeżdżający wojskowy samochód. Fiat ruszył gwałtownie, jednak rozpędzony GAZ był szybszy. W normalnych warunkach kierowca fiata powinien był zwolnić, próbując uniknąć zderzenia. Jednak to nie były normalne warunki. Fiat wypadł na Małopolską w chwili, gdy zajeżdżało mu drogę wojskowe auto. Rozpędzony łazik z impetem uderzył w prawy bok auta. Uderzony fiat obrócił się wokół własnej osi i wpadł na chodnik. GAZ toczył się jeszcze kil-

274
ka metrów, a następnie przodem zahaczył o stalowe barierki oddzielające tor tramwajowy od ulicy i stanął.

Lekko oszołomiony żołnierz, który podczas zderzenia uderzył głową w kierownicę, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Spojrzał na swój rozbity samochód, a potem na stojącego kilka metrów dalej fiata. Zdziwił się, bo z auta właśnie wychodziło dwóch mężczyzn, a on ścigał przecież tylko jednego, funkcjonariusza SB. Nie miał jednak wiele czasu na zdziwienie, gdyż esbek błyskawicznie podbiegł do niego i bez słowa uderzył go w podbródek. Drugi cios zadany w splot słoneczny właściwie był już tylko formalnością. Podoficer oparł się o burtę samochodu i zaraz spłynął po niej bezwładnie na ziemię.

Markowski rozejrzał się dookoła. Na ulicy nie było nikogo, przystanek też był pusty. Nagle usłyszał dzwonek nadjeżdżającego tramwaju. To jechała dziewiątka z pętli na Winiarskiej. Nie było jej jeszcze widać, ale musiała być gdzieś metrów stąd, za zakrętem. Błyskawicznie podjął decyzję. Złapał żołnierza i wrzucił go jak worek pyłów na podłogę wojskowego samochodu. Zaraz potem pociągnął za rękaw stojącego obok Mazurkiewicza i wskazał mu przystanek tramwajowy.

– Przesiadka do tramwaju – zakomenderował.

– Ale ja nie mam biletu, panie taksówkarzu – oświadczył zdziwiony Mazurkiewicz.

Dziewiątka wjechała na przystanek. Nieliczni pasażerowie z zainteresowaniem przyglądali się dwóm rozbitym samochodom. W końcu niecodziennie można było z satysfakcją patrzeć się na uszkodzone wojskowe mienie.auta stały po dwóch stronach jezdni równoległe do ulicy; wyglądały więc tak, jakby już były przygotowane do zabrania z drogi przez pomoc drogową. Nie było obawy, że ktoś może chcieć wyjść z tramwaju i próbować pomagać, bo nie było nikogo przy samochodach.

Markowski chwycił pod ramię swojego podopiecznego i wciągnął go przez otwarte drzwi.

– Co tam, panie, się stało? – zawołał motorniczy.

– A gównie! – odpowiedział mu zaraz Markowski. – Żołnierze nie umiały jeździć po Poznaniu, to i gemela się robi. Zderzyli się z fiatem, ale nikomu się nic nie stało.

275

– A żeby ich wszystkich szlag trafił – mruknął motorniczy i zamknął drzwi tramwaju.

Godz. 12.30

– Wygląda tak, jakby zasnęła – powiedział zdziwiony Olkiewicz,

nachylając się nad leżącą na podłodze kobietą. Przez lata pracy najpierw w milicji, a później w SB jakoś tak się złożyło, że w sprawach, w których brał udział, nigdy nie było trupa. Od nieboszczyków byli inni, a on tylko od czystej roboty. A teraz w ciągu zaledwie paru dni widział już kolejną nieżywą osobę. Nie żeby się zaraz bał, ale z umarlakami wolał być ostrożny. Ci zastrzeleni faceci, których widział wtedy w nocy trzynastego grudnia, nie zrobili na nim żadnego wrażenia. Byli jak jakiś normalny element gemeli w mieszkaniach. Ale ta babcia była jakaś inna. Może dlatego, że na jej twarzy malował się dziwny grymas. Coś jak uśmiech, choć nie był tego do końca pewien. Nachylił się nad leżącą na podłodze kobietą i popatrzył jej w oczy. Ich spojrzenia spotkały się i Teofil wyprostował się gwałtownie, bo przestraszył się nie na żarty. Przypomniało mu się, jak kiedyś opowiadała mu jedna starucha, co mieszkała w jego kamienicy jeszcze przed wojną, że śmierć, co siedzi w nieboszczyku, może oczami przeskoczyć na tego, kto za długo w takie oczy będzie się gapić. Przeżegnał się więc szybko i splunął dla odczynienia na podłogę.

— Melduję, obywatelu poruczniku, że ona jest właśnie tą Pelagią Wyrwas, znaczy się tą, co produkowała bimber. A ten, co u niej był, to był Mazurkiewicz zatrzymany podczas akcji. Ale bimbru my przy nim nie znaleźli — tłumaczył sierżant Makula, spoglądając to na kobietę, to na Marcinkowskiego.

Porucznik przyjrzał się uważnie kobiecie. Nie dostrzegł najmniejszych śladów użycia siły. Wyglądała tak, jakby umarła w naturalny sposób. Leżała na podłodze metr od swojego łóżka. Widać było jednak od razu, że nie upa dła w tym miejscu. Leżała na plecach z rękami równo ułożonymi wzdłuż ciała. Oznaczało to, że ktoś ją tu przeniósł i ułożył na podłodze.

— Ciekawe, dlaczego na podłodze, a nie na przykład na łóżku — zastanawiał się oficer.

276

— Pójdę se położyć po chacie — powiedział Olkiewicz.

Wyszedł z sypialni i poszedł do kuchni. Przy stoliku pod oknem siedzieli Brodziak i Kowal. Palili papierosy. Popiół strzepywali do puszki po paprykarzu szczecińskim, która wypełniona była po brzegi petami.

!— Jest coś ciekawego? — zapytał Teofil, spoglądając na swoich kolegów.

— Ady tam! — Kowal machnął ręką.

Niezrażony tym Olkiewicz zaczął przetrząsać kredens. Kilka słoików z kompotem ze śliwek, wyschnięty chleb, masło w słoiku i do połowy wyjezdzony słoik dżemu z naklejoną etykietą zastępczą stanowiło całą zawartość części przeznaczonej na produkty spożywcze. Sprawdził jeszcze pozostałe szafki, ale prócz sprzętów kuchennych nie było tam nic interesującego. Kuchnia wyglądała bardzo biednie i nic nie wskazywało na to, żeby tu był jeszcze jakiś dodatkowy schowek. Wyszedł więc z pomieszczenia i poszedł do sieni. Po lewej stronie były drewniane schody na strych, a po prawej pomalowane na zielono drzwi do spiżarni. Otworzył je. Zapachniało kiszoną kapustą i ogórkami. Wewnątrz panował półmrok. Z niewielkiego okienka odsunął płócienną zasłonę i do środka wdarło się dzienne światło. Jasna smuga wydobyła z szarości kilka rzędów półek zastawionych wekami. Przyjrzał się im uważnie, ale w słoikach były tylko kompoty. Już chciał wyjść zrezygnowany, gdy wtem jego spojrzenie zatrzymało się na rzędzie stojących na podłodze pod najniższą półką podłużnych, zakorkowanych i chyba zalakowanych szklanych szyjek. Szybko nachylił się i chwycił jedną. Wewnątrz był przezroczysty biały płyn. Mimo że butelki nie miały naklejek, od razu wiedział, co jest w środku. Nie mogło to przecież być nic innego. Uradowany Teofil nie potrzebował żadnych słów zachęty. Szybko, z wprawą godną prestidigitatora uderzył otwartą dłonią w dno butelki. Lak pękł i korek wysunął się na kilka milimetrów. Drugie, mocniejsze uderzenie wysadziło go do połowy. Wystarczyło już tylko wyszarpać go zębami.

— Idę sprawdzić jeszcze podwórko — usłyszał tuż za plecami głos Marcinkowskiego. — A tu jest coś? — zapytał porucznik.

— Łe tam—wykrztusił Olkiewicz, nie odwracając się, by nie odsłonić trzymanej w ręce flaszki. — Same klonkry, obywatelu poruczniku.

277

Fred, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł na zewnątrz. Teofil szarpnął korek. Prosto w nos uderzył go ostry zapach bimbru. Pociągnął najpierw niewielki łyk, dla sprawdzenia mocy. Okazało się, że nie był to czysty spirytus, ale dobra, odstana długo wódka zaprawiona lekko olejkami migdałowymi. Przechylił więc jeszcze raz butelkę i tym razem wlał do gardła połowę jej zawartości. Ostre wódczane ciepło wypełniło mu gardło i zaraz rozlało się po brzuchu.

– ...naście, czternaście, piętnaście – policzył półgłosem butelki stojące pod ścianą. – Wiedziałem, że warto przenosić się z tej pierdolonej esbecji – powiedział do siebie zadowolony chorąży Olkiewicz. Rozwścieczony pies ze zjeżoną sierścią wyskoczył z budy i zaczął szczekać przeraźliwie na intruza, który wkroczył na podwórko. Porucznik Marcinkowski spojrzął na niego, gwizdnął i kundel uspokoiony wrócił na swoje legowisko. Milicjant poszedł najpierw do letniej kuchni. Wewnątrz unosił się charakterystyczny ostry zapach zacieru. Rozejrzał się wokół. Nie trzeba było być wielkim znawcą technik bimbrowniczych, by zauważyć, że miejsce to stanowiło serce wytwórni. Puste kanki, jakieś rurki, puste butelki stojące w dwóch rzędach na podłodze, wszystko to wymownie świadczyło o tym, że alkohol płynął tu szerokim strumieniem. Szybko przyjrzał się kuchni i poszedł dalej, starannie zamykając za sobą drzwi. Do niewielkiej szopy prowadziły ślady kół odcisnięte na śniegu.

– Tu stał zaparkowany ten duży fiat, którym odjechał ktoś, kto zabrał stąd Mazurkiewicza. Tylko, kto to był? – zastanawiał się milicjant. – I skąd, do cholery, miał dokumenty oficera SB. Mógł to być inny chłopak z SB, który tylko przedstawił się sierżantowi, mówiąc, że nazywa się Wirski. Oznaczać to mogło, że bankiera ma bezpieka. Mazurkiewicz wypuszczony z aresztu w Szamotułach przyszedł tutaj, a na miejscu czekali na niego esbecy i ten pierdolony Wirski. W takim razie ich śledztwo jest zakończone, bo zostali wyprzedzeni przez swoich kolegów od spraw politycznych. Pozostaje kwestia morderstw. Jeśli jednak bankier siedzi, to znalezienie mordercy będzie teraz bardzo trudne. Marne są bowiem szanse na to, by morderca wpadł teraz, popełniając jakiś błąd. Bankier był

278
szansą, był przynętą. A siedzący w areszcie dla śledztwa był nieprzydatny. Jediną więc szansą na znalezienie mordercy była informacja, że ktoś ma większą sumę niemieckich marek. Prędzej czy później taka gotówka gdzieś się pojawi. Trzeba tylko rozpuścić informacje po komendach wojewódzkich, by zwiększono obserwację cinkciarskiego półświatka. Tylko, że na skutek takich działań trzeba czekać nawet rok.

Obejrzał szopę, gdzie stał wcześniej samochód, którym na miejsce akcji przyjechali esbecy, ale i tu nie natrafił na nic interesującego. Przed bramą, na śniegu widać było jeszcze wyraźne ślady stóp prowadzące od strony zawalonej stodoły. Porucznik poszedł w tamtym kierunku. Po zwalonych belkach dostał się do środka, przechodząc przez maskę traktora. Zauważył, że nie był pierwszym, który pokonywał tę trasę w ten sposób. Świadczyły o tym ślady zbitego i zmarzniętego śniegu na błotnikach i stopniach prowadzących do szoferki. Śnieg mógł tam zostać przyniesiony tylko na czyichś butach, bo gdyby nawiał go tu wiatr, wyglądałby zupełnie inaczej. Ten był brudny i zbrylony, a nie świeży i biały.

– Ktoś tu przede mną chodził – pomyślał Marcinkowski. – Tylko po co?

Kapral Grzechu Kowal chętnie by wypił, ale rozsądek zwyciężył. Droga, którą mieli niedługo wracać, była paskudna. Nic nie wskazywało na to, żeby mróz zelżał, a ciężkie chmury za oknem mogły w każdej chwili sypnąć śniegiem. Powrót do Poznania w tych warunkach wcale nie był bezpieczny. No i jeszcze ta poranna kraksa. Nie żeby nie wierzył w swoje umiejętności, skąd, on wiedział, że jest dobrym kierowcą, ale po tym, jak rano wjechał do rowu, teraz wolał dmuchać na zimne. Jeśli coś miałoby się jeszcze zdarzyć, to lepiej być zupełnie trzeźwym. To wszystko przekonało go, że nie ma co ryzykować. Olkiewiczowi powiedział, że wypije, i owszem, ale dopiero po powrocie.

Chorąży tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Brodziaka.

Ten nie odmówił. Teofil nalał więc bimbru do dwóch szklanek, które zna-

laży w kredensie. Sierżant Makula sam przyniósł sobie szklanę, bo Olkiewicz o nim nie pomyślał.

– Tam w sieni jest skrytka, a w niej jeszcze parę butelek tego bimbrowa.
279

– pochwalił się swoim znaleziskiem Teofil – to będziesz se mógł wziąć do domu i wypić po robocie.

– Nie ma co pić przy takiej pogodzie, jak mam was cało dowieźć do Poznania – mruknął Kowal.

– Ale mocny. – Brodziak wykrzywił usta, a potem otarł je wierzchem dłoni. Zaraz sięgnął po paczkę radomskich, które leżały na stole, żeby choć papierosowym dymem zagryźć smak alkoholu.

– Będzie z pięćdziesiąt procent – pochwalił wyrób nieboszczki Wyrwasowej znawca wódczanych smaków Olkiewicz. – Miała baba rękę do bimbrowa. Szkoda jej. Teraz mało kto już potrafi taką gorzkość robić. Bałtycka to może się przy tym schować.

Do kuchni wszedł Marcinkowski, głośno tupiąc, by otrzepać śnieg przylepiony do butów. Spojrzał na swoich podwładnych siedzących przy butelce wódki.

– Widzę, że coś jednak znaleźliście – uśmiechnął się do nich.

– Piętnaście sztuk, panie poruczniku.

– No to nalejcie mi na rozgrzewkę małego, bo przemarzłem na kość.

Olkiewicz natychmiast spełnił życzenie dowódcy i napełnił do połowy swoją, opróżnioną przed chwilą szklanę. Porucznik podszedł do stołu i chwycił naczynie w rękę.

– Trzeba zapalić papierosa, bo nic na zagrychę nie ma – powiedział podporucznik, wyciągając w stronę Freda paczkę swoich radomskich. Marcinkowski wziął jednego, odstawił szklanę na stół i sięgnął po pudełko zapalek. Wypaloną zapalkę odłożył do pełnej petów puszki po paprykarzu.

– Co to, paliliście marlboro? – zdziwił się, patrząc na puszkę z petami.

– A skąd – odpowiedział Olkiewicz. – To tutejsze pety.

– Panie Teoś, poszukaj pan jakiejś gazety.

– A po co? – zdziwił się chorąży.

– Musimy zapakować te pety.

– Chce pan z wykruchów robić skręty? – Teofil popatrzył zdziwiony na porucznika, nic nie rozumiejąc.

– Skręty? Nie. – Marcinkowski zaśmiał się. – Ale na pewno mogą się nam przydać – powiedział i zadowolony wypił swoją porcję bimbrowa.

280

Godz. 14.15

Kobieta mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Miała na imię Wioletta. Tak mu się przynajmniej przedstawiła, gdy witali się w drzwiach jej mieszkania. On powiedział, że nazywa się Jan Kowalski. Była szczupłą brunetką o wielkich piersiach, które, miał przynajmniej takie wrażenie, w każdej chwili mogły eksplodować, rozsadzając napiętą do granic możliwości czerwoną obcisłą bluzkę. Patrzyła na niego, uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem. Nie bardzo chyba wiedziała, jak powinna się zachowywać. Widziała go przecież po raz pierwszy w życiu, nic więc dziwnego, że nie mieli o czym ze sobą rozmawiać. Kobieta postawiła przed chwilą na ławie tuż przed nim szklanę herbaty z torebką ekspresową zanurzoną we wrzątku. Patrzył teraz, jak brązowa smuga wolno opada na dno przezroczystego naczynia. Cisza, jaka zapadła, gdy ona usiadła naprzeciw na tapczanie, była krępująca i oboje dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Teraz tylko ktoś musiał zacząć, rzucić jakąś zdawkową uwagę, bo o polityce to raczej nie ma co gadać – pomyślał Markowski.

– No to mamy wojnę. – Wioletta uśmiechnęła się. Pochyliła się nad swoją szklanę i wydobyła z niej mokry papierowy woreczek.

– No właśnie – odpowiedział głupawo Markowski.

– A panowie to bynajmniej długo się znacie? – zapytała.

– No, niezbyt.

– Aha.

Znowu zapadła cisza. Słychać było tylko tykanie starego przedwojennego zegara, który wisiał na ścianie obok oprawionego w złoczone ramy oleodruku.

– Nie za długo – poprawił się.

– Aha. Bo ja myślałam, że długo. Znaczy się, jak żeście tu przyszli, to on mi powiedział, że jesteście koledzy.

Markowski uśmiechnął się niewyraźnie. No właściwie to są kolegami.

W końcu razem pracują dla dobra sprawy. Ale to nie przyjaźń ich łączy, a jedynie zbieg okoliczności. Nie ma sensu tłumaczyć tego tej cycatej Wioletce, bo i tak nie zrozumie. A zresztą im mniej wie, tym lepiej. Niech

281

no tylko ten, tam za ścianą, co leży w jej łóżku, wyśpi się i zupełnie wytrzeźwieje i ta pani będzie miała kłopot z głowy. Znikną tak nagle, jak przyszli.

To, że znaleźli się w tym mieszkaniu w bloku przy Kościuszki, to był pomysł Mazurkiewicza. I właściwie Mazurkiewicz postawił go przed faktem dokonanym. Gdy wsiedli do tramwaju, spokojnie dał się usadzić na pojedynczym krzesełku. Nie minęła nawet minuta, gdy spał już w najlepsze. Tak przynajmniej wydawało się Markowskiemu, który stał nad nim, uważnie przyglądając się temu, co dzieje się na ulicach. Tramwaj przemierzył szeroką, porośniętą starymi kasztanami aleję Wielkopolską, skręcił w prawo na Puławskiego i stanął na przystanku koło kolejowego wiaduktu. Gdy drzwi się otworzyły, śpiący Markowski zerwał się z siedzenia i nie zwracając najmniejszej uwagi na swojego towarzysza podróży, wybiegł na ulicę. Markowski wyskoczył za nim i chwycił go mocno za kołnierz. Zdziwiony uciekinier obrócił się.

– Już mówiłem, że nie zamawiałem taksówki, panie kierowco

– wybełkotał niewyraźnie.

– Kurwa, panie Mazurkiewicz, ja nie jestem taryfiarzem – zdenerwował się Markowski.

– Nie?– zdziwił się.–No to pan pozwoli, że się pożegnám, gdyż bardzo się śpieszę, bo jestem umówiony w bardzo pilnej sprawie rodzinnej. – Powiedziawszy to, odwrócił się i chciał sobie pójść.

Na to jego opiekun nie mógł się zgodzić. Złapał go za rękę i ścisnął z całej siły. Mazurkiewicz najpierw się zdziwił, a później wrzasnął głośno. Łoskot odjeżdżającego tramwaju zagłuszył jego krzyk i nikt ze stojących na przystanku nie zwrócił najmniejszej uwagi na to zajście. Zwrócił za to baczniejszą uwagę na Markowskiego pijany Mazurkiewicz.

– Ale o co chodzi? Panie, coś pan się do mnie przyczepił – wyjęczał zdziwiony.

– Słuchaj.– Chwycił go drugą ręką za kark i mocno przyciągnął do siebie jego głowę. – Jestem z Zarządu Regionu, rozumiesz? Region przyśłała mnie do ciebie z poleceniem przelewu. Rozumiesz polecenie przelewu? A poza tym przywiozłem cię właśnie do Poznania samochodem zalanego jak świnię i właśnie przed chwilą ledwie wyrwaliśmy się z milicyjnej

282

zasadzki, a samochód, co nim jechaliśmy, rozpierzdzielił się. Więc przestań mnie już wkurwiać, bo inaczej pogadamy. Rozumiesz?

Mazurkiewicz gwałtownie odsunął się od trzymającego go mężczyzny. W jego spojrzeniu przez chwilę można było dostrzec strach pomieszany z niedowierzaniem. Potem uśmiechnął się niepewnie, jakby coś sobie nagle przypomniał.

– Tu obok mieszka moja znajoma. Chodźmy tam, to pogadamy – zaproponował, a Markowskiemu zdawało się, że mówi całkiem do rzeczy, jakby nagle wytrzeźwiał.

Ludzie stojący na przystanku zajęci byli własnymi sprawami. Każdy czekał, kiedy przyjedzie tramwaj, który powiezie ich w kierunku centrum miasta. Jeden z oczekujących jeszcze przed chwilą chciał też jechać w stronę Dąbrowskiego, jednak jego uwagę zwrócili dwaj mężczyźni, którzy dopiero co wysiedli z tramwaju. Normalnie nie zwracał najmniejszej uwagi na pijaków, ale tym razem, gdy kątem oka dostrzegł te dwie sylwetki, coś kazało mu się przyjrzeć im bliżej. Jeden z tych dwóch wydał mu się znajomy. Feliks Michalak wracał właśnie do domu ze swojej działki. Kilkadziesiąt metrów stąd, naprzeciw stadionu AZS, były pracownicze ogródki działkowe. Działkowcy rzadko zimą odwiedzają swoje ogródki, bo nie ma tam, o tej porze roku, nic ciekawego do roboty. Michalak jednak musiał jeździć na działkę codziennie. Od kilku lat hodował na niej króliki.

Przy tylnej ścianie niewielkiej altanki, w której uwielbiał przesiadywać, gdy było ciepło, dobudował trzy piętra drewnianych klatek na króliki. Zaczynał od jednej pary, a w tej chwili w dwunastu niewielkich klatkach miał już trzydzieści króli. To znaczy miał do dzisiaj. Bo rano było ich trzydzieści, a teraz zostało tylko dwadzieścia dziewięć. Jeden pozbawiony głowy i ze ściągniętą skórą leżał teraz w siatce, którą Michalak trzymał w ręce. Feliks z radością myślał o tym, jak będzie wyglądał jutrzejszy obiad, którego głównym daniem miała być pieczeń z królika. Myślał o tym do chwili, w której zauważył tych, co wysiedli z tramwaju. Gdy przysunął się trochę bliżej, mimo słabego wzroku i niezbyt dobrze dopasowanych szkieł w okularach, poznał go od razu. Tym wyższym facetem był jego zięć, Mazurkiewicz, co miał się ukrywać przed milicją. Za-

283

miast się ukrywać, obściskował się nachlany z jakimś innym gnojkiem. W pierwszej chwili Michalak chciał podejść do nich i nawymyślać zięciowi. Powiedzieć, co dzieje się z jego córką, czyli żoną Mazurkiewicza. Ale coś go tknęło. Jakieś przeczucie czy coś? Gdy zobaczył, że obaj mężczyźni ruszają z przystanku i idą pod wiadukt, ruszył za nimi. Po chwili minęli szpital na Spornej, a gdy przeszli Stalingradzką, Michalak miał już pewność. Ten Mazurkiewicz ukrywa się u tej swojej dziwki, tej zdziry, dla której kiedyś zostawił jego córkę. Trwało to kilka miesięcy, a potem wrócił do swojej żony. Michalak nie mógł zrozumieć, dlaczego ona mu wybażyła. Tłumaczyła rodzicom, że wszystko się ułożyło, on zostawił tę swoją kochankę i wszystko już będzie dobrze. A tymczasem on teraz znowu jest u niej... Odprowadził ich niemal pod same drzwi do klatki schodowej bloku przy Kościuszki. Musiał się upewnić. Wiedział dobrze, gdzie mieszkała jego flama, bo ten adres nieraz padał podczas rozmów w jego domu, kiedy Mazurkiewicz wyprowadził się od ich córki. Gdy zniknęli w wejściu, miał już pewność. Postąpił jeszcze przez chwilę na ulicy, a potem powoli powlókł się do domu.

– Trzeba będzie powiedzieć żonie – pomyślał rozgorączkowany i zrobiło mu się nie wiedzieć czemu żal tego królika, którego dźwigał w szmacianej czerwonej siatce.

– Całe szczęście, że mnie panowie zastaliście w domu – szczebio tała Wioletta, która już się rozkręciła, a początkowe skrępowanie gdzieś kompletnie uleciało. – Romek – znaczy się pan Mazurkiewicz – ta'k nagle zniknął, będzie już parę dni temu, że już się bałam, że coś się stało złego, że nawet na milicję chciałam chodzić i zapytać, ale mi Gośka, moja koleżanka, co pracuje w Okrąglaku na obuwniczym, bo ona jest moją naj lepszą koleżanką, to mi powiedziała, że bym tam nie chodziła, bo mnie jeszcze przykna na komendzie, jak tych wszystkich do internatu. A proszę co za niespodzianka. Nawet z początku to się trochę przestrażyłam, jak was zobaczyłam w drzwiach, bo się pomyślałam, że pan jest z milicji i jego tu przyprowadził nie wiadomo po co, na tą niby jakąś konfrontację, czy go rozpoznaję czy jak. Ale jak się odezwał, że wszystko jest w porządku, bo pan kolega z wojska, to mnie strach odpuścił. A pan to

284

niby dobrze się zna z Romkiem? Bo my się znamy od dawna, ale on nic nie mówił o panu. – Spojrzała na niego, jakby czekając na jakieś wytłumaczenie. Jednak widząc, że gość nie zamierza nic tłumaczyć, ciągnęła dalej: – No bo ja to niby znam wszystkich znajomych jego, ale nie tak do końca, bo co poniektórych to tylko ze słyszenia, dlatego mówię, że Kowalskiego to tylko Mariana znam, ale on nie jest znajomym Romka, tylko moim znajomym, bo myśmy razem do klasy chodzili, jeszcze w podstawówce, ale teraz to już wcale nie wiem, gdzie on się obraca. A pan to może jego jakiś krewny, bo nazwisko takie same?

– Nie, nie znam go.

– Aha. Bo panowie to z Romkiem w wojsku razem byli, a ten Marian to był taki bulaj, że do wojska go nie wzięli. To z wojska też się nie możecie znać, ha, ha – zaśmiała się i odgarnęła lok, który co chwila opadał jej na czoło.

– Wiołka, to ja teraz z kolegą pogadam o starych karabinach, a ty może skoczysz gdzieś po jakąś butelczynę.

Oboje siedzący w pokoju spojrzeli w stronę sypialni. W drzwiach stał

uśmiechnięty Roman Mazurkiewicz. Wyglądał jakby był zupełnie trzeźwy.

ROZDZIAŁ XI

Godz. 16.30

Sierżant Makula czuł się jak idiota. Jeszcze dziś rano, gdy szedł do pracy, miał nadzieję, że będzie to jeden z najpiękniejszych dni w jego życiu. Miał w areszcie faceta, którego szukała Komenda Wojewódzka i był przekonany, że nie minie go za to jakaś nagroda. Tymczasem wszystko nagle zaczęło się walić. Aresztant został wypuszczony przez tego debila Maculę, no a potem to już była kompletna katastrofa. Znalazł go w Pamiątkowie w samochodzie esbeka, który wcale nie był esbekiem tylko jakimś kolejnym przestępcą. No i ten gnój nie dość, że go jeszcze nabrał, to w dodatku kazał mu trzymać gębę na kłódkę. No i on zgodnie z rozkazem trzymał, bo rozkaz to był rozkaz i szlus. Bo w końcu skąd mógł wiedzieć, że ten, co był niby z SB, wcale z SB nie był. I on, doświadczony milicjant sierżant Makula, zgodnie z tym fałszywym rozkazem nie chciał nic powiedzieć prawdziwym milicjantom z Komendy Wojewódzkiej, co przyjechali do Szamotuł. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że kolejny raz dał się zrobić w konia przez tych milicjantów. Wyjaśnili mu to w nysce, jak jechali z Pamiątkowa do Poznania. On cały czas był przekonany, że wtedy w komendzie szamotulskiej rozmawiał rzeczywiście z komendantem wojewódzkim. Powiedział później w aucie do tego łysawego chorążego Olkiewicza, że trochę się boi, bo wojewódzki może go tam w Poznaniu, jak przyjadą na miejsce, wezwać do siebie i opierdolić za to, że musiał osobiście zdejmować z niego tę tajemnicę. No i wtedy Teofil Olkiewicz powiedział mu, śmiejąc się jak ropucha, żeby się nic nie bał, bo ten, z kim rozmawiał przez telefon, to wcale nie był komendant tylko on, znaczyten Olkiewicz, który

286

gadał z nim z drugiego aparatu po wewnętrznej linii. I że go zrobili w jajo, bo inaczej musieliby mu do jaj przyczepić akumulator, tak był rozkazem przyblokowany.

No i dlatego sierżant Makula był kompletnie załamany. To znaczy byłby załamany, gdyby nie Olkiewicz. Bo w nysce obaj siedzieli na tylnych siedzeniach i chorąży co chwila popijał z butelki zarekwirowanej u tej Wyrwaski. A widząc, że Makula ma niewyraźną minę, zaczął go częstować i tak przez tę godzinę drogi prawie udało mu się zalać poczucie winy. Pozostało tylko jakieś niewyraźne poczucie wstydu, ale na szczęście nie miał zbyt wiele czasu zastanawiać się nad tym. Bo gdy przyjechali na Kochanowskiego, porucznik Marcinkowski posadził go za biurkiem w swoim pokoju i kazał przeglądać zdjęcia. Było tych katalogów z oprawionymi zdjęciami jakichś zakazanych ryjów kilkanaście sztuk, a on musiał przejrzeć wszystkie. Porucznik powiedział mu, że ma się zrehabilitować i wskazał tego, który podawał się za kapitana Wirskiego. No to teraz siedział i szukał, ale żaden z tych pysków nie pasował do tego, który wstrychnął go na dudka. Patrzył na te fotki już drugą godzinę, ale poszukiwanie jak na razie nie przyniosło żadnego efektu.

Siedział w pokoju zupełnie sam, bo porucznik poszedł na spotkanie z szefem swojego wydziału, a Olkiewicz z Brodziakiem, zaraz po tym jak ich dowódca wyszedł, też gdzieś przepadli. Zabrali torbę z butelkami zarekwirowanej wódki i powiedzieli sierżantowi, że idą ją odnieść do depozytu. Nawet się trochę zdziwił, że taki bimber oddają do depozytu, i że w ogóle jest tu jakiś depozyt. No ale to była w końcu Komenda Wojewódzka i pewnie panowały tu inne zwyczaje niż w Szamotułach.

Znużony przeglądaniem zdjęć wstał od biurka, żeby rozprostować kości. Przeciągnął się, wyjął klubowego z kieszeni i zapalił. Przechadzając się po pokoju, przystanął przy słomiance, na której prócz ozdobnych proporczyków gospodarze tego pokoju przyczepiali jakieś bieżące papiery i zdjęcia. Zaczął im się przyglądać z zupełną obojętnością, gdy nagle wśród twarzy osób poszukiwanych zauważył jakieś znajome rysy. Spojrzał uważniej i zaraz przetarł oczy ze zdumienia. Przez chwilę nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Na zdjęciu przyczepionym na skraju słomianki był jego esbek, to znaczy nie esbek, ale ten, kto udawał

287

esbeka. Szybko przeczytał podpis: ...Markowski Kazimierz, syn Stanisława, urodzony...

– No to mam cię, kutasie – powiedział do siebie uradowany sierżant Makula. Tak się ucieszył, że z radości aż klepnął się w udo. Przez chwilę nawet pomyślał, że może ten awans nie jest taki nierealny, ale zaraz potem odgonił tę głupią myśl. W końcu nie służył dla awansów i nagród, ale dla dobra... Zastanawiał się przez chwilę dla dobra czego, ale w końcu machnął ręką, bo nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

Godz. 17.00

– A słyszałeś, że milicji nawiał jeden z „Solidarności”, jak go przewozili z przesłuchania na Młyńską? – zapytał Mietas Kalisiak swojego kolegę Edę Mrugałę, który właśnie dosiadł się do jego stolika w pijalni przy Półwiejskiej.

Eda przyniósł z bufetu dwie brązowe butelki do połowy napełnione wódką gastronomiczną i zabarwione dla niepoznaki oranżadą. Mimo że kierownikowi udało się załatwić w rozlewni należącej do WPHW kilkanaście beczek piwa, to jednak od czasu jak znaj omym pij akom zaczął serwować koktajl oranżadowy, ilość sprzedawanego tu piwa znacznie się zmniejszyła. Jednym z powodów była cena koktajlu. Butelka mieszanki kosztowała niemal tyle, co dwa piwa, a moc tego trunku znacznie przewyższała moc piwa poznańskiego. Drugi powód miał naturę czysto logistyczną. Kierownik sprzedawał jedną beczkę raz na trzy godziny. Chodziło mu o to, by piwo było w ciągłej sprzedaży przez cały dzień. Bo gdyby sprzedawano je w sposób ciągły, zapas wystarczyłby zaledwie na dwa dni. W ten sposób piwo w pijalni było, a w chwilach, gdy go brakło, to znaczy, gdy wstrzymywano sprzedaż, klienci natychmiast przerzucali się na oranżadę.

– Też, pierdolisz. Jak im dał dyla? – zainteresował się Eda.

– Wiara gada, że facet załatwił czterech szkiełów, zabrał im giwery i nawiał. To było gdzieś koło opery. Tam go później szukała i milicja, i wojsko, ale ten, co zwał, widać nie był głupami futrowany. A jeden z tych szkiełów tak dostał w tytę, że go do szpitala odwieźli.

288

– Łe, to musi być jakiś niezły wywijas. I czterem dał radę sam jeden, w pojedynkę? – powiedział z uznaniem Eda, popijając oranżadę.

– Bo ponoć on jest były komandos z czerwonych beretów. Tak wiara powiada. Jak się odwinął temu szkiełowi, co go prowadził w kajdankach, to z onego nie było co zbierać. Z ryja mu zrobił sznekę z glancem i szlus. Zabrał mu gnata i tamtych drugich też porozstawiał jak klonkry w sklepie. Gadam ci, że nie było komu go gonić, bo wszystkim natrzaskał. Pognali za nim dopiero żołnierze, co se łapy grzali przy kosioku na Fredry, ale go nie dopadli. Za dobry był dla nich.

Mietas chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej chwili zauważył, że drzwi do baru otwierają się i wchodzi do środka facet, którego dobrze znał, bo mieszkali w jednej kamienicy na Wildzie. Wiedział, co prawda, że ten Olkiewicz nie jest jakimś kapusiem i na wiarę znajomą nie donosi, ale diabli go tam wiedzą, zwłaszcza teraz, jak zaczęła się ta wojna. A poza tym z Teofilem wszedł do knajpy jakiś młody rudzielec. A ten wyglądał na takiego, co to może się nie wiadomo o co dopieprzyć.

– Cicho tera – syknął do swojego kolegi. – Przylazł ten szkieł Olkiewicz z jeszcze jakimś szczonem.

Eda ze zrozumieniem kiwnął głową i pochylił się nad swoją butelką oranżady.

Szkieł Olkiewicz postanowił wziąć edukację młodego podporucznika w swoje ręce. Ten młody niemal od razu przypadł mu do gustu. Wychowany tak jak on w starej części Poznania, na pierwszy rzut oka robił wrażenie podwórkowego rojbra. Poza tym, a to było dla Teofila niezwykle istotne, chłopak lubił wypić, choć na razie robił to jeszcze niezbyt wprawnie. Brak umiejętności nadrabiał jednak młodzieńczym entuzjazmem. Dlatego dziś, gdy skończyli już służbę i Marcinkowski puścił ich do chaty, zaproponował młodemu, że znowu po drodze wdepną na małe piwko na Półwiejską. Brodziak początkowo nie bardzo miał ochotę, mówił coś, że miał się dziś spotkać z jakąś dziewczyną, ale Olkiewicz szybko go przekonał.

– Jak pójdziesz się spiknąć ze swoją mela, to będziesz musiał wydać bejmy na jakieś smutne wino, a tak możesz pójść ze mną i nic nie wydasz,

289

a się piwa napijesz, ile będziesz chciał, albo i czego innego. A potem możesz se do niej pójść, ale co wychlejesz wcześniej to twoje. Tak naprawdę nie trzeba go było specjalnie namawiać. Ten argument o dziewczynie to był tylko wybieg. On nie bardzo chciał iść, bo bał się, że następnego dnia będzie miał znowu kaca, tak jak dzisiaj i wczoraj. Odkąd poznał się z Olkiewiczem, pili właściwie cały czas. Nie żeby mu to specjalnie przeszkadzało, bo Miras lubił sobie wypić, ale tak ciągle, jak Olkiewicz, to była lekka przesada. Jednak z drugiej strony chłodne piwo z beczki i do tego jeszcze bez wydawania pieniędzy...

Okazało się, że kierownika Kajzerka nie ma w pijalni, więc dziś dla odmiany usiedli przy wolnym stoliku na sali. Teofil tylko machnął na barmana i już po chwili stały przed nimi dwa kufle poznańskiego. Pozostali goście patrzyli na nich i ich piwo z nieukrywaną zawiścią, ale wiedzieli dobrze, kim jest Olkiewicz i że ma tu specjalne przywileje. Musieli więc obejść się smakiem i cierpliwie czekać, aż minie ustalony czas i piwo znów będzie w sprzedaży dla zwykłych gości.

– Nie ma to jak zimne piwko po pracy – uśmiechnął się Teofil Olkiewicz, wypijając pierwszy łyk złocistego płynu.

Godz. 19.20

Kapitan Karpiński był zły, że musiał jeszcze raz przychodzić dziś do pracy. Najpierw wkurzył się, gdy Marcinkowski poinformował go o niepowodzeniu akcji, ale pocieszyła go świadomość, że zatrzymanie bankiera nie udało się też kolegom z SB. Z tym Wirskim i jego legitymacją służbową, którą posługiwał się ktoś inny, to była jakaś zagadkowa sprawa i na początku nie mieli jeszcze pewności, czy to nie jest jakiś podstęp bezpieczniaków. No bo kierowcą mógł być przecież któryś z nich, z esbeków, ktoś, kto nie wiecie czemu, posłużył się legitymacją Wirskiego. Później jednak sprawa się zagmatwała, gdy dostali informację o rozbitym milicyjnym fiacie, który uciekał przed patrolem wojskowym. Milicjanci dostali natychmiast od WSW raport w tej sprawie z opisem zdarzenia i numerami fiata. Sprawdzono, kto z niego korzystał i okazało się, że niejaki kapitan Wirski. Potwierdził to zresztą, podając takie nazwisko żołnierz, 290

który próbował wylegitymować kierującego fiatem. Co więcej, żandarmi mieli nawet jego legitymację służbową, którą odebrali mu podczas kontroli dokumentów. Tyle że zgodnie z raportem dowódcy patrolu wojskowego, tego, który tę legitymację zatrzymał, Wirski ze zdjęcia w legitymacji nie był tym, którego zatrzymał na blokadzie. Mężczyzna, który jechał fiatem, był kimś zupełnie innym.

Karpiński z Marcinkowskim ułożyli więc sobie bardzo szybko całą układankę. Wirski dopadł poszukiwanego bankiera w Pamiątkowie, ale ktoś mu go sprzątnął sprzed nosa, zabierając jeszcze legitymację i samochód. – Czyli pełna kompromitacja dla kolegów z SB, proszę ja ciebie – cieszył się kapitan. – Pozostaje tylko pytanie, kim jest ten gość, który załatwił esbeków.

Dotąd zbiega widziały dwie osoby: milicjant z Szamotuł, któremu Marcinkowski kazał przeglądać zdjęcia bandziorów, i żołnierz z patrolu przy szkole wojsk pancernych. Z zeznań ich dwóch można było spróbować zrobić portret pamięciowy. Ale to dopiero jutro, bo rysownik z poznańskiej KW pojechał dziś do komendy w Pile rysować jakiegoś groźnego przestępcę, który pobił tam dwóch milicjantów na służbie i teraz szukała go cała pilska milicja.

Pozostawał jeszcze sierżant z Szamotuł. Marcinkowski nie bardzo wierzył, że Makula natrafi na jakiś ślad, przeglądając kartotekę przestępców kryminalnych. Uważał, że ten gość, który sprzątnął im bankiera sprzed nosa, to raczej ktoś nienotowany, kto ze światem przestępczym nie miał dotąd nic wspólnego. Porucznik nie chciał jednak zaniedbać żadnej możliwości, dlatego posadził sierżanta w swoim pokoju i kazał mu pa-trzeć w te zakazane ryje. Nie spodziewał się, że efekt będzie taki szybki. Gdy wyszedł z biura kapitana Karpińskiego, poszedł najpierw na stolówkę zjeść obiad. Dzisiaj było jajko w sosie musztardowym z pyrami, więc jedzenie nie polepszyło mu byle jakiego humoru. Potem pokręcił się jeszcze trochę po komendzie, pogadał z kolegami z obyczajówki o pierdołach i dopiero po jakiejś godzinie wrócił do swojego pokoju. Tam cze-

kał na niego rozpromieniony i radosny jak skowronek sierżant Makula.
– Mam tego kutasa, panie poruczniku. – Zerwał się z miejsca na widok Marcinkowskiego, machając jakąś kartką. Fred podszedł do niego i ze 291

zdumieniem przyjrzał się twarzy przedstawionej na zdjęciu przyklejonym do listu gończego.

– Jesteście pewni, sierżancie? – zapytał, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– No to on jest ten facet, co siedział w tym aucie. Jak Boga Kocham znaczy się na mur beton to jego gęba.

No i Marcinkowski chcąc nie chcąc, musiał posłać samochód po kapitana Karpińskiego, który teraz, patrząc w twarz z listu gończego, siedział niezadowolony przy swoim biurku. Niezadowolenie brało się stąd, że jeszcze pół godziny temu planował sobie spokojne popołudnie w swoim domu. Założył już spodnie od dresu i laczki, i zamierzał włączyć telewizor. Z kuchni dochodził zapach rosołu, który gotowała żona, a w podświetlanym barku segmentu Kowalskich stała butelka podobno niezłego bimbrowy, który ze swojej nieudanej akcji przywiózł mu Marcinkowski. Dlatego popołudnie zapowiadało się całkiem przyjemnie, mimo że w telewizji nie nadawali niczego interesującego. No i wtedy przyjechał po niego radiowóz z informacją, że Marcinkowski zidentyfikował poszukiwanego. Nie miał wyjścia, musiał wrócić na komendę, bo gdyby nie było w tym niczego nadzwyczajnego, to jego porucznik nie zawracałby mu gitary. Klnąc na czym świat stoi, ubrał się i pojechał. Teraz siedział za biurkiem zły, ale powoli złość przerażała się w niedowierzanie, a zaraz potem zastąpiła ją prawdziwa euforia.

– Ja pierdolę, ja pierdolę... proszę ja ciebie – mamrotał z niedowierzaniem Karpiński. – To jest ten facet, to ten, co ci go kazałem szukać. Wiesz, jak to się nazywa? – Spojrzał na siedzącego na krześle po drugiej stronie biurka Marcinkowskiego. – To się nazywa milicyjna intuicja. Ja wiedziałem, proszę ja ciebie, że to się może jakoś wiązać, dlatego ci kazałem to włączyć do śledztwa.

Marcinkowski uśmiechnął się niewyraźnie. Wiedział, że z tą intuicją to lipa, żadnej intuicji tu nie było. Kazał mu włączyć tego Markowskiego do śledztwa, bo tak było wygodnie i dzięki temu śledztwo kryminalne nabierało pozorów sprawy politycznej. Ale mniejsza o to. Przypadek sprawił, że kapitan miał rację i teraz należało się zastanowić, co można zrobić w tej sprawie.

– Samochód jest w Poznaniu, to znaczy, że Markowski jest też w Poz- 292

naniu. Gdzieś się musiał tu zamelinować razem z tym Mazurkiewiczem – analizował głośno sytuację Karpiński, Może to oznaczać, że odbierze od niego schowane pieniądze i później go sprzątnie, tak jak tych dwóch pierwszych bankierów i kuriera. A propos kuriera, był u mnie ten porucznik, jak on tam się nazywa, Mirecki, co prowadzi sprawę zastrzelonego kuriera, co go znaleźli w śmietniku na Jackowskiego.

– I co wymyślił tym razem? – zainteresował się Marcinkowski.

– Że skoro ten zastrzelony był pederastą, to były to porachunki tego środowiska i w tej sytuacji trzeba przesłuchać wszystkich ludzi o takich skłonnościach, także spośród internowanych, bo według niego sprawa ma charakter rozwojowy i polityczny.

– Niestety, jest to kompletny cymbał. Tacy kretyni nam szkodzą...

– No właśnie też tak pomyślałem, proszę ja ciebie, i dlatego zabrałem mu to śledztwo. On powinien nadzorować patrole dworcowe, a i to nie jest pewne, czy tam by czegoś nie nabroił. W tej sytuacji mamy chyba sprawę prawie wyjaśnioną. Markowski zabija swojego sąsiada, tego drugiego z ulicy Nad Wierzbakiem też. Wcześniej załatwia kuriera, od którego dowiaduje się, kto jeszcze ma pieniądze, i jego też zabija, no i jeszcze na koniec załatwia sierżanta Kmieciaka, żeby dowiedzieć się, gdzie jest Mazurkiewicz. Wszystko się pięknie składa, proszę ja ciebie. – Zadowolony z siebie kapitan zatarł ręce. – No i co o tym myślisz? – Spojrzał tryumfalnie na porucznika.

– Wszystko niby jest w porządku – odpowiedział Marcinkowski – ale coś mi tu nie pasuje. Sąsiada, owszem, mógł zastrzelić, ale tego drugiego to chyba nie bardzo, bo w czasie, kiedy go zastrzelono, Markowski już

siedział. Gdy byliśmy w mieszkaniu pierwszego zabitego, Markowskiego właśnie wsadzano, znaczy, myśmy wsadzali – poprawił się porucznik. Kapitan spojrział uważnie na swojego podwładnego. Te wątpliwości burzyły mu jego piękną koncepcję, więc nie bardzo był zadowolony z tego, że porucznik szuka dziury w całym.

– Może Nad Wierzbakiem był wcześniej? Stefan Tomczak, wojskowy emeryt, który ponoć słyszał strzały, mógł słyszeć coś wcześniej. Diableli go wiedzą. Może się pomylił, usłyszał, później zasnął... cholera go wie. Trzeba by to sprawdzić – kombinował kapitan.

293

– I jeszcze jedno – wtrącił się porucznik. – Wiem, że milicjanta Kmieciaka torturował i zastrzelił ktoś zupełnie inny.

– Kto? – zapytał z niedowierzaniem Karpiński.

– Nasz kolega z SB, Wirski.

– O kurwa – jęknął kapitan.

– Też tak myślę, obywatelu kapitanie.

Godz. 20.10

– Jak on mógł, ten skurwiel, mi to zrobić? A ja mu uwierzyłam.

Mówił, że z tą dziwką to już koniec, że nic go z nią nie łączy, że tylko mnie kocha... – Joanna zasłoniła oczy dłońmi i, oparłszy łokcie na blacie kuchennego stołu, zaczęła płakać. Czuła się nie tyle zdradzona, co zupełnie zawiedziona. To, co wyszło na jaw dzisiaj, to nie była zwykła zdrada. To było paskudne oszustwo. Bo taką zwykłą, podłą zdradę już przeżyła. Rok temu mąż powiedział jej, że ma kochankę i wyprowadza się z domu. Wtedy przyjęła to z godnością. Choć zawił się jej cały dotychczasowy świat, pogodziła się z tym, jakby z czymś zupełnie naturalnym, że teraz może liczyć tylko na siebie. Mazurkiewicz przeprowadził się do tej swojej dziwki, a ona zaczęła powoli sklejać rozbite fragmenty swojego życia. No i wtedy, gdy już wydawało się, że jakoś sobie ze wszystkim poradzi, on wrócił. Nie mogła go nie przyjąć z powrotem. Wybaczyła mu wszystko, bo bardzo chciała mu wybaczyć. Wydawało się jej, że teraz wszystko może już być tylko lepsze niż to, co było wcześniej. Ojciec przestrzegał ją, mówił, że nie powinna go wpuszczać za próg, ale ona była głucha na wszystkie argumenty. Chciała go odzyskać za wszelką cenę. I wydawało jej się, że odzyskała. Gdy jesienią porwany w wir pracy związkowej zaczął wracać do domu coraz później, nie zwróciła na to uwagi. Zresztą za każdym razem opowiadał jak drukowali do nocy ulotki, jak wyglądało jakieś solidarnościowe zebranie, kto przemawiał, kto się z kim spierał. Była przekonana, że on poświęca się całkowicie pracy, a tymczasem on spędzał wieczory u tej wyłoki. Wrócił do niej, a dziś ojciec potwierdził tylko to, o czym wcześniej bała się nawet pomyśleć.

294

– Nie płacz, Jasia – powiedział ojciec, głaszcząc ją po głowie. – nie płacz, Jasia – chciał ją pocieszyć, coś poradzić, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Gdy wrócił do domu, od razu opowiedział o wszystkim żonie. Uradzili natychmiast, że nie ma co ukrywać prawdy przed córką. Trzeba tę sprawę rozwiązać definitywnie, by oszczędzić jej dalszych rozczarowań. Ona przecież kolejny raz zaufała temu gnojowi, a on znowu ją oszukał. Zdecydowali, że trzeba jej o wszystkim powiedzieć. Miała przyjść do nich dzisiaj na kolację, więc gdy tylko się pojawiła, Michalak opowiedział jej o tym, co zobaczył. Przez chwilę miała nadzieję, że może ojciec się pomylił, że może to był ktoś inny. Ale fakty mówiły same za siebie. Poszedł za nim aż do jej mieszkania. Nie mogło być żadnej pomyłki, bo Joanna dobrze wiedziała, gdzie mieszka ta, która już raz odebrała jej męża.

Teraz siedząc w kuchni z wilgotnymi od łez oczami, gdy pierwszy ból minął, zaczęła myśleć bardzo logicznie. Postanowiła, że nie może więcej dać się tak poniżać. Musiała zacząć działać, a okazja do zemsty sama pchała się w ręce. Trzeba ją więc wykorzystać.

Wyprostowała się na krześle i twardo spojrzała na matkę siedzącą naprzeciwko.

– Nie dam sobą już pomiatać, mamó – powiedziała, patrząc Michalakowej prosto w oczy.

Matka chciała coś powiedzieć, ale uprzedził ją ojciec.

– Bardzo dobrze, Jasia, bardzo dobrze. Trzeba z tym dziadem raz na zawsze skończyć. Ino żebyś się nie odmyśliła. On nic niewart jest. To zwyczajny wywijas, a tacy się nie odmieniają.

– A niech go szlag trafi, popamięta mnie jeszcze – powiedziała, uderzając drobną pięścią w stół.

Godz. 20.25

Mieli wejść tylko na jedno piwo i ewentualnie seteczkę. Ale jak zwykle nie udało się. Po pierwszym piwie było drugie, potem trzecie i tak dalej. W końcu Olkiewicz powiedział, że ma dość piwska, bo już zaczyna łać

dalej niż widzi, i przechodzi na czyste paliwo. Brodziak nie chciał być gorszy od swojego starszego kolegi i już po chwili na ich stoliku pojawiły się butelki po oranżadzie, ale wypełnione w całości wódką. Teofil powiedział barmanowi, że nie ma się wygłupiać i rozcieńczać, tylko dać czystą, a oranżadę osobno na popitkę. Mimo trzech godzin w knajpie i wypicia dość pokaźnej ilości alkoholu, po Olkiewiczzu nie widać było prawie wcale skutków pijaństwa. Lata praktyki robiły swoje. Nie można było tego powiedzieć o podporuczniku Brodziaku, którego twarz zrobiła się czerwona, a spojrzenie lekko zmętniało. Mimo to dzielnie próbował dotrzymać kroku staremu pijakowi. Z góry jednak skazany był na porażkę i wszystko wskazywało na to, że porażka ta nadchodzi wielkimi krokami. Pierwszą jej zapowiedzią była czkawka, z którą młody oficer bezskutecznie walczył od kilku minut.

– Najlepiej na czkawkę to się przestraszyć – tłumaczył Brodziakowi Olkiewicz. – Bo to wstrzymywanie powietrza gównu daje...

Brodziak z sykiem wypuścił powietrze i czknał znowu.

– A nie mówiłem – zaśmiał się Teofil. – Ale jakbyś się czegoś przeląkł, od razu by odpuściła. – Po czym walnął z rozmachem młodego w plecy.

Mirek mało nie uderzył nosem w stół. Jęknął tylko z bólu, kaszlnął, a później wyprostował się nagle, jakby chciał przyjąć postawę obronną wobec spodziewanego rychłego powtórzenia ataku. Ale Olkiewicz nie zamierzał go atakować. Siedział uśmiechnięty, patrząc na zdziwioną gębę Brodziaka.

– No i mówiłem, że musisz się przestraszyć. Już po czkawce, co?

– Rzeczywiście – bąknął zdziwiony Mirek. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zauważył, że uśmiech z twarzy Olkiewicza zniknął momentalnie. Teofil spoglądał w stronę wejścia do pijalni. Brodziak odwrócił się i zobaczył idących w ich kierunku dwóch smutnych facetów.

– Możemy się przysiąc? – zapytał trochę zmieszany sytuacją porucznik Kurylak. Za jego plecami stał zwalisty Władziu, na którego twarzy trudno byłoby dostrzec jakiegokolwiek uczucia. Patrzył na obu siedzących z kompletną obojętnością, jak się patrzy na stary kupon gry liczbowej Koziołki.

296

-- Siadajcie, panienki. – Olkiewicz uśmiechnął się nieszczerze i obaj esbecy usiedli.

– Czego chcecie? – nastroszył się Brodziak. – Piwa już nie sprzedają, więc jak chcecie się napić, to przyszlście pod zły adres.

– Nie chcemy się napić i na pewno nie z wami – warknął Kurylak.

.– Mamy wam przekazać tylko informację, że kapitan Wirski chciał porozmawiać z waszym porucznikiem.

– Ja pierdzielę. – Teofil zaśmiał się. – Spierdoliliście akcję, a teraz szukacie pomocy? Facet wam uciekł i jesteście w dupie. No fajnie, co nie, Mirek?

– Słuchaj, Teoś, nie ma się co śmiać. Wyszło kiepsko i trzeba to naprawić, dlatego kapitan Wirski...

– Wirski czy jak mu tam to se może wezwać Marcinkowskiego i pogadać z nim, kiedy chce, nie? Co nam do tego? – wtrącił się Brodziak.

– Jak by mógł, to by go wezwał, ale jest wieczór i teraz nie da rady go wezwać, więc poprosił nas, żebyśmy go znaleźli. No tośmy przyszli, Teoś, do ciebie. Nie ma teraz czasu na gadanie o niczym. Trzeba działać, bo nam się gdzieś zaszyje ten gość.

– Żal mi was, chłopaki – kpił dalej Olkiewicz – bo jesteście dupy

wołowe. No ale dobrze trafiliście, bo to ja jestem łącznikiem między tymi dwoma śledztwami. Załatwię wam widzenie z porucznikiem, jeśli się zgodzi. – Twoja głowa, żeby się zgodził. A że jesteś łącznik, to my wiemy, tylko nie wiemy, czy jesteś jeszcze z SB, czy już kryminalny. – A co cię to tak interesuje? Mam swoje rozkazy i chuj ci do nich – zdenerwował się Teofil. Sam nie do końca wiedział, jak jest z nim naprawdę. Chciał być milicjantem od kryminalnej roboty, ale w zamian musiał podpisać cyrograf. Obiecał, że będzie dalej współpracował z dawną firmą. Na razie jako łącznik, ale wiedział, że na tym się nie skończy. Kto raz tam wszedł, zostawał już na zawsze. Nie miał z tego powodu większych skrupułów. W końcu to praca w ramach jednej instytucji. Miał tylko nadzieję, że w przyszłości będzie informował bezpiekę o prowadzonych w wydziale kryminalnym śledztwach, ale nie będzie musiał donosić na kolegów z wydziału. Ale z drugiej strony jak nie on, to zrobi to ktoś inny. Nie mogło być przecież tak, żeby w tak ważnym wydziale nikt nie informował

297
bezpieki o tym, co mówią i myślą pracownicy wydziału. Szybko przeanalizował więc sytuację i postanowił, że gdy wezwą go na rozmowę i każą pisać raporty o swoim nowym miejscu pracy, postawi sprawę twardo. Zgodzi się pod warunkiem, że ta dodatkowa praca będzie policzona jak nadgodziny i odpowiednio zapłacona. – Więc się odpiardol, Kurylak i nie zajmuj się moimi sprawami. Przyszedłeś załatwiać interes, to mów co z tym spotkaniem i kiedy.

– Kapitan proponuje wieczorem o dziesiątej tam, gdzie byliście wczoraj. Adres znacie, nie?

– Przekażemy porucznikowi – zdecydował Brodziak – tylko powiedz temu swojemu mięśniakowi, żeby nas wpuścił bez żadnych ksiutów. Godz. 20.30

– Powiedział, że pieniądze są dobrze zabezpieczone, ale oczywiście tylko te, które były u niego. O reszcie kasy nic nie wie. Mówi, że jego zdanem kasę musiała zgarnąć esbecja. Bo przecież byli u niego rano. Więc to pewnie oni zrobili i chcieli załatwić też jego, ale przyjechali za późno. Powiedział, że wywiózł go z Poznania jego szwagier, który pracuje w milicji. To on go ostrzegł i natychmiast zabrał do Pamiątkowa. No i ja go tam znalazłem, i powiem ci, że zrobiłem to w ostatniej chwili, bo właśnie arestowali go esbecy.

– Co ty powiesz? – zdziwił się Kazimierz Miler, działacz „Solidarności”, który zlecił Markowskiemu misję odzyskania pieniędzy. Spotkali się w kawiarni Tureckiej na Walki Młodych. Miler, zanim wysłał go na akcję, dał mu kontaktowy numer telefonu, pod który dziś zadzwonił Markowski. Umówili się właśnie w kawiarni, wychodząc z założenia, że takie miejsce nie powinno budzić niczyich podejrzeń. Dwaj mężczyźni rozmawiający przy kawie nie powinni stanowić obiektu zainteresowania dla milicji. Ta kawiarnia była jedynym miejscem w Poznaniu, jak twierdzili smakosze, w którym można było napić się dobrej kawy. Mimo kryzysu i braków w zaopatrzeniu, cały czas serwowano tu kawę i to nie była jaką. Zaparzano ją w niewielkich metalowych czajniczkach, które

298
po zalaniu wrzątkiem jeszcze ustawiano na ogniu do ponownego zagotowania. Podobno w ten sposób parzy się kawę w krajach Wschodu, ale mało który poznaniak wiedział to na pewno. Tych, którzy mieli wiedzę z pierwszej ręki, było jeszcze mniej, bo do krajów arabskich mogli jeździć tylko nieliczni pracownicy kontraktowi budujący drogi i mosty w Iraku czy Kuwejcie. Większość z nich jednak nigdy nie przekonała się, jak smakuje arabska kawa, bo będąc tam, nie opuszczali swoich baz i osiedli, by niepotrzebnie nie tracić ciężko zarobionych dolarów. Najważniejsze, że kawiarnia – z niewielkimi stoliczkami mającymi blaty z wzorzystej miedzianej blachy i wyściełanymi aksamitem ścianami stylizowanymi na modłę wschodnią – sprawiała wrażenie egzotyczne i pachniała tak, jak powinny pachnieć kraje Orientu – kawą Orient.

Obaj konspiratorzy usiedli w kącie sali. O tej porze, na chwilę przed zamknięciem było tu prawie pusto. Po przeciwległej stronie siedziała para młodych ludzi, a przy samym wejściu zajął stolik elegancko ubrany mężczyzna, który wszedł do kawiarni tuż przed Milerem. Z głośnika magneto-

fonu ukrytego gdzieś za draperią płynęła cicha, pobrzmiwająca dzwonekami i piszczałkami turecka muzyka. Usiedli celowo najbliżej miejsca, skąd dobiegały orientalne dźwięki, by uniemożliwić podsłuch tym, którzy mogliby chcieć ich podsłuchiwać.

Uśmiechnięta młoda kelnerka postawiła na ich stoliku dwa miedziane naczynka z drewnianymi rączkami i dwie małe filiżanki. Kelnerki zazwyczaj się nie uśmiechały. Miały raczej obojętny stosunek do klientów. Traktowały ich jak zło konieczne, zupełnie niepotrzebnie naprzykrzające się tym zapracowanym kobietom jakimiś idiotycznymi życzeniami i zamówieniami. Świat kelnerek byłby piękniejszy bez tych wszystkich konsumentów, którzy zamawiali, marudzili i niekiedy nawet próbowali pokazać, że są ważniejsi od nich. Tymczasem to one rządziły niepodzielnie na swoich salach konsumpcyjnych, traktując ludzi jak naprzykrzające się karaluchy. Zadowolona i miła kelnerka to było coś niespotykanego, dlatego obaj zwrócili na to natychmiast uwagę. Odwzajemnili uśmiech i nawet ujęty jej postawą Miler powiedział Markowskiemu, że trzeba będzie dać napiwek.

– To wyrwałes go z esbeckich łap – nie mógł uwierzyć.

299

– Jakoś się udało.

– I gdzie on teraz jest?

– Niedaleko stąd, u swojej znajomej. – Markowski uśmiechnął się po tym jak zaakcentował słowo „znajomej”. Powiedział to w taki sposób by jego rozmówca mógł zauważyć, że znajoma oznacza tu znacznie więcej niż znajoma. Gdy Mazurkiewicz zaprowadził go do pani Wioletty, na początku myślał, że to rzeczywiście jest jakaś zaufana koleżanka z pracy albo ktoś, kto jest przyjacielem rodziny. Jednak już pierwsze piętnaście minut w jej domu przekonało go, że Wioletta jest znacznie bliższą niż bliską znajomą Mazurkiewicza.

– To on ma kochankę? – zdziwił się Miler.

– Zdarzają się niewierni faceci. Trzeba mieć tylko nadzieję, że esbecy jeszcze nie rozpracowali wszystkich jego kontaktów i znajomości.

– Myślę, że nie są tak sprawni, jak nam się wydaje. To prawda, że mają potężne kartoteki i śledzą wielu ludzi, ale nie mogą tego robić ze wszystkimi. Mazurkiewicza mogli mieć namierzonego tylko jako szeregowego działacza „Solidarności”, więc nie powinni się nim wcześniej interesować. Ale mnie czy Pałubickiego mają w teczkach na pewno. A ciebie to już w szczególności po twojej ucieczce.

– Ja sobie tak myślę – Markowski spojrzał uważnie na swojego rozmówcę – że w takiej teczce to ci gnoje mogą napisać wszystko, co chcą. Mogą ci na przykład wpisać, że jesteś ich współpracownikiem czy agentem i że podpisałeś lojalkę. To ich bandyckie prawo, bo to oni tworzą swoją własną rzeczywistość w tych teczkach. Kto za dziesięć lat będzie pamiętał, że im uciekłem i wpieprzyłem jakiemuś szkiełowi. A może w pamięci niektórych zostanie, że byłem aresztowany trzynastego i następnego dnia byłem już na wolności. I może się okazać, że to nie ja byłem w porządku, ale ktoś, kto pisze historię, nie mając żadnych danych albo tylko te, które znalazły się w esbeckiej teczce. I wtedy wyjdzie na to, że to nie my tworzymy historię, ale tworzą ją nasze te czki.

– To prawda, oni są bezwzględni. W teczce może się znaleźć wszystko. – Miler uśmiechnął się. – Ale my wiemy, kto jest kim w naszych szeregach. I nie jest tak łatwo zniszczyć czystego, ideowego człowieka za pomocą brudnej prowokacji. Kiedyś w tym kraju przejmemy władzę.

300

prędzej czy później, i wtedy te wszystkie zaszranne esbeckie te czki spalimy na jakimś placu. I nikt nigdy nie będzie cierpiał przez tych parszywych onoi. Oskarżenia i pomówienia to nie jest nasz styl. Tą bronią walczą tylko esbecy. My mamy swoje ideały i wartości, a oni mają tylko wiarę w ten pierdolony komunizm, który rozlatuje się na ich oczach. Na tym polega różnica między nimi a nami.

Markowski dopił swoją kawę i poszukał wzrokiem kelnerki. Była na za plecach, więc musieli poczekać z płacaniem do czasu jak pojawi się na sali.

– Jak się z nim umówiłeś? – zapytał Miler.

– Ja nocuję w mieszkaniu tej jego meli, a jutro rano razem mamy po-

jechać do miejsca, w którym leży depozyt. No a jeśli chodzi o pozostałe pieniądze, które zniknęły z domów tych dwóch zabitych, to na razie nie mam żadnego śladu. Jak odbiorę pieniądze od Mazurkiewicza, to będziemy musieli rozpocząć kolejny etap naszego śledztwa.

— Panowie, mogę już prosić o zapłatę, bo muszę zrobić kasę, gdyż zamykamy niedługo — uśmiechnęła się do nich sympatyczna kelnerka.

* * *

Mężczyzna, który siedział niedaleko wyjścia zapłacił właśnie przed chwilą kelnerce i wstał od stolika. Powoli założył kraciasty szalik, później wciągnął czarną skórzaną kurtkę i na koniec założył baranią czapkę. Nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wewnątrz kawiarnianej sali, zdawał się być pogrążony we własnych myślach. Po chwili zniknął za grubą zasłoną oddzielającą wiatrołap od wnętrza kawiarni. Gdy wyszedł na ulicę, w twarz uderzyła go fala lodowatego wiatru. Rozejrzał się szybko wokół. Na ciemnej ulicy nie było już przechodniów. Ludzie woleli o tej porze, niedługo przed godziną milicyjną, być już w domach. Po drugiej stronie w bramie dostrzegł niewyraźną postać mężczyzny, którego twarz przez sekundę rozświetlił blask papierosa. Ruszył więc w tamtym kierunku. Po chwili obaj zniknęli w głębi bramy.

— Miler spotkał się z jakimś gościem. Według mnie jest to ten facet, którego szukają wszyscy w Poznaniu. Listy gończe z jego gębą są na każ-

301
dej komendzie. Ten, co to trzynastego nawiał z konwoju i pobił milicjanta koło opery. Zaraz, jak on się nazywa...

— Markowski — wtrącił się zmarznięty mężczyzna, który stał w bramie. — Chyba mamy farta, bo to nasz najważniejszy poszukiwany.

— No właśnie, to jest ten Markowski. Leć teraz do samochodu i daj znać chłopakom, kogo mamy i przejmij Milera jak wyjdą z knajpy. Ja pójdę za tym drugim i spróbuję ustalić, gdzie się zamelinował.

Godz. 21.45

— Tu są całkiem niezłe kurwy — powiedział pan Krzychu, taryfiarz, który przywiózł trzech mężczyzn do willi przy ulicy Rocha Kowalskiego na Junikowie. — Nie takie wywłoki jak te, co siedzą w WZ-cie czy w Adrii, ale dupeczki pierwsza klasa, więc zabawa tu jest w dechę. Mają też gorzole i piwo. Jak byście panowie chcieli, to ja mogę poczekać, tylko kasa z góry, żeby mi się opłacało, bo inaczej to jeszcze parę kursów dziś w nocy załapię. Mam pozwolenie na jazdę po godzinie milicyjnej. A teraz sporo wiary, co mają takie kwity pozwalające na poruszanie się po dwudziestej drugiej, jeździ po nocy taryfami, bo nic innego nie jeździ.

— Nie, panie Krzychu, jedź pan na miasto, my se tu posiedzimy chwilkę, więc nie ma co, żebyś pan tu po próżnicy czekał — odpowiedział mu Teofil Olkiewicz. Już cieszył się na myśl o dobrze zaopatrzonym bufecie, który gdzieś tam w śródku musiał się znajdować. Na wyznaczone przez esbeków miejsce spotkania przyjechali we trójkę. Do pary pijaków, Brodziaka i Olkiewicza, dołączył porucznik Marcinkowski. Znaleźli go bardzo szybko. Po wyjściu z baru na Półwiejskiej poszli na postój taryf na placu Wiosny Ludów, ale taksówek nie było, za to na postoju stało z dziesięć osób w kolejce. Olkiewicz postanowił wezwać radiowóz. Ruszyli więc w stronę Starego Rynku i na Wrocławskiej, koło zamkniętego o tej porze sklepu z bagietkami, natrafili na patrol dwóch zomowców. Milicjanci stali w bramie, chowając się przed zacinającym zimnym wiatrem. Teofil najpierw dla zabawy zraubał ich, że chowają się po kątach, zamiast pilnować porządku, a potem kazał im połączyć się przez radiotelefon z dyżurnym

302
[wezwał na Wrocławską radiowóz. Od razu poprosił też, by dyżurny podał kierowcy adres porucznika Marcinkowskiego.

Kierowca radiowozu, który odebrał Olkiewicza i Brodziaka z ulicy, zawiózł ich do kamienicy na Staszica. Nie było pewności, czy porucznik będzie spał u siebie, bo zdarzało się dość często, że nocował u matki na Sołaczcu. Ten drugi adres też dostali od dyżurnego, ale na szczęście okazał się niepotrzebny. Marcinkowski był w domu. Oficer w samych gaciach nie wyglądał najlepiej. Już na pierwszy rzut oka widać było po nim, że ten wieczór zamierzał spędzić w towarzystwie butelki. Na ławie przed telewizorem stała do połowy opróżniona flaszka bimbru, jedna z baterii znale-

ziona w Pamiątkowie. Olkiewicz, znalazca tego arsenału, uczciwie obdzielił wszystkich członków ekipy. Porucznik oczywiście też dostał swoją dołę, a teraz sprawdzał smak zdobycznego bimbrow. Gdy otworzył drzwi i zobaczył na progu dwóch uśmiechniętych członków swojego zespołu, nawet się nie zdziwił. Machnął tylko ręką i wpuścił ich do środka. Teofil od razu rozsiadł się na jedynym w pokoju fotelu, który stał przy sosnowej ławie. Obok była kanapa w brązowe kwiaty. Na niej usiadł Brodziak. Po chwili w pokoju pojawił się Marcinkowski, który zaraz po ich wejściu do mieszkania zniknął w kuchni. W ręce miał dwie szklanki. Postawił je na ławie obok swojej, napełnionej wcześniej bimbrem.

– Nalej pan, panie Teoś – zakomenderował gospodarz. Olkiewicz natychmiast spełnił życzenie dowódcy. Porucznik wziął do ręki swoją szklankę.

– Wcześniej nie było okazji, jestem Fred. Obaj goście podnieśli swoje szklanki i stuknęli się z porucznikiem. Przeszli na ty bez zbędnych ceregieli i pijackich pocałunków.

– No a teraz gadajcie, czemuście mnie odwiedzili? Pojechali na miejsce taksówką, żeby nie robić niepotrzebnego zamieszania przed burdelem. Odprawili kierowcę i poszli do willi. Olkiewicz zapukał do drzwi. Otworzył im umięśniony bramkarz Wiechu Kapica. Nie był w najlepszej formie. Opuchnięte, fioletowosine wargi i nos z przyklejonym dwoma plastrami grubym opatrunkiem czyniły wrażenie, jakby jego właściciel miał niedawno bliskie spotkanie z młotem pneumatycznym.

303

– Cześć, grubasie, jak tam kluka? – spytał Brodziak, wciskając się do środka przed Teofilem.

– Mas psejebane – wysyczał Wiechu przez szparę po górnej jedynce, która zapewne też dostała się pod niszczące działanie młota.

– Spokojnie, panowie – zawołał Olkiewicz – to przyjacielska wizyta.

– W duchu wzajemnego zrozumienia – dodał Marcinkowski, wkraczając do przedpokoju.

Milicjanci minęli niewielki korytarzyk i weszli do salonu. Na rozłożonej kanapie siedział porucznik Władziu Kolasa. Esbek poderwał się z siedzenia na widok wchodzących.

– Pan porucznik jest proszony na górę – powiedział do Marcinkowskiego. – A wy możecie poczekać tutaj. Gorzoła jest w barku – dodał i wskazał ręką niewielką szafkę pod ścianą.

Marcinkowski skinął przyzwalająco głową, spoglądając na Brodziaka. Olkiewiczowi pozwolenie było zupełnie niepotrzebne. On już otwierał drzwiczki barku.

Władziu Kolasa poszedł przodem, prowadząc za sobą Freda. Weszli do pierwszego z brzegu pokoju na pierwszym piętrze willi. W fotelu siedział kapitan Wirski. Marcinkowski znał go z widzenia. Znał też niezbyt przyjazne opinie o tym człowieku, który, jak się mówiło po cichu w komendzie, był oficerem do zadań specjalnych.

Wirski wstał i uśmiechając się radośnie, podszedł do gościa z wyciągniętą ręką. Przywitali się.

– Dziękuję, Władziu – powiedział Wirski i Władziu natychmiast zniknął z pokoju. – Napije się pan, poruczniku? – zapytał gospodarz, wskazując na butelkę czerwonego Johnnie Walkera.

– Dziękuję – odparł Fred. Mimo że miał ochotę na dobrą whisky, wolał nie ryzykować i zachować nadwerężoną już dzisiaj trzeźwość myśli.

– A ja się napiję. – Esbek uśmiechnął się. Nalał sobie pół szklanki i upił z niej niewielkiego łyeczka.

– Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć? – zapytał Marcinkowski, od razu przechodząc do rzeczy.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Wirskiego.

304

– Prowadzimy śledztwo w tej samej sprawie – zaczął wolno – więc chyba powinniśmy konsultować ze sobą nasze wyniki.

Teraz uśmiechnął się Fred. Jak trwoga to do Boga – pomyślał, jednak nie powiedział tego głośno.

– Jakie wyniki? – udał zdziwienie. – Pan szuka pieniędzy „Soli-

darności", a ja szukam morderców bankierów, kuriera i milicjanta. Mam w sumie cztery trupy w jednej sprawie, nie licząc jednej babci, która przypadkowo też nie żyje.

– Ta kobieta to wypadek przy pracy. – Kapitan zmarszczył czoło.

– Takie sytuacje się zdarzają.

Wirski wiedział, że nie ma co zaprzeczać. I tak prędzej czy później wyszłoby na jaw, że byli w tym domu w Pamiątkowie. Nie wiedział jednak, że Marcinkowski wie, kto zabił milicjanta Kmieciaka. Kurylak nie miał odwagi przyznać się, że zdradził swojego szefa i wydał milicjantom miejsce, w którym jego koledzy zasadzili się na bankiera. Wirskiego nie interesowała za bardzo ta sprawa. Dla niego był to jeszcze jeden wypadek przy pracy, a śmierć Kmieciaka nie była warta jakiegokolwiek refleksji. Marcinkowski myślał jednak inaczej. Dla niego każde morderstwo było godne wyjaśnienia, a tym bardziej dokonane na funkcjonariuszu milicji.

– W tej sytuacji możemy połączyć siły i razem doprowadzić do ujęcia przestępców i odzyskania pieniędzy – powiedział Wirski. – Będzie to piękny przykład współpracy między poszczególnymi komórkami resortu. Zresztą tego życzą sobie nasi przełożeni. Powiem tak, słusznie uważał pan, że mnie interesują przede wszystkim pieniądze. Ci mordercy to dla mnie sprawa drugorzędna. Mamy więc jasny podział priorytetów. Pan niech sobie ich wsadza, jak się wszystko uda, a ja przejmę te pięćdziesiąt patyków. I jako przejaw dobrej woli dam panu od razu coś konkretnego. Nasi chłopcy dziś wieczorem namierzili tego faceta, który uciekł po przesłuchaniu u pańskiego szefa Karpińskiego. Nazywa się Markowski. On jest sąsiadem bankiera z Pasterskiej. Wszystko wskazuje, że nocuje dziś pod tym adresem. – Podał porucznikowi kartkę. – Może pan go sobie zgarnąć i ma pan mordercę. Ja poproszę tylko o informację o tym, gdzie są pieniądze, jeśli ten Markowski zacznie mówić.

Marcinkowski myślał przez chwilę, że się przesłyszał, gdy esbek wypo-

305
wiedział nazwisko Markowskiego. Ten człowiek podsuwał mu rozwiązanie, bo sam jeszcze niczego nie skojarzył. On nie wiedział, że to właśnie Markowski sprzątnął mu sprzed nosa Mazurkiewicza. Teraz Fred przejrzał jego grę. Wirski myślał, że rzuca mu ochłap, na który kryminalni zaraz się rzuca. Znalezienie i aresztowanie potencjalnego mordercy zamykało całą sprawę. Jeśli nawet się nie przyzna, poszlaki można nagiąć. Była to w przekonaniu esbeka informacja bez wartości, podana po to, by skierować śledztwo kryminalne na ślepy tor. Tymczasem ta właśnie droga mogła prowadzić do rozwiązania. Tyle, że Wirski jeszcze o tym nie wiedział. Myślał, że go przechytrzył. Podając mu na tacy Markowskiego, odsuwał w swoim przekonaniu kryminalnych od wątku związanego z Mazurkiewiczem, którym pewnie chciał się zająć sam. Jednak przekombinował, bo nie mógł wiedzieć, że dając Fredowi namiary na jednego, daje mu też drugiego.

– Wie pan co, kapitanie? Chyba się jednak napiję.

Zadowolony ze swojego fortelu Wirski nalał Fredowi pełną szklanekę. Porucznik opróżnił całość dwoma łykami. Postawił szklanekę na ławie i chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy wtem obaj siedzący w pokoju mężczyźni usłyszeli jakiś łomot dochodzący z dołu. Zerwali się ze swoich miejsc i błyskawicznie zbiegli na dół.

Na podłodze w salonie leżał, trzymając się za nos i jęcząc cicho, bramkarz Wiechu Kapica. Tuż przy nim nieprzytomny olbrzym Władziu z rozbitym głową.

Porucznik, który wpadł do środka pierwszy, spojrzał najpierw na Brodziaka, najspokojniej w świecie siedzącego na wersalce i z miną niewiniątka palącego papierosa, a potem na Olkiewicza, który stał nad Władziem z szyjką rozbitej butelki w ręce.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał Fred.

– Cała flaszka się zmarnowała, obywatelu poruczniku, bo ten pierdolony Władziu ma cholernie twarde łeb – wyjaśnił spokojnie chorąży Teofil Olkiewicz.

ROZDZIAŁ XII

Środa 16 grudnia 1981

Godz. 07.30

– Było ich dwóch, obywatelu sierżancie – mówił kapral Malinowski,

spoglądając gdzieś na przeciwległą ścianę szpitalnego pokoju, przyozdobioną jasnozieloną olejną lamperią.

Pokój, w którym leżał ranny w wypadku milicjant, był teraz zupełnie pusty. Osoby zajmujące dwa sąsiednie łóżka zostały na czas rozmowy przeniesione do innych sal. Sierżant Dąbrowa, który na polecenie porucznika Marcinkowskiego przyszedł dziś przesłuchać milicjanta, poprosił ordynatora oddziału, by mógł porozmawiać ze swoim kolegą dyskretnie. Ordynator natychmiast zarządził chwilowe przeniesienie innych chorych, no i teraz mogli spokojnie porozmawiać.

– Myśmy mieli zwyczajny patrol tamtej nocy. To znaczy, że nie byliśmy przydzieleni do żadnych działań operacyjnych, tylko żeśmy mieli jeździć po mieście, żeby było widać, że milicja jest na miejscu i że normalnie patrolujemy. No i byliśmy pod radiem, że jakby co, to mogliśmy jechać tam, gdzie nam każą i jeszcze mieliśmy sprawdzać, czy gdzieś nie trzeba pomóc, jakby coś się działo w jakimś rejonie, przez który przejeżdżamy. No to żeśmy tak jeździli sobie wolno i nic ciekawego to nie było za bardzo widać, oprócz tego, że naszych samochodów i wojskowych to coraz więcej na ulicach było.

– A Nad Wierzbakiem to o której mniej więcej byliście? – przerwał mu pytaniem Dąbrowa.

– Myśmy tam byli kilka razy od czasu wyjazdu na ten patrol o dwudziestej drugiej. Jeździliśmy w kółko, to znaczy się Nad Wierzbakiem, 307

Wojska Polskiego i dalej Niestachowską w stronę Dąbrowskiego i czasami wjeżdżaliśmy w jakieś mniejsze uliczki, ale ogólnie to był nasz wyznaczony kwadrat. Ale jak pan pyta o to, kiedy myśmy kogoś tam Nad Wierzbakiem widzieli, to będzie tak gdzieś pierwsza trzydzieści. Bo ten nasz rejon patrolowy to był w miarę spokojny i wiedzieliśmy, że tu się dużo dziać nie będzie. I akurat jak żeśmy wtedy tam wjechali, to ja mówię do Zenka, znaczy się mojego kolegi z patrolu, żeby spojrzał, bo tam pod blokiem radiowóz nyska stoi. No to zwolniliśmy i wtedy z bramy wyszło dwóch ludzi. Jeden był w mundurze, a drugi po cywilnemu. No tośmy stanęli i ja zapytałem, czy im czego nie trzeba, znaczy się jakiejś pomocy. To ten sierżant mówi, że mam nie zawracać gitary i spierdalać w podskokach, bo oni tu mają swoje własne zadania. No to co ja się będę sierżantowi naprzykrzał, to żeśmy pojechali. I zaraz, jak byliśmy przed skrzyżowaniem z Wojska Polskiego, to dostaliśmy pilne wezwanie na Szamarzewskiego, bo tam gdzieś coś się działo, ale co, to ja już nie pamiętam. No i ruszyliśmy ostro i dojechaliśmy tylko do zjazdu na Niestachowską.

Kapral zamilkł, przypominając sobie chwilę, w której jego auto starał się wojskowy SKOT.

Dąbrowa poczekał jeszcze chwilę, by dać mu trochę odpocząć, a potem zapytał:

– Poznalibyście, kapralu, tego sierżanta?

Kapral spojrzał na podoficera i uśmiechnął się niewyraźnie.

– No ja go widziałem tak jak teraz was, obywatelu sierżancie, więc co bym miał nie poznać. A ten w cywilkach stał obok, to też go widziałem dobrze, a w ogóle to tam akurat uliczna lampa była, więc widać było wszystko dobrze.

Sierżant sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa zdjęcia. Dziś rano w komendzie dał mu je porucznik Marcinkowski. Powiedział, o co ma pytać i że trzeba sprawdzić, czy ten milicjant, co przeżył wypadek, nie widział czasami w nocy tych dwóch ludzi i wręczył mu obie fotografie. Dąbrowa podał kapralowi zdjęcia. Milicjant ledwie rzucił na nie okiem, od razu odwrócił się do sierżanta.

– To oni są, obywatelu sierżancie, jeden i drugi, znaczy się milicjant i cywil, tak jak na zdjęciu.

308

– Jesteście pewni? – zapytał sierżant Dąbrowa, przyglądając się uważnie rannemu.

– No co mam nie być, poznaję ich dokładnie. To ten sierżant gadał ze mną i kazał nam jechać, a ten po cywilnemu stał i jakoś tak w bok patrzył. I torbę jakąś miał jeszcze w ręce, ten, co był ubrany po cywilnemu. Taką niewielką, co można ją też na ramię zawiesić.

– Ciekawe – pomyślał sierżant – skąd ten cholernik Marcinkowski

wiedział, z kim się widzieli ci z tego patrolu. I nawet zdjęcia tych dwóch dał mi do ręki. Ten facet to ma jednak tytę nie od parady – przyznał z uznaniem sierżant Wiktor Dąbrowa. – No to wracajcie do zdrowia, kapralu – powiedział głośno, wstając z krzesła.

Godz. 07.40

– Jak było z tym grubym bramkarzem? – zapytał Marcinkowski, spoglądając na porucznika Brodziaka, który siedział obok niego na przednim siedzeniu dużego fiata.

Rudzielec zgasił swojego radomskiego w popielniczce umieszczonej poniżej radia i spojrzał z miną niewiniątka na swojego dowódcę.

– Melduję, obywatelu poruczniku, że nic nadzwyczajnego tam nie zaszło. Ten palant chyba nie mógł przeboleć tego, że wtedy dostał w papę i cały czas coś miał do mnie. Robił mi jakieś głupie uwagi i na dodatek patrzył tak jakoś nieszczerze. Powiedział nawet brzydko o mojej mamusi, no to mu się odwinąłem, ale tylko raz. No nie miał szczęścia, bo mi się trochę ręka zsunęła i znowu dostał w kluka. No i jak dostał, tak padł od razu na glebę. I wtedy nie wytrzymał ten głupi Władziu, co zamiast stać spokojnie i się nie wtrącać do nie swoich spraw, to ruszył od drzwi na mnie z pięściami, a pięści to ma ten goryl jak bochny chleba...

– Ja nie lubię patrzeć, jak silniejszy bije słabszego – wtracił się z tylnego siedzenia Teofil Olkiewicz. – A ten Władziu leciał na tego szczona jak buhaj, to mnie się zdało, że go za chwilę wbije w podłogę. Bo jakby go dopadł, to strach pomyśleć...

– Musiałby mnie najpierw dopaść, a ja już się wtedy nastawiłem na szybką kontrę...

309

– No to jak przelatował koło mnie – ciągnął dalej mezrażony niczym Teofil – to mu tylko nogę podstawiłem, a jak padał, to mnie jeszcze cholera podkusiła, żeby mu poprawić, a że w ręce akurat miałem przypadkiem flaszeczkę, to go tą butelczyną trzepnął w łepetynę. Szkoda tylko tej gorzoły, bo to prawdziwa żubrówka była, z trawką w środku.

– Coś mi się zdaje, że was nie można zostawić samych, bo zaraz jakaś awantura gotowa. – Porucznik roześmiał się.

Od kilkunastu minut siedzieli w dużym fiacie na ulicy Kościuszki, obserwując wejście do kamienicy, w której według informacji Wirskiego powinien być ich poszukiwany. Przez noc mieszkanie obserwowali inni wywiadowcy, których teraz zmieniła ekipa Marcinkowskiego. W nocy, nie bez pewnych trudności, ekipę obserwacyjną zorganizował kapitan Karpiński. Jednak wywiadowców dostał tylko do siódmej rano, dlatego od tej godziny Fred i jego ludzie sami musieli zająć się obserwacją mieszkania. Ich poprzednikom udało się ustalić, że w środku jest kobieta i dwóch mężczyzn. Teraz trzeba było tylko poczekać, by wyszli na zewnątrz, wtedy możliwa będzie identyfikacja. Fred czekał na to z niecierpliwością, mając nadzieję, że Wirski nie zrobił go w konia.

Na dworze zrobiło się już zupełnie jasno. Przed sklepem spożywczym po lewej stronie ulicy stało kilkanaście kobiet z siatkami. Czekały na świeże pieczywo i może jeszcze coś ciekawego, może kawę albo rybki w puszce, a może nawet żółty ser. Zawsze warto było odstać te trochę w ogonku tuż przed dostawą towaru, bo choć nie można tu było liczyć na jakieś delikatesy, to jednak w porannej dostawie zawsze mogło się coś trafić.

– Pamiętam, jak kiedyś taki jeden mój kolega, co z nim na patrolu po mieście jeszcze łąziłem, przyszedł pod spożywczak akurat jak była dostawa piwa... – zaczął opowiadać Olkiewicz, spoglądając na stojące kilka metrów od ich auta zmarznięte baby, ale porucznik mu przerwał:

– Cicho, kurde, to chyba jest ten Markowski.

Wszyscy spojrzeli w kierunku drzwi kamienicy. Z klatki schodowej wyszło dwóch mężczyzn.

– Ten drugi, niższy, to Mazurkiewicz, nasz bankier – wyjaśnił pozostałym Marcinkowski.

Przeszli na drugą stronę ulicy i przystanęli koło jasnoniebieskiej syren-

310
ki, Mazurkiewicz wyciągnął z kieszeni kluczyki i zaczął grzebać w zamku. Widać było, że nie bardzo może sobie poradzić z otwarciem. W nocy temperatura spadła do minus dwudziestu stopni, więc zamki w samocho-

dzie musiały przymarznąć. Markowski zabrał kluczyki z ręki swojego kompana i zaczął rozgrzewać je nad zapalniczką. W końcu po jakichś dziesięciu minutach zabiegów odmrażających udało im się otworzyć drzwi.

– Ciekawe czy odpalą tego grata – zainteresował się Brodziak – bo jakby co, to Teos ma już wprawę w zapychaniu i może im pomóc, a potem od razu kajdanki na łapy, tak jak z tym Amerykańcem było. Syrenka zajęczała, zakrztusiła się parę razy, ale silnik zaskoczył. Z rury wydechowej w powietrze poleciały kłęby smrodliwego czarnego dymu i pojazd powoli wytoczył się na ulicę. Fred przekręcił kluczyk w stacyjce milicyjnego fiata, rozrusznik zajęczał, ale nie zaskoczył. Pokręcił nerwo-wo jeszcze raz i znowu nic. Syrenka powoli przesuwiała się w stronę Libelta, znacząc swoją drogę czarną smugą spalin.

– Kurwa mać! – krzyknął porucznik, a wtedy rozrusznik wykonał pełny obrót i silnik zaskoczył. Auto natychmiast wyjechało na ulicę, wymuszając pierwszeństwo na nadjeżdżającym trabancie. Jego właściciel w ostatniej chwili zdążył zahamować, nacisnął klakson, ale nikt z siedzących w fiacie nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Samochód pomknął za znikającą w głębi ulicy niebieską syreną.

Godz. 08.00

Dyżurny podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wykręcił numer. Jednocześnie przyglądał się spode łba tej kobiecie, która stała oddzielona od niego szybą okna dyżurki. Poprosiła o połączenie jej z porucznikiem Kurylakiem z SB.

– Ciekawe – myślał dyżurny – co też taka ładna babka może chcieć od tego Kurylaka, i to tak wcześniej rano. Pewnie jest jego donosicielką czy agentką, tylko na cholerę przychodzi na komendę. Przecież powinni się spotykać w jakimś lokalu utajnionym, albo gdzie indziej, na przykład w kawiarni, tak jak Kloss ze swoimi informatorami, ale na pewno nie na kome-311

dzie w biały dzień. No chyba że to jakaś superpilna sprawa, to wtedy może w nagłym wypadku przyjść tu – zastanawiał się milicjant, obserwując cały czas jej twarz. Próbował coś z niej wyczytać, odgadnąć, tak jak uczyli go podczas szkolenia o tym, że przyglądając się uważnie twarzy podejrzanych, można zauważyć pewne nerwowe grymasy wywołane napięciem czy szczególnie stresującą sytuacją. Po paru uważnych spojrzeniach stwierdził, że niestety nie jest sprawnym fizjonomistą i że musi jeszcze popracować nad swoją spostrzegawczością, bo nic nie zauważył, a na jej temat wie tylko tyle, że jest bardzo ładna i że ma nieco ponad trzydziestkę.

– Dzień dobry, z porucznikiem Kurylakiem, melduje się dyżurny sierżant Słoma Grzegorz. Obywatelu poruczniku, melduję, że na dole jest tu do was jakaś kobieta. Ma dowód na nazwisko Mazurkiewicz Joanna. Prosi o pilne spotkanie w pilnej sprawie. Tak jest, obywatelu poruczniku. Będzie załatwione, obywatelu poruczniku.

Milicjant odłożył słuchawkę i teraz zupełnie już otwarcie spojrzał na kobietę stojącą z drugiej strony okienka.

– Porucznik Kurylak zaraz zejdzie do pani. Proszę wejść do środka jak otworzę te drzwi i poczekać na krzesło. Zaraz wypiszę przepustkę. Przycisnął guzik i elektryczny brzęczyk zwolnił blokadę drzwi. Mazurkiewiczowa pchnęła je i po chwili znalazła się w przestronnym holu. Po prawej stronie był rząd połączonych ze sobą metalowych krzeseł z siedzeniami z czerwonego skaju. Przysiadła na pierwszym z brzegu.

Dyżurny, który wpuścił ją do środka, przyniósł jej przepustkę.

– Dowód muszę teraz zatrzymać, a przepustkę to musi pani podpisać oficer, który z panią będzie rozmawiać. A jak pani będzie wychodzić, to wtedy należy ją zwrócić do mnie, a ja oddam ten dowód, co jest u mnie – wytłumaczył jej całą skomplikowaną procedurę.

Skinęła głową na znak, że wszystko pojęła.

Po chwili stanął przed nią jeden z dwójki esbeków, którzy byli w jej mieszkaniu, a później zabrali ją na komendę. Wolała zgłosić się do nich, a nie do tego milicjanta w mundurze, który ją odwiedził po nich. Ci z SB wydali się jej bardziej bezwzględni, a tamten sprawiał wrażenie, jakby mu naprawdę zależało na bezpieczeństwie jej męża. Tym na pewno na nim nie zależało, podobnie jak i od wczoraj jej.

– Dzień dobry – powiedział radosny jak skowronek porucznik Kurylak. – Cieszę się, że pani zechciała nas sama odwiedzić. Zapraszam na górę.

Kobieta wstała bez słowa i ruszyła w kierunku klatki schodowej. Znała już drogę. Po chwili byli już przed drzwiami pokoju, w którym urzędował porucznik Kurylak. Oficer otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Wewnątrz stały dwa biurka. Jedno pod oknem, a drugie przystawiono do niego bokiem. Przy tym bocznym siedział drugi esbek, którego Mazurkiewiczowa poznała u siebie w domu. Powiedziała dzień dobry, ale ten wielki typ nie odpowiedział, wpatrzony w rozłożoną na blacie „Gazetę Poznańską”.

– Niech pani usiądzie. – Kurylak wskazał jej krzesło na wprost drugiego biurka. Sam precyzyjnie przeszedł za plecami swojego kolegi i usiadł na wprost Joanny. – Co panią do nas sprowadza? – zaczął porucznik.

– Ostatnio, gdy byłam tu u was, powiedział pan, że gdybym przypomniała sobie, gdzie jest mój mąż, żebym wam o tym natychmiast powiedziała.

– No i co, przypomniała sobie pani, ha, ha – zaśmiał się Kurylak, nie przypuszczając nawet, że kobieta ma mu coś ważnego do powiedzenia. Mazurkiewiczowa spojrzała na niego z wyraźną irytacją bo wyczuła, że ten siedzący przed nią człowiek nie bierze jej poważnie.

– Mój mąż ukrywa się przed wami i przede mną u swojej kochanki. W pokoju zapadła cisza. Kurylak, patrząc na swoją rozmówczynię, otworzył gębę ze zdziwienia, nawet Władziu przerwał wpatrywanie się w gazetę i choć nie usłyszał, o co chodzi, to pomyślał, że musiało stać się coś ciekawego.

– Skąd pani to wie? – zapytał Kurylak, nie mogąc ukryć podekscytowania. Widać było, że ta informacja zrobiła na nim wielkie wrażenie.

– To, skąd wiem, nie ma żadnego znaczenia. Istotne jest to, że wiem i co najważniejsze – wiem, gdzie ta szmata mieszka.

313

Godz. 08.15

Syrenka skręciła w prawo w Libelta. Już po chwili duży fiat, w którym siedzieli milicjanci, dogonił ją, ale Marcinkowski nie chciał jechać tuż za śledzonym samochodem, aby obserwowani przez nich mężczyźni nie zorientowali się, że są śledzeni. Gdy zapaliło się zielone światło, skręcili w Stalingradzką.

– Ciekawe, gdzie oni się wybierają, bo w mieście mogą się nam gdzieś zgubić – pierwszy przerwał ciszę Olkiewicz.

– Co? Syrenka ma się nam zgubić? – Brodziak zaśmiał się. – Po tym dymie z rury widać ją przynajmniej na kilometr.

Rzeczywiście, dwusuwowy silnik syreny dymił jak fabryczny komin. Widać było na pierwszy rzut oka, że silnik samochodu ledwo chodzi. Ale jeszcze jeździł. Takich syrenek na ulicach było całe mrowie i nikt z ich właścicieli nie przejmował się tym, że silniki nie pracują najlepiej. Zresztą, czego można się spodziewać od silników z motopompy, bo taki właśnie motor zastosowali w pierwszym polskim samochodzie jego konstruktorzy. Później, w nowszych modelach silniki były modernizowane i ulepszone, ale fakt pozostawał faktem – syreny jeździły na silnikach, które przeznaczone były do opróżniania zatłoczonych studzienek kanalizacyjnych. Ta, która jechała przed nimi, miała przynajmniej kilkanaście lat. To był jeszcze stary typ syreny 104, o której mówiono, że służy do łapania kur podczas jazdy. Na widok kury wystarczyło tylko otworzyć drzwi i ptak sam wlatywał do środka. Wszystko dzięki zawiasom umieszczonym z tyłu, czyli po lewej, a nie po prawej stronie ościeżnicy, jak to miało miejsce w fiatach czy warszawach. Taka stara syrenka mogła z ledwością osiągnąć prędkość 100 km na godzinę. Złośliwcy twierdzili, że było to możliwe tylko podczas jazdy z górki. Nie mogła się równać z nowoczesnym fiatem 125p, w którym jechali milicjanci.

– Może trzeba by ich było wyprzedzić, zablokować drogę i od razu ich zaobrączkować – zastanawiał się głośno chorąży Olkiewicz.

– Jeszcze nie teraz – zaczął tłumaczyć Marcinkowski. – Może być tak, że oni właśnie jadą po schowane gdzieś pieniądze. Zresztą cholera ich wie. Nie wydaje mi się, żeby te bejmy były schowane w tym mieszkaniu

na Kościuszki. Coś tu się, cholera, dzieje i chciałbym wiedzieć co...

314

Za budynkiem szkoły syrena skręciła w niewielką uliczkę przy hotelu Polonez. Porucznik zwolnił, by nie wjechać w nią zaraz za obserwowanym autem. Wychylił się tylko na tyle, aby zobaczyć, czy na końcu ulicy pojedą w prawo czy w lewo. Tak jak przypuszczał, niebieskie auto pojechało w lewo. Dodał gazu i po paru sekundach znalazł się na końcu ulicy. Znów byli na ulicy Kościuszki, tyle że na jej drugim końcu. Po lewej był hotel, a po prawej stare zabudowania po jakichś zakładach, otoczone wysokim płotem. Syrena zniknęła za bramą na jednym z dziedzińców. Wjechali wolno za nią. Na podwórzu było pusto. Z lewej był warsztat samochodowy zamknięty na cztery spusty, a po prawej wulkanizacja, też nieczynna. Było jeszcze za wcześnie na pracę w tych niewielkich przybytkach wolnej konkurencji. Marcinkowski stanął na podjeździe przy bramie warsztatu wulkanizacyjnego.

– Tutaj będziemy wyglądać, jakbyśmy zajęli kolejkę.

– A co z tamtymi? – zapytał Brodziak, wskazując głową wjazd na kolejne podwórko. – Tam jest stara piętrowa buda z czerwonej cegły. Chyba już zupełnie opuszczona, bo kiedyś tu mieszkali jacyś ludzie.

– Tamto podwórko nie ma innego wyjazdu. Mogą wracać tylko tędy, więc nam nie uciekną. Zostaniecie tu w samochodzie i będziecie czekać.

Ja pójdę pod tamten dom i spróbuję zobaczyć, co oni tam robią.

W tym momencie radiotelefon zainstalowany w samochodzie odezwał się głosem oficera dyżurnego z komendy:

– 067, powiedz gdzie jesteś?

– Ja 067 – odpowiedział porucznik do mikrofonu. – Jestem na podwórku pod zakładem wulkanizacyjnym na tyłach hotelu Polonez, przy Kościuszki. Obserwujemy naszych podejrzanych.

– 067, jest tu informacja dla ciebie od sierżanta Dąbrowy, zrozumiałeś?

– Dobra, dawaj.

– 067, sierżant informuje, że przesłuchiwany przez niego milicjant rozpoznał obie fotografie, zrozumiałeś?

W samochodzie zapadła cisza. Porucznik zagryzł wargę i przez chwilę zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– 067, zrozumiałeś mnie czy mam powtórzyć? – wyrwał go z zamyslenia głos dyżurnego.

315

– Ja 067, wszystko zrozumiałem, doskonale zrozumiałem, dzięki. Koniec odbioru.

– No to wszystko jest jasne – powiedział porucznik do Brodziaka dla którego wcale wszystko nie było jasne, podobnie jak dla Olkiewicza. Marcinkowski wyciągnął z kabury pod pachą swoją TT-kę i przeładował ją.

– Czekać tu i miejcie oczy szeroko otwarte – powiedział i wyszedł z auta.

Gdy tylko dowódca trzasnął drzwiami, Mirek odwrócił się do Teofila.

– Rozumiesz, o co tu chodzi?

– A ty rozumiesz, jak można kibicować Olimpi? A nasz porucznik podobno jest za Olimpią, a nie za Kolejorzem, jak normalny poznaniak.

Na wszelki wypadek obaj wydobyli z kabur swoje pistolety i również je przeładowali.

Godz. 08.25

Syrenka objechała dużą kamienicę z pruskiego muru. Ten typ domów o konstrukcji szachulcowej powszechnie występował w Poznaniu. Mówiono, że to bąberskie chaty, bo w ten sposób domy budowali tu Niemcy na przełomie XIX i XX wieku. Po tym budynku widać już było lata. Cegły gdzieś zaczęły się kruszyć, a i drewniane belki trzymające konstrukcję w niektórych miejscach sprawiały wrażenie przegniłych. Marcinkiewicz zatrzymał samochód bezpośrednio przed wejściem. Było otwarte na oścież. W budynku nikt nie mieszkał już od jakiegoś czasu, a tabliczka na murze informowała, że grozi zawaleniem. Obaj mężczyźni wysiedli z auta.

– Tu się kręcą tylko pijacy i tanie dziwki – rzekł i zaśmiał się Marcinkiewicz. – I dlatego jest to idealne miejsce. Ale o tej porze ci, co tu śpią, wychodzą już na miasto i pewnie teraz nie ma tu żywego ducha.

Poszedł przodem, a Markowski za nim. Niewielki korytarzyk prowadził do dużej sali, w której śmierdziało zgnilizną, zbutwiałymi szmatami i szczykami. Widocznie lokatorom tego domu nie chciało się zimą wychodzić na dwór i swoje potrzeby załatwiali na miejscu. Minęli ją i weszli

316

w kolejny korytarz. Po chwili doprowadził ich do jeszcze większego pomieszczenia.

– Na górze były jakieś biura i mieszkania, a tu coś kiedyś produkowali – tłumaczył Mazurkiewicz koledze, który nigdy wcześniej nie był w tym miejscu.

– Gdzie to ukryłeś? – zapytał Markowski. – Nie bałeś się, że któryś z tych łachudrów może to znaleźć?

– Musieliby wiedzieć, gdzie tego szukać.

Markowski podszedł do metalowych drzwi. Były tylko trochę uchylone. Przez szparę widać było niewielkie ciemne pomieszczenie. W środku było pełno gruzu i jakichś rupieci. Mazurkiewicz próbował pociągnąć uchwyt do otwierania. Drzwi ani drgnęły. Drugi z mężczyzn też złapał stalowy uchwyt i obaj zaczęli ciągnąć do siebie. Na próżno. Drzwi ani drgnęły. Szpara nie była na tyle szeroka, by ktokolwiek mógł się przez nią przecisnąć.

– Poczekaj – powiedział Mazurkiewicz – tam pod ścianą widziałem jakiś pręt, spróbujemy zrobić dźwignię.

Odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę sali. Pogrzebał trochę w stercie śmieci i wreszcie wydobył krótką stalową rurkę. Wrócił do drzwi, z którymi w dalszym ciągu walczył Markowski.

– Spokojnie, to już nie będzie potrzebne – powiedział, pokazując rurkę.

– Wsadź ją w szparę od dołu. – Markowski, mówiąc to, pochylił się i wskazał miejsce, w którym trzeba byłoby jego zdaniem nacisnąć prętem.

Mazurkiewicz jednak nie miał zamiaru słuchać rad swojego kolegi z „Solidarności”. Uniósł rurkę w górę i z całej siły uderzył. Opadła na pochyloną głowę. Markowski zachwiał się i padł na kolana, a zaraz potem przewrócił się na bok.

Bankier spojrzał na leżącego z góry. Drugi cios nie był już potrzebny. Mężczyzna leżał nieprzytomny na ziemi.

Roman Mazurkiewicz rozejrzał się dookoła, jakby chciał upewnić się, że jest sam w tej dużej sali. Przez wybite szyby dwóch okien wychodzących na dziedziniec zawiewał z cichym gwizdem chłodny wiatr. Patrząc cały czas na leżącego, zaczął grzebać w kieszeni swojej grubej kurtki. Po

317

chwili wydobył z niej pistolet. Była to ruska TT-ka, taka, jaką na wyposażeniu mieli milicjanci. Odbezpieczył broń, przeładował, a następnie odszedł dwa kroki do tyłu, celując jednocześnie w głowę nieprzytomnego Markowskiego.

– Ręce do góry, odrzuć broń! – rozległ się głośny krzyk gdzieś zza jego pleców.

Zaskoczony Mazurkiewicz zamarł w bezruchu. Przez sekundę analizował sytuację, a potem zaczął się powoli odwracać, unosząc jednocześnie ręce w górę. Gdy kątem oka dostrzegł postać mężczyzny z bronią gotową do strzału, błyskawicznie złożył obie dłonie, chwytając oburącz pistolet i jednocześnie uginając kolana.

Marcinkowski nie czekał aż jego przeciwnik złoży się do strzału. Celując w nogi, wystrzelił. Strzał wypełnił puste pomieszczenie ogromnym hukiem. Mazurkiewicz, nie drażnięty nawet, ukucnął i wymierzył. Nie zdążył jednak wystrzelić. Kolejny wystrzał i brzęk tłuczonego szkła zlały się w jedno.

Kłęczący mężczyzna opuścił ręce, pistolet wysunął mu się z dłoni i upadł na podłogę. Sekundę po tym obok pistoletu leżał Roman Mazurkiewicz.

Porucznik spojrzał ze zdziwieniem na swój pistolet, a potem w prawo na okno. Po drugiej stronie stał z pistoletem w ręku zadowolony z siebie i uśmiechnięty Teofil Olkiewicz.

Po chwili do środka wbiegł zdyszany Brodziak.

– Ja pierdolę, ale gemela. Pobiegłem do sali obok.

Obaj podeszli do leżącego na ziemi Mazurkiewicza z dziurą w skroni.

Strzał Olkiewicza był niemal konkursowy. Nie dawał żadnej szansy na przeżycie. Po chwili do dwóch stojących nad trupem milicjantów dołączył Olkiewicz.

Fred spojrział z uznaniem na chorążego.

– Kurwa mać, Teoś, nie wiedziałem, że umiesz tak strzelać. Nie mogłeś go kropnąć w ramię? Mielibyśmy go żywego.

Olkiewicz spojrział zakłopotany w dół i krzywo się uśmiechnął.

– Ja właśnie celowałem w ramię, obywatelu poruczniku.

Marcinkowski schował pistolet do kabury pod ramieniem i spojrział na Brodziaka.

318

– Słuchaj, Miras, leć do auta i zawiadom komendę, że była tu strzelanina. Niech przyślą karetkę dla Markowskiego, bo po tym uderzeniu może mieć rozbitą czachę.

– Tak jest – odpowiedział Brodziak, który już chciał biec, ale naraz sobie coś przypomniał.

– Co jest? – zapytał Fred, widząc, że jego podwładny ma jakieś wątpliwości.

– Co to były za fotki, które Dąbrowa pokazywał w szpitalu rannemu milicjantowi? – zapytał.

Porucznik wyciągnął z kieszeni paczkę klubowych i poczęstował obu kolegów. Zapalili.

– Założyłem, że ci milicjanci, co w nocy trzynastego mieli wypadek niedaleko miejsca, gdzie doszło do drugiego morderstwa, mogli Nad Wierzbakiem coś widzieć. No i okazało się, że widzieli, a nawet rozmawiali z milicjantem i cywilem, którzy wychodzili z tego domu. Dlatego dałem dziś rano Dąbrowie dwa zdjęcia i posłałem go do szpitala, żeby pokazał je temu rannemu, co przeżył wypadek.

– I kto był na tych zdjęciach? – zainteresował się Olkiewicz.

– Był ten właśnie tu leżący obywatel. – Wskazał głową ciało Mazurkiewicza.

– A ten drugi, w milicyjnym mundurze? – pytał dalej Brodziak.

– To był jego szwagier, milicjant Kmieciak. Mazurkiewicz, który dostał pieniądze na przechowanie, opowiedział o tym swojemu szwagrowi. Doszli do wniosku, że mogą w łatwy sposób przejąć tę kasę. Zwłaszcza że nadarzała się okazja, noc wprowadzenia stanu wojennego. Kmieciak, znając nasze milicyjne realia, wiedział, że w tę noc będzie niezły burdel, więc zamieszanie będzie można wykorzystać. Jednak nie wiedzieli, kto jeszcze był bankierem. Ale Mazurkiewicz wiedział, kto był kurierem. Dlatego nadał kuriera szwagrowi. Kmieciak dopadł go na Jackowskiego, wyciągnął od niego pozostałe adresy i zastrzelił w śmietniku. Później pojechał do Mazurkiewicza i już obaj objechali oba miejsca. Na Pasterskiej zastrzelili pierwszego, przykładając mu pistolet do głowy, tyle że z lewej strony, pewnie przez pomyłkę, a później włożyli mu spluwę do ręki, do lewej ręki, żeby upozorować samobójstwo. Zastrzelili go, bo nie chciał nic po-

319

wiedzieć, a potem przetrzasnęli całą chatę i znaleźli pieniądze. Nad Wierzbakiem poszło im łatwiej, bo drugi bankier przestraszył się i oddał im kasę gdy tylko zaczęli rozwalać mu mieszkanie. Jak pieniądze już mieli, sprzątnęli świadka, ale mieli pecha, bo pod drzwiami pojawił się Stefan Tomczak emeryt wojskowy. Gdy facet wrócił do domu się ubrać, natychmiast wybiegli na dwór, a on zobaczył ich z okna. Później Kmieciak wywiózł szwagra do babci w Pamiętkowie. Pech chciał, że milicja z Szamotuł zrobiła obławę na bimbrownię i Mazurkiewicz wpadł, ale tam nikt nie skojarzył, że jest to ktoś poszukiwany. Zamknęli go, a później wypuścili. I wtedy nadział się na kumpli Teofila z SB, którzy czekali na niego w domu babci.

– A skąd esbecja wiedziała, gdzie ukrywa się Mazurkiewicz? – zapytał Teofil.

– Powiedział im szwagier Kmieciak, którego dopadł Wirski.

– I Wirski zabił tego milicjanta Kmieciaka? – pytał dalej Olkiewicz.

– To będę wiedział na pewno dopiero jutro, albo pojutrze, jak dostanę wyniki analizy śliny z petów.

– Tych z Pamiętkowa? – Mirek przypomniał sobie, że Fred zabrał ze sobą ze wsi całą zawartość popielniczki.

- O tych wiemy, że należały do Wirskiego, a takiego samego ómika znalazłem w miejscu morderstwa Kmiecika. No i jeszcze trzeba przeprowadzić ekspertyzę balistyczną broni Wirskiego, żeby sprawdzić, czy to z jego pistoletu zastrzelono Kmiecika.
- Pod warunkiem, że ktoś na to da zgodę, a to nie będzie takie proste
- sprowadził go na ziemię chorąży Olkiewicz.

*

* *

Po jakimś kwadransie na miejsce przyjechało pogotowie. Nieprzytomnego Markowskiego pod eskortą milicji zawieziono do szpitala MSW na Lutyckiej. Tam były pojedyncze sale, w których spokojnie mogli leżeć aresztowani, pod okiem funkcjonariuszy. W opuszczonym budynku uwijali się technicy milicyjni, analizując ślady zajścia. Robili to tylko dla zachowania wymogów proceduralnych, bo w tym wypadku nie trzeba było

320

niczego analizować. Całą sytuację dokładnie opiszą przecież oficerowie, którzy byli uczestnikami zdarzenia. Raport techniczny z opisem sytuacji był tylko rutynowym uzupełnieniem ich relacji.

Gdy Marcinkowski razem ze swoimi dwoma podkomendnymi ruszał już w stronę samochodu, na dziedziniec wtoczył się kolejny fiat. Wewnątrz siedziało dwóch smutnych facetów. Ich samochód stanął tuż przed trójką milicjantów. Kurylak wyskoczył pierwszy, bo wielkiemu Władziowi wygramolenie się z auta musiało zająć parę chwil.

- No i co jest z nimi, macie ich?
- Kogo? - zdziwił się Marcinkowski.
- Jak to kogo? Tego Mazurkiewicza, no bankiera znaczy się.
- A wy co, znowu daliście dupy? - Teofil zaśmiał się. - Jesteście jak zwykle trochę za późno.
- Odpierdol się, Olkiewicz - warknął Władziu, który nie mógł mu darować bliskiego spotkania z butelką.
- Ten Markowski, który wam sprzątnął sprzed nosa Mazurkiewicza, jest w szpitalu - wyjaśnił esbekom Fred. - Ma roztrzaskany łeb, ale powinien żyć. No a bankier Mazurkiewicz, niestety, przeniósł się na łono Abrahama.

- A kasa, co z kasą? - pytał dalej Kurylak.

- Sam chciałbym wiedzieć, ale to, zdaje się, już wasza działka.

Godz. 15.30

Szef wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej podpułkownik Eugeniusz Żyto siedział w skórzanym fotelu za swoim biurkiem. Po drugiej stronie na dwóch krzesłach, w pewnej odległości od biurka, siedzieli kapitan Karpiński i porucznik Marcinkowski. Przed chwilą pułkownik skończył czytać wstępny raport, który przygotował Fred. Godzinę temu dokument przyniósł mu zadowolony Karpiński. Kapitan cieszył się, bo dzięki jego wnikliwemu nadzorowi udało się niemal błyskawicznie rozwiązać zagadkę morderstw bankierów „Solidarności”. A to mogło oznaczać tylko jedno: na pewno uznanie przełożonych, być może przekładające się na jakąś graty-

321

fikację finansową, a kto wie czy nie na jakiś bardziej konkretny dowód uznania w postaci awansu. Gdy tylko Fred przyniósł mu raport, on natychmiast, nie przeczytawszy go nawet, poleciał z nim na górę do gabinetu szefa. Nie minęła nawet godzina, gdy zadzwoniła sekretarka pułkownika, każąc stawić się natychmiast jemu i jego porucznikowi. Teraz siedzieli naprzeciw swego dowódcy, czekając na jego opinię. Pułkownik zmarszczywszy brwi zaczął palcem stukać w szarą teczkę zawierającą raport Marcinkowskiego.

- Wiecie, towarzysze, dlaczego dobre działanie Milicji Obywatelskiej jest koniecznym warunkiem dobrego funkcjonowania socjalistycznego kraju? - Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi i obaj podwładni dobrane o tym wiedzieli, dlatego żaden z nich nie odważył się przerwać tego wywodu. - Ponieważ dobre działanie Milicji Obywatelskiej jest podstawą zaufania do państwa socjalistycznego. Jeśli obywatel ludowej ojczyzny czuje się bezpieczny, czuje, że nic mu nie zagraża od środka, że może wyjść bezpiecznie na ulicę, bo jego chronią funkcjonariusze, to on ufa swojej władzy ludowej. I on wie, ten obywatel, że jak jakiś element

zwichrowany, moralnie niedojrzały popełni jakąś dajmy na to zbrodnię, przez na przykład zabójstwo, to ta milicja jego złapie, a wymiar sprawiedliwości osądzi surowo, ale sprawiedliwie. I ten obywatel wie, że dobrze działająca Milicja Obywatelska jest po to, żeby jego obronić przed takimi typami. A obywatel odwdzięcza się jej zaufaniem. A poprzez milicję ufa władzy ludowej, której my jesteśmy organem. Wyście, towarzyszu poruczniku, znaleźli mordercę tych bankierów, znaczy dobrze przeprowadziliście śledztwo. To znaczy, że obywatele mogą czuć się bezpiecznie. Wasz podwładny podczas akcji zastrzelił mordercę. No i dobrze, zaoszczędził w ten sposób pracy socjalistycznemu sądownictwu, to też dobrze. Ale co mi tu pierdolicie, że jakiś Wirski z SB torturował, a później zastrzelił drugiego mordercę, zresztą milicjanta. Jak wasz człowiek zastrzelił mordercę jednego to dobrze, a jak kolega z SB drugiego to źle? Ja wam coś powiem, towarzyszu Marcinkowski. To nawet lepiej, że ten Wirski wykończył tego sierżanta milicji, który się okazał mordercą, bo to znaczy, że wyciął wrzód na zdrowej tkance organów. Wyobrażacie sobie, co by się działo, jakbyście wy tego milicjanta dopadli i przyprowadzili mi żywe-

322
go. No co ja bym miał ludziom powiedzieć? Że milicjant zabił trzech ludzi z „Solidarności”? Zaraz by się podniósł krzyk, że milicja morduje niewinnych ludzi. A tu tymczasem nie milicja morduje, tylko jeden wrzód na jej zdrowym ciele. To nie był milicjant. To był zbrodniarz przebrany w milicyjny mundur, który nas zmylił i usypiając czujność, dostał się do naszych szeregów. Dlatego Wirskiemu należy się jeszcze nagroda, za podjęcie właściwej decyzji. A wam powiem, że wam i waszemu zespołowi też należy się nagroda, bo wykonaliście kawał dobrej roboty. Ale nie wolno wam, powtarzam, nie wolno wam podważać zaufania do organów poprzez sypanie piasku w dobrze naoliwione tryby. Dlatego weźcie ten raport i napiszcie jeszcze raz, uwypuklając rolę kapitana Wirskiego, który podczas akcji zlikwidował pierwszego mordercę, podobnie jak wy drugiego. No a ta zmarła kobieta to chyba zeszła z przyczyn naturalnych, więc nie rozumiem, po co znalazła się w raporcie.

Podpułkownik Żyto skończył przemówienie, a obaj podwładni zerwali się na równe nogi.

– Jeszcze coś wam powiem, poruczniku. – Pułkownik spojrział uważnie na młodego oficera. – I pan, i ja wiemy, jaka jest prawda. Ale prawda nie zawsze służy dobrej sprawie. A górale mówią, że są trzy rodzaje prawdy: prawda, tys prawda i gówno prawda. Ta z waszego raportu dotycząca roli kolegów z SB należy do trzeciej kategorii. Jeszcze coś, poruczniku? – zapytał Żyto, widząc niepewną minę Marcinkowskiego.

– Ja w związku z tymi pieniędzmi, których nie znaleźliśmy, czy mamy ich dalej szukać?

– Pieniądze, towarzysze, i zagadkę ich zniknięcia niech rozwiązują nasi przyjaciele z SB. Pewnie sobie poradzą.

Dwaj oficerowie wyszli z gabinetu i zeszli piętro niżej. Jeszcze na korytarzu Karpiński chwycił Marcinkowskiego za rękaw.

– Powiem ci, Fred, że to była niezła robota z tą sprawą, ale ta część raportu o SB to już była głupota. Wiesz, co by się stało, jak stary dałby to gdzieś wyżej. Przecież ci z SB by nas zajebali...

– Powiem ci jedno: mam nadzieję, że kiedyś się znajdzie ktoś, kto ich wszystkich pogoni z tej firmy, bo to oni są jak ten wrzód na dupie organów, a ten Kmieciak w porównaniu z nimi to zwykły pryszcz.

323

Fred zostawił dowódcę samego i poszedł do swojego pokoju. W środku siedzieli Brodziak i Olkiewicz. Ledwie było ich widać zza chmury tytoniowego dymu. Widać było po nich, że już zaczęli świętowanie po zakończonym śledztwie.

– No dobra, chłopaki, to mi też należycie, coś nam się od życia należy, nie?

Teofil wyciągnął z szafki w biurku półlitrowkę z domu starej Wyrwaski.

– Służbowy bimber, bo przejęty na służbie, trzeba pić tylko podczas służby – stwierdził Olkiewicz, nalewając do trzech szklanek.

– A jeszcze jest tu dla ciebie raport od Witka Szewczyka. – Brodziak wskazał na białą teczkę leżącą na biurku Marcinkowskiego. – Był

tu przed chwilą i powiedział, że dopasował odciski palców z jednego i drugiego mieszkania do przekazanych przez ciebie próbek zebranych od podejrzanych.

Fred wziął do ręki teczkę, ale i tak wiedział już, co znajdzie w środku. — ... dlatego z całą stanowczością można stwierdzić, że odciski palców pozostawione w mieszkaniu na ulicy Pasterskiej jak i Nad Wierzbakiem należą do tych samych osób. Próbki pokrywają się w stu procentach z dostarczonymi przez porucznika Marcinkowskiego próbkami osób podejrzanych... przeczytał.

Dziś, zaraz po powrocie do komendy, porucznik przekazał chorążemu Szewczykowi próbki odcisków palców Mazurkiewicza. Kazał mu też sięgnąć do próbek Kmiecika. Prócz zeznań rannego milicjanta wolał mieć jeszcze ekspertyzę techniczną. Tak żeby było wszystko w najlepszym porządku. Jak to w Poznaniu.

— Byli tak pewni siebie, że w tym bałaganie, jaki nastanie po wprowadzeniu stanu wojennego, nie będziemy nawet robić rutynowego śledztwa — pomyślał porucznik Marcinkowski o dwóch szwagrach, którzy trzynastego grudnia postanowili się wzbogacić. Dla nich ta trzynastka okazała się pechowa.

EPILOG

12 kwietnia 1982

Porucznik Alfred Marcinkowski wysiadł z niebieskiego służbowego fiata 125p z napisem Milicja na dwóch burtach pod restauracją Maryna w Szamotułach. Jechał dziś tędy z Czarnkowa w województwie pilskim, gdzie pomagał w jakiejś mało istotnej sprawie serii dziwnych podpaień. Sprawa była nudna, a on miał wrażenie, że jest tam tylko dla podniesienia rangi śledztwa, że niby dwie komendy wojewódzkie działają razem i wtedy przynosi to znacznie lepsze efekty. Wyjeżdżał dziś rano z tego całkiem ładnego miasta z rynkiem oszpeconym potężnym pomnikiem ruskiego czołgu z prawdziwą ulgą. Przez cztery dni pobytu w Czarnkowie nie miał praktycznie nic do roboty. Razem z Grzechem Kowalem, który przyjechał tu jako jego szofer, doszli nawet do wniosku, że przeżyć na miejscu pozwoliło im tylko pierwszorzędne miejscowe piwo noteckie. Fred postanowił, że do Poznania wrócić nie przez Oborniki, czyli krótszą drogą, ale przez Szamotuły, nadkładając parę kilometrów. Pomyślał, że jadąc drogą przez Pamiątkowo, zajędzie na chwilę do tego gospodarstwa, w którym Wirski został zrobiony w konia przez tego komandosa z „Solidarności”. Swoją drogą ten Markowski to był niezły gość. Facet załatwił Wirskiego i wielkiego Władzia, odebrał im Mazurkiewicza i gdyby tylko wyczuł w Mazurkiewiczu mordercę, nie dałby się tak prosto załatwić wtedy w tej ruderze. Najlepsze jednak jest to, że jeszcze tej samej nocy Markowski, który wydawał się być załatwiony na amen metalową rurką, pozbawił przytomności pilnującego go w szpitalu milicjanta i w przebraniu sanitariusza nawiał karetką. Milicja szukała go, ale jak dotąd bezskutecznie.

325

Marcinkowski wczoraj wieczorem umówił się telefonicznie z zastępcą komendanta z Szamotuł na spotkanie. Chciał poinformować go, że zamierza pokręcić się trochę po gospodarstwie Wyrwasowej. Zrobił to z czystej kurtuazji, żeby, w razie czego, ktoś nie doniósł milicjantom z Szamotuł, że jacyś poznaniacy kręcą się po ich terenie. Zapytał więc, czy nie mogliby zjeść razem obiadu i pogadać trochę. Zastępca komendanta porucznik Grabkowski zgodził się z ochotą i zaprosił go do najlepszej miejscowej restauracji położonej tuż przy rynku. Teraz Grzechu Kowal zaparkował fiata na niewielkim parkingu koło Maryny i obaj milicjanci z Poznania wspięli się po schodach do wejścia. W szatni po prawej zostawili swoje milicyjne kurtki i poszli do sali jadalnej.

Porucznik Grabkowski już czekał na nich. Siedział przy stoliku pod oknem, więc wiedział, że już są w środku, bo mógł ze swojego miejsca obserwować cały parking i wejście do restauracji. Na widok kolegów z Poznania poderwał się i wyszedł im naprzeciw. W końcu nie co dzień gościł tu u siebie ludzi z Komendy Wojewódzkiej i nigdy do końca nie było w takiej sytuacji pewne, czy przyjezdni nie zjechali tu w jakimś ukrytym celu, jak na przykład tajna inspekcja. Dlatego po telefonie Marcinkowskiego, jeszcze wczoraj pobiegł do swojego szefa komendanta Bitnera i zameldo-

wał, że jedzie tu ktoś z KW. Komendant kazał mu ugościć przybysza w godny sposób, tak by w Poznaniu dowiedzieli się, że w Szamotułach komenda szanuje swoich gości.

Najpierw na stole pojawiła się zmrożona półlitrowka wyborowej ze srebrną nalepką. Jak wytłumaczył Fredowi porucznik Grabkowski, tę wódkę podawano tu tylko dla specjalnych gości, bo dla pozostałych była jedynie gastronomiczna. Do jedzenia gospodarz zaproponował polewkę z maślanki i pieczone pyry. Okazała się rewelacyjna, a Kowal powiedział nawet, że tak dobrą potrafiła zrobić tylko jego babcia. Na drugie był zraz zawijany w ciemnym sosie z pyzami i modrą kapustą. Również to danie wywołało zachwyt gości z Poznania.

Po obiedzie zapitym zimną wódką Fred przeszedł do rzeczy.

– Tu u was, niedaleko, w Pamiątkowie, jest takie gospodarstwo, którego właścicielka pędziła kiedyś niezły bimber.

– Wiem – wszedł mu w słowo gospodarz. – Ale ona już nie żyje. Zmarła w grudniu. A bimber rzeczywiście był świetny.

326

– Ja wszystko wiem, to znaczy byłem tu jak ona zmarła, czyli w dniu jej śmierci, w związku ze śledztwem w sprawie Mazurkiewicza. Wiecie, o co chodzi?

– A co mam nie wiedzieć – odparł Grabkowski. – Zwłaszcza że ja miałem w tej sprawie swój udział.

– Swój udział? – zdziwił się Fred. – Nie bardzo rozumiem.

– No bo to jest proste jak prześcieradło, tyle że nikt o tym nie wie. Ja znałem się z sierżantem Kmieciakiem, jeszcze z powszechniaka. Razem żeśmy szli do milicji. No i on wtedy przyjechał do mnie i powiedział, że jego szwagier, ten Mazurkiewicz, jeździ tu i pędzi bimber, i że trzeba mu to wybić z dupy. No to ja mówię, czemu nie i wysłałem tam wieczorem sierżanta Makulę. On właśnie Mazurkiewicza wsadził, tyle że wypuścili go za wcześnie, bo myśmy z Kmieciakiem umówili się, że ten szwagier ze dwa, trzy dni posiedzi...

Marcinkowski nie wierzył własnym uszom. Ten Kmieciak tu był, u Grabkowskiego, i sam poprosił o wsadzenie szwagra. Więc ten nalot na bimbrownię to nie był przypadek. A to mogło oznaczać tylko jedno, że Kmieciak chciał usunąć z drogi swojego szwagra. Usunąć, bo ten mógł być przeszkodą. Przeszkadzał mu w czym? W zagarnięciu wszystkich pieniędzy. A to oznaczało, że pieniądze, które chciał wziąć Kmieciak, były tu, czyli w Pamiątkowie.

Wypalili jeszcze po papierosie i Fred powiedział, że musi się już zbierać do Poznania. Nawet nie chciał dopić wódki i Kowal musiał mu zwrócić dyskretnie uwagę, że będzie niezręcznie, jak przed wykończeniem drugiej flaszki wstaną od stołu. Wypili więc wszystko, choć rozmowa się nie kleiła, bo porucznik był już myślami w gospodarstwie starej Wyrwaski.

– Co, do cholery, mu się stało? – zastanawiał się Grabkowski. – Jakoś się zmienił po tym, jak żeśmy zaczęli rozmowę o tym bimbrze.

Może obiecał komuś z KW, jakiejś szarzy, że przywiezie z Szamotuł parę butelek. No i teraz ma wrócić z pustymi rękami. No to będzie problem, a pośrednio i na nas spadnie odpowiedzialność, że u nas nic dobrego nie można dostać.

327

Zastępca komendanta wstał i powiedział, że musi iść do kibla. Poszedł w stronę szatni, a tam zadzwonił do dyżurnego na komendzie. Potem jeszcze przez prawie pół godziny starał się jak mógł opóźnić odjazd poznaniaków. W końcu, gdy zauważył, że na parking wjeżdża radiowóz, zaproponował zniecierpliwionemu Marcinkowskiemu strzemienne. Gdy goście podeszli do swojego samochodu, machnął ręką na chłopaków siedzących w niebieskiej nysce. Po chwili wyszedł zza auta sierżant Makula, dzwignijając w rękach skrzynkę.

– A to taka mała kisteczka, od szamotulaków, zamiast tego bimbru z Pamiątkowa, dla lepszej pamięci – zaśmiał się porucznik Grabkowski.

* *

W ciągu zaledwie dziesięciu minut byli na miejscu. Mimo że był kwiecień, mróz jeszcze trzymał, więc bez problemów dojechali bitą drogą łączącą gospodarstwo z szosą. Po drodze porucznik starał się przypomnieć

sobie wszystkie szczegóły z tego dnia, gdy był tu ostatnio. W domu sprawdzili wtedy każdy kąt, nie mogło więc być mowy o tym, że Mazurkiewicz mógł coś tu ukryć. Milicjanci nakryli go w letniej kuchni, więc może tam, ale wtedy też przejrzał całe to pomieszczenie. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Pomyślał, że trzeba będzie metodycznie przejrzeć całą zagrodę. A to może zająć nawet tydzień. I przypomniał sobie. Wtedy zwrócił uwagę na ślady, ale w tamtej sytuacji nie miały one dla niego większego znaczenia. Zdziwił się tylko, że są i nic więcej. Oświeciło go dopiero teraz, po rozmowie z Grabkowskim. Tego właśnie szukał.

Grzechu Kowal zatrzymał samochód przed bramą. Wyłączył silnik i obaj wyszli z samochodu. Fred zdjął drucianą obręcz z furtki. Weszli do obejścia. Przywitała ich cisza.

– Burka pewnie musieli zabrać sąsiedzi – pomyślał porucznik.

– Czego tu szukamy? – zapytał kierowca.

– Chodź za mną – odpowiedział poleceniem na pytanie oficer, nie chcąc tracić teraz czasu na wyjaśnienia.

Podeszli do drzwi zrujnowanej stodoły. Marcinkowski wskoczył na 328

belkę opartą o maskę starego Zetora. Przeszedł po niej i po chwili był już na siedzeniu traktorzysty.

– Włącz tu! – zawołał do Kowala, który został na zewnątrz. Po chwili kapral był już w środku. – Rozejrzyj się dobrze, szukaj jakiegoś schowka. Marcinkowski zaczął oglądać uważnie ściany budynku.

Grzechu nie patrzył po kątach. Schowek i stojący obok traktor, to najsunęło mu natychmiast jedno skojarzenie. Podeszedł do Zetora i jednym ruchem zerwał pokrywę skrzynki na narzędzia. Zajrzał do środka.

– Poruczniku, tu coś jest.

Marcinkowski szybko podeszedł do niego. Zajrzał do wnętrza. W środku zardzewiałej skrzynki, na samym dnie leżała biała, lekko przybrudzona, złożona na pół kartka. Podniósł ją, rozprostował i zaczął czytać. Nie było tam zbyt wiele tekstu. Wystarczyło tylko rzucić okiem. Porucznik spojrzał i zaraz zaczął się głośno śmiać.

– Co tam, kurde, jest? – zapytał Grzechu Kowal, który nie rozumiał, co się dzieje.

Kapral wziął do ręki kartkę i powoli odczytał krótki tekst.

Pozdrowienia dla porucznika Marcinkowskiego – Kaziu.

– Co to za Kaziu, panie poruczniku?

– Kawał kutasa z tego Kazia, ale mówię ci, kutasa z jajami. – Porucznik Marcinkowski nie mógł opanować śmiechu.

Cerekwica – Słoneczny Brzeg – 2007

kontakt z autorem:

ryszard.cwirlej @wp .pi

www.cwirlej.pl

Niektóre wyrażenia gwarowe użyte w powieści

ady – ale, ależ, przecież, no

antryjka – wejście, drzwi, brama

badylarz – ogrodnik, właściciel prywatnego interesu ogrodniczego, ktoś bardzo zamożny

bana – pociąg

bamber – chłop, bogacz wiejski, z szacunkiem o kimś godnym: „z niego to jest, ale bamber”

bejmy – pieniądze

blubry – głupoty

braszka – brat

bulaj – grubas

Ceglorz–poznańska potoczna nazwa Zakładów im. Hipolita Cegielskiego

ciąg stąd – wynoś się stąd

ciorać kimś – z gwary śląskiej, poniewierać kimś

cinkciarz – handlarz walutą

co poniektóry – niektóry

chorlipa – brzydka kobieta,

ćmik – papieros

dać dyla – uciec

fyrtel – okolica

gemela – bałagan, także targowisko staroci na Rynku Łazarskim w Poznaniu

giry – nogi

glapa – wrona, niezbyt mądra kobieta

glapami filtrowany – głupi, bezmyślny (filtrować – karmić)

gnat – pistolet

gnoty – kości

gorzoła – wódka

jupka – kurtka

kista, kisteczka – skrzynka

331

klofta – kłoda

klonkry – rupiecie

kluka – nos

korbol – dynia lub tanie wino owocowe

ksiuty – zaloty, flirt, randka

labija – impreza

lampucera – pogardliwie o kobiecie, podstarzała elegantka

lompy – ciuchy, ubranie

łachudra – łachmyta, byle kto

łe jery – o rety!

łyngol – wysoki i szczupły mężczyzna

migiem, ino migiem – szybko, jak najszybciej

mantel – płaszcz

mela – dziewczyna

nawy wij ać – rozrabiać

oblikać – ubierać

odkluczyć – otworzyć(drzwi)

papudrok – człowiek bezmyślny, nieuważny

penerstwo – ludzie z marginesu społecznego

pierdoły – głupoty, głupstwa, bzdury

plyndze – placki ziemniaczane

poraszplować – zetrzeć, potrzeć, poharatać

pory – spodnie

poruta – wstyd

pójść leżeć – położyć się spać

pyry – ziemniaki

rychło – szybko, wcześniej, zaraz

rychtyg – gotowe

ryczka – małe krzeselko, taboret

ryfa – twarz

sklep – piwnica

skład – sklep

spiknąć – spotkać

sprawić se śrubę – upić się

332

st0i napisane-napisano tam

szabelek- fasolka szparagowa

szkieł –milicjant

szyPa-łopata np. do węgla

^l^owatorba na zakupy

tytęmieć –upić się

uślumprać-pobrudzić stę .

wuja – wujek

wywijasy- rozrabiaki

węglany-zbyt lekko ubrany

zaś – znowu

Zybura-brudna ciecz

Replika poleca! |

Ryszard Ćwirlej Upiory spacerują nad Wartą

Ten kryminał

warto przeczytać!

Pewnego czerwcowego poranka 1985 roku wędkarze znajdują na brzegu

Warty nagie ciało kobiety. Rozpoczyna się trudne i żmudne śledztwo prowa-

dzące krok po kroku do zaskakującego rozwiązania. Upiory spacerują nad Wartą to barwna panorama poznańskiego Starego Miasta lat 80-tych, z jego lokalami i półświatkiem, językiem i zwyczajami, tajemnicami i nielegalnymi interesami. To także znakomity i wierny obraz ówczesnej milicji, która tropiąc mordercę, ma do dyspozycji jedynie maszynę do pisania, radiotelefon i zdezelowaną nyskę. Dowcipnie i ciepło napisana powieść Ryszarda Ćwirleja a ukazuje świat, o którym już zapomnieliśmy.